

Z obozu do obozu

Michał Bałucki



calibre 0.9.27

Z OBOZU DO OBOZU

Powieść

Bałucki Michał

I.

Zmierzchać się już zaczynało, w saloniku było już prawie ciemno, przez otwarte okno widać pogodne, jasno-seledynowe niebo.

Przy fortepianie siedział młody człowiek i grał jakąś smętną fantazyę przypominającą bolesne mazurki Chopina i fantastyczne pieśni Schumana. Pod delikatnym dotknięciem jego drobnych, kobiecych prawie rąk, struny fortepianu wydawały zaledwie cichy szmer godzący się harmonijnie z ciszą letniego wieczoru.

Grający miał głowę nieco wzniesioną w górę i wzrok zapatrzony przed siebie, jak lunatyk. Czasami po wiotkiej jego postaci przechodziły żywsze drgania, jak podmuch wiatru po spokojnej wodzie; wtedy palce silniej, namiętniej naciskały klawisze i dobywały z nich wyrazistsze tony, a głowa nagłym, energicznym ruchem odrzucała w tył jasne, bujne włosy. Po jakimś czasie czy wskutek znużenia czy zamyślenia, ręce spoczęły bezwładne na klawiszach, a młody człowiek tak utonął myślami w głębokiej zadumie, że nie słyszał lekkiego skrzypnięcia drzwi pobocznego pokoju i szelestu jedwabnej sukni.

Do saloniku weszła młoda kobieta, wspaniałego wzrostu i poważna w ruchach.

Wśród zmroku, jaki był w saloniku, twarz jej matowej białości, obrzucona słabo i niejasno światłem, wychylała się z cieniów jak Rembrandtowskie malowidło; linie jej profilu były poważne i miały jakiś zakrój tragiczny.

Weszła do saloniku niespostrzeżona przez siedzącego młodzieńca i stanąwszy za krzesłem pochyliła się zwolna ku niemu, a usta jej dotknęły jego czoła. Pocałunek ten zbudził go łagodnie z zamyślenia, podniósł oczy w górę a ujrawszy nad sobą twarz kobiety uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągając do niej ręce rzekł:

— A! to ty Jadwiniu!

— Może przeszkodziłam ci? spytała siadając obok niego. Może komponowałeś?

— Nie. W tej chwili myślałem o wczorajszym wieczorze u księstwa. Nie wytrzeźwiłem się jeszcze moja droga z tego odurzenia, w jakie mnie wprawiły wczorajsze oklaski i pochwały. Dziwnie to łachocze nerwy i upaja. Nie gorsz się moja droga tem, co mówię; nie jest to próżność tylko, my artyści potrzebujemy tego upajającego narkotyku, jak koń wyścigowy madery; to nam dodaje ognia, zapału, natchnienia. Po wczorajszym wieczorze czuję się ożywiony, pełen animuszu do pracy. Słyszałaś, księżna chwaliła bardzo moje rondo. A tobie jak się ono podobało?

— Wolę sonatę twoją. W rondzie jest za dużo chęci popisania się z techniką, z trudnościami, jest chęć błyszczenia. Sonata ma więcej uczucia, jest głębszą.

— To prawda; a jednak widziałaś że rondo miało więcej powodzenia.

— W salonie. Zrobiła tę uwagę nieśmiało, jakby bała się go obrazić.

— Ja też nie dbam o inne pochwały. Salon, to wiat cały dla muzyki, tam wychowują się artyści, tam ich umieją słuchać, ocenić i nagradzać.

Muzyka jak egzotyczna roślina, potrzebuje cieplarni, oszklenia, ostre powietrze ulicy szkodzi jej i niszczy ją. Powiedz co wypieściło talent Chopina, jeżeli nie salony? Tu go też tylko rozumieją i umieją grać. Odkąd utwory jego dostały się pod grube, mieszczańskie palce, parodyowano je i potwornie skarykaturowano. Chroń Boże każdego artystę od takiej popularności. Czytałaś recenzję ostatniego koncertu nabazgraną przez jakiegoś mieszcucha, jakież tam brednie opisano o Chopinie.

— Nie wynika z tego, aby inni w tej klasie nie mogli znać się na Chopinie, lub na muzyce.

— Nie znają się, nie znają; powtarzał z dziecinną upartością i rozdrażnieniem, ci ludzie mają za grube nerwy na to; chcąc ich poruszyć, trzeba im trąbić za uszami same marsze lub polki.

— Władziu! Władziu! reflektowała go delikatnie siostra, jak ty się uprzedzasz łatwo i wydajesz sąd pod wpływem chwilowego rozdrażnienia. Potępiasz ludzi, których nie znasz wcale, których widzisz zaledwie przez okna powozu, lub z łoży teatralnej.

— Nie pragnę bliższej znajomości z nimi; to też marzenia moje nie wybiegają nigdy po za sferę naszych salonów. Tu chcę zdobyć sobie imię i uznanie, to jedyne pragnienie moje. Ach Jadwiniu, mówił dalej oparłszy głowę na jej ramieniu, rozmarzony, a głos jego, w którym przed chwilą przebiegała pogardliwa duma i lekceważenie, te raz zmiękł i stał się pieszczotliwym. Jadwiniu, jakbym ja chciał zostać wielkim i sławnym.

Spowiadał się jej z najskrytszych marzeń swoich z dziecinną naiwnością, ona słuchała go z zajęciem, pobłażaniem i współczuciem. Było coś macierzyńskiego w jej spojrzeniu i w obejściu z bratem.

— Wczorajszy wieczór, mówił dalej Władysław, obudził we mnie i podsycił to pragnienie. Czuję w sobie przypływ twórczych myśli, cudowne motywa chodzą mi po głowie. Dziś całą noc pisałem.

— I dla tego byłeś tak blady przy obiedzie. Nie szanujesz się, mój drogi, to nie dobrze.

— To nic. Ja nie panna, obejdę się bez rumieńców.

— Ale temi bezsennymi nocami zaszkodzić sobie możesz na zdrowiu.

— O, nie. Taka praca nie wyniszcza wcale; owszem dodaje mi siłę, życia, zdrowia; zwłaszcza, jeżeli mi tak idzie po myśli jak dzisiaj.

— I cóż takiego pisałeś?

— Coś całkiem nowego, uwerturę do opery.

— Do opery?

— Tak, do opery fantastycznej, księżna poddała mi wczoraj tę myśl, żeby napisać operę, którą amatorzy odśpiewają u niej w dzień imienin naszego opiekuna. Prawda że to szczęśliwa myśl? To też uchwyciłem się jej skwapliwie i zaraz wziąłem się do roboty. Uwertura już prawie do połowy ukończona; tylko z librettem mam kłopot.

— Więc nie masz jeszcze libretta?

— Mam niby, ale nie jestem z tego kontent. Pamiętasz ty ten śliczny poemat Antoniego: „nad brzegami jeziora,” który nam czytał w Zagórze? Otóż coś podobnego chciałem zrobić, poemat, zastosować do sceny; ale mi się to nie udało. Wiersz jakiś ciężki, niewdzięczny, forma niezgrabna. A tu trzeba coś ledziuchnego, poetycznego z silnym kolorytem namiętności. Takim właśnie był poemat Antoniego. Jaka szkoda, że go teraz nie ma w Krakowie, on by mi pomógł w kłopotcie.

— Mnie się zdaje, że Antoni już musiał wrócić.

— Wrócił z Hajdelbergu? któż ci o tem mówił. — Zdaje mi się że go widziała w przejeździe do teatru.

Nie wiem czy przypadkiem czy umyślnie chusteczka batystowa upadła jej z kolan na ziemię i podczas, gdy odpowiadała bratu, schyliła się aby ją podnieść.

— Ależ musiało ci się zdawać. Gdyby Antoni wrócił, byłby u nas niezawodnie; wszak znamy się od dziecka prawie. A zresztą gdyby nie do nas, to do wuja z pewnością by przyszedł choć przez prosty obowiązek wdzięczności; wszak wuj zajmował się nim przez czas długi.

— Antoni od trzech lat już nie pokazał się u nas.

— A to z jakiego powodu?

— Nie wiem; coś zaszło między nim i wujem naszym, poszło im podobno o politykę, czy o coś,

nie wiem dokładnie, bo wuj nie lubi o tem mówić. Było to właśnie wtedy, kiedyś ty siedział w Paryżu. I ojciec Antoniego podziękował wtedy za służbę i odszedł.

— Niespodziewałem się tego po Antonim, rzekł Władysław zachmurzony.

— Czego się nie spodziewałeś?

— Niewdzięczności.

— Wszak niewierny kto winien.

— W każdym razie powinien był ustąpić. On ma wujowi wszystko do zawdzięczenia czem jest, jeżeli już jest czemś; bo to był zawsze duch niespokojny, dziwaczny i ambitny. Mimo to chciałbym się koniecznie z nim zobaczyć. Tyle lat przeżyliśmy razem, tyle wspomnień przyjemnych nas łączy. I ty dzieliłaś z nami te dziecinne zabawny, pamiętasz?

Jadwiga zdawała się nie słyszeć tego pytania tak mocno zajęta była w tej chwili wyciąganiem nitki z wystrzępionej szarfy jedwabnej. Władysław nie potrzebował odpowiedzi i nie czekając na nią,, mówił dalej:

— Musze go odszukać i będę chciał pogodzić go z wujem. Szkoda, żeby taki dzielny i dobry chłopak zmarniał, za wpływem wuja będzie mógł zrobić karierę.

— I pisywać dla ciebie libretta. Oj ty, ty brzydki samolubie! mówiła grożąc mu palcem, jednak z tonu jej głosu poznać można było, że jej się ten projekt bardzo podobał; a gdy służący wniósł lampę do saloniku Władysław przy świetle spostrzegł, że Jadwiga miała twarz zarumienioną i promieniejącą szczęściem i wesołością, co się u niej rzadko zdarzało.

Niezadługo po wniesieniu lampy zjawił się w saloniku, jak komar, co ciągnie za światłem, gość jeden. Był to Niunio, współpracownik konserwatywno - klerykalnego dziennika, ulubieniec wszystkich dewotek i starych panien, które unosiły się nad jego pobożnością, stylem i niewinnością. Niunio spokrewniony przez matkę z arystokratycznymi domami, zaczął karierę swoją literacką, do której go po trochu zmusiły finansowe okoliczności, od pielgrzymki do Rzymu, z kąd przywiózł sobie błogosławieństwo Ojca św. odpust zupełny dla siebie i dla swoich potomków (rozumie się, gdyby na takowe wstydlivość jego kiedykolwiek zdecydować się chciała) i artykuł o Rzymie przerobiony z francuzkiego. To mu wyjednało wstęp do jednego dziennika klerykalnego, którego główny redaktor ulegając natarczywym prośbom dewotek i księży, wziął Niunia pod swoją szczególniejszą opiekę i obiecał wykierować na publicystę.

W chwili kiedy się nasza powieść zaczyna, Niunio doszedł już na tej drodze do tego, że pisywał kroniki i nekrologi; a choć liczył już lat blisko czterdzieści, jednak zawsze przez przyzwyczajenie nazywano go Niuniem i uważano za młodzieńca rokującego wiele w przyszłości. I on sam zdawał się podzielać tę opinię o sobie, gdyż ubierał się jak młodzieniaszek w szerokie wykładane kołnierze, niebieskie krawatki, w których jak go zapewniano, było mu bardzo do twarzy i nosił krótkie zakietki. Ruchy jego były odpowiednio do kostiumu skromne, potulne, dziecinne prawie, a mowa słodka, efektowana i pełna dziewiczej wstydlivości i ciągłych odwoływali się na swoją mamę, z którego to powodu nieraz mamą żartobliwie go nazywano. Była to figura pocieszna i zabawna, z której po za oczy pozwalano sobie żartować; w oczy jednak lub przy publicznych występach traktowano go z powagą odpowiednią godności jaką piastował i respektowano go jako część opinii salonowej. To też nie było jednego wesela, obiadu publicznego, pogrzebu, uroczystości w wyższym świecie, na którejby się nie znajdował i nie chwalił z obowiązku. Ledwie która ze znakomitych, a nawet mniej znakomitych osób towarzystwa wezwała doktora do siebie, już Niunio zbierał po znajomych materiały do jej nekrologu i w skutek tej przezorności miał mnóstwo zapasowych nekrologów osób, które dobrem jeszcze cieszyły się zdrowiem. Nekrolog Ojca św. już od dwóch lat leżał całkiem wypracowany w biurku Niunia, oczekując napróżno publikacji. Pomimo tych zajęć cmentarnych,

Niunio miał jeszcze dość czasu zajmować się żywymi i czepiał się jak oset każdej znakomitości, Ignął do każdego talentu i talenciku mającego powodzenie w wielkim świecie i szukał w tem dla siebie sławy, że sławił sławnych. Był to dla niego wygodny sposób uczynienia się widocznym. Powodzenie jakiego doznał Władysław na wieczorze u księżnej, zbliżyło Niunia do niego. Uważał on sobie za obowiązek chwalić to, co chwaliła księżna i zebrane u niej towarzystwo i ta obowiązkowa adoracya spowodowała jego obecną wizytę.

— A! może przeszkadzam, rzekł cofając się lękliwie na widok siedzących przy sobie brata i siostry. Może dziś państwo nie przyjmują, tu znowu postąpił naprzód, ale nie mogłem przenieść na siebie by ci kochany Władziu, nie powinszować jak najprędzej wczorajszego sukcesu. Udało ci się przewybornie, jak mamę kocham.

Mówiąc to uchwycił koniuszkami swych wygiętych palców dłoń Władysława i obcałował powietrze z obu stron jego policzków.

— Było prześlicznie, znakomicie, dawno księżny nie widziałem tak ożywionej, jak wczoraj, gdy słuchała gry twojej. Rozmawiałem potem z nią przez pół godziny o tobie, tylko o tobie. A! jest ci czego powinszować, jak mamę kocham. Księżna nie ma zwyczaju kogo bądź chwalić, ja ją znam pod tym względem, bo nie od dzisiaj bywam u niej. I moja mama tę samą zrobiła uwagę. Tak, tak, odniosłeś kompletny tryumf, mój drogi. To też dzisiaj wszędzie mówią tylko o tobie, jesteś bohaterem dnia. Nawet gazety bardzo pochlebnie rozpięły się o tobie.

— Jako, jest co w gazetach o tem? spytał Władysław rumieniąc się zażenowany.

— Nie czytałeś?

— Nie. Kiedyż to być mogło?

W dzisiejszym wieczornym numerze. Czekał, zdaje mi się, że mam przy sobie przypadkiem ten numer.

I wsunawszy gracyjnie trzy palce do bocznej kieszeni surduta, wyjął z niej ów niby przypadkiem znaleziony numer, starannie i równiutko złożony.

— Oto jest, rzekł podając Władysławowi.

Ten wziął skwapliwie podany numer i począł czytać. Między kronikarskimi zapiskami była wzmianka o wieczorze u księżnej i grze Władysława. Kronikarz pochwalił najprzód salon księżnej, że stał się ogniskiem inteligencji i sztuki, potem pochwalił się z tem, że bywa u księżnej, a w końcu wypisał karmelkowatym stylem kilka ogólnikowych frazesów o sztuce, a nareszcie o rokującym wiele talencie kompozytora.

Podczas gdy Władysław czytał, Jadwiga oparta na jego ramieniu, patrzyła także w gazetę. Niunio czekał aż skończą i bawił się tymczasem niebieskimi wstążkami swego słomianego kapelusika, gwałcił się i łamał pretensjonalnie.

— Doprawdy, odezwał się do Jadwigi, gdy czytać przestała, trzeba pani zazdrościć takiego brata, To prawdziwy Benjaminek salonów, a księżna, to jak mamę kocham, po wczorajszym wieczorze kompletnie zachorowała na niego; o nikim nie mówi, tylko o nim. Ale bo też grał, że nasłuchać się trudno było: słuchałoby się bez końca.

— Pan jednak nie dosłuchałeś, zdaje mi się do końca, rzekła Jadwiga patrząc na niego z góry z uśmiechem nieco ironicznym.

Niunia zmieszał trochę ten uśmiech.

— W istocie musiałem wcześniej opuścić salon z niemąłą dla siebie przykrością; ale obowiązek wzywał mnie do hrabiego Maurycego, który jest już bardzo źle, o! bardzo źle. Nikogo nieprzyjmuje, tylko ranie jednego, do którego powziął szczególniejsze zaufanie. Jest to więc obowiązek sumienia; bo hrabia, jak pani wiesz, był dawniej libertynem, a dziś dzięki naszym staraniom zmienił się

niesłuchanie; co wieczór odmawiamy razem litanije, pacierze, czytam mu żywoty świętych. Jest to więc dla mnie rodzaj misyi, której lekceważyć nie mogę i musiałem wyrzec się dla tego obowiązku przyjemności, jakie mnie wczoraj u księżnej czekały. Ale mama moja była do końca i zdała mi dokładną relacyę. A mama moja zna się wybornie na muzyce, mogłam więc polegając na jej zdaniu napisać z czystym sumieniem ten artykuł.

— Więc to ty napisałeś? spytał Władysław, a wiadomość ta ostudziła nieco radość, jaką mu sprawił przeczytany artykuł; znał bowiem wartość pochwał Niunia, który wszystko z urzędu chwalił.

Niunio udał zażenowanego tem, że zdradził się z tajemnica autorstwa i chciał coś odpowiedzieć, gdy otwierające się główne drzwi saloniku zwróciły tam uwagę rozmawiających.

— Laudetur, odezwał się głos we drzwiach.

— Ach, ksiądz Hieronim, co za niespodzianka, zawołał Niunio i jak dziesięcioletni chłopczyk pobiegł z dziecinną radością i uszanowaniem ucałować ręce przybyłego księdza.

Był to mężczyzna kolosalnej, atletycznej budowy; twarz miał dużą, rumianą, o grubych rysach; ale mimo to pełną życia; spojrzenie jego wielkich oczów zdradzało inteligencyę, pewność i powagę. Cała postać imponowała i zarazem przyciągała sympatycznie do siebie.

Przybyły nie zatrzymał się długo w saloniku; dotknąwszy z lekka ustami głowy Niunia i przywitawszy Władysława i jego siostrę, spytał zaraz o hrabiego Medarda i poszedł do jego gabinetu. Niunio zaanonsował się z nim razem do hrabiego; ale ten kazał go przeprosić i oświadczyć że się z nim zobaczy podczas herbaty, poprosił tylko księdza do siebie i wyszedł aż ku drzwiom na jego spotkanie.

— Witaj mi książe Hieronimie, rzekł podając mu dłoń na powitanie. Doprawdy nieobecność twoja zaczęła mnie już niecierpliwic, tak nam ty byłeś potrzebny. Siadajże, no i cóż tam?

Ksiądz rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciw hrabiego, z którego zawiędłą, małą, ale sprężystą figurką, stanowił rażący kontrast i rzekł:

— Byłem w kościele św. Klaudyusza, przypatrzyłem się trochę robotom naszych i przyznam się, że smutne wyniosłem wrażenie. Ci ludzie zgubią nas, zgubią sprawę kościoła swoją niewczesną gorliwością. Zamiast zjednywać sobie sprzymierzeńców, oni postępowaniem mnożą i tak już ogromne zastępy naszych nieprzyjaciół, sprawa nieomylności papieża dobije do reszty nasz obóz. W rozmowach, jakie miałem z biskupami niemieckimi czułem ducha odszczepieństwa.

— I nie ma nadziei cofnięcia, odroczenia dogmatu? spytał hrabia.

— Niepodobna. Ojciec św. zbyt już stary i słaby, aby mógł oprzeć się namowom swych doradców, uległ im zupełnie, oni trzęsą soborem, a zaciekłość ich zaślepia, że nie widzą ogromu niebezpieczeństwa, jakie wywołują. Syllabus zraził inteligencyę dla naszej sprawy, coraz mniej nas, coraz bezsilniejsi jesteśmy.

Hrabia słuchał księdza wsunięty w głąb fotelu i zamyślony. Na szeroko sklepionem czole jego usiadła chmura zafrasowania. Gdy ksiądz przestał mówić, on czas jakiś milczał, potem odezwał się.

— I to właśnie teraz tak nieszczęśliwie się złożyło, kiedy potrzebujemy jak największego poparcia przy wyborach.

— Czy agitacya już się rozpoczęła?

— Nie jeszcze; ale dochodzą mnie już wieści że partya przeciwna postanowiła użyć wszelkich sposobów do przeprowadzenia swoich kandydatów. W dziennikach ich rozpoczęły się już ostre wycieczki przeciw nam, które podkopują grunt i szkodzą w opinii. Nie mówię tu o rzucaniu się na osobistości; takie paszkwile, obracają się "najczęściej na niekorzyść ich autorów; stokroć gorsze są korespondencye z Rzymu, które identyfikując naszą sprawę z zabiegami zmartwychwstańców, posądzają nas o tendencye antinarodowe. To nas kompromituje.

— Zwracalem na to uwage zakonu i po kilkakroć byłem w tym celu w kościele św. Klaudyusza i konferowałem z nimi.

— I cóż mówią?

— Że sprawa kościoła przedewszystkiem, że dla niej poświęcić trzeba politykę świecką i wszelkie względy.

— Ależ skoro my upadniemy i sprawa kościoła upadnie, wybuchnął niecierpliwie hrabia, czy oni tego nie widzą?

— Nie chcą widzieć.

— Jeżeli do rady państwa wejdą żywioły liberalne, destrukcyjne, kościół pierwszy to uczuje. W kwestyach religijnych niemcy pójdą z niemi ręką w rękę; uchwalą, co zechcą. Tego w Rzymie uznać nie chcą i zamiast pomagać szkodzą nam porywcznością, nietolerancją i udaremniają wysiłki nasze. Cóż zrobimy jeżeli dogmat nieomylności ogłoszą w tych dniach?

— Do tego nie przyjdzie tak prędko, a gdyby to się stało, obawiać się z tej strony nie mamy czego.

— Więc mamy jawnie ogłosić się za nieomylnością? Cóż powie na to inteligentna część naszych? A stanąć przeciw kościołowi niepodobna; to sprzeciwiałoby się naszym zasadom, naszym tradycjom. Cóż więc robić?

— Milczeć

— Ale przeciwnicy nasi milczeć nie będą i zażądają od nas stanowczego oświadczenia się za lub przeciw.

— Nie zrobią tego, zaręczam hrabiemu. Urok stolicy papieżkiej ma wielki wpływ na umysły naszego ludu; ktoby chciał wystąpić przeciw Ojcu św. zedrzyć ten urok z oczów ludzi, ten naraziłby się tylko na niepopularność i wywołał oburzenie. Przeciwnicy kościoła znają to uczucie ludu uświęcone wiekami i nie będą mieli odwagi występować wprost przeciw temu. To by im tylko szkodzić mogło. Czy nie wiecie jakich kandydatów postawili?

— Oh są, rzekł hrabia podając księdzu małą karteczkę, na której były wypisane nazwiska kandydatów partyi postępowej na posłów sejmowych.

Ksiądz przeczytał i kładąc kartkę na biurku odezwał się:

— No, to mnie pociesza.

— Dla czego?

— Bo oprócz jednego, reszta kandydatów nie ma wcale nadziei przejścia przez głosowanie.

— Nie znasz ich chyba. Ci ludzie mają wielką popularność.

— Mieli; dziś ta popularność ich chyli się ku upadkowi, a dla niektórych przemieniła się nawet w nienawiść, bo lud nie cierpi tych, których musiał wielbić i słuchać. Jest to zwykła kolej ulubieńców jego. Dziś ci ludzie oprócz dziennikarzy i garstki ludzi bez stanowiska, nie mają za sobą nikogo. Miasto ich się boi. A wy jakich postawiliście kandydatów?

— Hrabiego Henryka, D-ra Natorskiego, no i mego Artura.

— Artur także kandydatem? spytał ksiądz, zwracając swe duże, śmiałe oczy ze zdziwieniem na hrabiego.

— Czy wątpisz w jego zdolności polityczne?

— To nie. Dał dowody, że umie obracać się na tem polu. Ale....

— Ale, chcesz mówić o jego stosunku z baronową. Właśnie dla rozerwania tego stosunku postawiłem go na liście kandydatów, wbrew jego wiedzy i woli. Mam nadzieję, że skoro wzbudzi się w niem namiętność polityczna, skoro atmosfera sejmowa rozgrzeje go, zapomni o tej pani i da się nakłonić do zerwania stosunku, który mi tyle kłopotu i wstydu przynosi.

— A jeżeli przeciwnicy zrobią mu zarzut z tego stosunku i udaremnią jego wybór?

— Będziemy się starali, aby nie udaremnił; zrobiłem co mogłem, aby sobie zapewnić głosy, byłem z wizytą w mieście u kilku ludzi wpływowych i mam jaką taką nadzieję.

Wszedł lokaj i poprosił do herbaty.

— Później pomówimy jeszcze o tem, rzekł hrabia do księdza Hieronima, będę potrzebował twej rady. A teraz chodźmy.

Weszli do sali jadalnej, gdzie oprócz Władysława, Jadwigi i Niunia zastali starą hrabinę rozmawiającą na kanapie z księdzem Gabryelem.

Była to głowa stronnictwa ultrakatolickiego. Chudy, żyłasty, zawiedły, w każdym niespokojnym ruchu zdradzał gwałtowność i namiętność, która nim szarpała i wyniszczała go, a zarazem ożywiała. W małych przenikliwych oczach wsuniętych głęboko pod czaszkę palił się wiecznie ogień dzikiego natchnienia i fanatyczny zapach. Gdy mówił słowa nie płynęły mu z ust, ale wydzierają się z wysileniem, z sykiem, jak kamienie wylatujące z procy. Każde kazanie jego było krucyatą, nie tyle nauczał niemi, ale gromił, walczył. Ten charakter wojujący dominował wewszystkich jego czynnościach; a był czynnym niesłuchanie, jak żołnierz w zagrożonej twierdzy, stawał na każdym wyłomie, rzucał się w najniebezpieczniejsze miejsca zagrożone przez nieprzyjaciół kościoła i bronił ich z zaciętością dochodzącą do wściekłości. Od rana do nocy krzątał się niezmordowanie: z ambony przechodził bez wytchnienia do ołtarza, od ołtarza do konfesyonału, do łóżka umierającego heretyka, do ludzi potrzebujących jego rady i nauki. Mimo to ruchliwa działalność jego nie wydawała tych owoców, jakie by mogła przynieść, gdyby czynnościami jego kierowała więcej miłość chrześcijańska, niż fanatyczna żarliwość nie znająca przebaczenia, ani tolerancyi. Choć znakomity kaznodzieja, mowami swemi raczej drażnił nieprzyjaciół kościoła, niż ich zwyciężał; a ognista wymowa jego więcej podziw wzbudzała u wiernych, niż ich umoralniała i podnosiła.

Stara hrabina należała do bałwochwalczych czcicielek jego; rządził on despotycznie jej sumieniem, kieszenią i czynnościami. Dziś przyszedł do niej z projektem założenia stowarzyszenia apostolskiego, które miało rozciągać się od najwyższych do najniższych sfer, od herbowych dam do służących i wyrobników i cały zastęp wiernych organizować w rodzaj obozu, krucyaty mającej walczyć z herezyą i bezbożnością na każdym kroku i wszelkimi możebnymi sposobami. Właśnie ksiądz Gabryel wyliczał hrabinie kardynalne paragrafy statutów stowarzyszenia, gdy do sali wszedł ksiądz Hieronim z hrabią. Powitanie obu duchownych było chłodne i ceremonialne. Ksiądz Gabryel nie lubił Hieronima i nie tan się z tem, nazywał go pogardliwie moderanwatelem, salonowym księdzem, który może dobrym mógłby być obywatelem, ale złym jest księdzem. Ksiądz Gabryel bowiem nie pojmował jak można pogodzić obowiązki obywatela z czynnościami kapłana; dla niego ojczyzną był Rzym i tylko bezwarunkowe posłuszeństwo Rzymowi uważał jako najwyższe prawo, choćby to posłuszeństwo miało go w kolizyą wprowadzić z rodziną, krajem i stosunkami. Postępowanie ks. Hieronima nazywał herezyą, gallikanizmem. Ks. Hieronim wiedział o tem usposobieniu względem siebie kolegi i równą odpłacał mu miarą, uważając za ciekły fanatyzm jego jako szkodliwy sprawie kościoła. Zejście się tych dwóch ludzi nie obeszło się nigdy bez starcia, bez gwałtownej dysputy, lada okoliczność wystarczała do tego. I teraz spodziewać się można było czegoś podobnego, ponure milczenie, z jakim towarzystwo usiadło do herbaty, zapowiadało tym silniejszą burzę. Stary hrabia jako człowiek pełen taktu chciał ją zażegnać obojętną rozmową i zagadnął kilka razy księdza Gabryela względem niektórych osób znajomych. Kaznodzieja odpowiedział krótko i sucho, hrabina również zachowywała ponure milczenie; tylko Niunio starał się być rozmownym, a nawet dowcipnym, co mu się jednak nie udawało. Jadwiga przy samowarze pełniła obowiązki gospodyni, w czem pomagał jej lokaj.

— Czy pan Artur nie będzie dziś na herbacie? spytała nalewając filiżanki.

— Prawda, Artura nie ma, rzekł stary hrabia. Czy prosiłeś pana Artura.

— Pana Artura nie ma, odrzekł służący.

Cień niezadowolnienia przeszedł po czole hrabiego, spojrział znacząco na żonę i rzekł: — Nasz Artur coraz rzadszym gościem teraz w domu. Od paru dni nie widziałem go wcale. Czy może wyjechał.

— Nie wiem, odrzekła Hrabina. — Hrabiego Artura widziałem dziś rano, rzekł ks. Gabryel, był u mnie prosić o dyspensę od postu na sobotę.

— A widzisz, odezwała się hrabina, posądziłeś go, że się popsuł, a nasz Arturek zawsze ten sam pobożny, przykładny.

— Słowo w słowo to samo powiada moja mama, wtrącił Niunio, bo go widuje codzień na mszy św. z książką do nabożeństwa.

— Jest to obowiązek każdego prawego katolika, powiedział ks. Gabryel.

— A! oto i Artur, rzekła Jadwiga, czyś już po herbacie.

— Nie jeszcze i proszę cię o filiżankę. Dobry wieczór.

Ostatnie słowa zwrócone były do całego towarzystwa siedzącego przy stole, które Artur pozdrowił skinieniem głowy i usiadł obok Władysława założywszy swobodnie nogę na nogę. Syn hrabiego Medarda mógł mieć lat około trzydziestu, był w całym tego słowa znaczeniu przystojny mężczyzna, ale wyłysiałe czoło, torebki wiszące pod oczami i bruzdy na czole, robiły go o wiele starszym i świadczyły o zbyt wolnym życiu. I w istocie bez rachuby użył i nadużył wszystkiego płacąc za to pieniędzmi, zdrowiem, uczuciami; to też bliskim był bankructwa pod każdym względem, czem się jednak nie martwił wiele i sam mówił nieraz o tem z cyniczną ironią w gronie wesołych towarzyszków. W obec starszych jednak i poważniejszych, a szczególnie w obec matki był inszym, umiał panować wtedy nad sobą i zachował się z taktem i przyzwoitością, która mogła patrzących w błąd wprowadzić i dać im wcale inne wyobrażenie o hrabi Arturze. Tylko stary hrabia nie dał się tem uwieść, znał dobrze swego syna i bolało go jego postępowanie, bo hrabia wielkie nadzieje w nim położył. Całe wychowanie Artura było skierowane na to, aby zeń zrobić geniusza, a przynajmniej osobistość wyszczególniającą się. Zdolności były po temu; Artur był w istocie wykształconym, czytany, wymownym i byстрыm w sądach; ale wszystkie te zasoby zużywał na drobnych codziennych wydatkach, brak mu było hartu i woli, by im nadać kierunek i cel większy. Genialność jego nie tylko nie procentowała, ale kapitał sam malał drobnymi wydatkami. Stary hrabia widział to i frasował się tem nie mało. Jedno tylko dawało mu nadzieję: Artur był ambitny i śmiały, stary hrabia więc spodziewał się, że podsyciwszy ambicyę, można będzie wyrwać go z dotychczasowego sposobu życia i pchnąć na arenę polityczną, na którejby mógł zająć miejsce odpowiednie swemu urodzeniu i zdolnościom. To był powód dla którego nazwisko jego umieścił na liście kandydatów.

Wejście Artura do sali ożywiło rozmowę, wlekącą się dotąd leniwo i z przerwami. Artur opowiadał o różnych nowościach, małych wydarzeniach dnia, a miał szczególny talent opowiadania i każdą drobnostkę umiał zrobić zajmującą i ciekawą.

— Dziś Władzio jest na porządku dziennym, mówił z uśmiechem, fotografie jego widziałem w kilku albumach, po księgarniach pytają się o jego kompozycje, a panna Adela poczęła na nowo brać zaniedbane lekcje śpiewu, by móżdź wziąć udział w jakiejś operze którą skomponował.

— Skomponowałeś operę? spytał hrabia Medard.

— Dopiero ją skomponuję. Wczoraj księżna za chciała mnie do tego.

— Księżna ma ducha inicjatywy, gdyby się była urodziła w sferach demokratycznych, byłaby niewątpliwie znakomitym agitatorzem politycznym. Ma do tego wiele sprytu i energii.

— A propos demokracji, opowiem państwu zabawną historię, rzekł hrabia Artur. Wiecie że hrabia Jerzy od czasu jak stracił majątek na giełdzie, zachorował na demokratę i literata.

— Jest to zwykła choroba zrujnowanych, wtrącił hrabia Medard.

— Żona jego jednak, ciągnął dalej Artur, nie podziela tych zasad i gorliwie modli się o nawrócenie męża.

— Czyli o powrót majątku, bo to na jedno wychodzi.

— Hrabina Jerzowa jest bogobojna i przykładna niewiasta, odezwał się surowo ksiądz Gabryel stojąc w obronie nieobecnej.

— Otóż właśnie do tego zmierzam, rzekł Artur, że jako pobożna niewiasta ze zgorszeniem patrzyła na postępowanie męża, na ludzi z którymi przestawał i na książki, które czytał. Było to burzenie bierne, które jednak wczoraj zamieniło się na formę czynną. Pani Jerzowa wróciwszy wczoraj z kościoła zrobiła auto-da-fé z całej biblioteki męża, z czego potem wywołała się zabawna scena między mężem a żoną, bo jak się pokazało hrabia-demokrata miał w swej biblioteczkę parę set egzemplarzy jakiejś broszury „kościół i cywilizacja,” powierzonej mu w komis i będzie musiał za nie zapłacić, a jak wiadomo hrabia nie na pieniądze na wyrzucenie.

— Broszura ta jest bezbożna i wykląłem ją wczoraj publicznie wraz z jej autorem, rzekł ks. Gabryel.

— To też tem tłómaczyła hrabina Jerzowa przed mężem swój postępek, że nie chciała mieć pod swoim dachem wyklętego pisma.

Cóż to za broszura, spytał hrabia Medard Gabryela, którą ksiądz aż wyklinać musiałeś?

— Podła, bezbożna broszura, której autor targnął się bezbożnie na świętość kościoła katolickiego i chce udowodnić że kościół jest apostołem ciemnoty i ogłupienia.

Znam tę broszurę, odezwał się ksiądz Hieronim i....

— I nie znajdujesz ją ksiądz szkodliwą? podchwycił z gwałtownością Gabryel.

— Tego nie powiem. Owszem broszura ta jest o tyle szkodliwą, że autor nie wojuje samemi frazesami i z głęboką erudycją zręcznie manewrując, faktami historycznymi stara się dowieść swego twierdzenia.

— Ksiądz to nazywasz erudycją, co jest tylko sofistyką.

— Mimo to autorowi nie można odmówić wielkiego talentu i nauki.

— Dla tego właśnie nie wahałem się rzucić na niego klątwę, by ostrzedz wiernych przed niebezpieczeństwem, jakie im grozi z tej strony.

— Kto wie czy ksiądz nie zwróciłeś właśnie na to ich uwagę. Milczenie byłoby może skuteczniejsze. O ile wiem dzienniki liberalne nie wspomniały całkiem o tej broszurze; nie wiem, czy o niej nie wiedzą, czy z osobistej niechęci dla autora umyślnie milczą, dość, że milczenie to było nam na rękę. Broszura przeszłaby niepostrzeżenie, bez rozgłosu, czytana zaledwie przez kilku i zapomniano by o niej, gdy tymczasem teraz sama ciekawość skusi wielu do czytania.

— A zakaz kościoła.

Ułomność ludzka więcej łąnie do tego, co zakazane, niż co nakazane. Milczenie byłoby tu o wiele korzystniejsze, księżę Grabryelu. Spokój i umiarkowanie, z jakimi mówił te słowa, ks. Hieronim, zaczęły już drażnić i roznamiętniać jego przeciwnika, po błyskaniu jego oczów poznać można było, że w nim wre i kipi; mimo to słowa jak rwące się konie trzymał na wodzy i powstrzymując się od wybuchu odrzekł z pozornym spokojem.

— Milczenie w takim razie byłoby grzechem.

— Nie, milczenie byłoby w tym razie mądrością, bo by ubezwładniło przeciwnika, podczas gdy klątwa drażni go i wyzywa do walki robiąc go w oczach jego zwolenników apostołem idei, w oczach

wiernych straszylem; ale zawsze wielkością bohaterem. Tak księżę Grabryelu, nie mogę pochwalić twej gwałtowności, ona nam szkodzi tylko. Troszkę więcej umiarkowania większe by kościołowi korzyść przyniosło.

— Umiarkowanie, to brak charakteru, wybuchnął ks. Gabryel. Moderantyzm w rzeczach wiary wyradza niedołęztwo, sprowadza rozprężenie, chaos — przygotowuje grunt bezbożności i odstępstwu — kiedy walka — to walka; trzeba pobijać wrogów kościoła na każdym kroku, inaczej oni nas pobiją.

— Tak, trzeba pobijać; ale nie rzucając się na oślep, bo wtedy zwycięstwo oddaje się przypadkowi, który nie zawsze sprzyja męztwu. Do każdej walki potrzebna taktyka, a taktyka radzi często trzymać się spokojnie w oszańcowanym obozie, aby nie narażać siebie i drugich na niepotrzebne straty. Gorliwość wasza księżę Gabryelu jest chwalebna; ale często wystawia na szwank naszą sprawę. Veuillotyzm odstręczył nam wielu sprzymierzeńców. Mamyż trwając przy takim po stępowaniu odstręczyć sobie resztę, gdy obóz nasz i tak już zbyt szczupły?

— Siłę kościoła nie stanowi liczba, ale jedność przekonań, solidarność działania oparta na żywym zjednoczeniu się z niem. Sojusz z ludźmi, którzy nie mogą znieść ortodoksyi w duchu kościoła i podług dróg kościoła, wychodzi tylko na szkodę. Nie zwyciężymy bez; ślepego posłuszeństwa, bez karności, bez wszelkiego oglądania się na względy ludzkie, na własne natchnienia, na tolerancją. Zwolennicy i adoratorowie Maretów.

Gratrych, Dupanloupów, to niepotrzebny tylko balast, który bezużytecznie obciąża nawet kościoła wojującego; lepiej się go pozbyć, wyrzucić.

— W takim razie co nam zostanie, jeżeli tak ściśle sortować będziemy?

— Gedeon sortując tak, zostawił sobie ledwie garstkę i zwyciężył.

— My nie Gedeony, mój księżę Gabryelu i kto nam zaręczy, że garstka, która przy nas zostanie, będzie miała siłę zwyciężyć Medyemitów, którzy się dzisiaj po wszej ziemi rozwieltnożnili i wzmoogli.

— Będzie miała siłę, bo z nią będzie Pan, rzekł z przejęciem i gorąco ksiądz Gabryel, rzucając surowe spojrzenie na Hieronima.

Rozmowa przybierała coraz namietniejszy charakter, hrabia nie chciał dopuścić do zapomnienia się i dla tego ją przerwał pytaniem:

— I któż jest autorem tej broszury, księżę Gabryelu.

— Jakiś Antoni Kowalski.

Brzęk filiżanki która w tej chwili wypadła z rąk Jadwigi nalewającej herbatę i z trzaskiem rozbiła się na posadzce, zagłuszył słowa księdza

Gabryela, że hrabia musiał go poprosić o powtórzenie nazwiska wyklętego autora.

— Antoni Kowalski, powtórzył ksiądz.

— Kowalski? tu hrabia zmarszczył się i pytającym wzrokiem spojrzął na syna i na Władysława, miałże by to być nasz Antoni, to niepodobna.

— Podobno niedawno wrócił z Jeny, dodał ks. Gabryel.

— A więc to on.

— Hrabia go znasz?

— To syn mego ekonoma, mój wychowaniec.

— Wychowałeś hrabia na swem łonie zmiję, która nas teraz kąsa.

— Ten chłopak dawno mi się już niepodobał, od małego zdradzał charakter nieugięty, sporny i opozycyjny, a przytem dumę niesłychaną, dziwną w człowieku takiego pochodzenia. Lubiłem go mimo to, bo był nadzwyczaj bystry, zdolny, chciałem pokierować temi zdolnościami, by nie poszły na

bezdroża; ale to było niepodobnem. Raz nawet wręcz mi oświadczył, że nawet wdzięczność jaką ma dla mnie, niezmusiłaby go do odstąpienia na włos od przekonań jakie ma. Najskrajniejsze teorye, bezecne doktryny, on to nazywał przekonaniem swemi i zapewne z obawy, by w moim domu nie splamił czystości tych zasad, podziękował mi za opiekę i wyniósł się z mego domu. niedługo potem i ojciec podziękował za służbę, zapewne także z jego namowy. Sądziłem że doświadczenie i bieda umitygowały go trochę albo że zmarniał gdzie na lichej posadzie, tymczasem, jak się pokazuje, zguba się znalazła -i chce nam się dać we znaki. Otóż to tak wychodzi się na opiece nad tym poczciwym ludkiem, człowiek sobie, wychowuje wilków, którzy nam pustoszą owczarnie. I cóż on za stanowisko zajmuje teraz, — czem on jest?

— Obecnie niczem, rzekł Artur, a raczej współpracownikiem jakiegoś dziennika licho płatnym zapewne. Ale jak słyszałem, stara się o katedrę na uniwersytecie.

— Tego by jeszcze brakowało, zawołał hrabia rzuciwszy się niespokojnie w krzesło.

— Hrabia powinienś użyć całego wpływu swego, aby tej posady nie dostał, odezwał się ksiądz Hieronim.

— Postaramy się o to. W senacie jest dużo naszych, trzeba ich będzie przestrzedz i zwrócić uwagę na szkodliwość tego człowieka, a gdyby mimo to przeszedł, to w ministeryum nie przejdzie. W tych dniach będę w Wiedniu, pogadam o tem z ministrem.

Na tem zakończyła się ogólna rozmowa; potem gdy towarzystwo przeszło do salonu, rozbiła się na pojedyncze kółka. Hrabia Medard z księdzem Hieronimem usunęli się pod okno i zniżonym głosem prowadzili narady; Jadwiga usiadła do robotki, a Niunio uważał za obowiązek bawić ją rozmową. Władysław siadł przy fortepianie i grał po cichu jakąś dumkę, delikatne piano przechodziło prawie w niewyraźny szmer, który stał się tłem pomieszanych rozmów w salonie. Hrabina została na kanapie i słuchała dalej objaśnień księdza Gabryela względem stowarzyszenia apostolskiego i wezwała do słuchania także syna, gdyż według planu Gabryela, on miał być sekretarzem tego stowarzyszenia a więc jako taki powinien być obznajmiony ze wszystkim. Artur słuchał z uwagą i powagą słów księdza. Wkrótce przyłączył się także do tego kółka Niunio; dowiedziawszy się bowiem podczas rozmowy z Jadwigą, że hrabia Medard nie jest wujem jej ani Władysława choć go tak nazywali, ale tylko opiekunem, za stratę czasu dłuższą z nią, rozmowę uważał pod jakimś błachym pozorem przeniósł się ku kanapie, gdzie usiłował wplątać się w rozmowę. Artur skorzystał z tego i gdy Niunio począł jakąś długą historję nudno opowiadać, usunął się na bok i poszedł do fortepianu.

— Ależ tu djabelnie nudno, rzekł po cichu nachylając się do Władysława, ołowiana atmosfera panuje w tym salonie, zdaje mi się, że się duszę, tak tu trudno oddychać. Wiesz co, chodźmy do pani Izy.

— O tej godzinie?

— A któraż? dopiero jedenasta. Wszak wiesz że u niej teraz dopiero życie się zaczyna. Odświeżymy się tam trochę.

— Może hrabia weźmie nam za złe taką rejteradę z salonu.

— Ależ ojciec zagadał się z księdzem Hieronimem, ani uważać nie będzie. Ja wyjdę pierwszy niepostrzeżenie, żeby nie deranżować towarzystwa i zapowiem pani Izie twoje przyjście, dobrze?

Władysław skinął głową potakująco. W parę minut potem hrabiego Artura już nie było w salonie. Jadwiga jedna zauważyła jego nieobecność; postrzegła również, że i brat jej zabiera się do wyjścia; wstała i zbliżyła się ku niemu.

— Czy wychodzisz? spytała patrząc mu badawczo w oczy.

— Tak. Czy miałaś mi co do powiedzenia?

— Chciałam ci przypomnieć, że jutro rocznica śmierci naszej matki. Możeby dobrze było, żebyś

dziś już całkiem nie wychodził.

Władysław spuścił oczy przed wzrokiem siostry i rzekł po cichu:

— Więc zostanę.

II.

Drugiego dnia rano przed pałacem hrabiego Medarda czekał powóz. Do powozu tego wsiadła stara hrabina, Jadwiga i Władysław i udali się na żałobne nabożeństwo do katedralnego kościoła. Hrabina, daleka krewna matki Jadwigi i Władysława, uważała sobie za obowiązek sumienia być na tem nabożeństwie i żadnego roku nie opuszczała tej sposobności: w rzeczach religii bowiem była niesłychanie skrupulatną i sumienną i nie tyle może jej szło w tym razie o okazanie sierotom życzliwości dla ich matki, jak raczej o wypełnienie przepisów kościoła, który nakazuje modlić się za zmarłych. Mimo to Jadwiga czuła dla niej wielką wdzięczność a nawet miłość, za tę pamięć o jej matce i odwzajemniała ją prawie dzieciinną troskliwością o starą hrabinę i posłuszeństwem bez granic.

Po mszy świętej hrabinę odwieziono do ojców Jezuitów, gdzie miała odbyć spowiedź i gdzie za godzinę po siebie przyjechać kazała, a Władysław i Jadwiga pojechali na cmentarz odwiedzić grób matki. Nie miała ona osobnego grobu; ale spoczywała w rodzinnym grobie hrabstwa Medardów, który znajdował się po prawej stronie bramy wchodowej na głównej ścieżce. Gdy na tę ścieżkę weszły sieroty podążając do grobu, jakiś człowiek który właśnie stał koło tego grobu, spłoszony ich krokami usunął się spiesznie na bok i znikł po za krzakami bzu, któremi droga gęsto była obsadzona. Jadwiga spostrzegła tego człowieka i chcąc mu się lepiej przypatrzeć posłała za nim badawczy wzrok ku zaroślom, co ją o mało nie przyprawiło o upadek; gdyż zapatrzona szła nieuważnie i potknęła się o róg jakiegoś pomnika. Byłaby upadła, gdyby Władysław jej nie powstrzymał.

— Za czem tak patrzysz, spytał Władysław, widząc wzrok siostry zwrócony wciąż w jedną stronę z natężeniem.

Zarumieniła się silnie na to pytanie i rzekła pomieszana.

— Nic, nic, zdawało mi się, że....

— Że co?

— Że widziałam jakąś znajomą twarz.

— W takim małym mieście, jak nasze, nie byłoby to nic dziwnego.

Jadwiga spuściła głowę ku ziemi i nic nie odpowiedziała na tę uwagę brata; gdy stanęli przed grobowcem matki zbudowanym w kształcie kaplicy, ze zdziwieniem spostrzegli na kracie zawieszony wieniec z bluszczów skalnych. Widocznie był niedawno zawieszony, bo jeszcze znać było pył starty z kraty żelaznej i listki wieńca były świeżutkie.

— Kto to mógł zawiesić, odezwał się Władysław do siostry, może pomyłka jaka.

— W to trudno uwierzyć.

— Więc któż mógł to zrobić, hrabina nie, a zresztą któż pamiętać mógłby tak o naszej matce, tyle lat już jak umarła.

— Może.... tu urwała nagle, jakby nieśmiejąc wypowiedzieć do dna swego przypuszczenia i obejrzała się w stronę, w którą oddalił się przed chwilą ów człowiek, którego spostrzegli wchodząc na cmentarz.

— O kim myślisz? spytał Władysław.

— Tu wysiadę, rzekł do siostry, i pójdę prosto do domu.

W tej chwili jakiś elegancki powóz przejechał tuż koło powozu, z którego wysiadał Władysław. Jakaś dama w zielonej sukni, czarnem koronkowym okryciu ujrzawszy go skinęła mu głową. Władysław zarumienił się i chwycił za kapelusz. Dama odwróciła się ku niemu i jeszcze raz przesłała mu ukłon.

— Kto to była ta dama? spytała Jadwiga brata podającego jej rękę na pożegnanie.

— To baronowa de Kalkbrüssel.

— A! to ona, rzekła Jadwiga pogardliwie i z lekceważeniem.

Władysław bał się widocznie dalszych pytań i wzroku siostry, bo pożegnał ją prędko i poszedł w miasto. Przechodząc główną ulicą zobaczył powóz baronowej stojący przed magazynem mód. Wahał się i namyślał, czy przejść czy wrócić się by uniknąć spotkania, gdy w tem baronowa wyszła ze sklepu i stawiając już nóżkę na stopień spostrzegła go. Cofnąć się byłoby już niepodobna, baronowa zatrzymała się nieruchomo w pozycji i czekała widocznie na niego. Zbliżył się więc i podał jej rękę na powitanie.

— Co się z panem dzieje? spytała, a oczy jej zalotne i płomienne dopowiadały mu za jej usta, jak tęskno jej było, że go tak dawno nie widziała, jak pragnęła by go widzieć.

— Tydzień cały nie widziałam pana, sądziłam żeś pan wyjechał gdzieś na koniec świata.

— Byłem zajęty.

— Słyszałam o tem, Artur mówił mi także o powodzeniu pańskim; ucieszyłam się tem bardzo, wierz mi pan.

Władysław zażenowany uklonił się, a potem uścisnął podaną mu z serdecznością rękę.

— Ale mimo zajęcia, można było kilka chwil darować dobrym znajomym, tylko chęci nie było. Czy nie tak?

Władysław obciął się tłómaczyć, przerwała mu i rzekła:

— Dajmy pokój tłómaczeniom, lepiej popraw się pan na przyszłość. Jutro u mnie obiad, czy mówił panu o tem Artur?

— Mówił.

— I będziesz pan?

— Będę.

— Och to dobrze. Cieszę się z pańskiej wizyty.

Podawała mu znowu rękę, uścisnęła lekko i oblała płomiennem spojrzeniem, aż mu się gorąco zrobiło. Z powozu spojrzała jeszcze na niego i ustami i oczami powiedziała:

— Do widzenia.

— Gdzie mam jechać proszę jasnej pani? spytał woźnica.

— Do domu.

Rzuciła się niedbale na poduszki powozu i zasłoniwszy się parasolką, której różowa podszewka rumieniła ciepłym blaskiem jej twarz, dumiała z przymróżonemi oczami. Była to kobieta nie pierwszej młodości, mogła mieć około lat trzydziestu, mimo to była nie tylko piękną ale powabną i ponętą nadzwyczaj. Piękność jej miała coś wschodniego w sobie, choć brunetka płeć miała białą, delikatną, jak kobiety chowane w cieniach haremów, strzegące wdzięków swoich przed wpływem gorącego słońca. Ta białość, potęgowana blaskiem dużych, czarnych, płomienistych oczów przesłoniętych, jakby mgłą jaką tajemniczą, nadawała rysom jej miękość i bezsilność, podczas gdy spojrzenie zdradzało, że pod tą delikatną powłoką drży dusza namiętna i ruchliwa. Ten kontrast nadawał demoniczną siłę jej piękności, którą wywierała niesłychany urok. Dzieckiem jeszcze będąc wzbudzała podziw i zwracała oczy wszystkich w kąpielach zagranicznych, gdzie jej rodzice prowadzili życie wystawne i zbytkowne. Matka jej była to kobieta światowa w całym tego słowa znaczeniu, wykształcona, powabna, wesoła, w salonach jej gromadził się dobór towarzystwa, najdystyngowańsze figury wielkiego świata i to z naj-rozmaitszych stolic, gdyż baronostwo w całej Europie czuli się jak w domu. Podróż była dla nich życiem, a życie podróżą. Baronowa dogadzała takim życiem swoim zachceniom damy wielkiego świata, a baron namiętności do gry. Młodziutka

jeszcze wtedy Izabelka wcześniej nauczyła się żyć w tej świetnej i błyszczącej atmosferze salonowej, chowana i kształcona na cacko salonowe przez bony, guwernantki i metrów po wszystkich stolicach Europy. Matka w chwilach wolnych od recepcji, balów, koncertów, marzyła o świetnej przyszłości swojej Belli. Ale wystawne i zbyt kosztowne życie, a bardziej jeszcze gra barona wcześniej połączyły ich fortunę, zanim ziściły się te marzenia i zrujnowani baronostwo musieli pożegnać się z uciechami wielkiego świata i na lichej wioszczyźnie w Sandeckim odprawiać rekolekcje za swoje marnotrawstwo. Guwernantka z małego miasteczka dokończyła edukacji Belci, rozpoczętej tak świetnie. Niezadługo i z tego stanowiska zepchnął ich los staczając coraz bardziej ku ruinie po stromej pochyłości. Wioszczynę zabrali wierzyciele; baron skończył życie w szpitalu obłąkanych, a baronowa z córką przeniosły się do proprowincjonalnego miasteczka, gdzie żyć musiały ze skromnych funduszy, jakich dostarczała litość dalekich krewnych. Bella miała wtedy już lat szesnaście. Młodzież miejska i okoliczna młoda szlachta szalała za nią; kilku oświadczało się o jej rękę, ale dumna baronówna nie chciała swego ubóstwa zamienić na byle jakie stanowisko, w pamięci jej stały żywo świetne salony rodziców, marzyła o nich ciągle, a matka rozdmuchiwała w niej te nadzieje wspomnieniami tych czasów. Nie wątpiła, że skoro by jej Belcia pokazać się mogła na wielkim świecie, zrobiłaby świetną karierę; przypominała jej, jak król grecki widząc ją małą dziewczynką w Ems, powiedział: „ta dziewczynka gdy wyrośnie piękną swoją tron sobie kupi.”

Takimi nadziejami ozłacała ubóstwo swoje i karmiła siebie i córkę, a do krewnych wysyłała błagalne listy, o większą zapomogę, by mogły wyjechać za granicę.

Ale krewni milczeniem zbywali nierozsądne prośby i marzenia baronowej i jej córki coraz bardziej traciły nadzieję urzeczywistnienia się.

W tym czasie wrócił z zagranicy syn zamożnego obywatela, którego wioska dotykała prawie do rogatek miasteczka, gdzie mieszkała baronowa. Młody, przystojny, pełen taktu a przy tym uprzejmości, stał się od razu bożyszczem okolicy a panny prowincjonalne mówiły o nim z uwielbieniem i na św. Jędrzeja imię jego, a było mu na imię Józef, pod każdą panięńską leżało poduszką wypisane na karteczce. Młoda baronówna widywała go w kościele, czasami spotykała go podczas przechadzki w parku, który ojciec jego dla publicznego użytku mieszkańców miasteczka zostawiał otworem w święta i niedziele, i nieraz spojrzenia ich krzyżowały się ze sobą. Mimo to trzymała się sztywnie i zdaleka i gdy raz zbliżył się do niej, aby oddać zgubioną przez nią w parku batystową chusteczkę i przy tej sposobności przedstawił się i prosił o pozwolenie złożenia wizyty, matka odpowiedziała mu sucho, że nikogo nie przyjmują, a zachowanie się córki podczas tej odpowiedzi zdawało się potakiwać słowom matki. Józef wytłómaczył sobie tę zimną dumę ubóstwem baronowej, które wstydziło się oczów ludzkich i nie tylko nie pogniwał się o to, ale czuł jeszcze większy szacunek dla matki, a miłość dla córki. Miłość ta była nie namiętna, nie gorączkowa; ale trwała i silna i Józef postanowił oświadczyć się. Czekał tylko na posadę inżyniera kolejowego, o którą się podał wróciwszy do kraju z Paryża. Nominacja miała przyjść lada dzień, ale wprzód nim nominacja, nadeszła z Brodów wiadomość o śmierci dziadka Józefa, (był to ojciec matki Józefa zmarłej przed kilkoma laty) wielkiego sknery, który milionowy swój majątek przekazał w testamencie wnukowi. Ta wiadomość przyspieszyła decyzję zakochanego, poprzedzony już wieścią o milionowym spadku zjawił się u baronowej i oświadczył o rękę córki. Matka i córka po poprzedniej już naradzie zrezygnowały ze świetnych a niepewnych partyi za granicą i Bella zdecydowała się zostać żoną Józefa Milutyńskiego. Pierwsze chwile ich małżeństwa wróżyły dobrą przyszłość, bo lubo Izabella poszła za męża nie z przywiązania tylko dla interesu; jednak miłość męża, pełnego zacności i charakteru, zdołała wzbudzić w niej jeżeli nie silne przywiązanie, to wielki szacunek. Ale po roku pożycia, skoro wyjechała za granicę i matka powiązawszy na nowo dawne stosunki,

wprowadziła ją w świat, pożycie małżonków zmieniło się bardzo. Dawne instynkta, uśpione przez czas i ubóstwo, obudziły się i porwały młodą kobietę w wir szalonych zabaw i uciech, chwały i uwielbienia jakimi ją otaczano, zawróciły jej głowę, a mąż co dzień stawał się dla niej większym ciężarem; nazwisko jego wstydziło ją, obecność jego zawadzała jej; ale musiała go znosić, udawać nawet przywiązanie, bo mąż był jej kasyerem, a ona potrzebowała wiele, wydawała bardzo wiele. Parę razy zwrócił jej na to uwagę; objaśnił ją, że jeżeli nie zastosuje wydatku do procentów, będą co rok naruszać kapitały a z czasem nie będą mieli nic. Na podobne uwagi męża lekkomyślna i kapryśna Izabella odpowiadała zwykle wymówkami, że jej nie kocha, że się zrobił sknerą, że mieszczańskie instynkta do rachunku i miary budzą się w nim, że jego postępowanie dziwne kompromituje ją w oczach świata i tysiączne inne zarzuty i skargi sypały się na głowę biednego męża, który słuchał ich z łagodnością i spokojem i w końcu ustępował żonie, jak zepsutemu i rozkapryszonemu dziecku, bo ją kochał, ho w jej zachceniach błyszenia, bawienia się nie widział nic złego, oprócz próżności i lekkości. I w istocie pomimo to, że roje złotej młodzieży otaczały ją, że jej kadzono, pochlebiano, wielbiono ją, że każdy jak mógł ubiegał się o jej względy, ona nie zajęła się nikim wyjątkowo, była dla wszystkich jednakowo uprzejma a niedostępna. Obejście się jej z młodymi było tego rodzaju, że każdy w duszy żywił tajemne nadzieję, że on jeden będzie mógł być szczęśliwym i każdy poprzestać musiał na tej nadziei.

Ale w gronie otaczającym ją zjawił się jednego roku w Paryżu hrabia Artur. Poprzedziła go pogłoska o jego urodzie i donjuanizmie. Izabella była niecierpliwa poznać go, podbić go jak tylu innych, a potem upokorzyć jego zarozumiałość obojętnością. Ale hrabia Artur nie spieszył się wcale z przedstawieniem się jej, choć na kilku wieczorach zeszli się po kilka razy. Zdawał się nawet wcale nie zważać na nią, a gdy raz jeden z jego znajomych gwałtem go ciągnął i chciał przedstawić, odrzekł z lekceważeniem i o tyle głośno, że Izabella słyszeć mogła: „ja się parweniuszom nie mam zwyczaju przedstawiać.”

Te słowa ubodły ją i drasnęły niesłuchanie jej dumę i zniechęciła odtąd — sądzą, że Artura nie, męża; jemu przypisywała upokorzenie, jakiego doznała i więzy małżeńskie coraz bardziej jej brzydły. Zła i smutna wyjechała z Paryża i wróciła na wieś, tu się schroniła, bo wstyd jej było pokazywać się w wielkim świecie z nazwiskiem męża i z nim samym. Wyszło to na dobre tak dla męża jak i dla córki Kornelki, która już wtedy liczyła rok jedenasty. Matka z nudów zajęła się jej wychowaniem i obowiązkami skracala sobie ciężkie chwile samotności. Ale po roku wyjechała znowu do Paryża, powód sam się nadarzył, wzywała ją tam matka chora, która stale teraz mieszkała w Paryżu. Iza przyjechała bez męża, z córką tylko. Przypadek zrządził, że w Strasburgu spotkała się z hrabią Arturem, jechał z nią aż do Paryża tym samym pociągiem. W drodze zawiązała się między nimi znajomość. Hrabia raczył przypomnieć sobie, że ją zeszłego roku gdzieś widział w towarzystwie, ale nie miał sposobności jak mówił, przedstawić się jej. Był przez cały czas uprzejmy, ale obojętny. Iza zwykle taka pewna siebie w obec mężczyzn, względem hrabiego była dziwnie nieśmiałą, potulną, krępowaną; zdeptana raz dumą jego nie miała odwagi być z nim swobodną, imponował jej swoją arrogancją i chłodem. W Paryżu parę razy zeszli się w towarzystwie, raz nawet odwiedził ją w domu jej matki. Ten drobny dowód grzeczności uszczęśliwił ją nadzwyczaj. Ona, co była przyzwyczajona do hołdów i tryumfów, przeceniała każdy najmniejszy objaw życzliwości z jego strony; tak dziwny wpływ wywierał na nią ten człowiek. Choroba matki przedłużyła jej pobyt w Paryżu i zarazem utrwaliła znajomość z hrabią. Parę razy w tym czasie wyjeżdżał on do Anglii; mówiono, że jakiś romans go tam ciągnął. Izabelli pogłoska ta sprawiła wielką przykrość; dałaby była wiele za to, by ktoś mógł ją być przekonać, że to bajka. Kiedy ostatni raz wrócił hrabia z Londynu, Iza zauważyła, że był więcej zamyślony i zachmurzony, ale zarazem z

radością spostrzegła, że częściej szukał jej towarzystwa. Tymczasem choroba matki przybierała coraz groźniejszą postać, doktorzy nie robili przed córką sekretu i oświadczyli, że choroba jest niewyleczalną, że śmierć chorej jest kwestyą kilku dni zaledwie, cierpiała bowiem na raka. I rzeczywiście chora szybkim krokiem zbliżała się do śmierci. Iza chciała telegrafować po męża, ale hrabia odradził jej to.

— Obejdziemy się tu bez niego, rzekł z dumą, i nie pytając jej o pozwolenie potargał napisany już telegram.

Usłuchała go i tem samem oddała się pod jego opiekę. Trzeba przyznać, że jak na człowieka lubiącego tylko bawić się i używać życia, hrabia podziwienia godną troskliwością spełniał obowiązki opiekuna. Był w ostatnich chwilach konania przy chorej i dodawał odwagi strapionej córce; sam zajął się pogrzebem, a w kilka dni po pogrzebie ofiarował się odprowadzić Izabellę do Wrocławia. Przez cały czas zachował się względem niej z wielkiem uszanowaniem i delikatnością, był nadzwyczaj dbałym, troskliwym i usłużnym, w niczem nie przypominał jej, że to ten sam człowiek, który się z takim lekceważeniem niegdyś o niej wyraził. Raz tylko gdy coś wspomniała o mężu, hrabia zrobił ustami ruch pogardliwy i rzekł jakby do siebie:

— Szkoda takiej jak pani kobiety na żonę tego człowieka. On nie wart pani.

Uwaga ta zarumieniła Izę, wstyd i zadowolenie złożyły się na wywołanie tego rumieńca.

Kiedy się z nią zegnał hrabia w Wrocławiu, rzekł podając jej rękę:

— Czy pani nie będziesz tej zimy w Warszawie?

Zrozumiała pytanie. Był w nim rozkaz, a może prośba tylko, nie mogła jej nie usłuchać i odrzekła bez namysłu: będę.

— W takim razie nie zegram się z panią; tylko do widzenia.

— Pan wracasz do Paryża? spytała go po chwili.

— Tak.

— A potem do Anglii? dodała nie patrząc mu w oczy.

— Nie, do Anglii już nie pojedę, odrzekł z naciskiem.

Z tem się rozstali.

Na zimę hrabia pojawił się w Warszawie, zastał tam już Izabellę, która zdołała namówić męża do przepędzenia w tem mieście zimy. Hrabia nie kontent był z obecności męża; ale umiał sobie wytłómaczyć, że nie mogło być inaczej i ulegając konieczności, pomimo wstrętu jaki czuł do niego, zgodził się na zawiązanie z nim bliższej znajomości, bo tym tylko sposobem mógł zbliżyć się do Belli i widywać ją. Korzystał z tej sposobności i widywał się z nią tak często, że to zwróciło uwagę wszystkich i wywołało różne komentarze. Hrabia Artur uchodził w oczach ludzkich za kochanka hrabiny. Niewiadomo czy jaki usłużny anonim zwrócił uwagę męża na ten stosunek, czy też on sam coś zmiarkował, dość że jednego dnia oświadczył żonie stanowczo, że interesa majątkowe wymagają jego obecności w domu i że za kilka dni będą. musieli opuścić Warszawę. Izę wiadomość ta zmieszała bardzo, ale nie sprzeciwiała się wyjazdowi. Dzień podróży był naznaczony na poniedziałek, tymczasem na dwa dni przedtem Iza zniknęła z domu uwożąc z sobą córkę. List, który zostawiła na biurku, objaśnił męża o wszystkim. Tłómaczyła się w nim, że wyjeżdża nie mogąc dłużej grać przed nim komedyi przywiązania, którego nie czuje, że żałuje chwili, w której zdecydowała się na mezalians i zawiązała sobie los, zechce odtąd żyć niezależnie i nic nie skłoni ją do powrotu. O hrabi Arturze nie było w liście ani słowa, jednak mąż domyślił się, że to jedna jedyna przyczyna istotna była, która skłoniła Izę do tak nierozważnego kroku. Więcej się litował nad nią, niż oburzał i zamiast złorzeczyć jej powiedział sobie ze smutkiem: biedna kobieta.

O własne szczęście mu nie chodziło, on je stracił już dawniej, postępowanie żony od dawna już

było tego rodzaju, że człowiek taki rozsądny i prawy nie mógł się łudzić, że może z nią być szczęśliwy. Ucieczka jej była tylko otwartym wypowiedzeniem tego, co już dawno przeczuwał. Żał mu tylko było córki, do której przywiązał się bardzo. Smutny i pognębiony opuścił Warszawę, wrócił do siebie na wieś i ztąd rozpoczął prawne kroki względem separacji. Po długich korowodach uzyskał ją; konsystorz i sąd pozwolili na rozłączenie z warunkiem, aby Milutyński wypłacał żonie roczną pensję na utrzymanie jej i córki, która według prawa pozostawała przy matce. Iza ze swojej strony oświadczyła mężowi przez adwokata, że zrzeka się "zupełnie jego nazwiska i pisać się będzie odtąd Baronową de Kalkbrüssel. Milutyński chciał zmienić o tyle ten układ aby mógł zabrać córkę do siebie i zająć się jej wychowaniem; ale baronowa nie przystała na to, a że prawo było po jej stronie, więc Milutyński i na tym punkcie ustąpić musiał.

Więść o rozłączeniu się baronowej z mężem i ucieczce jej z hrabią Arturem, narobiła niemało hałasu w wielkim świecie, gadano o tem czas jakiś i komentowano w najrozmaitszy sposób. Jedni potępiali ją, drudzy zwalali całą winę na męża, którego nazywano tyranem, parweniuszem, odludkiem etc. W końcu jednak, gdy kwestyę tę obrobiono na wszystkie boki, przestano o niej mówić, a po jakimś czasie zapomniano o tem zupełnie, a kiedy po roku baronowa zdobyła się na odwagę wrócić do kraju, śmiałość ta nikogo nie gorszyła i mało kogo obchodziła. Nie przyjmowano jej wprawdzie nigdzie w towarzystwach; ale i nie oburzano się na nią, wyjąwszy może hrabiego Medarda, którego stosunek syna z baronową irytował i martwił. Stary hrabia radby był syna ożenić, miał dla niego kilka świetnych partyi, chciał mu wyrobić odpowiednie jego zdolnościom i urodzeniu stanowisko w kraju; ale Artur zaplątany w stosunek z baronową, nie myślał wcale ziścić zamiarów ojca i głuchym był na wszelkie jego perswazyj. Ile razy hrabia Medard robił mu uwagę, że czas by już było ożenić się, że stosunki ich majątkowe wymagają tego, aby przez ożeniecie zapewnił sobie byt świetny, odpowiadał zawsze:

— Na to jeszcze czas, mój ojczu. Zakochać się j już nie zakocham, bom na to już zarozumny, a żeby upolować sobie między naszymi salonowemi antykami żonę z posagiem, na to jeszcze dosyć czasu.

Hrabia Medard wiedział dobrze jaki był istotny powód tej niechęci syna do małżeństwa, jaka Kapua zrobiła go zniewieściałym i leniwym, jednak przez takt nie wspomniał nigdy o tem, nie dał niczem poznać, że wie o stosunku Artura z baronową; ignorował całkiem ten stosunek i po. mijał go pogardliwym milczeniem. Niemniej jednak, jak wiemy, myślał nad tem, jakby syna wyrwać z tej Kapuy i zachęcić do czynnego życia. Artur bowiem zaniedbał się kompletnie nie tylko w pracy, ale nawet w stosunkach z ludźmi, mało gdzie widywano go w towarzystwie, bo całe dnie i wieczory spędzał u baronowej.

Czy ją tak kochał? Wątpić należy, za trzeźwy był na to i zanadto żył, aby uczucia miłości dochował w takiej sile; ale przyzwyczał się do tego stosunku, stał się on jego potrzebą. Było mu z tem wygodnie i dobrze. Baronowa utrzymująca się z funduszków, jakie pobierała od męża, nie ciążyła wcale na budżecie Artura, była wcale niekosztowną kochanką. Pożycie z nią, dawało mu, wszystkie przyjemności małżeństwa bez obowiązków i kłopotów. A przytem miłość baronowej schlebiała jego próżności, zadawałniało go, że kobieta powabna, piękna, o której względy starało się tylu młodych, za którą tylu szaleje, że ta kobieta należy do niego, że wśród grona otaczającego ją on jeden może powiedzieć jej: moja. Każdy nowy adorator zjawiający się w domu Izabelli działał jak kantaryda na zdenerwowaną i zużytą naturę Artura, rozdrażniał go i wzbudzał choć na chwilę żywsze objawy miłości (brak mi na to innego wyrazu), dla kochanki. Baronowa przyjmowała te fajerwerkowe wybuchy uczucia Artura bez uniesień i z pobłażliwym uśmiechem; znała bowiem ich wartość i trwałość. Przez te kilka lat pożycia niepodobna, aby nieprzejrzała była do dna moralną wartość

człowieka, któremu się tak nierozważnie oddała i — nie rozczarowała. Dopóki stał przed nią zamaskowany i opancerzony dumą i spokojem, wyobrażała sobie w nim niezwyčajnego człowieka i jak widzieliśmy niewolniczo go ubóstwiała, ale skoro miała sposobność widywania go ciągle bez tej zbroi, zobaczyła z boleścią, że duma kryła duszę wyschłą, samolubną, zużytą, że to co się jej wydawało siłą ducha, było tylko zimną taktyką, że za gentelmanem chował się cynik. Takie odkrycie musiało okropnie robić wrażenie, zwłaszcza, gdy pomyślała za jaką cenę pozyskała sobie tego człowieka; z każdym dniem rosła jej niechęć do niego, miejsce miłości gwałtownej zajęła nuda i żal; a jednak zerwać nie mogła tego węzła, co ją z nim złączył, by nie upaść zupełnie w opinii ludzi. Dotąd bowiem tłómaczyła ją miłość, zapomnienie się dla niego; ale gdyby z nim zerwała, świat uważałby ten stosunek za przemijającą namiętność, która ustępuje miejsca innej i nazwałby ją tylko kokietką. Ta obawa zmuszała ją wytrwać i utrzymywać się w tem fałszywym położeniu, w jakie się nierozważnie rzuciła i iść dalej tą drogą. Dla rozerwania się i zapomnienia oddawała się życiu gwarnemu, zabawom i wesołości. W salonie jej zgromadzała się znaczna liczba młodych ludzi, którzy przesadzali się z wymysłami coraz to nowych rozrywek; stanowili oni rodzaj dworu Izabelli i wesołe, swobodne jej towarzystwo, przekładali nad nudne i sztywne recepcye w innych salonach.

W grono tej młodzieży wszedł także od niejakiego czasu Władysław; wprowadził go tam Artur. Młodziutki, delikatny, wiecznie rumieniący się, niewinny jak panienka, a przytem utalentowany i dowcipny, wnet stanął Władysław w małej liczbie najwybrańszych ulubieńców baronowej; wyszczególniała go swemi względami, psuła nawet swoją dobrocią i pobłażliwością. A jednak mimo to nie była jeszcze dla niego taką, jaką by być pragnęła, nieodślaniała się przed nim ze wszystkimi uczuciami, jakie żywiła dla niego w głębi duszy. Czuła całą niestosowność tego uczucia, wstyd jej było przyznać się do tego przed sobą samą, a jednak nie mogła pokonać i zgnieść siłą woli, skłonności wzmagającej się z każdym dniem i biorącej górę nad nią. Im więcej nużyła ją obecność Artura, im bardziej dusza jej schła w męczącym z nim pożyciu; tym bardziej wzmagало się w niej pragnienie ożywczej miłości. Władysława serce nieskalane, świeże, przedstawiało się jakby przezyste źródło górskie, przy którym zdawało się jej, że mogłaby orzeźwić się i odrodzić; serce spieczone gorączkowem życiem pragnęło tu ochłodzić się i pokrzepić. W chwilach ulatującej młodości, kobiety mają często takie pragnienia. Izabella jednak umiała zapanować o tyle nad skłonnością swoją, że nikt z otaczających, nawet Artur, nie spostrzegłi tego. Jeden tylko Władysław mógł domyśleć się tego, bo w rozmowie z nim zdradzała nieraz dość wyraźnie swoje tajemnice; ale zbyt był nieśmiały, zbyt niedoświadczony, aby umiał korzystać z uczucia, jakie obudził; był może więcej zażenowany, niż uszczęśliwiony względami baronowej i pobyt u niej sprawiał młodej jego duszy więcej niepokoju, niż radości. To też czasem po kilka dni tam nie bywał, bał się tam iść i nie pierwszy to raz zdarzało się, że baronowa przypominać mu się potrzebowała i zapraszać do siebie oficjalnie, jak to i dziś miało miejsce. Spotkanie się z Władysławem nadzwyczaj ją ucieszyło, była teraz pewną, że przyjdzie jutro i myślała z radością o tem, że go zobaczy. Pod tem błogiem wrażeniem zajęchała do domu. Niemile uderzyło ją wiszące w przedpokoju okrycie mężkie.

— Kto jest u mnie? spytała służącego.

— Pan hrabia.

Bella przygryzła usta niezadowolniona i zachmurzyła się nieco. Obecność hrabiego w tej chwili zawadzała jej marzeniom. Weszła do salonu nadąsana trochę i zaledwie skinęła głową Arturowi leżącemu w wygodnej pozie na kanapie z cygarem w ustach.

— A! jesteś przecie, rzekł podnosząc się nieco, od godziny czekam na ciebie; przeliczyłem już wszystkie kwiatki na suficie.

— Czy miałeś do mnie jaki interes? — Interesu nie miałem żadnego; ale stęskniłem się za tobą.

Roześmiała się ironicznie.

— Nie wierzysz? Jak honor kocham tak wszędzie się nudzę w naszych towarzystwach; tu zaś u ciebie, z tobą czas mi najlepiej schodzi; tak mi tu jakoś dobrze. Zaczarowałaś mnie moja pani. Tak, tak.

Wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie.

— Cóż dzisiaj moja pani tak niehumorna?

— Czy dziś dopiero to zauważyłeś? spytała cierpko.

— To prawda, że od jakiegoś czasu dziwnie się zmieniałaś, straciłaś dawną żywość, wesołość, jesteś nieraz kwaśna.

— Mam bardzo wiele powodów weselić się, rzekła, a słowom tym towarzyszył gorzki uśmiech.

— Nie widzę powodu, dla którego byś się smucić miała; wszak jestem dla ciebie z tem samym przywiązaniem co dawniej; wiesz, że dla ciebie odrzuciłem świetne partye, w Które mnie ojciec gwałtem chciał ubrać, prowadzę się jak najprzykładniejszy mąż i czegoś jeszcze więcej możesz wymagać.

— Nie wiem, nie wiem, rzekła gwałtownie i wyrwawszy się z jego objęć poczęła żywo chodzić po pokoju, szamotana niespokojnymi myślami, nie wiem, co mi jest; ale wiem, że mi jest źle. Pożycia moja upokarza mnie i wstydzi, w oczach wszystkich czuję pogardę, lekceważenie, te milczące, a tak wymowne spojrzenia irytują mnie i dręczą. Żyć tak samotnie, czuć się wyrzutkiem, wiedzieć, że salony, które są dla ciebie otworem, dla mnie mają zamknięte drzwi, że ci, co są pobłażliwi dla ciebie, mnie potępiają, o! to jest okropne.

— Więc o to ci idzie. Moja droga nie masz czego żałować, że ci niewolno nudzić się w naszych salonach lub bawić się plotkami i komerażami. Wszak widzisz sama z jaką ochotą młodzież nasza dezertuje z tych salonów i szuka zabawy u ciebie; panie nasze potępiają cię, bo ci zazdroszczą; byłyby pobłażliwsze, zaręczam ci, gdyby widziały cię opuszczoną, zanedbaną, zapomnianą. Ale dziś ty im dyktujesz mody, pogłoski o zabawach u ciebie irytują je i dla tego nienawidzą cię. A jednak każdy szczegół tyczący się ciebie chciwie chwytają, każdy twój dowcip lub żart powtarzają po wszystkich salonach, czy ci to nie wystarcza? Jesteś otoczona artystami, poetami, nawet ludźmi uczonymi, złotą młodzieżą, która stanowi przy tobie jakby straż przyboczną, słowemnowi dwór jakiegoby ci niejedna księżna niemiecka zazdrościła i jeszcześ niekontenta. A wreszcie masz mnie, który ci służę wiernie jak biblijny Jakób i czegoś więcej chcesz jeszcze?

— Chcę imienia uczciwej kobiety, a tego mi dać nie możesz.

— Ha moja droga, to już trudno, rzekł powoli i chłodno. Jęknęła boleśnie i zakryła twarz rękami.

— Trudno, skończył, zmienić w tym względzie przesady ludzkie. Wszak wiedziałaś o tem, co cię czeka. Opinią potępia nas nie od dzisiaj, a jednak nie miałaś dawniej tych skrupułów.

— Za granicą żyliśmy nieznani.

— To prawda; ale wiedziałaś, że było niepodobieństwo zostać dłużej. Twoje fundusze nie wystarczały dla nas obojga, a ojciec życzył sobie koniecznie mego powrotu do kraju, nie chcąc ci być ciężarem musiałem się na to zgodzić. Pod tym względem tu nam lepiej i kredyt łatwiejszy i życie tańsze.

— I opinia surowsza.

— Opinia, opinia, rozśmiał się cynicznie, szydersko, cóż jest ostatecznie ta opinia, gadanina ludzi, na których nam nic nie zależy. Lekceważenie, to najskuteczniejszy środek na zniszczenie jej; wierz mi. Izabella nic się już nie odezwała; siedziała przy stoliku, podparłszy rękami głowę i zdawała się niesłuchać mówiącego; a jednak słyszała go dobrze, szczególnie ostatnia definicya opinii, którą wypowiedział Artur, utkwiała jej w głowie. „Opinia to gadanina kilku ludzi.” Łatwo

byłoby jej może nieuważać na tych kilkoro, gdyby nie to, że między nimi znajdował się Władysław. Jego sąd był dla niej opinią i tego tylko sądu się bała i dałaby wiele za to, by wiedzieć czy ten sąd potępiał ją, czy usprawiedliwiał. Badając Artura mogłaby była dowiedzieć się co nieco; ale nie odważyła się zapytać go o to, bo bała się zdradzić przed nim tajemnicę serca. Dla tego nie przeciągała już dalej tej rozmowy i siedziała czas jakiś w milczeniu. Nagle zerwała się i spojrzawszy na zegarek zabrała się do wyjścia.

— Jako wychodzisz? spytał Artur nie przygotowany na to wyjście.

— Jadę.

— Czy można ci towarzyszyć?

— Nie, jadę do klasztoru po Kornelkę.

— A!

— Skończyła już tam nauki. Ksieni wezwała mnie, bym ją, odebrała, bo pensjonat od jutra zamknięty będzie.

— Więc Kornelka będzie w domu.

— Za nic w świecie. Nie powinna, nie może bawić tutaj przy mnie, chcę wychować ją lepiej, niż mnie chowano.

— I cóż z nią zrobisz?

— Za kilka dni odwiozę ją do Drezna do instytutu.

— Wieleż lat mieć może ta mała?

Pytanie to zarumieniło Izę, zawahała się, a potem rzekła nieśmiało:

— Trzynaście.

Hrabia Artur nieznacznie się Uśmiechnął, czego jednak Iza nie uważała zajęta w lustrze poprawianiem kapelusza. Artur powstał i zbliżywszy się do niej rzekł:

— No i ja odchodzę. Nie chcę przeszkadzać i psuć swoją obecnością familijną scenkę. Nie zobaczymy się aż jutro na obiedzie; powinniśmy się dobrze zabawić. Czy Kornelka będzie także?

— Nie.

— To dobrze, jej obecność żenowała by nas trochę, a może i ciebie. Bella odpowiedziała na tę uwagę surowym spojrzeniem, które powstrzymało go od dalszych uwag.

— Więc dowidzenia. Nie wiem jak zabiję dzisiejszy wieczór bez ciebie, być może, że zajdę na resurs i poprobuję szczęścia. Jeżeli mi tak pójdzie, jak przed tygodniem, będziemy mogli wyjechać do Wiesbaden choć na parę miesięcy, bo tu zaczyna być coraz nudniej.

Nie słuchała ostatnich słów jego i wyszła. Powóz czekał na nią przed bramą. Wsiadła i wymieniła klasztor, do którego miał ją zawieść. Klasztor ten stał w odludnej części miasta, otoczony ogrodem, którego wysokie mury stanowiły groźną granicę między światem, a temi, których los lub wola zamknęły za żelaznymi kratami. Baronowa weszła do rozmownicy i oświadczyła, że chce widzieć się z córką. Po chwili za kratami, najeżonemi ostremi kolcami, w ciemnym korytarzu ukazała się Kornelka w białej sukience. Nie szła ale biegła na powitanie matki, a jasne włoski skręcone w loki trzęsły się koło rumianej i ożywionej twarzyczki. Mogła mieć około szesnastu lat i gdyby nie krótka sukienka i dziecinne rachowanie się, mogłaby już uchodzić za panienkę dorosłą. Baronowa więc nie całkiem prawdę mówiła przyznając jej przed Arturem lat trzynaście tylko.

— Mama! mama! zawołała z radością. Przypadła do kraty i przez ciasne otwory usiłowała precisnąć i wyciągnąć do niej rękę. Ale idąca za nią zakonnica zganiła ją surowo za to i nazwała zachowanie się jej nieprzyzwoitem. Połajane dziewczę straciło wesołość, cofnęło się nieśmiało od kraty i z tamtąd spoglądało litośnie na matkę czekając z jej strony cieplejszego słowa i serdeczniejszego powitania. Ale baronowa zachowała się całkiem spokojnie i nie tylko nie

złagodziła surowego napomnienia zakonnicy, ale dodała jeszcze swoje. Nie pierwszy to raz baronowa zachowywała się tak względem córki; czy taki system wychowywania uważała za dobry i nie chciała rozpieszczać córki czułością swoją, czy widując ją tak rzadko nie miała czasu ani sposobności wyrobić w sobie przywiązania i miłości dla córki, czy też może czuła, że nie zasłużyła niczem na miłość tej córki i nie miała prawa do jej serca, dość, że przy każdym widzeniu z nią była poważna, surowa i małomówna. Kornelka przeciwnie rwała się do matki z dziecinną radością zawsze, a choć ta postępowaniem swoim zrażała ją i odstręczała od siebie, to przez długi czas niewidzenia jej, dziewczyniutko zapominało o tem i w chwilach samotności i niewoli klasztornej, wymarzyło sobie matkę podług swojej wyobraźni dobrą, czułą i tęskniła za nią i cieszyła na jej przyjście i liczyła niecierpliwie godziny, co ją od niej oddzielały i zawsze biegła do niej z radością, ale wracała zwykle do celki zasmucona, bo matka, którą widziała u kraty inną była od tej, jaką pieściła w myślach swoich. Tak było i teraz. Poważne słowa i surowe spojrzenie ostudziły radość dziewczęcia i odepchnęły ją od kraty. Stała w głębi korytarza nieśmiała i pokorna.

— Przyszłam tu, rzekła po chwili baronowa, aby cię zabrać.

— Ach, jak to dobrze, zawołała Kornelka i zapomniawszy o niedawnem strofowaniu, plasnęła z uciechy w ręce; ale powstrzymał ją surowy, karcący wzrok matki. Złękła się i choć nie poczuwała się do niczego złego, z przestrachem przycichła pod czarem tego surowego spojrzenia.

— Nie podoba mi się to w tobie, rzekła baronowa, że tak bez żalu porzucasz twoje nauczycielki, od których tyle dobrego doznałaś! To pokazuje charakter zły, niewdzięczny.

— Ależ proszę mamy....

— Nie mówi się ależ, to jest niegrzecznie, poprawiła ją zakonnica, to oznacza upór.

— Proszę mamy, ja jestem wdzięczna; tylko tu tak smutno teraz, wszystkie koleżanki moje już powyjeżdżały i mnie samej strasznie tutaj.

— Dość tej mowy. Idź pożegnać się z dobrodziejkami, a potem spakuj rzeczy i każ je wynieść do powozu ja tu zaczekam na ciebie.

Kornelka nie dała sobie dwa razy powtórzyć tego rozkazu i pobiegła jak biały motylek przez ciemne korytarze. Baronowa tymczasem rozmawiała z zakonnica, wypytywała się o zdolnościach córki, zachowaniu się, charakterze i słuchała uważnie każdego szczegółu, każdego objaśnienia. Ta staranność i troskliwość pokazywała, że obojętność jej i surowość względem córki były tylko przybrane, że to należało do jej systemu wy. chowania.

W pół godziny potem drzwi się otwały z łoskotem i wbiegła do rozmównicy Kornelka już w mantylce i kapelusiku i rzuciła z uniesieniem na szyję matki, chcąc ją ucałować; ale baronowa odsunęła ją poważnie od siebie i dała jej tylko rękę do pocałowania; potem kazała jeszcze wrócić za kratę i pożegnać zakonnice, która stała przy rozmównicy i dopiero zabrała ją do powozu. Lubo krępowana w wybuchach radości i strofowana ciągle, miała jednak wcale wesołą minkę; szczególnie gdy się uczuła na wolnem powietrzu, gdy powóz ruszył ku miastu.

— Ach, jak tu dobrze! rzekła łykając otwartymi ustami powietrze.

— A tam źle ci było? spytała matka poważnie.

— Źle nie; ale ciasno, duszno okropnie.

— Wszak miałyście tam ogród, świeże powietrze.

— Ach mammo toś ty chyba nigdy nie była w klasztorze; tam nic nie ma świeżego.

— A jednak klasztor to jedyne miejsce, w którem człowiek może być szczęśliwym, zakonkludowała baronowa sentencyonalnie.

— A przecież ty mammo nie mieszkasz w klasztorze, a jesteś szczęśliwą.

Baronowa poruszyła się niespokojnie, w słowach córki była bezwiedna ironja, która ją dotkliwie

ubodła. Nie rozmawiała z nią już więcej i krótko odpowiadała na jej pytania, które ją zarzucała gdy wjechali w miasto. Wszystko bogiem uderzało i rozciekawiało wychowankę klasztoru.

Gdy stanęła przed domem, w którym mieszkała baronowa, Kornelka zapytała:

— Więc ty tu mieszkasz mamó?

— Tak, tutaj, wysiadziemy.

— A....

— A co?

— Nie, nic. Zarumieniła się jak poziomka cała i pobiegła naprzód na górę.

Baronowę zaniepokoiło to niedokończone pytanie córki, bała się czy w klasztorze nie dowiedziała się Kornelka przypadkiem coś o hrabi Arturze. To byłoby okropnem, musiałyby wtedy wstydzić się przed własną córką. Przypuszczenia te rozciągały jej duszę na strasznych torturach. Ale szczerze i śmiałe spojrzenie córki, gdy ją po raz drugi witała w jej domu, uspokoiły te obawy.

— Nie, ona o niczem nie wie, pomyślała sobie w duszy baronowa i odetchnęła swobodniej.

Podano do stołu. Kornelka siadła naprzeciw matki i patrzyła jej w oczy rozpromieniona i ucieszona. Baronowę mieszało to spojrzenie i spytała jej surowo czemu nie je.

— Czy nikt więcej nie przyjdzie do stołu? spytała naiwnie Kornelka.

— Któż ma przyjść? spytała baronowa, a twarz jej stanęła nagle cała w płomieniach.

— Albo ja wiem; ale u nas to zawsze było kilkanaście pań przy stole, to było wesoło i byłoby jeszcze weselej, ale zakonnice mówić nic nie pozwalały. A ty mamó zawsze sama jadasz? co? To musi być okropnie smutno.

— Przy jedzeniu się nie mówi.

— Czy i tu nie wolno? spytała zafrasowana.

— Jedz, odrzekła krótko baronowa, by urwać raz szereg pytań i skłonić rozmowną gawędziarkę do milczenia.

Po obiedzie matka z córką przeszły do salonu. Baronowa była w prawdziwym kłopotcie, co robić z Kornelką, o czem z nią mówić, tak nie miała wprawy w tym względzie, tak obcą stała się dla niej własna córka; nic ich nie łączyło od jakiegoś czasu, nie miały o czem mówić, a przeszłości baronowa bała się przywoływać dla pamięci córki. Zatrudniła ją więc robotą włóczkową a sama siadłszy obok niej także z robótką udzielała jej rad i przestroóg i uczyła jak ma postępować w świecie. Kornelka słuchała uważnie i pilnie słów matki i patrzyła w nią nieruchomo jak w obraz; a gdy skończyła ucałowała jej rękę i zawołała:

— Ach jak ty mamó pięknie mówisz, to nie tak jak nasze zakonnice, ty się znowu gniewać będziesz, że mówię źle o zakonnicach; ale kiedy to prawda, że jak zaczęły mówić, to się na sen zbierało, tak nudnie. A przytem muszę ci powiedzieć mamó, że one nie zawsze nam prawdę mówiły.

— Jak to? cóż to ma znaczyć? spytała baronowa.

— Świętą prawdę mówię, że tak było, że nieraz inaczej nas uczyły, a same inaczej robiły.

Baronowa odwróciła się ku oknu i zagryzła usta.

— Naprzykład panna matka mówiła nam zawsze że kawa szkodzi, a żyła tylko samą kawą i doskonale wyglądała. No, prawda mamó, że to nie ładnie było z jej strony tak nas zwodzić. Ach jak to dobrze, że teraz ty mnie uczyć będziesz, będę cię słuchała lepiej niż panny matki, będę żyć tak jak ty i będę chciała stać ci się podobną, dobrze?

Baronowa wstała, otarła pot z czoła i poszła ku oknu. Rozmowa z córką była niemożliwą; każde słowo tej naiwnej istoty sztychowało z niej, kłóło i urągało; to ją za nadto męczyło. Złękła się, że cały wieczór przyjdzie jej tak męczyć się, i stać w obec córki, jakby pod pręgierzem. Dla tego zdecydowała się pojechać do teatru, a córkę zostawiła pod opieką swojej pokojówki Rózi. Nie

pożegnała się nawet odjeżdżając i Kornelką dopiero od wchodzącej do jej pokoiku służącej dowiedziała się o wyjeździe matki.

— A gdzie mama wyjechała?

— Do teatru.

— Do teatru? Ach, jaka niedobra, że mnie nie wzięła! Mama może myśli, że ja nie lubię teatru. A ja przepadam za teatrem, choć go nigdy nie widziałam; Emcia moja koleżanka była raz w teatrze w Warszawie i cuda nam opowiadała. My także grałyśmy parę razy teatr na imieniny panny matki i księdza Katahety, ale, Emcia mówiła, że to całkiem co innego. O! muszę poprosić mamy, żeby mnie kiedy wzięła.

— A wszak panienki tu nie będzie?

— Dla czego?

— Bo przecież panienka wyjeżdża do Drezna.

— Do Drezna nad Elbę, ach to dobrze; uczyłam się w geografii, że to śliczne miasto. Czy mama tam na długo pojedzie?

— Mama tylko odwiezie panienkę i zaraz wróci.

Kornelka zbladła, popatrzała przestraszonymi oczyma na służące i spytała:

— Jako odwiezie?

— No, na naukę.

— Do klasztoru znowu?

— Tak. Czy panience mama jeszcze nic o tem nie mówiła?

— Nie, odrzekła i rozplakała się głośno.

— Czemu panienka płacze, czy panience źle w klasztorze było?

— Ja niecierpię klasztoru, mnie klasztor już zbrzydł okropnie, bo tam strasznie i nudno. Ja bym wolała zostać przy mamie. Będę ją prosić na wszystko w świecie, żeby mnie nie oddawała już do klasztoru.

— To na próżno, mama nie przystanie.

— Czemu? czy mama mnie nie lubi? co?

— Owszem, lubi i właśnie dla tego nie będzie chciała panienki zostawić w domu. To będzie dla dobra panienki.

— To mama tak jak Pan Bóg, o którym nam mówił ksiądz Kataheta, jak kogo kocha to na niego najgorsze nieszczęścia zsyła. Ja żeby byłam Panem Bogiem, albo mamą, tobym tak nie robiła.

Mówiła to zanosząc się od płaczu i ocierając co chwila chusteczką łzy, co jak perły toczyły się po rumianej twarzyczce. Różia patrzyła na nią z politowaniem, ale nie miała nic do powiedzenia, czemu ją pocieszyć i uspokoić mogła; aż dziewczętko samo wyplakawszy się do woli, uciszyło się, a po chwili spytało:

— I nie wiesz Róziu, kiedy mama chce mnie tam zawieść?

— Podobno za parę dni.

— Za parę dni? spytała Kornelka z przestachem, w twarzy jej znać było niepokój wielki.

— Za parę dni, rzekła jakby do siebie, i on o niczem wiedzieć nie będzie.

— Kto taki? spytała ciekawa Różia.

Kornelka nie zaspokoiła jej ciekawości, nie słyszała nawet pytania, bo zdawała się nad czemś namyślać, potem wzięła Rózię za rękę i pociągnawszy ją na stronę spytała głosem, jakby bała się by ktoś nie usłyszał.

— Róziu! tyś dobra dziewczyna, zrób ty mi jedną przysługę.

— Cóż takiego?

— Ale to sekret, nie powinien o tym nikt wiedzieć, nawet mama, rozumiesz? i położyła paluszek na karminowych ustach.

— Rozumiem i cóż mam zrobić?

— Ja napiszę karteczkę, a ty te karteczkę zaniesiesz do....

— Zatrzymała się i zawahała, co ma powiedzieć.

— Gdzież? do kogo? dopytywała się Rózia, zaciekawiona- tajemniczością, z jaką Kornelka powtarzała jej swoją prośbę.

— Do jednego pana.

— I któż jest ten pan?

— To mój... mój dobry znajomy.

— Znajomy? Gdzież go panienka mogła poznać?

— Ale mnie nie zdradzisz?

— Bądź panienka spokojna.

— On bywał u mnie w klasztorze, w rozmównicy; jedna tylko zakonnica wiedziała o tem i prowadziła mnie tam w sekrecie przed panną matką, bo ona nie byłaby nigdy na to pozwoliła. Nie wiem co oni sobie do niego upatrzyli, bo to bardzo dobry człowiek, sama się przekonasz. O! on jest dla mnie lepszym niż mama i kocha mnie bardzo.

Rózia ze zdumieniem słuchała tego naiwnego szczebiotania dziewczęcia, nie wiedząc co sądzić o tem wszystkim. Domyślała się jakiegoś romansiku, który jedna z zakonnice ułatwiała i protegowała; ale dla czego to robiła, dla czego Kornelka tak śmiało i swobodnie mówiła o tej znajomości, tego sobie wytłumaczyć nie umiała. Chcąc dowiedzieć się wszystkiego zdecydowała się zrobić, co jej poleci panienka i gdyby widziała co złego w owym tajemniczym stosunku nierobić z tego sekretu przed matką.

— No, więc pójdiesz? spytała Kornelka przymilając się do niej i głaszcząc ją po twarzy, on cię wynagrodzi hojnie, bo on jest bogaty. Mnie zawsze przynosił do klasztoru przepyszne cukry; to musiały być sprowadzane, bo Emcia utrzymywała, że jeszcze lepsze od lursowskich.

— Ale gdzież mam iść panienko?

— Dam ci adres, w tej chwili idę pisać list.

Usiadła przy biurku, zmaczała piórko w usteczkach według klasztornego zwyczaju, po tem dopiero w kałamarzu i zabrała się do pisania.

— Ale przecież panienka nie będzie chciała dziś posyłać ten bilecik.

— Czemu nie?

— Tego pana może nie być w domu.

— O będzie, będzie. Zresztą powiesz, że odemnie, to cię puszczą w każdej chwili.

Rózia ruszyła ramionami; cała ta historia wydawała jej się niesłychanie dziwną.

— I jakże panienka tak sama tu zostanie?

— O! ty myślisz, że ja się boję? W klasztorze oduczyłam się tego; tam tak strasznie zawsze było, że musiałyśmy się przyzwyczać do tego; trzeba było w nocy chodzić na chór przez takie ciemne korytarze i sypiać w osobnej celce, a raz nawet musiałyśmy całą noc oganiać z much umarłą prefektę w rozmównicy, to było gorsze, a jednak musiałyśmy się przyzwyczać. Dziś się już nie boję być samą; więc możesz runie śmiało tu zostawić.

Wśród tego opowiadania zapieczętowała bilecik, zaadresowała i oddała go Rózi, prosząc jeszcze raz o sekret.

— Może panienka się zamknie, bo stary Tomasz pojechał z panią, do teatru i nikogo nie ma w domu.

— Nie, ja nie chcę się zamykać, tyle czasu byłam zamknięta, że już zniecierpiałam zamykanie, rzekła i chcąc użyć do syta wolności i swobody po odejściu Rózi, pootwierała na rozcież wszystkie okna w salonie i biegnąc od jednego do drugiego napawała się widokiem nieba niepokrajanego żelaznymi kratami. Potem usiadła przy jednym oknie i przypatrywała się ruchowi ulicznemu. Wszystko ją bawiło i zajmowało począwszy od piosenki gwizdanej przez jakiegoś ulicznika, aż do głośniejszego turkotu powozów, które krzyżowały się w różnych kierunkach i migotały latarniami.

— Co tu ludzi, co tu ludzi, mówiła głośno do siebie samej, a wszystkim tak pilno, tak się spieszą, idą i w tę i w tamtą stronę i potracają się, mijają lub łączą się ze sobą i zostają. To musi być przyjemne takie życie, zawsze coś nowego, co dzień co innego, to nie tak jak w klasztorze, gdzie każdy dzień podobny do drugiego, jak welon panny matki do welonu siostry Marceliny. Za czym ci ludzie tak się upędzają? Panna prefekta nam mówiła, że oni tak gonią za marnościami tego świata, które wodzą ich na potępienie. To przecież niepodobna, żeby ci ludzie tak byli źli, żeby tak szukali złego na świecie, jeżeli ten świat ma być czemś złym, czemś co do zguby wiedzie. To by nie było dobrze ze strony Pana Boga.

Tak filozofowała sobie młodzieńca pensyonarka wychyliwszy się z okna i z dziecinną ciekawością przysłuchiwała się rozmowom osób przechodzących, trotoarem. W końcu ten gwar, szum, hałas, a wreszcie powietrze odurzyło ją i uspiło. Zasnęła tak mocno, że gdy Rózia wróciła, dobudzić się jej nie mogła; rozebrała ją na wpół śpiącą i zaprowadziła do łóżka, a liścik który z sobą przyniosła schowała by go jej oddać na drugi dzień.

Późno w nocy wróciła baronowa z teatru, była jakaś kwaśna i niezadowolniona.

— Gdzie jest panna? spytała Rózi.

— Panienska śpi już proszę jasnej pani.

— Czy dawno usnęła?

— Od dwóch godzin.

Baronowa kazała przygotować do herbaty, a sama wzięwszy świecę poszła do pokoju córki. Weszła po cichu zasłaniając ręką światło, by blask jego nie obudził śpiącej i zbliżyła się na palcach do łóżka. Kornelka spała mocno, przez sen uśmiechała się i niewyraźnie poruszała usteczkami, jakby mówiła do kogoś. Jasne włosy rozsypały się po poduszce i koszulce, twarz zarumieniła się od silnego snu; jedną rączkę miała pod głową, a drugą na piersiach wznoszących się równym, spokojnym oddechem. Prześlicznie wyglądała w tem bezwiednem stanie ta istotka czysta, niewinna; niebo czuć było od niej.

Baronowa długo wpatrywała się w córkę, po zmęczonej i bladej jej twarzy przechodziły na przemian to chmury ponurych myśli, to jasne promienie czułości i rozrzewnienia. Wreszcie nachyliła się lekko nad córką, zrobiła krzyż na jej czole, pocałowała i odeszła do swego pokoju, gdzie na nią Rózia czekała z herbatą.

III.

Na drugi dzień około drugiej godziny, salonik baronowej Izy był pełen młodzieży, która zebrała się liczniej niż zwykle, obiad bowiem był proszony i był zarazem pożegnalnym, gdyż wielu z jej stałych gości i adoratorów rozjeżdżało się to na wieś, to do kąpiel. Rozmowa w salonie była gwarna i ożywiona; baronowa siedziała na kanapie otoczona młodzieżą i błyszczącym dowcipem, a więcej jeszcze błyszczącymi spojrzeniami obdzielała i zachwycała swoje otoczenie. A otoczenie to składało się z najrozmaitszych osób począwszy od młodzieniaszków ze złotej młodzieży, którzy przez bywanie u baronowej chcieli wysłużyć sobie nominację na dorosłych i nielitościwie skubali mleczne swe wargi chcąc z nich dobyć choć jaki taki ślad wąsików, a skończywszy na łysiejących już profesorach uniwersytetu, zjawiających się chętnie i punktualnie na biesiadach Aspazji (tak nazywali między sobą baronowę). Było tam kilku poetów i literatów, których wdzięki baronowej i jej kuchnia wyborna wabiła do tego salonu; był i rzeźbiarz i malarz, obaj bardzo utalentowani; pierwszy właśnie w tym czasie rozpoczął robić biust baronowej, a drugi namalował był jej portret, który zeszłego roku na wystawie wzbudzał ogólny podziw. Dwaj ci artyści liczyli się do najwierniejszych i najplatoniczniejszych wielbicieli gospodyni domu. Odmiennego całkiem kroju był Lolo Pulski szambelan papieżki, stary kawaler, który tu przychodził jedynie dla podziwiania arystokratycznej pulchnej białej i podłużnej rączki pani Belli i miał wyłączny prawie przywilej do obcałowywania tej rączki, z czego korzystał z przesadną gorliwością. Było to jego specjalnością, jego urzędem tutaj. Podobnie jak szambelan i inni należący do tak zwanego dworu baronowej; mieli swoje urzęda i regulaminem a raczej zwyczajem przepisane czynności i tak: jeden nazywał się nadwornym lekarzem, drugi nadworną kroniką, inny miał obowiązek dostarczania na stół baronowej świeżych kwiatów, inny wsadzanie jej do powozu, a inny znowu towarzyszenia w teatrze lub na spacerach. Ten ostatni obowiązek spełniał Staś Nolski nazywany w kółku circumfatygantem, bo się dla wszystkich trudził. Czy potrzeba było się o krzesła wystarać, czy wycieczkę urządzić, czy kogoś odszukać, zawsze udawano się do circumfatyganta. On zamawiał dla baronowej remizy do wyjazdu, znosił próbki najświeższych materyi, dzienniki mód, prenumerował książki i był cały dzień niemal, szczególnie w dnie uroczyste, na jej usługach. To też za to jemu jednemu przysługiwało prawo pokazywania się publicznie pod rękę z baronową; spełniał ten obowiązek z powagą i zadowoleniem; zaufanie to dogadzało jego próżności. Nie zazdrozczono mu tego, gdyż baronowa tak umiała rozdzielić względy i obowiązki, że każdy czuł się ze swego działu zadowolony. Jeden tylko hrabia Artur nie miał żadnego urzędu i w obec gości zrzekał się tak dalece na ich rzecz wszelkich praw, że stał prawie na ostatnim planie. Był to takt wielki z jego strony; nie chciał popisywaniem się z prawami swemi kompromitować siebie i baronowej, popisy takie byłyby śmieszne i zbyteczne, bo i tak bez tego wiedziano jakie miejsce W zajmował. I teraz w obec zgromadzonych gości hrabia trzymał się na uboczu i rozmawiał poważnie z jednym z profesorów uniwersytetu o mającem nastąpić obsadzeniu katedr uniwersyteckich. Baronowa również zajęta swoim otoczeniem zdawała się go niewidzieć wcale, nie spojrzała nawet ani razu w tę stronę, natomiast czarne jej oczy z niepokojem i niecierpliwością zwracały się ku drzwiom, jakby się jeszcze kogoś spodziewała; Władysława bowiem nie było jeszcze w salonie.

— Ale to dziwna rzecz, odezwał się jeden z gości, gdzie nasz circumfatygant się obraca.

— Prawda i jego nie ma, powiedziała baronowa.

— Circumfatygant nie zwykł się spóźniać, szczególnie na obiady. A! otóż i on. Wszedł do sali męczyzna, którego wieku trudno było określić, można mu było liczyć ze dwadzieścia sześć lat, a

mógł mieć koło czterdziestki, zasuszone bowiem i drobne rysy jego twarzy na oko udawały młodość, a żywy temperament utrzymywał i podnosił to złudzenie. Circumfatygant w obejściu ze wszystkimi nawet ze służącymi był nadzwyczaj miły, uprzejmy, każdemu chętnie wyrządzał przysługi i umiał stać się wszystkim potrzebnym.

Z tego powodu lubiano go i był bardzo pożądanym wszędzie. Tak i teraz wejście jego do salonu powitano głośną wesołością i zadowoleniem.

— Stasiu! gdzie się ty zapodział?

— Staś się spóźnił o cały kwadrans, to rzecz niesłychana w jego dziejach.

— Czy się żenisz.

Pytania sypały się bez liczby.

— Ależ pozwólcie mi przyjść do słowa panowie, bo inaczej niczego się nie dowiecie.

— Staś ma głos.

— Mów, circumfatygancie.

— Otóż najprzód, odezwał się Staś zwracając się do baronowej, winienem panią moją przeprosić, zem się zaniedbał w moich obowiązkach, ale to nie z mojej winy, w tej oliwili musiałem ekspedycyować dwa trupy.

— Dwa trupy, zmiłuj się ktoś gada przed obiadem o takich rzeczach, odezwał się szambelan i zgorszony odszedł na bok.

— Któż umarł? pytali inni.

— Bracia Marmurki, odrzekł Staś.

— Jak to, umarli? żartujesz chyba!

— W tej chwili wyniesiono ich na pół żywych z handlu winnego dokąd ich zapędziłaś baronowo

— Ja?

— Tak, ty baronowo. Przypomnij sobie, że przed tygodniem zrobiłaś im uwagę, że są po mieszczańsku porządni, że ta systematyczna cnota wy kieruje ich na starych kawalerów, a przynajmniej, że będą musieli zrezygnować ze szczęścia u kobiet, którym aby się podobać, trzeba być choć trochę lampartem. Otóż Marmurki tak sobie do serca wzięli tę uwagę, że postanowili się koniecznie lampartować.

— Aby mieć szczęście u kobiet, przewybornie, zawołało kilku i całe towarzystwo wybuchnęło głośnym śmiechem.

— I od czegoż zaczęli swoją edukację? spytał szambelan.

— Od tego, że wypalili po papierosie i wypili we dwóch pół butelki szampana; to ich tak z nóg zcięło, że leżą teraz jak bez duszy u siebie.

— Szkoda żeś ich tu nie kazać przywieść, mielibyśmy uciechę, odezwał się jeden ze starszych.

Baronowa spojrzała karcącym wzrokiem na mówiącego; niesmaczny jego projekt obraził ją.

— Czy panu tak brak u mnie zabawy, że pan aż takiej pragniesz? Ja mam salony dla trzeźwych.

— Twój widok baronowo byłby ich, ręczę, wytrzeźwił, rzekł ratując się w obec zagniewanej tym komplementem.

— Uważasz więc pan, że mogłabym zastąpić miejsce wodnej kuracyi. Dziękuję za komplement.

— Ależ baronowo na miłość boską, jesteś dziś nadzwyczaj drażliwa, szukasz wszędzie złych stron. Co się stało z panią?

— Nie lubię ludzi nie taktownych i niezręcznych komplementów, rzekła z akcentem i wstawszy z kanapy przeszła do drugiego pokoju.

W istocie była rozdrażniona i niehumorna wszyscy to zauważyli.

Wszedł lokaj i chciał poprosić do stołu; wstrzymała go skinieniem i rzekła:

— Jeszcze czas; sama ci powiem, kiedy masz prosić.

Spojrzała na zegarek i zachmurzyła się; ale w tej chwili rozjaśniła się jej twarz i wesoły uśmiech wrócił, bo zobaczyła wchodzącego Władysława. Bielutka twarz jego i jasne popielate prawie włosy, wyglądające jakby były pudrem przysypane, robiły go podobnym do jakiego markiza francuzkiego, lub do młodych paziów króla Stanisława. Baronowa z zajęciem i lubością zatrzymała wzrok na wdzięcznej jego postaci. Zbliżył się do niej na powitanie z pokorną nieco minką, z czem mu było bardzo do twarzy.

— Panie Władysławie, lubisz, żeby czekano na ciebie.

— Ach, nie gniewaj się baronowo, zaczął się tłumaczyć; ale nie mogłem wcześniej, odwoziłem siostrę moją i hrabinę Medardową do klasztoru Norbertanek; zaledwie miałem czas przebrać się.

— W takim razie przebaczam panu; ale tylko w połowie. Za karę będziesz pan musiał siedzieć przy mnie podczas obiadu i bawić mnie.

— Jesteś zawsze łaskawą baronowo, rzekł całując ją w rękę.

— To się pokaże po obiedzie, o ile ta łaska przyjemną panu będzie. Podaj mi pan ramię.

Potem zwróciwszy się do zgromadzonych rzekła:

— Proszę panów.

Circumfatygant podbiegł z pośpiechem ofiarować jej swoje ramię i ze zdziwieniem spostrzegł, że Władysław już go wyręczył.

— Jako baronowo, dymisya. Wszakże to mój wydział i nie odstąpię tego zaszczytu za nic w świecie.

— Pan już dziś prowadziłeś braci marmurków, to powinno panu wystarczyć. Nie chciałabym moich poddanych przeciążać obowiązkami, rzekła z wesołym uśmiechem, któremu towarzyszyła ogólna wesołość obecnych, bawiących się pocieszoną miną circumfatyganta.

Przy obiedzie towarzystwo nadzwyczaj się ożywiło; prym trzymał Staś, który ciekawymi nowinkami zaprawnemi humorem i dowcipem, ożywiał całe grono. Potem rozmowa rozłamała się na kilka kółek i w sali zrobiło się gwarno, wesoło.

Baronowa zajmowała się prawie wyłącznie Władysławem, najczęściej do niego zwracała się z rozmową i robiła mu nawet pewne grzeczności, które uchodziły jej jako gospodyni, sama nakładała mu na talerz potrawy, nalewała wino, słowem posuwała gościnność i troskliwość do tego stopnia, że Władysław czuł się aż zażenowanym jej dobrocią i rumienił się jak panienką. Szambelan siedzący z drugiej strony był prawie zapomniany i musiał się zadawałniać całowaniem alabastrowej ręki swej sąsiadki, na którą polował chciwie i aresztował ile razy pokazała się na stole, czy to biorąc nóż, czy sięgając po karafkę. Wino, którym wznoszono toasty jeszcze bardziej rozjaśniło humory i rozwiązało usta. Jeden tylko Artur zdawał się nie dzielić ogólnej wesołości; był milczący i poważny i spuściwszy oczy na talerz zdawał się słuchać pilnie opowiadania swego sąsiada, ale od czasu do czasu rzucał w stronę gdzie siedziała baronowa chmurne, przenikliwe spojrzenie i gryzł wąsy nielitościwie.

Gdy podano kawę czarną po skończonym obiedzie, baronowa zaproponowała gościom, aby się przenieść do salonu i kazała tam przenieść nakrycie do kawy i cygara. Po godzinie siedzenia każdy z ochotą przyjął ten projekt i towarzystwo przeniosło się do sali i tutaj podzieliło się na kilka grup. Izabella kończąc jakąś rozmowę o muzyce z Władysławem przeszła tam także prowadzo na przez niego i oboje usiedli na kozetce w kącie sali. Tu lokaj podał im filiżanki z kawą a baronowa wyjęła z kieszeni małe eleganckie w pelht oprawne etui na papierosy i podała Władysławowi. Ten uklonił się grzecznie i podziękował.

— Prawda, że pan nie palisz. Zawsze zapominam o tem. Białe ząbki pana boją się dymu

cygarowego.

— Nie, ale nie znajduję przyjemności w paleniu.

— W takim razie kobieta paląca cygara musi się panu wydawać bardzo niekorzystnie.

— Jak do kobiety. U pani naprzykład nie razi mnie wcale, bo pani robisz to z takim wdziękiem.

— Tym komplementem chcesz mi pan dodać odwagi. Dziękuję panu, bo w istocie trudno by mi było odmówić sobie tej małej przyjemności, a odmówiłabym sobie jej z przyjemnością, gdybym widziała, że to pana razi.

Mówiąc to dobyteła z futeralika papieros i równała go w palcach. Władysław nie przesadził wcale utrzymując, że robiła to z niesłychanym wdziękiem. Widząc, że spojrzała w około szukając ognia, zerwał się i chciał pospieszyć po świecę, ale zatrzymała go i zwróciwszy się do siedzącego pod oknem zasępionego malarza odezwała się głośno:

— Panie Edwardzie.

Pokazała mu niezapalonego papierosa. Artysta zerwał się, wydobył z kieszeni od kamizelki, małe karniolowe pudełko z zapalnikami i zbliżył się ku niej aby podać zapalony patyczek. Przytknęła do ognia papieros pociągnęła kilka razy a potem skinęła uprzejmie.

— Dziękuję.

Artysta wrócił na swoje miejsce ucieszony, że piękna baronowa pamiętała o nim, że nie pozwoliła komu innemu usłużyć sobie ogniem. Ten mały objaw jej łaskawości naprawił mu zupełnie humor; teraz już niczego nie zazdrościł Władysławowi.

Gdy się oddalił, baronowa zwróciła się znowu do Władysława i rzekła zniżonym nieco głosem

— Nie miej mi pan za złe, że nie chciała przyjąć od pana tej grzeczności. Jest to wyłączny przywilej pana Edwarda i przykro by mu było, gdybym o tem zapomniała. Żal by mi było truć pana do takiej drobnostki, bo od pana mamy inny ogień, święty ogień muzyki, który jak Prometeusz wykradłeś dla nas z nieba. Porównanie to przyjm pan tylko w połowie, bo niechciałabym, aby panu świat jak tamtemu szarpał serce.

Spojrzała na niego zalotnie, głęboko, a po chwili nie zdejmując z jego twarzy swego spojrzenia dodała:

— A może ono już szarpnięte?

Władysław chciał coś odpowiedzieć, gdy dźwięki fortepianu zagłuszyły jego ciche słowa. Jeden z młodych ludzi usiadł przy fortepianie i zaczął grać jakiegoś Strausowskiego walczyka.

— Daj pokój, daj pokój, to nie twój wydział; to należy do Władysława, nadwornego pianisty naszej królowej, zawołało kilku.

— Mylicie się panowie, rzekła z miłym uśmiechem baronowa, patrząc na swego sąsiada, pan Władysław już nie należy do nas; nasze kółko za małe już teraz dla niego odkąd wystąpił na szerszą arenę.

— Jak to pani rozumiesz? spytał Władysław.

— Słyszałam o wieczorze u księżnej, na którym pan zachwycałeś wszystkich.

— I to powodzenie miałyby mi przeszkadzać grad u pani?

— Ja tak myślałam, rzekła skromnie.

— Źleś myślała baronowo.

To powiedziawszy wstał i poszedł do fortepianu.

— Co zagrać pani? spytał zwracając się do niej.

— Jeżeliś pan łaskaw, to coś swojego. Lubię słuchać utwory pana, są, one jakby spowiedzią pańską; wdzieram się przez to w tajemnice pańskiego serca.

— Dziś daruj pani, nic swojego grać nie będę. Nie jestem usposobiony.

— Więc graj pan co zechcesz.

Władysław wziął kilka akordów próbując giętości palców.

— Tylko coś wesołego, prosił szambelan.

— Szambelan ma ochotę tańczyć, odezwał się Staś uszczypliwie. Będiesz tańczył szambelanie na mojem weselu, sprowadzę całą orkiestrę, która ci będzie grać same walce i polki, a teraz pozwól, by nam Władysław zagrał jakiś kawałek salonowy.

— Coś głębszego, prosił rzeźbiarz.

Ta ostatnia prośba najwięcej przypadła zdaje się do smaku Władysławowi, poprawił się na stołku i zagrał pieśń Szumana, potem jedną z nocturn Chopina, a w końcu weselny marsz Mendelsoana.

Goście jedni słuchali, drudzy rozmawiali, inni przeglądali albumy leżące na stole i dzienniki. Baronowa należała do słuchających i słuchała z budującą uwagą. Gdy skończył wstała i zbliżywszy się ku niemu podała mu rękę.

— Dziękuję panu ślicznie, sprawiłeś nam pan wielką, przyjemność.

— Nie wszystkim, odrzekł z uśmiechem Władysław wskazując oczami na grupę rozmawiających głośno.

— To prawda, że to musi być przykro grać dla takich.

— To nie, bo ja gram dla siebie; ale boję się, że tym panom sprawiam może przykrość i dystrakcyę grą swoją.

— Więc pan grałeś tylko dla siebie? spytała baronowa draśnięta tem wyznaniem Władysława, a ja sądziłam, że pan choć trochę grałeś dla mnie.

— Dla ciebie baronowo, kiedy zechcesz, tylko nie w tem otoczeniu.

— Biorę pana za słowo. Musisz pan zagrać kiedy dla mnie, ale wyłącznie tylko dla mnie samej.

— Kiedy tylko zechcesz baronowo.

— Bądź pan ostrożny z obietnicami.

— Dla czego?

— Bo mogłabym chcieć zawsze.

— W to wątpię, znudziłabyś się pani.

— Jakto? pan wątpisz, że chciałabym pana mieć zawsze u siebie? spytała z naciskiem i patrzyła mu w oczy tak głęboko, wymownie i tak jakoś dziwnie, że Władysław zmieszał się pod siłą tego wzroku i zrobiło mu się gorąco. Nie wiedział co odpowiedzieć i spuścił oczy jak student.

— Widzisz pan, że pan wiesz o tem; tylko może nie chciałbyś wiedzieć.

— Przyjdę ile razy pani rozkażesz, odrzekł nie wiedząc na razie co odpowiedzieć.

— A bez rozkazu nigdy?

— Baronowo, zlituj się, odezwał się Staś Wolski stojąc przed nią w rozpaczliwie komicznej pozie, poddani twoi buntują się, chcą się już rozchodzić.

— A to z jakiego powodu? spytała baronowa nieco ostro, niekontenta, że jej circumfatygant przerwał rozmowę z Władysławem.

— Mówią, że ich dziś nie potrzebujesz, że jesteś nie w humorze.

— Cóż ja na to poradzę, skoro sobie tak uroili? Mamże skakać i tańczyć dla ich przyjemności?

— Urządź bakkarą, to ich zatrzyma. Szkoda, żeby ostatni dzień u ciebie przeszedł nam tak nijako, baronowo.

— Jeżeli sobie życzycie tego, to i owszem. Poszła, wydać rozkaz służącemu, aby przygototował stoliki do gry.

Circumfatygant zwrócił się do gości biorących już za kapelusze i zawołał:

— Panowie, bakkar!

Te słowa zatrzymały kilku.

— Praca organiczna, odezwał się szambelan, to rozumiem. Nie lubię próżnować.

— Zostajesz więc szambelanie?

— A bardzo naturalnie.

— I ja, i ja, i my, zawołali inni.

— Ale baronowa gra z nami?

— To się rozumie, odezwał się Staś, cóż by to była za gra bez naszej królowy. Ona jest duszą bakkara, wlewa węń życie.

— Towarzystwo poruszyło się i przenosiło do stolików. Władysław skorzystał z tego zamieszania i wyszedł do drugiego pokoiku, potrzebował ochłonać nieco z wrażenia jakie na nim zrobiło wyznanie baronowej i zebrać myśli. Z dotychczasowego postępowania baronowej mógł się domyśleć, że mu sprzyja, że lubi jego towarzystwo; ale nigdy nie przypuszczał, że życzliwość jej i łaskawość sięgać może po za granice zwykłej sympatii. Dziś dopiero po dłuższej i poufnej rozmowie zobaczył ze zdumieniem, że baronowa więcej czuje dla niego, niż przyjaźń. To odkrycie nie tyle go ucieszyło, ile raczej zaniepokoiło i ciążyło mu raz dla tego, że uważając baronową jakby żonę Artura, miał skrupuły sumienia, iż przyjmując jej miłość i korzystając z niej popełniłby kradzież, a z drugiej strony sam jeszcze nie zdał przed sobą sprawy z rodzaju uczucia, jakie w nim wzbudzała baronowa i nie był pewnym, czy to uczucie, które tutaj go ciągnęło tak często, może nazwać miłością. Potrzebował zastanowić się nad tem wszystkim, zdać sobie sprawę, ochłonać nieco i dla tego usunął się od towarzystwa i przeszedł do pokoiku dotykającego do salonu.

Był to pokoik niewielki, ale z gustem i wytwornie urządzone. Tu baronowa zwykle przepędzała czas na czytaniu i robocie. W pokoiku tym było teraz zupełnie prawie ciemno, gdyż gęste story mało co przepuszczały światła dziennego. Do tego jeszcze Władysław wchodząc tu zasunął portierę i rzuciwszy się zmęczony na sofę z oczyma przymkniętymi rozmyślał i odpoczywał.

Po chwili obudził go z tego zamyślenia jakiś dźwięczny młody głosik z przyległego pokoju przyciszony nieco; głosik ten zdawał się prosić kogoś o coś, a drugi ostrzejszy i surowszy odpowiadał mu i przeczył. Głosy zbliżały się coraz więcej ku drzwiom uchylonym i stawały się wyraźniejsze. Władysław uchwycił następującą rozmowę.

— Ależ panienko, niemożna, mama surowo zakazała pokazywać się, odezwał się głos grubszy, a cieńszy wydzwonił mu zaraz odpowiedź:

— To też ja się wcale nie pokażę, nikt mnie wcale nie zobaczy, nie bój się Róziu. Posłuchajmy chwileczkę, może jeszcze będzie co grać.

Słowom tym towarzyszyło ciche skrzypnięcie drzwi.

Władysław otworzył oczy i w promieniach światła zachodzącego słońca które biły z drugiego pokoju przez uchylone drzwi, zobaczył młodą panią w lekkiej, niebieskiej sukience, skradającą się ostrożnie jak kotek ku salonowi. Szła z wyciągniętymi naprzód rączkami przez ciemny pokoik, stąpając cicho na paluszkach, a za nią wsunęła się pokojówka baronowej i usiłowała ją zatrzymać. Władysław ze zdziwieniem obserwował to urocze zjawisko, sam niewidziany i bał się ruszyć, odezwać, by nie spłoszyć niebieskiej sukienki, na której zobaczył teraz dwa grube, jasne warkoczki zakończone ponsową wstążeczką. Niebieska sukienka nachyliła się ku portierze i cichy szept dał się słyszeć:

— Grają; ale w karty.

— Chodźmy, panienko, odezwała się znowu służąca i pociągnęła za sobą panią napowrót do drugiego pokoju i przymknęła drzwi.

Wtedy Władysław podniósł się po cichu i zbliżywszy się do tego pokoju obserwował dalej

zjawisko przez niedomknięte całkiem drzwi.

Niebieska sukienka stała przy kwiatkach, białe, cieniutkie rączki wychodzące z ciemno szerokich rękawów wyciągnęły się ku służącej, a głosik mówił z żywym uniesieniem:

— Ach, Róziu, jak on grał,. To było coś cudownego. Ja nigdy takiej gry ślicznej nie słyszałam. Nasz stary metr muzyki ani przez połowę tak nie grał, ale gdzie tam przez połowę. To było całkiem co innego, o! całkiem co innego.

Mówiąc te słowa panienka skubała w zamyśleniu paluszkami liść palmy, w rumianej i świeżutkiej jej twarzyczce widać było rozkoszne rozmarzenie; przymknęła oczki, jak by sobie chciała przypomnieć, przedłużyć wrażenie muzyki, a wążkie usteczka złożyły się w trójkącik wśród błogiego uśmiechu.

Władysław pochłaniał oczami to zjawisko i zachwycał się nim.

— Czy mama często słyszy taką muzykę? spytała panienka nieotwierając oczek.

— O! ten pan tu często grywa.

— Jaka ona szczęśliwa. Ja bym słuchała wiecznie takiej muzyki. Cicho zdaje mi się, że ktoś trącił o klawisze.

Pobiegła znowu ku drzwiom i to lak szybko, że Władysław zaledwie miał czas usunąć się na bok, by nie być spostrzeżonym.

— Ależ zdaje się panience.

— Zaraz, zaraz, poczekajmy chwileczkę.

— Ależ nikt nie gra. Chodźmy panienko, mama by się gniewała.

— Powiedz mnie ty Róziu, dla czego mama niechce, abym ja się pokazywała tym panom?

— Bo to nie wypada, panienka jeszcze za młoda.

— Za młoda? A oni może nie lubią młodych? Jaka to szkoda!

Rózia pominęła milczeniem tę uwagę i zaczęła znowu namawiać Kornelkę do odejścia.

— Możeby czas już był panienko ubierać się, rzekła.

— A która godzina?

— Już dobrze po siódmej.

— A no! mam jeszcze całe pół godziny czasu.

Pomimo to uległa namowie Rózi i przeszła do dalszego pokoju.

Władysław teraz dopiero miał czas zdać sobie sprawę z tego, co widział; dotąd zostawał pod urokiem zjawiska; dusza jego była w oczach. Dopiero gdy zjawisko zniknęło, wróciła możliwość myślenia. Z tego, co słyszał dowiedział się, że owo śliczne stworzonko, ów koliberek, co mu się zjawił na słonecznym promieniu, jest córką baronowej. Ale dla czego baronowa nieprzyznawała się nigdy do tej córki? Dla czego ją chowała tak starannie przed światem? Wprawdzie Artur wspominał mu raz o tej córce ale w ten sposób, jakoby to było jakieś małe dziecko; gdy tymczasem Władysław zobaczył dorosłą już panienkę, którą widocznie krótką sukienką chciano jeszcze zatrzymać w dzieciennym wieku. To spostrzeżenie nie korzystnie wystawiało w jego oczach baronowę; ukrywanie bowiem córki wytłumaczył sobie brakiem uczuć macierzyńskich, chęcią udawania młodszej i ludzenia świata i doznał niemiłego rozczarowania.

W czasie jego nieobecności w salonie baronowa miała krótką rozmowę z Arturem. Powiedzieliśmy, że podczas obiadu Artur niezadowolnionem i ponurem spojrzeniem mierzył baronowę zajęłą ciągle rozmową z Władysławem; otóż teraz po jego odejściu zbliżył się do niej i zrobił jej uwagę, że zbyt afiszuje się ze swoją sympatyą dla tego

młodego człowieka. Baronowa zmieszała się tą uwagą i nie podnosząc oczów na mówiącego spyta] a cierpko.

— Byłżebyś zazdrosny? A to byłoby zabawne.

— Ja zazdrosny? odrzekł z dumą. Zazdrosny nie mam być o co, ale mi idzie o śmieszność.

— Jak to?

— Pomyśl, że to dzieciak jeszcze, mógłby prawie być twoim synem i nie kompromituj się. Nie chciałbym, żeby się śmieli z ciebie.

Baronowa połknęła w milczeniu tę gorzką uwagę; choć po ściągnięciu brwi znać było, że ją to dotkliwie ubodło. Mimo to rozśmiała się jałowym śmiechem i rzekła:

— Dziękuję za radę, skorzystam z niej.

Zła i zachmurzona usiadła przy zielonym stoliku. Gniewało ją, że Artur odkrył jej słabość, że drwił z niej lak zimno. Postanowiła panować nad sobą i nie zdradzić niczom ani obrazy, ani miłości. To też gdy Władysław wrócił do salonu zdawała się niezwracać na niego całkiem uwagi, była cała zajęta grą i nawet usiłowała być wesołą.

Władysław zauważył tę nagłą zmianę w jej zachowaniu się; ale nie gniewał się wcale o to

Czas jakiś posiedział przez grzeczność przy niej wtrącając się niekiedy do ogólnej rozmowy; ale gdy baronowa pól słówkami tylko i obojętnie odpowiadała na jego pytania i całe towarzystwo coraz więcej zajmowało się grą, Władysław uważając się tutaj za zbyt dużą figurę, bo w karty nie grał nigdy, wziął nieznacznie kapelusz z fortepianu i po angielsku, bez pożegnania wyniósł się z salonu.

Wychodząc na ulicę spostrzegł o parę kroków od domu baronowej stojący powóz, a w nim jakiegoś mężczyznę, który niespokojnie wychylał się i wyglądał kogoś. Pomimo zmroku Władysław dostrzegł, że ów mężczyzna zwracał oczy swoje na okna baronowej; spojrzał i on tam mimowoli i zobaczył w otwartym oknie główkę kobiecą ubraną w kapelusik, która zdawała się owemu mężczyźnie przysyłać jakieś znaki. To go zaintrygowało. Cofnął się na bok i stanąwszy w bramie sąsiedniego domu obserwował powóz i owego mężczyznę i dom baronowej. Za chwilę z tego domu wybiegła panienka; Władysław ze zdziwieniem poznał po niebieskiej sukience córkę baronowej, obejrzała się z przestachem w jedną i w drugą stronę ulicy i na okna domu jakby się bała, by jej kto nie spostrzegł, a potem szybko pobiegła do powozu, którego drzwiczki wnet się otwarły i zaraz po jej wejściu zamknęły i powóz ruszył galopem.

Władysław stał czas jakiś odurzony tem co widział nie umiając sobie nic z tego wytłómaczyć. Naraz przysło mu namysł śledzić tę tajemniczą wycieczkę, zawołał więc na przejeżdżającego dorożkarza, wskoczył do dorożki i kazał pędzić za powozem który właśnie skręcał w drugą ulicę.

Minęli kilka ulic, powóz wjechał w kasztanowe aleje, w stronę rogatek miejskich. Władysław był pewnym że minie rogatki, tymczasem na kilkadziesiąt kroków przed rogatką powóz zwrócił się w prawo, zaturkotał po mostku i wjechał w bramę jakiegoś wspaniałego, dużego zabudowania, która zaraz za nim się zamknęła.

— Gdzież mam teraz jechać, proszę pana? spytał dorożkarz zatrzymując konie. Władysław nie wiedział co mu dalej robić wypadało. Żelazna duża brama przecięła dalszy ślad jego poszukiwań. Kazał zatrzymać się dorożkarzowi a sam wysiadłszy z powozu postąpił bliżej pod dom. Dom ten zajmował wielką przestrzeń i miał dwa fronty, ale tylko część domu zdawała się mieszkalną i ta część miała duże okna w kamiennej oprawie, żelazny balkon i ozdobiona była kilkoma posągami olbrzymiej wielkości, umieszczonemi w zagłębieniach. Okna pierwszego piętra i dół były oświetlone; a zresztą było ciemno. Władysław zbliżył się do jednego okna i zobaczył przez szyby kilku ludzi pracujących nad technicznymi rysunkami lub przewracających wielkie księgi na pulpitych. Ściany pokoju od góry do dołu pozawieszane były rysunkami. To go nie wiele objaśniło. Poszedł więc dalej obejrzeć resztę tego ogromnego gmachu. Po za mieszkalnym domem szły przez dwa piętra rzędem gęsto okratowane okna, których futryny były zczerniałe i okopcone. W oknach tych było

ciemno; ale tu i ówdzie widać było przesuwające się światło, które pokazywało się i ginęło, raz w górze, raz na dole i słychać było wewnątrz budynku przytłumiony, jednostajny łoskot, jakby ciężkie miarowe uderzenia. Pomiędzy oknami pierwszego a drugiego piętra czerniły się jakieś duże litery. Władysław przy słabem świetle latarni usiłował odczytać ten napis i przeczytał: „Fabryka machin rolniczych i przemysłowych” a dalej, pod balkonem zamieszkałej części: „Józefa Milutyńskiego i spółki.”

Napis ten zamiast go w czemś objaśnić, jeszcze bardziej zaciemnił i pogmatwał jego domysły. Co mogła mieć za wspólność córka baronowej z tą fabryką, w jakim stosunku może zostawać do niej właściciel tej fabryki, dla czego w sekrecie przed matką i tak tajemniczo wykradła się z domu dla odwiedzenia tego człowieka w jego mieszkaniu? Oto były pytania które wałęsały się po jego głowie, napróżno domagając się odpowiedzi. Pokrewieństwa przypuścić nie mógł, a znajomość w ten sposób traktowana wydawała mu się podejrzaną. Wszystko przypuszczał zważywszy zły przykład matki, zaniedbane wychowanie i brak opieki, ale wspomnienie tej twarzyczki świeżej, niewinnej i tych kilku naiwnych wykrzykników, które dziś słyszał, odsuwało szpetne przypuszczenia i kazało mu szukać innego rozwiązania tej zagadki. I po co? pomyślał sobie po chwili trzeźwiejszego zastanowienia, na co mi się zda śledzić czynności obcej mi osoby, co mnie obchodzić może, co ona robi? Tak perswadował sobie i chciał już odejść, siąść do fiakra, który czekał na niego pod rogatką i wrócić do miasta; gdy wtem usłyszał nad sobą brzęk szklanych drzwi prowadzących na balkon i równocześnie ujrzał dwie osoby wychodzące z pokoju. Wsunął się pod bramę, by nie być spostrzeżonym i słyszał następującą rozmowę:

— A ztąd będziesz miała rozległy, cudowny widok na całą okolicę aż po sine góry. Urządzimy tu jeszcze markizę i postawimy kilka oleandrów na balkonie.

— Ach, jakiś ty dobry, odezwał się głosik kobiecy znany już dobrze Władysławowi i równocześnie dał się słyszeć odgłos serdecznego pocałunku, który wywołał chmurę niezadowolenia na czole podsłuchującego.

— Jak tu pięknie, jak tu swobodnie można oddychać, mówiła dalej panienka.

— I nie będzie ci się tu nudzić, spytał mężczyzna.

— Jak możesz o to pytać? mnie tu będzie jak w niebie.

— Może ty chciałabyś zabaw, wieczorów tańczących, a tu u mnie tego nie znajdziesz.

— Ja chcę tylko świata, powietrza i nieba dużo, a będzie mi bardzo dobrze. Tylko mnie nie posyłajcie do klasztoru więcej, bo ja, ja bym uciekła albo sobie co złego zrobiła.

— Nie bój się, nie pójdziesz tam już więcej.

— A czy mówiłeś już z marną?

— Nie jeszcze.

— A jeżeli ona nie przystanie, abym była przy tobie?

— Będziemy szukali różnych sposobów skłonienia ją do tego, odezwał się mężczyzna, a w powolnym jego głosie znać było głęboki namysł i wahanie i po chwili odezwał się:

— A nie będzie ci tęskno bez mamy?

— Wszak będę ją widywać często?

— To wątpię.

— Dla czego?

— Bo mama podobno wyjeżdża na długi czas z kraju.

Nastała chwila milczenia. Potem panienka odezwała się:

— Jakto i ja już całkiem nie będę mogła widzieć mamy?

— Nie wiem, być może.

— A gdybym pojechała z nią, to bym znowu ciebie nie widziała ojczulku, o, nie nie, nie chcę, zawołała z pośpiechem i rzuciła mu się na szyję.

— Więc mam przyjechać jutro po ciebie?

— Przyjedź, przyjedź; mnie byłoby bardzo źle, smutno bez ciebie.

Mężczyzna ucałował córkę w czoło i wszedł z nią do pokoju.

Władysław nie czekał ich wyjazdu z fabryki, wrócił do fiakra i kazał się wieść do swego mieszkania. W drodze rozmyślał nad tem co słyszał. Więc baronowej mąż żył i to tak blisko niej, a on o tem dotąd nie wiedział, bo ani baronowa, ani Artur nigdy mu nie wspominali o tem. Był pewny, iż mąż baronowej albo umarł, albo żyje gdzieś za granicą. Dowiedziawszy się, że tak nie jest, podziwiał odwagę baronowej— a raczej zuchwałość jej, że może pod okiem męża wieść takie życie, jakie ona prowadziła. Nie wiedział teraz jak sądzić o tem małżeństwie, które z dwojga zawiniło i było powodem rozłączenia, on czy ona? Dotąd sądził, że on; ale dziś z podsłuchanej rozmowy wyniósł inne przekonanie. Spokój i powaga, z jaką Milutyński rozmawiał z córką, dały mu inne wyobrażenie o tym człowieku. W każdym jego słowie przebijał się charakter i godność. Tego sobie tylko wytłumaczyć nie umiał, dla czego mąż baronowej mieszka w fabryce; słyszał bowiem, że był podobno bardzo bogatym; jeżeli tak jest, to dla czego zajmuje się fabryką. Według wyobrażeń Władysława było to ubliżeniem, upokorzeniem być fabrykantem i niechętnie myślał o tem, że ten fabrykant jest ojcem owego ślicznego stworzonka w niebieskiej sukience.

Te myśli niepokoily go, uczeptyły się go i prześladowały przez noc i jeszcze dnia następnego opędzić im się nie mógł.

— Co mnie to obchodzi mówił sobie zły na siebie, że tych myśli pozbyć się nie może, co mnie do rodzinnych stosunków baronowej, co do jej córki. Mętne i niejasne tam wszystko; najlepiej będzie wycofać się i przestać tam chodzić, zwłaszcza że Jadwinia sobie tego nie życzy.

Ale znowu tak przestać bywać bez powodu, wydawało mu się niegrzecznością, brakiem wychowania i delikatności.

— Nie, tak nie można, rozumował sobie, dałem słowo baronowej, że przyjdę. To mnie przecież nie może kompromitować, że tam pójdę, a będę się trzymał w granicach grzeczności, będę bywał coraz rzadziej, aż przestanę zupełnie. Takie wycofanie się będzie najstosowniejsze.

I nie wiem, czy aby prędzej zacząć to wycofanie się, czy inny powód skłonił go, że tego jeszcze dnia wybrał się z wizytą do baronowej. Nie zastawszy w przedpokoju nikogo wszedł bez meldowania się do salonu. Ale i tutaj nie było nikogo. Był pewnym, że baronowa wyszła do dalszych pokoi i siadł, aby zaczekać na nią, a że fortepian był otwarty, więc dla skrócenia czasu przesiadł się do niego i wziął od niechcienia kilka akordów, potem zapomniał że nie jest u siebie i począł grać na dobre przechodząc z jednego utworu w drugi i wiążąc urywki różnych pieśni w fantastyczną całość. Trwało to dość długo i Władysław po niewczasie przypomniał sobie, że trochę za poufale było wejść do czyjegoś domu i rozsiadać się jak w swoim własnym do gry, nieprzywitawszy się poprzednio z gospodynią. Chciał naprawić swoją winę i wstał chcąc iść przeprosić baronowę, gdy odwróciwszy się zobaczył przed, sobą, zamiast baronowej, jej córkę. Złapana na gorącym uczynku podsłuchiwania, zaczerwieniła się jak malina i chwyciła się usteczkami za końce paluszków, a oczy spuściła ku ziemi. Władysław także się zmieszał i niewiedział czy się witać z tą, którą już znał przez połowę, czy udać, że nie wie, kto ona. Po chwili dopiero z pomiędzy mnóstwa pytań, które mu się nawijały, zdecydował się obrać jedno i zapytał się:

— Czy pani baronowa przyjmuje?

— Mamy nie ma w domu, odrzekła Kornelka nieśmiało.

— Nie ma? Ach, w takim razie mocno przepraszam panią, że śmiałem bez pozwolenia rozrządzać

fortepianem; wstał i wziął za kapelusz.

— Jak to? pan już nie będzie grał więcej? spytała ze smutkiem.

— Czy pani sobie życzy tego?

— Czy ja sobie życzę? Boże! ja bym słuchała i słuchała, nie wiem jak długo.

Władysław się uśmiechnął pobłaźliwie, z tej naiwnej szczerości.

— Pozwoli pani, rzekł, że najprzód się pani przedstawię, bo pani mnie jeszcze nie znasz, zdaje mi się?

— O! znam już pana, wszak pan wczoraj grałeś tutaj u mamy, nieprawda?

— Tak.

— A widzi pan, poznałam. O! bo pan grasz tak ładnie, że ja w życiu nic podobnego nie słyszałam.

U nas w klasztorze także grano, ale to nie była muzyka. Ach, co ja bym dała, żeby tak grać mogła; suszyłabym chętnie piątki i soboty.

— Nie jest to znowu nic tak trudnego; ucząc się można się nauczyć.

— Tak, od dobrego nauczyciela, to może, ale my miałyśmy takich lichych metrów.

— Można poszukać lepszego.

Kornelka popatrzyła uważnie w oczy mówiącego i po małej chwilce zastanowienia rzekła:

— A może pan jesteś sam nauczycielem muzyki?

Władysław uśmiechnął się znowu i chcąc przedłużyć miłą mu rozmowę, odważył się na mistyfikowanie naiwnego dziewczęcia i rzekł:

— Do usług pani.

— Ach, jak to dobrze, poproszę mamy i będę brać od pana lekcye.

Nagle przypomniała sobie coś i rzekła: a! to niepodobna, bo....

— Bo co? dopytywał Władysław zbliżając się z ujmującą słodyczą do Kornelki i chciał wsiąść ją za rączkę, którą trzymała wyciągniętą; ale dzwonek odzywający się w przedpokoju przeszkodził temu.

— Mama pewnie wraca, zawołała i ruszyła się z miejsca jak spłoszona sarneczka.

— I cóż z tego?

— Mama gniewałaby się, że tu jestem, bo mi zabroniła pokazywać się gościom.

To powiedziawszy dygnęła mu po pensyonarsku i frunęła do swego pokoju. Władysław patrzył za nią rozmarzony, oczarowany wdziękiem, niewinnością i prostotą, która tak szczerze spowiadała mu się ze swoich wrażeń i upodobań. Wychowaniec salonów pierwszy raz w życiu spotkał coś podobnego.

Wejście baronowej niepozwoiliło mu oddawać się dłużej kontemplacyi, zwrócił się szybko by ją, powitać.

— A to pan, rzekła podając mu rękę na powitanie i siła się uśmiechnąć; ale w twarzy jej malował się niehumor i zakłopotanie, którego ukryć nie mogła. Władysław spostrzegł to i zapytał:

— Co pani jest? Może nie w porę przyszedłem, może....

— Czy biła już trzecia?

— Za parę minut. Pani oczekujesz kogo?

— Niestety muszę przyjąć pewną osobę. Dałabym wiele za to, aby się pozbyć tej wizyty, szczególnie teraz, gdy mnie pozbawia pana.

— Przyjdę, kiedy każeś baronowo.

— Czy mogę na to rachować? spytała z rozjaśnioną już twarzą. A więc czekam pana z obiadem. Dobrze? Za godzinę będę już całkiem swobodną. Wyświadczysz mi pan tem prawdziwą przysługę, bo towarzystwo pańskie zatrze niemiłe wrażenie, jakie zrobi na mnie oczekiwana wizyta.

— Z każdej ta pewność, że wizyta ta będzie tak nieprzyjemną.

— Ach, wiem, wiem, powtórzyła roztargniona, z obawą oczekując tej chwili, chciałabym, żeby już minęła co prędzej.

— Czyż nie wygodniej nieprzyjąć?

— Muszę, są powody, ważne powody. Zdaje mi się że już słyszę kroki na schodach. Do widzenia więc panie Władysławie. Gdybyś nie dotrzymał słowa, byłoby mi bardzo smutno, jeść obiad samej. Ostatnie słowa dodała po małej pauzie dopiero.

— A Artur? spytał Władysław.

— Jest dzisiaj na proszonym obiedzie.

— Więc będę z pewnością.

Pocałował ją w rękę i wyszedł z pośpiechem. W przedpokoju spotkał jakiegoś mężczyznę wysokiego, już nie pierwszej młodości i nieco łysego.

W twarzy i spojrzeniu przybyłego malował się czysty, szlachetny spokój, który mimowoli budził szanowanie i imponował. W zachowaniu się jego była poważna pewność siebie, bez dumy. Władysław spotkawszy się z wejrzeniem tego człowieka zmieszał się czegoś i ukłonił mu się, czego ten jednak nie uważał, gdyż w tej chwili zwrócił się do lokaja i o coś spytał. Głos nie był obcym Władysławowi, pamiętał go dobrze z wczorajszej podsłuchanej rozmowy. A więc to ojciec jej, pomyślał sobie i za nim wyszedł rzucił jeszcze na niego badawcze, ciekawe spojrzenie.

— Czy pani baronowa jest w domu? spytał przybyły lokaja.

— Jest.

— Przyjmuje?

— Kogóż mam zameldować?

— Powiedz, że chcę się z nią widzieć ktoś, kogo miała oczekiwać o trzeciej.

Lokaj wszedł do salonu i za chwilę wyszedłszy zostawił drzwi otwarte:

— Pani baronowa prosi.

Pewnym i spokojnym krokiem wszedł fabrykant do pokoju baronowej; powitanie było milczące i sztywne; baronowa wskazała gościowi ręką fotel i sama usiadła.

— Wiesz pani już zapewne od adwokata w jakim celu tu przybyłem, rzekł tenże siadając.

— Uprzedził mnie już o tem, jednakże muszę panu przypomnieć, że opiekę nad córką przyznał mi sąd.

— Wiem że prawo jest za panią; to też przyszedłem tutaj nie w zamiarze odwoływania się do prawa, tylko do rozsądku pani; Kornelka skończyła już lat szesnaście i nauki w klasztorze. Cóż pani myślisz z nią dalej zrobić?

— Mam zamiar wysłać ją do wyższego instytutu do Drezna.

— Słyszałem o tem. Ale za parę lat ukończy nauki i w tym instytucie, a co po tem będzie? Całe życie po klasztorach i pensjonatach trzymać jej pani nie możesz, a w domu pani pobyt dla niej jest niemożliwym, sama to pani przyznasz. Dla szczęścia jej przyszłości potrzeba więc koniecznie, abyś się pani zrzekła nad nią opieki. Jeżeli więc idzie pani choć trochę o szczęście córki, to spodziewam się, że przystaniesz na moją propozycję.

— Więc pan chcesz zabrać ją do siebie? Na jak długo?

— Na zawsze, a przynajmniej aż do jej zamaż pójścia.

— Jak to? Mam jej nie widywać? spytała ostro, marszcząc brwi.

— Mówiłem pani, że to dla jej szczęścia. — Więc dla jej szczęścia potrzeba by mnie nie widywała?

— Tak potrzeba, by świat wiedział, że pani nie masz na nią żadnego wpływu.

— I dla czegoż to?

Pytaniu temu towarzyszyło dumne spojrzenie, które jednak gościa nie zmieszało, spokojnie odrzekł:

— Pomyśl tylko pani sama, czy, gdybyś miała syna, pozwoliłabyś mu starać się o rękę panny, o której matce świat by mówił.

— Panie! przerwała mu żywo wstając obrażona.

— Daruj pani, nie chciałem obrazić, chciałem tylko zwrócić uwagę pani na opinią ludzką.

— I chcesz pan, aby opinija ta depreczając mnie, mogła jeszcze dołożyć do swoich zarzutów ten, że jestem złą matką.

Nie będziesz nią pani zgadzając się na to, czego żądam.

— Tak, w oczach pana, ty będziesz wiedział o powodach, które mnie do tego skłoniły; ale świat.

Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

Wiem, co mi pan powiesz, że nic nie mając już do stracenia, mogę stracić bez skrupułu imię dobrej matki; ale powinienesz pan o tem wiedzieć, że nawet najnędziejsza kobieta ma prawo do tego tytułu i nie wyrzekła się go bez wahania.

— Jeżeli tak pani idzie o ten tytuł, można temu zaradzić.

— Podaj pan sposób.

— Na przykład wyjeżdżając za granicę. Nieobecność uwalnia panią od opieki, a że jak pani utrzymujesz fundusze pani nie wystarczają na kosztowne życie za granicą; więc gotów jestem powiększyć, a nawet zdwoić tę sumę.

— Mam wyjechać?

— To zależy od woli pani, ja podaję tylko sposób załatwienia całej sprawy bez zwracania uwagi i oczów ludzkich.

Baronowa oparta o poręcz krzesła słuchała tych słów z twarzą na pozór spokojną, ale bladą jak ściana. Być może, że w piersiach jej odbywała się w tej chwili walka rozpaczna; ale za dumna, aby zdradzić się z uczuciami w obec męża, umiała zapanować nad wzruszeniem i odrzekła stłumionym głosem, z determinacją:

— A więc dobrze, zabierz ją pan.

— Miałem nadzieję, że pani usłuchasz głosu rozsądku. Dziękuję pani w imieniu córki. A teraz żegnam.

— Pan odchodzisz bez niej?

— Sądziłem że pani będziesz chciała z nią się pożegnać. Zresztą wypadaloby może, abyś ją pani przygotowała do tego, że masz zamiar wyjechać, że na ten czas zostawiasz ją pod moją opieką. Ten pozór zdaje mi się koniecznym.

— To prawda. Byłeś tu pan przezorniejszym niż ja i chcesz mnie oszczędzać przed nią. Umieć być wdzięczną panu za to. Jutro odeszłę ją do pańskiego mieszkania.

— Jeżelibyś pani to uważała za konieczne, możesz ją sama odwieźć.

— Pozwalasz pan?

— Postaram się na ten czas nie być w domu.

— Dobrze więc; sama ją odwiozę.

— Więc żegnam.

Odszedł skinąwszy poważnie głową. Po jego odejściu baronowa długi czas siedziała nieruchoma, jakby przybita do miejsca, w którym ją zostawił, była jakby w stanie osłupienia i snu magnetycznego; potem upadła na kanapę i zakrywszy twarz rękami głośno płakała. Rozczulenie jednak nie trwało zbyt długo i gdy Władysław pojawił się w salonie, miała już oczy osuszone z łez i twarz ożywioną

poważnym uśmiechem. Ale zaczerwienienie koło oczów zdradziło ją.

— Co ci jest baronowo? spytał Władysław z współczuciem, miałaś jakieś zmartwienie?

— Kłopoty rodzinne, odrzekła z udaną swobodą. Wysyłam córkę do Drezna.

— Więc nie do ojca?

— Ojca? spojrzała na niego rozszerzonymi oczami tak strasznie, że się aż cofnęła, z kądem wiesz o tem? spytała biorąc go gwałtownie za rękę.

Władysław był w kłopotcie co powiedzieć, bo nie miał odwagi powiedzieć prawdy i odrzekł po chwili namysłu.

— Domyśliłem się.

— Z czego?

— Z jego bytności. Wszak to był on, na niego czekałaś, nieprawda?

— Tak. A więc powiem ci prawdę, nie chcę przed tobą uchodzić za lepszą niż jestem, zdecydowałam się oddać mu córkę.

— I dla czego?

— Dla czego? Bo ja straciłam prawo nazywania się jej matką, jęknęła boleśnie. Stałam nierozważnie na pochyłości, nie myślałam wtedy, że mnie to tak daleko zaprowadzi. Ha, stało się, dodała sucho, z rezygnacją, trzeba cierpieć samej, aby ona przezemnie nie cierpiała.

Ta spowiedź krótka ale bolesna, wycisnęła łzy pocziwemu Władysławowi. Z rozpaczego szamotania się baronowej przekonał się, że tam na dnie pod śmiechem, wesołością było serce bolejące, czujące wstyd i upokorzenie i to przekonanie obudziło jego współczucie.

— Biednaś ty baronowo, rzekł z litością.

— O! biedna, biedna, bardzo biedna! zawołała i załkała głośno.

— I nie ma sposobu wyjścia z tego fatalnego położenia? odezwał się Władysław chcąc czemś pocieszyć nieszczęśliwą, coś powiedzieć na jej uspokojenie.

— Już zapóźno się wracać; niewiem nawet czy bym znalazła siłę na to. Ale nie wszystko jeszcze straciłam, dodała po chwili, skoro umiałam sobie pozyskać tak zacnego, szlachetnego przyjaciela i wyciągnęła ku niemu ręce, które on uściśnął i ucałował. Potem rozmawiali już spokojniej.

Niezadługo służący poprosił ich do stołu. Władysław podał ramię baronowej i poszli oboje do sali jadalnej powolnym krokiem; gdy w tem w pierwszych drzwiach ukazał się hrabia Artur. Władysław tak się zmieszał tem niespodziewanem zjawieniem się jego, że chciał puścić rękę baronowej; ale ona zatrzymała go i chłodno nie pokazując najmniejszego po sobie wzruszenia, odezwała się:

— A, pan Artur czy już po obiedzie?

— Nie było obiadu, odrzekł Artur z niechęcią, bo go zirytowała zimna krew i spokój baronowej.

— A to czemu? spytała tym samym tonem.

— Solenizant zachorował, czy coś podobnego.

— Więc będziesz u mnie na obiedzie?

— Jeżeli jest miejsce.

— Dla czegożby miało nie być.

Zadzwoniła i rzekła do wchodzącego lokaja:

— Jeszcze jedno nakrycie.

Poczem poprosiła gości, by usiedli obok niej i bawiła ich rozmową. Prawie sama jedna podtrzymywała rozmowę, bo Władysław był zażenowany i niespokojny, a Artur pochmurny i milczący.

IV.

Jesteśmy w redakcji jednego dziennika politycznego. Przy stole nakrytym sukniem zielonym, poplamionym atramentem i zarzuconym stosami gazet, siedzi mężczyzna podeszłego już wieku i robi korektę dziennika, na którą czeka przy drzwiach chłopiec z drukarni w niebieskiej bluzie.

Pokój w którym się znajdujemy, jest obszerny, ale brudny, zadymiony i ponury; kilka stołków i starych foteli, parę szaf i stół stanowią całe jego umeblowanie; na ścianach wiszą karty geograficzne, kalendarz podkreślony czerwonym ołówkiem i dwa duże sztychy w ciemnych ramach Lelewela i Mazziniego. W czarnych szafach na półkach widać bezładnie natłoczone różne pisma i książki, a na szafie najbliższej okna leży kilka tomów encyklopedyi, słownik Lindego, gotajski almanach i kodeks prawny. Monotonny ruch wahadła zegarowego przerywa ciszę panującą w pokoju, ciszę tak głuchą, że słyhać brzęk muchy tłukącej się po szybach okna i skrzyp pióra, którem od czasu do czasu poruszał po papierze pochylony nad stołem korektor.

Korektor ten był zarazem odpowiedzialnym redaktorem dziennika, a nazywano go żartobliwie Omnibusem; był to bowiem człowiek dla wszystkich i do wszystkiego, rodzaj popychadła, którem się wszyscy posługiwali i zastawiali, a który chętnie zgadzał się na to w błogiem mniemaniu, że jest użyteczną figurą w społeczeństwie, że pracuje dla dobra ludzkości. Życie tego człowieka było szeregiem drobnych ofiar i poświęceń zbytecznych. W szkołach jeszcze będąc poświęcał się za całą klasę, przyjmując na siebie odpowiedzialność za jakąś psotę, którą jego koledzy wypłatali profesorowi niemieckiego języka. Wskutek tego został wygnany ze szkół i pierwszy ten krok fałszywy sprowadził życie jego na wertepy, z których już nigdy na prosty gościniec wydostać się nie mógł. Był z kolei aktorem, braciszkiem w klasztorze, subjektem w księgarni, pisarkiem u adwokata, więźniem stanu, nauczycielem prywatnym, szukając na wszystkich tych drogach nie zabezpieczenia losu, bo o to jego rozegzaltowana dusza najmniej dbała, ale spełnienia jakiegoś posłannictwa, które sobie uroił, sposobności poświęcenia się dla ludzkości. Gorąca i żywa wyobraźnia podszeptowała mu coraz to nowe pomysły i niepozwaliała mu oddać się wytrwałej i spokojnej pracy, ale rzucała go w różne strony, na przeróżne zajęcia. Nawet małżeństwo jego nie było wynikiem skłonności serca ale poświęceniem; ożenił się bowiem z kobietą znacznie starszą od siebie, ubogą i nieładną a to dla tego, że kobieta owa doglądała jego ojca w chorobie podczas jego nieobecności i zajęła się była następnie pogrzebem. Omnibus uważał za obowiązek sumienia odpłacić jej ten czyn szlachetny, a nieznałazł innego sposobu tylko przez oddanie jej swej ręki i swego nazwiska, przez co pogorszył jeszcze swój los, nie polepszając w niczem losu żony. Bieda, przed którą dotąd jak mógł się chował, z łatwością go teraz odszukała i w domu jego urządziła sobie wygodne siedlisko. Bóg błogosławił małżeństwo, ale tylko dziećmi, których liczba doszła do półtuzina. Każdego innego widok tak licznej rodziny zagrożonej w każdej chwili nędzą, bez zabezpieczonego jutra napawał by przestraciem i w rozpacz wprawiał; ale Omnibusa mało to obchodziło, spychał biedę z dnia na dzień to jakim lichym zarobkiem to pożyczkami, z dobrą wiarą i śmiało szedł naprzód i nieprzestawał roić coraz to nowszych pomysłów dla uszczęśliwienia rodu ludzkiego: to zakładał stowarzyszenia, urządzał odczyty, zbierał składki na wydawnictwa ludowe, uczęszczał pilnie na wszystkie zgromadzenia publiczne, słowem zajmował się wszystkim i wszystkimi, tylko nie sobą, ani swoją rodziną. Ta lekkomyślna niedbałość na własny los byłaby doprowadziła go już nieraz do katastrofy, gdyby nie to, że zawsze w najkrytyczniejszej chwili znalazła się jakaś litościwa ręka, która ratowała od ostateczności idealnego szaleńca. Do takich ludzi litościwych należał także redaktor dziennika,

niegdyś uczeń Omnibusa, który dowiedziawszy się o jego przykrem położeniu, ofiarował mu opróżnione właśnie miejsce korektora przy dzienniku swoim. Omnibus przyjął to miejsce nie tyle dla poprawienia swego losu, jak raczej z przekonania, że na tem stanowisku będzie mógł niemałe usługi oddać ludzkości. Urząd korektora zdawał się jego zapalanej głowie niesłychanie ważnym, poprawiając pomyłki zecerów był pełen tego niezachwianego przekonania, że poprawia pisarzy, publicystów, że tem samem prostuje to, co by ludzkość całą mogło w błąd wprowadzić. Nadto z punktu swojego widzenia rzeczy wydał zaciętą walkę wszystkim wrogom ludzkości, degradując początkowe litery ich nazwiska z wielkich na małe i dopełniał tej zemsty z taką zaciętością, że gdy raz jeden ze współpracowników nie chciał zezwolić na taką śmieszność, Omnibus był gotów raczej zrzec się posady, niż jak się wyraził na włos odstąpić od swoich zasad. Ustępowano mu więc pobłażliwie ze względu na jego siwe włosy, poczciwość i ubóstwo, umieszczano nawet nieraz artykuły jego pióra, w których napuszystym, deklamatorskim tonem odzywał się do publiczności stosując szumne i wspaniałe frazesa do małych często rzeczy. Omnibus czuł się tem niezmiernie uszczęśliwiony, nie wątpił o wielkim wpływie, jaki piórem swoim wywiera na ludzi i nieraz z dumą powtarzał:

— My dziennikarze stanowimy ogromną potęgę z którą wrogowie ludzkości rachować się muszą. Prasa to ambona, z wysokości której przemawiamy do milionów.

Mówiąc bowiem o redakcyi, łączył się najściślej z nią i nigdy się inaczej nie wyrażał tylko: my to umieścimy, my poruszmy tę kwestyę i t. d. Do takiego wyrażenia się tym bardziej czuł się uprawnionym, że od jakiegoś czasu użyto nazwiska jego do podpisywania odpowiedzialnego redaktora. Czcza ta formalność była w jego oczach czemś tak wielkiem, że nie zamieniłby stanowiska swego na najkorzystniejsze posady, to też nieraz gdy żona narzekała na skromne dochody, ze zgorzeniem poskramiał jej lamenta i mówił:

— Wstydz się. Żonie męża, który kieruje tysiącami ludzi, nie przystoi narzekać na troski powszednie; myśmy powinni być wyżsi po nad te słabości, by świat co patrzy na nas, nie zgorzył się małością naszej duszy. Niech ci, co nie umieją żyć dla wszelkich idei karmią się i tuczą, niech aksamitami zasłaniają nagość i nędzę duszy; dla nas pracowników przyszłości dość tyle, byśmy jako tako utrzymać mogli tę zewnętrzną powłokę ducha, ubóstwo nas nie upokarza, bo przez każdą dziurę wytartej sukni naszej przegląda duch.

Poczciwa żona, nierozumiejac w większej połowie tych szumnych frazesów, w prostocie ducha korzyła się przed niemi w milczeniu i czuła się przekonaną; wierzyła bowiem ślepo w męża i jego mądrość, była dumną i szczęśliwą, gdy widziała z jakim uszanowaniem mieszkańcy przedmieścia, na którym mieszkali, pytali go się, co tam stoi w gazetach lub prosili go o przeczytanie którego numeru. Dla żony i dla tych ludzi Omnibus nie był wcale śmieszną figurą. Za to w redakcyi figura jego była przedmiotem tysiąca żartów i dowcipów; począwszy od chłopców z drukarni, każdy na biednym Omnibusie jak na szlifirskim kamieniu ostrzył swój język i nazywano go to Omnibusem, to cierpiętnikiem idei, to apostołem stowarzyszeń, a złośliwy kronikarz Urban nazywał go pogardliwie idiotą cierpiącym na rozmiękczenie serca i mózgu, choć sam nieraz korzystał z tej idiotycznej poczciwości i rad się nią posługiwał. Urban bowiem należał znowu do tych ludzi, którzy lubią i umieją żyć kosztem drugich, wyzyskiwać słabości drugich dla siebie, ale sami nie znają co to jest poświęcać się. Nie kochał nic i nikogo, nie wierzył w nic i nie miał innego celu życia, prócz zaspokojenia własnych zachceń i namiętności. Namiętności były jedynemi sprężynami, które ociążały masę jego cielska wprawiały w ruch i skłaniały do pracy, a dominującą namiętnością jego była zaciekle nienawiść do tych co po nad niego wyrosli, czy to majątkiem, czy znaczeniem, czy rozumem. Ta nienawiść zrobiła z niego demokratę; stając niby w obronie ludu, którym w duszy pogardzał i

nazywał głupim motłochem, miał sposobność zadostycuczynienia swej nienawiści do wielu ludzi; demokracja była dla niego bronią, którą bił swoich przeciwników i zarabiał na swoje utrzymanie. Ci, którzy bali się jego zjadliwej ironii i bezczelnej zuchwałości, usiłowali parę razy kupić go dla siebie i dla swych celów; ale Urban jak zażarty brytan nie dał się złapać na przynętę i z zajadłością rzucał się na tych, co go ująć sobie chcieli. Nie robił tego przez żadną katońską cnotę, dla jakichś moralnych pobudek; ale prosto dla tego, iż wiedział, że przechodząc do innego obozu utracił by to, co stanowiło jego siłę; talent jego bowiem był destrukcyjny, burzący; nienawiść poddawała mu genialne pomysły niszczenia przeciwników, szarpania ich i męczenia; a dokonywając tego w imię postępowych, liberalnych przekonań, był niejako wykonawcą publicznej sprawiedliwości; bez tego stał by się prostym rozbójnikiem literackim, któremu każdy człowiek mógłby bezkarnie w twarz plunąć. Nadto walcząc z tymi, których z duszy nienawidził, w nienawiści czerpał ochotę, zapął i werwę do walki; gdyby mu zaś przyszło zwrócić pióro przeciw obojętnym lub takim których lekceważył, skłonny do lenistwa umysł wnet by usnął i stępsiał. Nienawiść była dla niego rodzajem włosów samsonowych, która dawała mu siłę; dla tego nie chciał się z nią rozstać i wzgardliwie odpychał umizgi i pokusy, tych co go pozyskać chcieli., To zjednało mu rozgłos w demokratycznym obozie, unoszono się nad jego niezłomną cnotą, surowością i czystością zasad i miał nie małe koło zwolenników, szczególnie między klasą rzemieślniczą. Brutalne obejście się jego uchodziło tu za uczciwą prostotę, a despotyczne wybuchy za energią i hart woli. Tem on imponował i ujmował sobie tych ludzi. Dodajmy do tego, że na wszystkich zgromadzeniach i w dziennikarskich artykułach występował zawsze jako trybun ludu, w obronie praw jego, a nie będziemy się dziwić popularności, jaką miał Urban w pewnych kołach. Każdy artykuł czytano chciwie, bo każdy był rodzajem egzekucji dokonywanej w imię pokrzywdzonych praw ludu na bogatych i znanych osobistościach. W artykułach tych Urban nie popisywał się erudycją, której i tak miał nie wiele; nie szło mu wcale o piękne frazesy, język jego był nagi, bezczelny, pełen siły niszczącej i gwałtowny, nie oszczędzał nic, nie obwijał nic w bawełnę, ale rąbał jak siekierą bez litości a uderzeniom tym towarzyszył złośliwy i cyniczny dowcip, którym ośmieszał ofiary swoje wprzód, nim je zabijał moralnie. Mając rozliczne znajomości wiedział o wszystkim, co się w mieście działo, znał różne tajemnice rodzin, był rodzajem ścieku, do którego spływały te wiadomości skandaliczne, któremi potem ciskał w twarz tym, których chciał zgubić w opinii. Nie miał wtedy skrupułu ani litości i nie oszczędzał nikogo. Skandal był straszną potęgą w jego ręku, przed którą drżało wielu.

Takim był charakter tego człowieka. Powierzchność jego dobrze odpowiadała charakterowi: był niski, krępy, barczysty i otyły; głowa nieproporcjonalnie duża osadzona na grubym karku była pokryta gęstym, kędzierzawym włosiem, czoło niskie pogięte miało coś byczego w sobie, a czerwony nos i nabrzmiałe policzki nosiły na sobie widoczne ślady hulaszczego życia i gwałtownych namiętności. Chodził zwykle brudny, zaniedbany w ubiorze, z wielkim, sękatym kijem, który nazywał swoją strażą bezpieczeństwa, a którego głośnie stukanie anonsowało zawczasu jego przybycie. I teraz właśnie, gdy Omnibus kończył korektę, na schodach zasztukał kij Urbana, a po chwili wtoczył się on sam do pokoju.

— Redaktor w domu? spytał rzuciwszy czapkę na stół i usiadłszy zasapany na fotelu.

— Redaktor wyszedł razem z panem Antonim, odrzekł Omnibus nie przerywając roboty.

— Z Antonim! Ciągłe z tym panem Antonim, jaśnie wielmożnym panem Antonim. Nasz redaktor zakochany w nim jak Jowisz w Ganimedzie, obnosi go wszędzie na pokaz niby monstrancję. Tfu! wstyd doprawdy, żeby się tak cackać tem, co panom z nosa spadło.

Omnibus zgorszony był widocznie słowami Urbana i chcąc go zreflektować dał mu niemy znak pokazując oczami chłopca siedzącego na pace. Urban udał, że nierozumie i spytał:

— Cóż to ma znaczyć? Mów głośno bo ja się na migach nie rozumiem.

— To znaczy, odrzekł zażenowany Omnibus, że będę ci służył, tylko skończę korektę.

— Puść ją już do diabła. Mniejsza o to, że błąd zecerski zostanie, publiczność się tem mniej zgorszy i zepsuje niż temi błędami, które nasz dziennik popełnia teraz przeciwko zasadom naszym demokratycznym. Od jakiegoś czasu strasznie wybielał nasz dziennik i zachorował na przyzwoitość. Stało się to od tego czasu, gdy ten jaśnie wielmożny pan Antoni wstąpił do redakcyi.

Omnibus, którego widocznie drażniło i gorszyło, że Urban w obecności chłopca z drukarni rozpoczął taką rozmowę pospieszył się z korektą, by chłopca co prędzej wyprawić z pokoju.

Gdy zostali sami zwrócił się do Urbana i rzekł:

— Jakże można przy chłopcu mówić coś podobnego?

— O kim?

— No o Antonim.

— Alboż go uważasz za coś tak nieprzyzwoitego, że go trzeba za parawan chować? spytał Urban drwiąco.

— E! zawsze jesteś obrzydliwym cynikiem.

— A wy nigdy nie przestaniecie być obłudnikami. Jeżeli mówię prawdę, to nie widzę potrzeby robić z tego sekretu czy przed hrabią, czy przed chłopcem z drukarni. To mi wszystko jedno.

— Tym razem nie mówiłeś prawdy potępiając Antoniego, bo to człowiek prawy i bardzo wykształcony. Nie cierpisz go bo ci wlaź w drogę, od czasu jak wstąpił do redakcyi i objął kierownictwo. A jednak przez niego pismo wiele zyskało.

— Tak, trochę prenumeratorów. Kilkaset guldenów więcej w kasie i to kosztem idei demokratycznej. Piękne mi zwycięstwo. I to ty unosisz się nad tem, ty idealista, człowiek poświęcenia. O ciemiego.

— Nietylko pieniądześmy zyskali, ale i wpływ większy. Idee nasze szersze koło czytelników zdobyły sobie.

— Tak tylko, że do tych waszych idei żaden uczciwy demokratą się nie przyzna, boście je zfuszerowali, zfałszowali, jak srebrną monetę, przymieszką jakichś wodnistych teorii, jakie ten panicz Antoni przetransportował do nas z hrabskich przedpokojów, które wycierał przez czas długi.

— Jakto?

— Alboż nie wiesz nic o jego przeszłości?

Nic nie wiem.

— I dla tego bronisz go, bo nie wiesz, co to za ptaszek. Ojciec jego był fagasem jakimś u hrabiego Medarda, z którego łaski synalek skończył szkoły i wysługiwał im się potem za to. Ale widział, że tam karyery nie robi i przeszedł do nas. Mówcie co chcecie, ale ja niedowierzam takim neofitom; czem skorupka za młodu nawre, tem zawsze trąci; to też w nim zawsze czuć lokajską naturę. Ostatni jego artykuł widocznie zdradzał jego intencję; był to rodzaj umizgów do ultramontanów, drażni ich o tyle tylko, by im dał uczuć swoją siłę, ale widocznie chciałby wejść z nim i w jakiś kompromis i pozyskać ich sobie. To tylko zręczny karyerowicz.

— Wszak i bez tego ma świetną karierę przed sobą jako profesor uniwersytetu. Śliczna to karyera.

— Ale za mała dla jego ambicyi, jemu zachciewa się odegrać wielką rolę człowieka politycznego. A ten klub demokratyczny, który chce zakładać, czyż to nie dowód, że ten człowiek myśli tylko o własnem wyniesieniu?

— Jaki klub?

— Cóż to nie słyszałeś nic o klubie demokratycznym, który on proponował. Dziś ma się tuta

odbyć pierwsza narada i ułożenie statutów. Czyś nie dostał zaproszenia?

— Nikt mi o tem nie mówił.

— A widzisz, chcą bez nas załatwić wszystko, ułożyć, porozdzielać dygnitarstwa między siebie a potem zwołają zgromadzenie i będą chcieli przeprowadzić to co sobie ułożyli.

— A jednak taki klub to nie zła rzecz.

— Tak gdyby do tego wzięli się ludzie poświęcenia ludzie którym dobro ludu leży na sercu; ale nie ci, którzy chcą tylko z tego ciągnąć dla siebie korzyści. Czy się nie domyślasz o co chodzi temu panu Antoniemu? Wybory się zbliżają, a jego tu jeszcze nikt nie zna; chciałby więc dać się poznać. To jasne, to leży jak na dłoni.

— Więc sądzisz, że to dla własnego interesu? A, to by było niegodnie, nieuczciwie. A ja sądziłem, że to człowiek poświęcenia, pełen najlepszych chęci, najczystszych zamiarów.

— Boś go sądził podług siebie; ale jestem pewny, że nie zadługo przekonasz się, co to za ryba. On się tu wnet sam zdemaskuje. Zobaczysz go na zgromadzeniach, będziesz widział, jak będzie rej wodził, jak będzie chciał wszystkich wsiąść za łeb.

— To mu się nie uda.

— Nie udałoby się gdybyśmy się wzięli za ręce i zwalili ten plan jego.

— Jakto? Plan założenia klubu.

— Tak.

— Kiedy to taki doskonały pomysł. Zważ tylko, co tu za obszerne pole działania dla dobra naszej sprawy, co to za potęga taki klub.

— Tak, tylko nie w rękach takiego panicza, który wnet cały klub poprowadziłby do stóp jaśnie wielmożnych, gdyby ci tylko karierę mu zapewnili. Jeżeli ma być klub, to niech będzie, ale z naszych tylko ludzi, z klas pracujących, bo to jest istotna demokracja nasza. Inteligentna część, to sami karyerowicze, dotąd trzymają z nami, dopóki im się nie uda ucześcić pańskiej kłamki. Każdy z nich skoro trochę w pierze porośnie ucieka od nas. Takich ludzi strzedz nam się należy, bo źle by z nami było, gdyby oni wzięli kierunek w swoje ręce.

— I cóż na to robić? spytał zakłopotany Omnibus,

— Co? Alboż nas to mało, byśmy ich nie mieli przegłosować? Idzie tylko o zainteresowanie mas by wzięły liczny udział w zgromadzeniu, zrobić sobie większość i poddać naszą listę. Ty w twoich kółkach powinienes to poruszyć i propagować. Ja także nie zaśpię gruszek w popiele. Wybierzemy ludzi zacnych, znanych. Ot ty np. powinienes być w komitecie.

To mówiąc poklepał Omnibusa protekcyjonalnie po ramieniu. Ten zrobił skromną, pokorną minę i odezwał się nieśmiało:

— Ale z kądże znowu ja? Ani zdolności po teani siły.

— Jesteś człowiekiem poświęcenia, to więcej znaczy, niż uczony a przewrotny i wątpliwy. Cicho, ktoś idzie.

Spojrzał w szklane drzwi prowadzące do przedpokoju, na których zarysowała się jakaś postać.

— A, to doktor Seweryn; to także adorator tego karyerowicza; encyklopedya chodząca. Nie lubię tego człowieka.

— Materyalista, szepnął ze wstrętem Omnibus i odwrócił się ku oknu niechętnie. Urban wziął w rękę gazetę i udawał mocno zaczytanego; dopiero na głos przybyłego podniósł głowę i udając zadziwionego odezwał się:

— A, to doktor Seweryn.

— On sam. Cóż porabiacie? Czy dziennik już wyszedł?

— Za pół godziny wyjdzie, odrzekł Omnibus, a po chwili dodał: jakoś pan doktor teraz stał się

pilniejszym w odbieraniu naszego dziennika.

— Rzeczywiście od jakiegoś czasu czytam go z przyjemnością i zajęciem.

— I od jakiegoż to czasu? spytał z przekąsem Urban.

— Odkąd przybrał charakter dziennika politycznego, odrzekł doktor.

— A jakież przedtem miał charakter?

— Przedtem, odparł doktor nie zmieszany wcale groźnem spojrzeniem, jakie na niego rzucał Urban, przedtem zakrawał bardzo na ulicznika, który się przedrzeźnia ludziom, rzuca na nich błotem i napastuje.

— A wy byście chcieli, żeby się po lokajsku kłaniał. Rozumiem was. W liberyą myślicie przystroić ulicznika. Na to się zanosi. A wiecie do czego was to zaprowadzi? to jest nie was bo o was mi nie chodzi, ale o dziennik? Oto zgubicie go. Cała ta niby przemiana charakteru pisma doprowadzi w końcu do ruiny. Nie podejrzewam, żeby to leżało w czyichś planach tak wykierować dziennik lubo i to przypuszczać mogę; ale koniec końców do tego przyjść musi. Skoro dziennik nasz straci charakter opozycyjny, straci tem samem racją bytu i djabli go wezmą. Skoro walka ustanie publiczność powie nam: jesteście niepotrzebni i puści na urlop. Tylko walka daje nam prawo bytu i tę walkę w imię postępu wypisaliśmy w programie naszym i wierni jej będziemy. Przynajmniej ja! jak pies będę strzegł tego sztandaru i gryść będę bez litości, kto się targnie na niego.

Mówiąc to uderzał silnie sękatym kijem w podłogę, a twarz rozogniła się karmazynowym rumieńcem. Doktor słuchał go spokojnie i mierzył poważnem spojrzeniem. Gdy skończył mówić odezwał się:

— I do czegoż ta zajadła walka doprowadzi?

— Do zwycięstwa.

— Nigdy. Ona tylko roznamiętni więcej umysły, rozżarzy nienawiść; ale nic dodatniego nie stworzy. I ja zgadzam się na to, że walczyć nam trzeba; ale niech walka nasza nie ograniczy się na bezrozumnym krzyku pod murami fortecy, z której urągają nam przeciwnicy i śmieją się z naszej bezsilności. Nam trzeba stawiać zasady postępu i wolności, jak bastiony i coraz bliżej podsuwać się pod mury tej fortecy, w której przesady, wsteczność i ciemnota obrały sobie siedlisko. Im wznioślejsze będą zasady nasze, tem łatwiej zapanujemy nad nieprzyjacielem i pokonamy go. A pokażcie mi czy dotąd pismo wasze dużo takich bastionów postawiło? Ruszaliście się w ciasnem kółeczku małych namiętności i prywatnej polemiki; a tu tyle ważnych kwestyi leży odłogiem, które poruszyć należało. Powiedz, coście dotąd nauczyli czytelników waszych? nienawidzić i nic więcej, a tu trzeba było myśleć jak ich oświecić, pokazać im, gdzie leży ich siła, gdzie źródła ich dobrobytu, w jakim kierunku iść mają i nad czem pracować. Otóż tego chciałem od waszego pisma i to dziś znajduję. Ostatnich kilka artykułów wstępnych czytałem z prawdziwą radością, widać w nich szerszy pogląd na stosunki nasze, głęboką ich znajomość i trzeźwość w sądach.

Urban słuchał tej długiej perory doktora z twarzą rozpaloną gniewem w pochwałach bowiem dla nowego kierunku dziennika widział jasno podnoszenie zasług człowieka, którego nienawidził, bo z wejściem jego do redakcyi uczuł się w stanowisku swoim zachwiany i pozbawiony wpływu? jaki dotąd na redaktora wywierał. Mimo to przez cały ciąg dysputy, jaką, dalej jeszcze prowadził z doktorem, nie wymienił ani razu nazwiska Antoniego, nienawiść jaką czuł do tego człowieka za głęboko siedziała mu w sercu, by za pierwszym podrażnieniem miała wybuchnąć w słowach; chował on dla niego dotkliwsze ciosy, niż te, któreby mógł zadać słowami i dla tego nie zdradzał się, choć oburzenie i złość szarpały nim. Nie mogąc w poważnej dyspucie pobić doktora i odeprzeć jego zarzuty, bronił się złośliwym dowcipem i szyderstwem. Dysputę przerwało wejście hrabiego Jerzego. Jak wiemy był to zrujnowany hrabia, który dla braku pieniędzy i zdolności, nie mogąc sobie

wyrobić stanowiska między swoimi, przrzucił się do liberalnego obozu i grając rolę zapalonego demokracji, ubiegał się tutaj o wpływ i popularność. Mimo to znać było w całym jego obejściu ten gwałt jaki sobie zadawał zmuszając się do życia z ludźmi, których uważał za niższych od siebie i nie mógł się pozbyć tonu protekcyjnego którym dawał do poznania, jaką wielką łaskę wyświadcza tym ludziom zniżając się do nich. Dumna i sztywna postawa jego była w rażącej sprzeczności z zasadami, z którymi się głośno i ostentacyjnie popisywał.

Wchodząc teraz do redakcji trzymał w ręku świeży numer dziennika i kiwnąwszy z lekka głową obecnym zbliżył się do Urbana z zapytaniem:

— Panie Urban, dla czego w dzisiejszym numerze nie widzę mego artykułu?

— Owszem, artykuł pański o wyborach umieszczony. Wszak prawda Omnibusie?

— Tak.

— To jeden, ale ja panom posłałem drugi, o tej broszurze pana Antoniego, jakżeż ona się to nazywa.

— „Kościół i cywilizacja,” odpowiedział Seweryn z ironicznym naciskiem.

— A tak, tak, otóż napisałem kilka słów o tej broszurze i pochwaliłem ją trochę.

— Gdybyś ją był pan bardzo nawet pochwalił, jeszcze byś nie był przesadził, odezwał się znowu doktor.

— Tak, to nie zła rzecz, a przytem to chłopak biedny, przychylna więc recenzja wieleby mu pomogła do rozsprzedania tego dziełka.

— Więc pan z litości nad kieszenią autora pochylił to dzieło? Mnie się zdaje, że niepotrzeba było szukać aż takich motywów do napisania recenzji, bo dzieło Antoniego jest zaszczytem i chlubą dla nas. Dawno już nie zdarzyło mi się czytać w polskim języku dzieła napisanego z taką erudycją, znajomością rzeczy a przytem tak postępowego, a umiarkowanego i spokojnego z jakim autor traktuje przedmiot, jest może najsilniejszą bronią, jaką kiedykolwiek zaatakowano obóz wsteczny, bo nieroznamiętniając przekonywuje mnogością faktów i samą prawdą zwycięża.

Doktor słowa te wypowiedział gorąco, ostrym nieco tonem, który dotknął i obraził hrabiego; dla tego też uważał za stosowne nic nie odpowiedzieć mówiącemu i z lekceważeniem odwróciwszy się od niego zapytał Urbana:

— Czyś pan nie odebrał tego artykułu?

— Owszem; ale zdawało mi się, że umieszczenie go w naszym piśmie nie byłoby bardzo właściwem.

— A to dla czego?

— Autor jest naszym współpracownikiem, byłaby to więc oratio pro domo sua. Nam nie wypada chwalić siebie samych.

— Więc chcecie chwalić ludzi przeciwnych wam przekonaniom? spytał doktor.

Urban rzucił mu za to pytanie z podełba spojrzenie zjadliwe i groźne a potem zwróciwszy się do hrabiego mówił dalej:

— A przytem hrabia zapewne wiesz, że dzieło to zostało wyklęte.

— I cóż to znaczy?

— Tak, w obec naszych zapatrywań jest to głupstwo; ale dla ludzi nie inteligentnych klątwa kościoła ma jeszcze wielkie znaczenie.

— Cóż nas obchodzić może sąd motłochy, chciałem powiedzieć nieinteligencji.

— Ci ludzie są wyborcami, a w obec zbliżających się wyborów trzeba nam rachować się z nimi.

Argument ten zręcznie podsunęty przez Urbana stanowczo pokonał literacki zapal hrabiego; żywił on bowiem w duszy gorące pragnienie zostania posłem, był nawet prawie pewnym tego, że

obóz demokratyczny przez samą wdzięczność za to, że on hrabia raczył się zniżyć do nierównych urodzeniem, będzie sobie uważał za zaszczyt wybrać go na posła. Urban domyślał się tych tajnych pragnień hrabiego i umiał wyzyskać słabość jego. Hrabia już nie nalegał o wydrukowanie artykułu, zaczął coś niewyraźnie mówić o koniecznych poprawkach, o chęci zabrania go do domu, w końcu uważał, że podpis jego na tym artykule jest zbyt cennym i niby przeglądając manuskrypt, bawiąc się nim, przez zapomnienie niby włożył go do kieszeni.

Doktor obserwował z ironicznym uśmiechem tę taktykę hrabiego i miał chęć zrobić mu jakąś uwagę, ale wejście redaktora i Antoniego wstrzymało go od tego.

Redaktor był to człowiek młody jeszcze, mógł mieć najwyżej lat trzydzieści parę, wielkiej poczciwości i zacności pełen dobrych chęci, ale trochę entuzjasta i gorączka, przez co działo się, że nieraz dawał się unosić chwilowym prądom i wpływom osób które umiały go zentuzjasmować i porwać za sobą. Tak przez długi czas zostawał pod wpływem Urbana, który mu imponował brutalną siłą słowa, gburowatą prostotą demokratyczną i bezwzględnością, z jaką wypowiadał swoje przekonania i opinie o faktach i ludziach. Doświadczenie jednak przekonało go, że kierunek ten był najzgubniejszym dla dziennika. Folgowanie dzikim rozpędowi Urbana zaniósł pismo na bezdroża, dziennik odbywał rodzaj szalonej jazdy i druzgocząc przeciwników i sam się mocno nadwreżył i odstręczył rozsądnych a umiarkowanych od siebie. Pędząc tak dalej w zaślepieniu byłby pociągnął ze sobą do ruiny redaktora, który całą swoją niewielką fortunę włożył w to wydawnictwo, gdyby wejście Antoniego do redakcji nie było nadało inny kierunek pismu i nie powstrzymało od ruiny. Dziennik znowu począł zyskiwać uznanie i prenumeratorów, a lubo cyfra tych była bardzo jeszcze mała, jednak pokrywała choć w części koszt wydawnictwa i nienarazała wydawcę na takie straty jak przedtem. Ale co najważniejsza dziennik podniósł się moralnie, artykuły jego wzbudzać musiały poszanowanie nawet u przeciwników z powodu głębokości poglądów i ważności spraw, które poruszały.

To też redaktor całą sympatią swoją zwrócił na nowego współpracownika, traktował go z uszanowaniem i troskliwością i był mu całkiem oddany. Antoni przyjmował te oznaki żywej sympatii redaktora dość chłodno i obojętnie, jak coś, co mu się należało. Nienależał bowiem do ludzi którzy umieją być serdecznymi i przyciągać do siebie.

Owszem w obejściu się jego było coś, co odsuwało ludzi od niego i robiło ich nieśmiało; łatwiej było szanować go, niż kochać. Małomówny i chłodny nie umiał zjednywać sobie serc i zdawało się, że tego niepotrzebował. W charakterze jego przeważała ambicja, malowała się ona wyraźnie w jego spojrzeniu nieco nachmurzonym i posępnym, w wąskich zaciśniętych ustach. Będąc wysokiego wzrostu trzymał się nieco pochyło, tak aż rzadka broda jego opierała się i rozkładała na piersiach, a przez to oczy nabierały jeszcze więcej ponurości. Ruchy jego były niespokojne, nierówne, zdradzały ciągły niepokój; coś burzyło w nim i gotowało się ciągle. W ściągłej twarzy i wysokim czole znać było pracę ducha i czynność niezmordowaną. Kiedy wszedł do redakcji podniósł nieco głowę i objął obecnych przenikliwym spojrzeniem, co miało znaczyć powitanie, zdjął jasne palto i dobywszy, niego jakieś papiery zbliżył się do doktora podając mu rękę na powitanie. Tymczasem hrabia zwrócił się do redaktora i rzekł:

— Już od pół godziny czekamy.

— Daruj hrabio, ale miałem ważny interes, nowy kłopot, zecerzy zrobili między sobą znowu podniesienie im płacy, w skutek tego musiałem robić nowy układ z drukarzem.

Wiadomość ta zdawała się cieszyć Urbana, bo ponura twarz jego rozjaśniła się, a kij sękaty poruszył się w ręku i zasztukał o podłogę.

— Możemy więc teraz rozpocząć, bo już nie mam wiele czasu — odezwał się doktor patrząc na

zegarek.

— Brakuje jeszcze wielu rzekł Urban.

— Sobie niech przypiszą winę, jeżeli nie przyszli — odpowiedział doktor — czekać nie podobna, zresztą wątpię, aby przyszli. Już siódma.

— Trudno nam radzić bez nich — trzeba odwołać posiedzenie.

— Więc proszę panów, rzekł redaktor otwierając drzwi do drugiej sali. Było to mieszkanie samego redaktora, urządzone z pewną elegancją a nawet zbytkiem. Urban nie lubił tego salonu, mówił, że czuć go arystokracją, a złocone buty jego i sękaty kij czuły się jakby obcemi na gładkiej posadzce. W chwili gdy redaktor wprowadzał tam gości swoich, służący zapalał właśnie duże świeczniki stojące na stoliku przed kanapą. Na stoliku leżały porozrzucone kartki papieru i ołówki przygotowane na posiedzenie. Gdy weszli redaktor spojrział na Antoniego i rzekł:

— Więc rozpocznij.

— Za pozwoleniem — odezwał się hrabia — nie przekraczajmy wymagań parlamentarskich. Kogóż obierzemy na prezesa?

Hrabia kochał się w tytułach i lubił piastować godności choćby chwilowe.

— A do czego prezes? spytał Antoni.

— No, do kierowania obradami.

— W tak małej liczbie zdaje mi się że każdy będzie miał dość sposobności i czasu do wypowiedzenia swego zdania. Zresztą będzie to raczej pogawędka. Idzie o to panowie. Wróciwszy do kraju po dłuższej niebytności zostałem niemiłe uderzony tem, co was panowie oswojonych więcej ze stosunkami kraju, nie razi może tyle; zostałem uderzony brakiem solidarności, spokojności w obozie demokratycznym. Podczas gdy zagranicą stronnictwo to zorganizowane silnie w różnych stowarzyszeniach, zdobywa sobie coraz szersze podstawy bytu, u nas zaledwie tu i ówdzie widać pojedyncze działania postępowych ludzi na własną rękę, to też działania te niepoparte liczbą marnują się, ulegają przeciwnościom, z którymi im walczyć przychodzi i przepadają bez wpływu. Otóż mam myśl złączenia tych rozproszonych i odosobnionych sił w formie klubu demokratycznego; idzie bowiem o to, abyśmy się policzyli, poznali wzajem, porozumieli względem dróg i celów naszych i w ten sposób stworzyli potęgę i zapewnili zwycięstwo naszym ideom. Zadaniem więc takiego klubu będzie porozumienie się w kwestyach politycznych, a zarazem obznajomienie z temi kwestyami i ich doniosłością szerszego koła naszej publiczności; będzie więc klub miejską szkołą polityczną, w której wyrabiać się będą trzeźwe zdania, jasne poglądy na stosunki nasze i jednomyślności, które pociągnie za sobą zgodność działania na zewnątrz. Niezadługo nadarzy nam się właśnie taka chwila wspólnego działania, zbliżają się wybory, rzeczą więc klubu będzie porozumieć się co do kandydatów i zapewnić im głosy.

Przy tych słowach Urban z Omnibusem zamienili spojrzenia nawzajem; wzrok Urbana zdawał się zwracać uwagę Omnibusa, jakby mu mówił: a co nie mówiłem? A Omnibus odpowiadał mu wzrokiem: zgadłeś. Antoni nie zauważył wcale tego niemego porozumienia i mówił dalej.

— O ile wiem, pewna część demokratów ma już gotową listę kandydatów; miałem ją nawet w ręku; ale przyznam się panom, że nie byłem wcale zbudowany wyborem. Nieubliżam tym panom, są to ludzie prawi, nawet poniekąd zasłużeni krajowi, ale nieodpowiadają ważności obecnej chwili, nie mają kwalifikacji na posłów.

— A to czemu? spytał z pewnem oburzeniem

Omnibus, lista bowiem kandydatów odpowiadała całkiem jego przekonaniu.

Antoniego jednak nie zmieszał ostry ton zapytania, owszem wywołał na jego twarz pogardliwy i lekceważący wyraz, uważał bowiem Omnibusa za zero i nie myślał nawet mu odpowiadać, ale gdy

Urban także ujmując się za Omnibusem postawił mu to pytanie, odrzekł im bez ogródki:

— Oto dla tego, że nie reprezentują naszego stronnictwa, ale tylko pewne jego i to najskrajniejsze tendencje.

— Więc to ich zbrodnia, że są zacieklemi demokratami?

— W tym razie można to nazwać zbrodnią a przynajmniej wielkim błędem. Gdyby szło tylko o walkę między stronnictwami, jakie się wyrobiły w kraju, może w ostateczności zgodziłbym się na wybór tych ludzi; ich skrajność i zaciekłość znalazłyby odpowiedni żywioł w ultramontańskim obozie; ale tu idzie o walkę z narodowością, która nas chce pochłonąć lez względu na to, czy jesteśmy ultramontanami, czy demokratami; w radzie państwa w Wiedniu idzie nie o przewagę jednego lub drugiego stronnictwa naszego, ale o byt nas wszystkich, o wspólne nasze prawa. Potrzeba więc wybierać na posłów ludzi umiarkowanych i rozsądnych, którzyby umieli zapanować nad parcyalnemi nienawiściami i celami i w danym razie iść ręką w rękę z wybrańcami drugiego obozu przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, przeciw centralom wiedeńskim. Że proponowani kandydaci nie dają rękojmi takiego umiarkowania i zaparcia się, że nadto nie mają silnego poparcia w kraju, ani reprezentują żadnego stronnictwa — o tem panowie jesteście w głębi duszy zapewne najmocniej przekonani. Wybór ich więc szczególnie wobec zabiegów ultramontanów, jest bardzo niepewny, a gdyby nawet był pewny, byłby szkodliwy.

— Wielka prawda, wielka prawda, odezwali się równocześnie prawie redaktor i doktor, a nawet hrabia złączył się z nimi i przyklasnął sło-

Antoniego. I on potępiał listę proponowały kandydatów, bo go na niej nie było. Tylko Urban i Omnibus ponure milczenie zachowali. Antoni mówił dalej.

— Czas wyborów się zbliża, potrzeba nam więc co prędzej zorganizować klub. Dla oszczędzenia czasu wygotowałem już statuta na podstawie zagranicznych, możemy je przedyskutować i podać zaraz do potwierdzenia.

— Jako my sami mamy stanowić statuta dla całego stronnictwa — spytał Urban, cedząc powoli dobitnie słowo po słowie. Panowie, byłaby to uzurpacja, despotyzm u samej kolebki tego demokratycznego klubu.

— Możemy więc, odezwał się redaktor chcąc spór złagodzić, wezwać na jutro kilku intelligentnych ludzi naszego stronnictwa i ułożyć statuta. Wszakże liczba osób, z których większość nie rozumiałaby nawet o co idzie, obciążałaby nasze czynności i sprowadziła zwłokę. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda, odezwał się hrabia, Antoni i doktor.

— A ja protestuję, zawołał gwałtownie Urban uderzając laską o podłogę, protestuję w imieniu tych wszystkich, którzy mają prawo nazywać się demokratami, bo są nimi na wskrós, do szpiku kości. Ta tak zwana przez panów inteligentna część demokracji należy do niej o tyle, o ile jej potrzebuje dla siebie, dla swoich widoków i karyery. Mieliśmy już dosyć takich uczonych demokratów, którzy utoczywszy się naszym kosztem dziś nas nie znają, albo wspinając się po naszych barkach wyleźli na pańskie salony. Demokracją u nas jest ta część narodu, którą nędza pasowała od urodzenia na demokratów, — to nasza klasa rzemieślnicza, tam trzeba szukać cnót demokratycznych, tam przyszłość nasza, tam potęga. Kto bez tych ludzi chce stwarzać jakieś kluby demokratyczne, ten albo uważa ich za bydło, którem można kierować według upodobania, bez jego wiedzy i woli, albo....

Tu zatrzymał się Urban, jakby szukając wyrazu, który miał wypowiedzieć.

— Albo co? — spytał go Antoni rzucając nań piorunujące, groźne spojrzenie. Spojrzenie to zamiast zmieszać rozzuchwaliło i podrażniło tylko Urbana i zaperzony rzekł dobitnie:

— Albo sam nie jest demokratą i nie o demokracji cele mu chodzi.

A widząc, że słowa te wywołały niezadowolenie i oburzenie, dodał prędko:

— Chcecie radzić o dobru ludu; o jego potrzebach; a czy znacie jego potrzeby, jego pragnienia? Znacie je może z widzenia, ale nie znacie tak lud sam, jak ci, którzy uchowali się wśród tego ludu, którzy z nim razem cierpieli.

— To też— odezwał się redaktor — niewykluczamy reprezentantów tego ludu, aby nas pouczyli o potrzebach jego: ale zwoływać na zgromadzenie masy ciemne, nie wykształcone, nierozumiejące o co idzie.

— A czyjaż wina, że ciemne? przerwał Urban.

— Dyskusya nad tem zadaleko by nas zaprowadziła; niemówmy więc o tem. Faktem jest, że masy u nas nie mają poczucia obywatelskości, że nie mają pojęcia żadnego o sprawach politycznych.

— A jednak ci ludzie mają prawo głosowania, wyborów, wtrącił znowu Urban.

— To też wymagają kierownictwa, opieki, dopóki nie staną się pełnoletniemi. Wezwanie tych ludzi do obrad nad statutami byłoby bezużytecznym trudem. Dla tego stawiam raz jeszcze wniosek, aby na jutro wezwać kilkunastu obywateli z mieszczaństwa i światlejszych rzemieślników i z nimi naradzić się nad ułożeniem statutów i zawiązaniem towarzystwa.

Na tem skończono dyskusyę i hrabia, Antoni i doktor jednomyślnie przyjęli wniosek redaktora. Urban wyszedł zachmurzony i zaperzony, a za nim wyniósł się Omnibus. Pozostali zabrali się niebawem do rozpisania zaproszeń na jutrzejsze zgromadzenie. Napisano i rozesłano ich dwadzieścia kilka — naznaczono zebranie w ratuszowej sali na godzinę szóstą.

Tymczasem zamiast dwudziestu kilku zebrało się kilkudziesięciu. Była to sprawka Urbana i Omnibusa. Zalarmowali bowiem mieszczaństwo wieścią o jakimś klubie, który ma radzić o nich bez nich i przepisywać im kogo mają wybierać na posłów. Przestraszone mieszczaństwo zgromadziło się licznie z postanowieniem bronięcia zagrożonych praw, — a więc już naprzód z wrogiem usposobieniem względem komitetu.

Redaktor wszedłszy na salę zdziwił się nie pomału takim licznem zgromadzeniem i ośmielił się nawet kilku obecnych zapytać na czyje wezwanie i w jakim celu tu przybyli. Odpowiedzieli, że przez obywateli, którzy otrzymali wezwanie, zastali objaśnieni o celu zebrania i przyszli się przysłuchać, gdyż ich ta rzecz także obchodzi. Usunięcie tylu ludzi, między którymi było wielu wyborców, było czystem niepodobieństwem bez narażenia całej sprawy. Rozpoczęto więc obrady. Ciągnęły się one powoli, nad każdym paragrafem zatrzymywano się długo, opatrywano go ze wszech stron podejrzliwie i z nieufnością wietrząc zdradę. Urban nie mieszał się pozornie do obrad, nie zabierał nawet głosu; ale wałęsał się po sali niby obojętnie, zatrzymywał się przy pojedynczych grupach lub osobach — tu bąknął słówko, tam podszeptał jakąś uwagę lub podmówił kogoś do wystąpienia; a szczególnie gdy przyszedł pod obrady paragraf określający atrybucyje prezesa i wiceprezesa, pozwalający im według brzmienia statutów w nagłych wypadkach porozumiewać się z innemi stronnictwami. Urban chyłkiem puścił się między zgromadzonych i wciąż powtarzał: widzicie, zdrada, chcą nas sprzedać. Nie można pozwolić na to. I tak umiał wzburzyć wszystkich, że jednomyślnie prawie odrzucono ten paragraf.

Więcej jeszcze uwydatnił się ten wpływ Urbana, gdy po potwierdzeniu statutów zwołano ogólne zgromadzenie, na którem miano obierać prezesa, wiceprezesa i komitet. Sala ratuszowa zapełniła się wtenczas jakimiś zakazanemi figurami, których nikt ani znał, ani widywał dotąd, ludźmi w wytartych surdutach, czamarach, z minami wystraszonemi lub buńczucznyemi, z twarzami zesmolonemi, którzy gromadząc się w kupki jak owce poglądali nieśmiało, podejrzliwie na około. Byli to mieszkańcy przedmieść, znajomi Omnibusa lub zwolennicy Urbana.

Redaktor przeglądając ten tłum ludzi nieznanych mu, był pewnym, że to ciekawość zgromadziła tutaj uliczną gawiedź i dla tego wystąpiwszy na mównicę objaśnił zgromadzonych, że tylko ci, którzy

mają zamiar zostać członkami klubu i płacić statutem przepisaną wkładkę, mogą brać udział w obradach i głosować. Był pewnym, że po tem oświadczeniu większa część tych ludzi opuści salę; ale zobaczył ze zdziwieniem, że wszyscy pozostali.

— Co to ma znaczyć? — spytał obok stojącego doktora.

— To znaczy, że sprawa klubu zainteresowała całe nasze mieszczaństwo, rzekł tenże z jałowym uśmiechem.

— Czy tak sądzisz? — Byłby to pocieszający objaw, ale ja w to nie wierzę.

— Ani ja. Całe to zgromadzenie ma podejrzaną minę, wietrzę coś mętnego w tem wszystkim; czuć tu czyjąś agitacją.

— Czy tak sądzisz?

— Dość spojrzeć na tych ludzi, aby wyczytać w ich twarzach, że tu nie przyszli z własnej chęci, że nawet nie wiedzą o co idzie. Patrz np. na tego biedaka, który stoi pod filarem z wytrzeszczonemi oczyma, idiotyczną twarzą i gapi się w sufit — istna karyatyda — i to będzie członek klubu. Nie to coś na szykanę wygląda. Kto wie, czy który z ultramontanów nie pozwolił sobie tego żartu i nie nasłał nam zapłaconych członków na śmiech. Jestto prawdopodobnem, zwłaszcza że widziałem u kilku z tych ludzi w rękach jakieś papierki, zdaje mi się że to będą guldeny na opłatę wstępnego do klubu. Widocznie ich ktoś z tem przysłał.

— Gdyby tak było — możnaby się uwolnić łatwo od tych ludzi występując śmiało przeciw nim i demaskując ich. Moznaby ich po prostu wykluczyć ze zgromadzenia, a żaden z nich nie miałby odwagi stawić oporu. Ale ja się domyślam innej agitacji, dobrze zorganizowanej, która nie wyszła od ultramontanów, tylko z naszego obozu.

— Być nie może? któżby z naszych chciał klub dyskredytować? Jakizby miał w tem interes?

— Jaki? Przeprowadzić wybory po swojej myśli. Kiedym rozdawał kartki z naszymi kandydatami do komitetu, widziałem u wielu inne jakieś kartki z innemi nazwiskami.

— Czyjażby to była sprawka?

— Czyja? Urbana. To jego dzieło. Ci ludzie, są przez niego podstawieni. Wobec szczupłej garstki intelligencji i rozsądnych mieszczan, ta gawiedź gotowa nas przegłosować.

— Więc ich nieprzyjąć?

— Jakiem prawem? — Ci ludzie należąc do zawiązującego się klubu niepodlegają balotowaniu, a bytność ich tutaj Urban pewnie będzie umiał uzasadnić i poprzeć swoimi. Domyślam się, że wybrał ludzi, którym nic nie będziemy mogli zarzucić, którzy nawet są może wyborcami jako właściciele małych realności po przedmieściach.

— Więc podejrzewasz Urbana? — spytał doktor, a oczy jego błędziły po zgromadzeniu, jakby szukając kogoś. Ależ go tu niema — rzekł po chwili. - Właśnie dla tego tym bardziej utwierdzam się w moim domyśle. Przygotowawszy wszystko sam się ukrył, by zmylić wszelki ślad; ale jestem pewny, że w chwili najkrytyczniejszej zjawi się nam. Tymczasem zastępuje go Omnibus. Patrz, jak milczkiem przesuwają się między tymi ludźmi i wzrokiem porozumiewają się z nimi. Urban użył łatwowierności i poczciwych chęci tego człowieka za narzędzie dla siebie.

— Cóż więc robić?

— Ha, cóż trzeba walczyć. — Gdzie jest Antoni?

— Antoni stoi tam koło przewodniczącego. Po jego zachmurzonym czole i ponurem spojrzeniu widzę, że mu się to zgromadzenie także niepodoba. Czy nie udałoby się odłożyć?

— To niepodobna. Nie ma powodu. Ale możemy obradę tak przeciągnąć, że ostatni punkt porządku dziennego nie przyjdzie dziś na stół.

— To jest jaki punkt?

— Narady nad wyborami kandydatów na posłów. Ułożyliśmy listę i chcemy proponować; ale w obecnym składzie wątpię, czy przejdzie, szczególnie jeżeli moje domysły się sprawdzą względem agitacji Urbana. On będzie chciał przeprowadzić swoją listę, popierać tych samych, których popierał w dzienniku.

W tej chwili zbliżył się do rozmawiających mężczyzna wysokiego wzrostu, poważny, łysy nieco i przywitawszy się z nimi spytał:

— O czym tak żywa rozmowa?

Był to Milutyński, rozmawiający przywitali go z uszanowaniem a doktor odrzekł mu:

— Rozmawiamy o wyborach. Jakże panu podoba się lista kandydatów.

— Wybór znakomity. Jedno tylko nazwisko nieco mnie zaniepokoiło.

— Któreż to?

— Antoniego Kowalskiego? — Któż postawił jego kandydaturę?

— Ja — odrzekł redaktor. — Czy pan masz mu co do zarzucenia?

— Jemu samemu nic. Owszem słyszałem wiele o jego talencie, czytałem jego broszury i zbudowałem się niemi, ale nie zapominajcie panowie, że go tu w mieście nie znają, że więc wszyscy ci dla których nazwisko to jest obcem, będą woleli głosować za osobitościami już znanymi, w taki sposób głosy się rozstrzelą i może wyjść z urny człowiek któregośmy sobie może najmniej życzyli.

— Nie znają go, to prawda; ale im się da poznać. Pewny jestem, że wymowa jego, głęboka uczoność, a co nadewszystko czystość i wzniosłość zasad postępowych najlepiej go zalecą wyborcom.

— Spójrz pan po tych ludziach — rzekł Milutyński wskazując na wijące się tłumy, i osądź czy oni są w stanie ocenić te wszystkie zalety, któreś pan wymienił. Ja ich znam po trochu, bo jako fabrykant mam z nimi do czynienia i wiem, że drogą przekonania najtrudniej do nich trafić. Można ich ująć sobie frazesem, sentymentem, ale nie przekonaniem. Ten kto umie domacać się serdecznego nerwu u tych ludzi łatwiej ich powiedzie choćby w piekło, niż inny, któryby im chciał wmówić, że droga, którą on wskazuje, do nieba prowadzi. Dla tego to po wszystkie czasy lud szedł nie za tymi, co go przekonać, ale za tymi co go porwać za sobą i ująć umieli. A Antoni, o ile mi się zdaje nie należy do tych ludzi — on nie ma daru zjednywania sobie ludzi, powiedziałbym nawet, że ma talent robienia sobie nieprzyjaciół. Jest bowiem, o ile z kilku rozmów z nim wnosić mogę, za mało towarzyski, a zanadto dumny. Dla męża politycznego, są to najfatalniejsze błędy. — Co do mnie jestem mocno przekonany, że kandydatura jego nie przejdzie i dobrzeby było, aby go panowie, którzy z nim bliżej żyć namówili do cofnięcia swego nazwiska z listy.

— Jabym tego uczynić nie mógł — odezwał się redaktor, ja go namówiłem do ubiegania się o krzesło poselskie, ja go proponowałem.

— Tak to prawda.

— Ale ja podejmuję się tej misji — rzekł doktor. — Uznaję całą słuszność słów pana Milutyńskiego i będę się starał skłonić Antoniego do cofnięcia swej kandydatury. O ile go znam, to zdaje mi się, że mi nie trudno będzie go przekonać o konieczności tego kroku.

Dzwonek przewodniczącego przerwał dalszą rozmowę. Zgromadzenie się uciszyło, przewodniczący zagaił posiedzenie, poczem wszedł na mównicę Antoni i w krótkiej a dosadnej i malowniczej mowie objaśnił zgromadzenie względem celów klubu i jego działalności. Gdy skończył kilkanaście rąk podniosło się do oklasków. Reszta zgromadzenia zachowała się spokojnie, wyczekująco, a w głębi pod oknem w ścieśnionej masie ludzi słyszeć się dały jakieś głucho szmery niezadowolenia. Przewodniczący zapytał, czy kto nie chce zabrać głosu. Nikt nie powstał, tylko jeden na drugiego się oglądał patrząc, czy kto nie zabierze głosu. Dopiero kiedy przewodniczący przeszedł

do drugiego punktu programu t. j. do obrad nad wyborem prezesa i komitetu i proponował głosować podług gotowej listy, kilku z tłumu wyciągnęło ręce domagając się głosu. Pierwszym z kolei, który przemówił, był jakiś ślusarz z przedmieścia, człowieczek mały, krępy, ale ruchliwy i wygadany. Z odezwania się jego można było zaraz poznać, że miał wprawę w języku połączoną z zuchwałą pewnością siebie. Mówił przeciwko liście proponowanej przez przewodniczącego.

— Widzę tu — mówił — nazwiska jakichś panów, których nie znam. Powiadają mi, że to podobno jacyś uczeni ludzie, jacyś adwokaci, literaci, prawnicy; być może, że są tacy zdadni jak mówią, ale my ich nie znamy, ani oni nas nie znają. Trudno więc mopaneńku, byście panowie żądali od nas byśmy na ślepo wybierali; trudniej jeszcze tym panom byłoby radzić o naszych potrzebach, o których mają gorsze pojęcia niż chłop o zegarku. Byłoby to tyle co chcieć na pamięć klucz do zamku dorabiać. To na nic mopaneńku. Klucz choćby ze złota na nic się nie przyda zamkowi, do którego nie pasuje. Tak i ci panowie mogą być ze szczerego złota, ale nam na nic się nie zdadzą, bo do nas nie pasują. Jeżeli to ma być klub demokratyczny, *to* niechże tam będą ludzie nasi, a tych tam nie widzimy i dla tego głosować będziemy za innymi.

Głuszące oklaski towarzyszyły tej mowie. Redaktor zwrócił się do doktora i rzekł po cichu:

— To Urban przemawiał przez tego człowieka. Toż samo nam mówił przed kilkoma tygodniami — pamiętasz?

Po ślusarzu kilku jeszcze innych przemawiało w ten sens prawie, tylko że niektórzy tak nieudolnie i rozwlekle, że trudno było zrozumieć czego chcą. Treść jednak wszystkich tych głosów była, że się nie zgadzają na proponowanych kandydatów. Napróżno któryś z adwokatów wystąpił i przekładał, że tu nie idzie o to, aby w komitecie wszystkie rzemiosła były reprezentowane, ale żeby tam byli ludzie, którzyby umieli w kwestyach politycznych pokierować klubem i znali się na tera, zgromadzenie nie dało mu nawet dokończyć. Powstał krzyk, wrzawa, zamieszanie, które napróżno prezes usiłował uśmierzyć dzwonkiem. Doktor skorzystał z tego zamieszania, przesunął się przez tłum do przewodniczącego i podszeptał mu, by zerwał posiedzenie z powodu niesforności zgromadzenia.

— Nic nie stracimy na tem, owszem, może nam się uda zwołać drugie zgromadzenie w korzystniejszych dla nas warunkach. Dziś bylibyśmy na głowę pobici.

Przewodniczący po naradzeniu się z sekretarzami zgodził się na projekt doktora i już miał powstać, włożyć kapelusz i przerwać posiedzenie, gdy naraz zgromadzenie na jeden raz ucichło, jakby kto ręką zamknął wszystkim usta. Prezes i doktor ze zdziwieniem spojrzeli, co sprowadziło tę nagłą ciszę i ujrzeni o kilka kroków od siebie na estradzie czerwoną twarz Urbana. Jego to pojawienie się i jego spojrzenie uciszyło zgromadzenie. Podniósł rękę do góry i przemówił:

— Obywatele!

Nagle urwał przypomniawszy sobie zwyczaje parlamentarne i zwracając się do przewodniczącego odezwał się:

— Proszę o głos.

Przewodniczący lubo niechętnie, skinął głową na znak przyzwolenia, wtedy dopiero Urban zwrócił się do zgromadzonych i mówił dalej:

— Obywatele! Zatrudnienia moje nie pozwoliły mi brać udziału od początku w obradach, myśl moja jednak była między wami, bo nie mogłem obojętnym być na to, co się tu odbywa. Z zegarkiem w ręku i biciem serca liczyłem te drogie chwile, w których sprawa demokracji się rozstrzygała i spieszyłem tu, ile mi sił starczyło, by się dowiedzieć coście uradzili i wziąć udział w dalszych naradach. Tymczasem ze zgorszeniem zastałem zamiast spokojnych i poważnych narad krzyki i zamieszanie i dowiedziałem się, że jeszcze nic dla sprawy demokracji nie zrobiono, że nawet jeszcze wyboru nie dokonano. I czemu? Bo nie możecie się zgodzić na jedno, bo jedni chcą tych, a

drudzy innych. Nic słusniejszego nad to. Mieszczañstwo ma swoich, którym ufa, intelligencya swoich. A ze klub nasz ma reprezentować oba te odcienia demokracji, więc i w łonie komitetu winni zasiadać wybrańcy jednej i drugiej strony. O cóż więc krzyki? Nad czem narady? Ja sędzę, że głosowanie najlepiej tę kwestyę rozstrzygnie. Po co więc czas napróżno tracić? głosujmy.

— Lis, szepnął doktor patrząc z pogardą, na Urbana.

— Tak, głosujmy, zawołało kilkadziesiąt głosów.

— Głosowanie w takich warunkach musi wypaść przeciw nam, odezwał się jeden z adwokatów, jesteśmy w mniejszości.

— Jeżeli żywioł mieszczañski jest w przeważnej liczbie, słusznie więc aby i w komitecie liczniej był reprezentowany, — odezwał się Urban.— Któż bronił Avam zgromadzić się w większej liczbie. Jestem za zamknięciem dyskusyi i głosowaniem.

— Niepodobna. Cała nasza lista gotowa przepaść.

— To i cóż z tego? Czyż sądzicie panowie, że ci, którzy zostaną wybrani, będą gorsi od was? Wszak to nie wrogowie wasze, ale sprzymierzeńcy ludzie tego samego obozu, mający te same cele, co i wy.

Mówił niby, aby jednać i godzić, a każde jego słowo było szyderstwem, urągawiskiem w przeciwników swoich, urągawiskiem tera boleśnieszem, że ubezwładniało ich i czyniło obronę niemożliwą, bo jakże mógłby kto wystąpić i powiedzieć, że to wprowadzie ludzie jednego obozu, ale nie rozumiejący nic, nieumiejący nic, słowem lud ciemny i głupi? Byłoby to tyle, co ściągnąć na siebie gromy tych ludzi i nienawiść. — Próbował wprowadzie jeden z mówców delikatnie im to powiedzieć; ale Urban wnet stanął w ich obronie i rzekł:

— Pojmuję was panowie. Boicie się, że mieszczañstwo ciemne, głupie, nie wykształcone.

— Przepraszam tego niepowiedziałem, protestował poprzedni mówca.

— Tak nie temi słowami, ale to na jedno wychodzi. Po co tu rzecz obwijać w bawełnę, postawmy tę kwestyę nago tak jak ona się przedstawia w myślach waszych panowie, a nie słowach. Otóż boicie się, że to głupie, nieoświecone mieszczañstwo nie będzie wiedziało co robić w klubie, że wam zepsuje wasze dzieło. Na to odpowiem wam przypowieścią: Dwóch było ludzi jeden mądry, drugi prostak, chłop. Zdarzyło się, że chłopu zapaliła się chata. Płomienie szybko ogarnęły budynek cały i posuwały się na dach. Gdy w tem w dymniku chłop spostrzegł swoje dziecko, które przebudzone z twardego snu gorącym płomieniem, zerwało się uciekło tam i wołało o ratunek. Mądry pobiegł po prześcieradła i worki, jakich używa straż ogniowa do ratowania; a tymczasem chłop rzucił się odważnie ku ogniu, i wydrapawszy się po belkach nieogarnionych jeszcze pożarem, przedarł się przez dym gęsty, chwycił swe dziecko z pożaru. Gdy mądry nadbiegł ze strażą i z płótnami, z chaty były już zgliszczona. Prosty więc chłop dokazał więcej, niż mądry i roztropny człowiek, a czy wiecie czemu. Bo tu szło o jego własne dziecko i miłość ojcowska na lepszy się czyn zdobyła, niż rozsądne wyrachowanie. Demokracja jest tem dzieckiem i przywiązanie do niej zakorzenione od urodzenia w tej klasie prostej lepiej ją obroni, niż zimne, choć mądre rachuby.

Lewie skończył mówić zahuczwały oklaski; była to prawdziwa burza, huragan oklasków i krzyków. Najbliżsi porwali Urbana na ręce i podnieśli do góry, krzycząc: niech żyje.

Antoni przypatrywał się temu wszystkiemu z twarzą bladą, ustami zaciśniętymi, a spojrzenie jego wyrażało pogardę i oburzenie. Doktor zbliżył się do niego i dotknawszy z lekka jego ramienia spytał półgłosem:

— A co? Jak ci się to podoba? i wskazał oczyma na burzliwy tłum.

— Bydło, ciemne bydło, odrzekł Antoni, woli oddać się w ręce rzeźników; którzy je wabią do siebie obfitą paszą frazesów, niż słuchać tych, co o ich dobru myślą. Coraz więcej przekonuję się,

że praca moja próżna. Dla tych ludzi nie można nic zrobić, nie da się nic zrobić. Niewarto, niewarto męczyć się i trudzić.

— Właśnie dla tego, że taki jeszcze ciemny ten lud, pracować dla niego warto i pracować trzeba koniecznie, aby z tej ciemnej, nierozumnej masy stworzyć obywateli.

— Jak stworzyć, jeżeli nie ma sposobu zapanować nad nimi, ująć w karby i poprowadzić? Czy podobna z tego ruchliwego piasku, który nie utrzymasz w dłoni, bo ci się rozsypuje przez palce, — stworzyć co, zbudować?

— Ja niewątpię, że można, tylko trzeba czasu i cierpliwości; jeżeli jedne drogi zawodzą, to szukać innych, któremi możnaby zbliżyć się do tych ludzi, oświecać ich i wyrabiać ich charakter. Jeżeli nam się nie uda zrobić co za pomocą klubu, to mamy pisma, szkoły rzemieślnicze, odczyty popularne. Taką mrówczą, powolną a ciągłą pracą dojdziemy w końcu do celu,

Antoni zamiast odpowiedzi machnął ręką i zrobił ustami grymas niezadowolenia. Cała ta teoria mrówczej pracy nie przypadła mu do smaku; o ile i niespokojne usposobienie jego ze wstrętem spoglądało na te żółwie drogi, jakie mu wskazywał doktor.

Podczas ich rozmowy w zgromadzeniu odbywało się głosowanie. Rezultat głosowania był do przewidzenia. Wyjąwszy Milutyńskiego, ani jeden z proponowanych przez inteligencją nie przeszedł; z urny powychodziły nazwiska ludzi popularnych w klasie rzemieślniczej, a między tymi Urbana i Omnibusa. Antoni wzburzony i rozdrażniony opuścił salę. Urban odprowadził go aż do drzwi wzrokiem brzydkiego zadowolenia i tryumfu. Trącił łokciem siedzącego obok niego Omnibusa, i rzekł wskazując na wychodzącego Antoniego.

— Patrz wyszedł jak zmyty. Wścieka się, że mu się nie, udało wsiąść nas za łeb. A, paniczu, z nami nie tak łatwa sprawa, jak ci się wydawało. Połkniesz ty jeszcze nie jedną gorzką pigułkę od nas. Omnibus spojrzął ku drzwiom, któremi właśnie wychodził Antoni, ale ani go widział, ani słyszał, co do niego mówił Urban, tak był odurzony, olśniony swoim wyborem do komitetu demokratycznego. Dopiero kiedy Urban wprost do niego skierował zapytanie, otrząsnął się, jakby ze snu zbudzony i odrzekł na ślepo: a tak, choć nie słyszał zapytania.

— Więc widziałeś? — spytał Urban.

— Co takiego?

— No listę kandydatów na posłów.

— Naszą?

— Nie, ich. Jest tam nazwisko Antoniego.

— Być nie może. On śmie ubiegać się o ten zaszczyt. Taki młokos bez zasługi.

— A widzisz. Ja ci mówiłem jaki cel miał, dla niego ten klub, te broszury — to miały być stopnie, po których chciał się wydrapać i zrobić karierę.

— A ja wierzyłem dawniej w jego dobre chęci, w jego uczciwość.

— Teraz masz dowód, że ci prawdę mówiłem, to tylko zręczny karyerowicz. Przeciw takim ludziom walczyć, to zasługa dla nas, to obowiązek. To też trzeba go zniszczyć. Znam parę tajemnic jego, które pachną skandalikiem. Trzeba je będzie puścić w kurs. Ty mi dopomożesz. Ręka?

Omnibus podał mu rękę na znak, że przystaje.

— Pokażemy ludziom, co to za ptaszek, jakimi drogami chodzi po świecie. Złapałem go wczoraj na jednej schadzce miłosnej, a ten przypadek wytlomaczył mi wiele niejasnych wątpliwości. Trzeba się będzie tą wiadomością podzielić ze światem.

— Z kimże schadzka.

— Dowiesz się w swoim czasie. — A teraz chodźmy.

— A wybory na posłów?

— Cóż ty — śpisz, czy co? — spytał Urban opryskliwie zniecierpliwiony nieprzytomnością Omnibusa. Czy nieśłyszałeś, że zgromadzenie odroczone. Patrz wszyscy się już rozchodzą.

Omnibus obejrzał się.

— A, prawda. Więc kiedyż będziemy stawiali kandydatów na posłów?

— To już teraz od nas zależeć będzie, rzekł tryumfująco Urban. Teraz my pokierujemy wyborami. Chodźmy ztąd.

Gdy wyszli na ulicę, Urban zwrócił się do Omnibusa i rzekł:

— A co? Pewnie polityka wysuszyła ci gardło? Możebyś się odwilżył lampeczką wina.

— Tym razem nie. Obiecałem kilku moim sąsiadom, że się zejdziemy na miódki na pogawędkę; potem wrócimy razem do domu.

— Ha, to cię nie zatrzymuję, tam będziesz potrzebniejszy. A niezaszkodziłoby — dodał po chwili zatrzymując Omnibusa i bawiąc się guzikiem jego surduta — żebyś tak nieznacznie napomknął im o bezbożności tego pana Antoniego, o tem, że wyklęty publicznie.

— O, co tego to nie zrobię. Mogę potępiać go, jako człowieka pełnego ambicyi, przewrotnego wyzyskiwacza dobroduszości naszych, odstępcę; ale na punkcie liberalnych jego przekonań, niemam mu nic do zarzucenia. Jestem człowiek postępowy, wolnomyślny, znasz moje zasady pod tym względem.

— Idź do diabła z zasadami. Któż tu myśli naruszać twoje zasady. Wszak i ja nie dewot — znasz mnie przecie. Ale tu nie o wyznanie wiary idzie, tu chodzi o to, aby człowieka, który nam może być bardzo szkodliwy, zdyskredytować, zniszczyć — rozumiesz ciemnego? — I dla tego trzeba nam użyć wszelkich możebnych sposobów; a ten, o którym ci mówiłem, będzie może najskuteczniejszym u ludzi nieinteligentnych. Kiedy idzie o zabicie węża, czy będziesz się namyślał nad rodzajem broni, którą masz na niego uderzyć? Co poi ręką to się chwyta i wali się co sił. Więc i my walmy czem się da, bo jak będziemy wybierali i namyślali się czem uderzyć, to nas gadzina pokąsa tym czasem. No, jasno ci teraz.

Omnibus pokiwał głową potakująco i patrząc z pewnym przestachem na Urbana rzekł.

— Tyś niebezpieczny człowiek Urbanie, gdy się na kogo zawężmiesz.

— Tak, zażarty jestem jak pies, gdy kto chce ruszyć własność mego pana. A moim panem to idea postępu, to lud, rozumiesz? No bądź zdrów. Jutro się zobaczymy w redakcyi.

— Słówko jeszcze Urbanie, odezwał się Omnibus, a na twarzy jego widać było wahanie, niepokój i jakieś dziwne roztargnienie.

— No czegoś chcesz jeszcze?

Omnibus począł krzakać, i nie wiedział jak zacząć.

— Może ci pieniędzy potrzeba? — Wiele?

— Nie, nie, nic oto mi chodzi. Tylko powiedz mi Urbanie, bo widzisz, ja człowiek otwarty, co w myśli to i w mowie, nie lubię skrytości i tajemnic, w nich zawsze siedzi coś niedobrego.

— Ale o cóż ci chodzi u licha? spytał zniecierpliwiony Urban, uderzając laską o kamienie.

— Powiedz mi ty szczerze Urbanie zkad ty wzięłaś tyle pieniędzy na tę agitacyę?

— Na jaką agitacyo?

— No, na opłacenie wpisowego do klubu tylu ludzi?

— Wielka mi suma raptem sto guldenów.

— Ja znam twoją kieszeń; wiem, że u ciebie niema sto guldenów na wyrzucenie..

— I na cóż ci to potrzeba wiedzieć.

— Dla własnej spokojności. Bo widzisz ja nie chciałbym w nieczystej sprawie rąk maczać.

— Cóż ty myślisz, już że między naszymi niema ludzi, co nieszczędzą pieniędzy dla dobra ogółu.

— No, ja mało takich spotykałem. Wszystko było dobrze, dopóki nie trzeba było otworzyć kieski.

Wtedy ci ludzie stawali się winnymi.

— Ja byłem szczęśliwszy — lepiej trafiłem. Poszedłem i powiedziałem: sprawa nasza zagrożona

— dajcie — no i dali. Nie jest to jałmużna, bo za tę usługę oddam im inną, na której nasza sprawa pewnie nie ucierpi. Znasz mnie, że nie dałbym się użyć złym ludziom. Czy trzeba ci dowodu na to?

— Wierzę ci na głowo. Uspokoileś zupełnie moje obawy.

Powinienbym cię zwymyślać za to podejrzenie; ale na takich jak ty pocziwców gniewać się nie można. No, bądź zdrów. A pamiętaj walić węża czem się da.

Ostatnie słowa poparł wymownym gestem podnosząc sękaty kij do góry i machając nim tak silnie w powietrzu, że o mało nie uderzył jakiegoś przechodzącego człowieka. Ten zatrzymał kij ręką i odezwał się dość ostro:

— No mój panie, bądź ostrożniejszym.

Ale Urban nie słyszał już tego upomnienia i nie przeprosiwszy nawet owego jegomościa poszedł dalej i znikł w tłumie przechodzących. Jegomość powstał czas jakiś na tretoarze, pomruczał jeszcze coś pod nosem i poszedł dalej ulicą zatrzymując się przy każdej większej wystawie sklepowej. Był ubrany w szaraczkowy surdut z pętlcami, a na głowie miał baranią czapkę. Twarz miał dość pospolitą, bez uderzającego wyrazu, nos troszkę spłaszczony, usta szerokie, nad którymi sterczały jak szczotka przystrzyżone wąsy; brwi krzaczaste siwiały już nieco; ale wyraz oczów był łagodny, potulny nawet. — Wyglądał tak na coś z waszecia. Szedł powoli, jak człowiek co idzie bez celu i ma dużo wolnego czasu i zatrzymywał się co chwila. Właśnie stanął przed sklepem zegarmistrza i przyglądał się ciekawie chińczyków ruszającemu oczami, gdy tuż koło niego zatrzymał się jakiś staruszek w czarnym ubraniu i przypatrzywszy mu się uderzył go po ramieniu:

— Dobry wieczór panie Józefie.

Jegomość w szaraczku odwrócił się, spojrzał na mówiącego i zawołał ucieszony:

— Pan Tomasz. A niechże was jakieście mnie przestraszyli. Zagapiłem się na te figurę. I gdzież pan Bóg prowadzi?

— Odprowadziłem państwo do teatru i wracam. A pan, panie Józefie?

— Ja? Ot, tak łążę sobie, aby czas zabić.

— Więc nie jesteście w służbie?

— Nie; od czasu jak się od was oddaliłem, mieszkam przy synu. Człowiekby sam rad pracować, wsiąść się do czego, bo siły jeszcze są i do pracy się przywykło, ale syn sobie tego nie życzy. Mówi, że ja już dosyć się napracowałem, że teraz czas, aby on o mnie myślał. Więc choć nudno człekowi tak siedzieć z założonymi rękami, ale cóż robić. Zresztą możeby to był niehonor dla niego, gdybym poszedł gdzie na służbę.

— Alboż to praca krzywdzi?

— Nie, tego nie mówię; ale widzicie mnie się zdaje, że jemuby to było przykro, gdyby człowiek cudze kąty na starość wycierał, bo to chłopak ambitny; — nikogo o nic nie prosić, to jego katechizm. To też wszystko co ma, tylko sobie zawdzięczać może.

— Jednak gdyby nie nasz pan —

— To prawda, że hrabiemu wiele winien; ale on mówi, że spłaci ten dług koniecznie, bo nie chce być nikomu nic winien, a szczególnie hrabiemu. Ma on jakiś ciężki żal do starego hrabiego; nie wiem o co im tam poszło, bo nie lubi o tem gadać". Podobno hrabia go obraził.

— Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Wy wiecie najlepiej panie Józefie, że stary hrabia nikomu krzywdy nie robi, cóż dopiero jemu co go tak lubił. Młodego nie bronię — ale stary hrabia to choć do rany przyłoż. A teraz jeszcze lepszy, łagodniejszy.

— Musiał się zmienić, postarzeć.

— Sterało się panisko. Ba nic dziwnego, ma i on swoje kłopoty.

— Ale za to wy panie Tomaszu trzymacie się krzepko, aż miło.

Tu uderzył palcami w tabakierę i poczęstował znajomego.

— Ot, trzymam się dziękować Bo... albanka? spytał nagle niuchając tabakę.

— Mieszana.

— Ależ to paradny gatunek; Ja znawca na to, ho, ho, ho! Zkądżeście ją dostali?

— Mój Antoś mi ją zkadś wytrzasnął. Pocziwy chłopczyna jak może to mnie cieszy.

— I czymże jest teraz?

— Jeszcze niczem — stara się o miejsce profesora, a tymczasem jest, jakże on to nazywa, kancelistą czy czemś, no, przy gazecie — rozumiecie. No, a u was tam co słyhać? Jak mi Bóg miły, tak małoby mnie co tak ucieszyło, jak to, że się z wami spotkałem panie Tomaszu. Tyle lat nie widzieliśmy się. Będzie ze trzy lata, co?

— A tak — na Matkę Boską Gromniczną będzie akurat trzy lata, jakeście podziękowali panu za służbę.

— Co to lat przeżyliśmy razem.

— Oj, prawda, prawda.

— Aż mi się weselej robi, gdy patrzę na was tak dobrego, dawnego znajomego. A możebyśmy na lampeczkę miodu —

— Ha.

— Pogawędzimy o dawnych czasach.

Oczy się staremu rozjaśniły z radości, a blada twarz ożywiła się i wzruszała.

— Tylko, żeby gdzie nie daleko, bo trzeba będzie niezadługo iść do domu nastawić do herbaty.

— Ot, tu zaraz na rogu, gdzie ten krzyż wisi: to moja codzienna gospoda. Syn zwykle wieczorem siedzi nad książkami, staremu nie ma z kim pogadać; więc sobie idę tu na szklaneczkę miodu, zawsze się z kimś człowiek zejdzie, pogawędzi, w domino zagra. A miodek niczego.

Tak gawędząc prowadził szaraczek starego sługę hrabiego Medarda do szynku miodu. Był to szynczek z ustaloną reputacją u mieszczaństwa, zalecała go przedewszystkiem starość. Wszystko tu trąciło staroświeczyzną, począwszy od pogiętych starych blaszanych kwaterek, aż do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym od rana do późnej nocy paliła się okopcona lampka. I stoły i obrazy i szklanki i okna i drzwi i sklepienie nabijane gwiazdami miały niedzisiejszą postać. Widocznem nawet było usiłowanie gospodarza utrzymanie tej cechy staroświeckiej, stanowiła ona w jego oczach urok i powab tej knajpy i wyróżniała ją od nowszych, niemieckich piwiarni, o których się z pogardą wyrażał. Szynczek ten miał swoich stałych gości, którzy od lat wielu wierne żywili przywiązanie do gospodarza i do jego piwniczki. Za tę wierność starym tradycjom obdarzał gospodarz na

Wielkanoc i Boże Narodzenie każdego z nich buteleczką zapleśniałą wiśniaku, — a co wieczór raczył prawdziwą albanką i facecyami, których mnóstwo umiał. Siadywał zwykle z gośćmi pospołu za stołem do gawędki i domina, ubrany w krótki szlafrok fioletowy w dużą kratę i czerwoną czapczkę haftowaną paciorkami przez nieboszczkę żonę. I teraz zastajemy go wśród ożywionej pogawędki, z kilkoma mieszczanami. Przy drugim stole siedziało kilku żydów, u których także zamiłowanie do miodu tradycyjnie się przechowało; za szynkwasem drzemała biała, ospowata szynkarka, a pod piecem przysiadła żydówka z obwarzankami i jajami. W drugiej izbie słyhać było żywe rozmowy, niekiedy towarzyszyły silne uderzenia pięści w stół, że aż szklanki brzęczały. Była to narada kilku członków klubu, którym miód rozwiązał milczące dotąd języki. Omnibus także często między niemi głos zabierał.

Józef wprowadziwszy swego towarzysza, przesunął się koło gospodarza, przywitał się ze wszystkimi i poszedł pod okno, gdzie stał mały stoliczek i kazał podać dwie lampki słodko-

korzennego. Szturchnęli się, upili trochę i nachyliwszy się ku sobie prowadzili dalej półgłosem pogawędkę.

— No i cóż tam u was słychać? spytał Józef, panna Jadwiga zdrowa?

— Dziękować Bogu zdrowa, choć nie tęgo wygląda. Już to w tem wdała się w matkę, — twarzyczka, jakby z alabastru, jeno na grobie postawić, albo w ołtarzu. Ale mimo to dobrze i zdrowo się trzyma.

— Chwała Boga, bo to dobre było paniątko, z Antosiem bardzo się lubili — pamiętacie.

— Ba, coby nie, ta to oni jedno bez drugiego ani rusz.

— Mój Boże, gdzie się to te czasy podziały. Zapatrzył się w szklanę, jakby na ciemnej powierzchni miodu ujrzał obrazy tych czasów, za którymi tak tęsknił. Pobyt bowiem na dworze hrabiego liczył do najświetniejszych chwil swego życia. Stary służbista potrzebował koniecznie do życia atmosfery pańskiej, wrzawy dworskiej, widoku rozlicznej służby, — przywykł zawsze komuś się kłaniać, zasługiwać. Stało się to drugą naturą jego. To też życie na uboczu ciche, choć niezależne, jakie prowadził przy swym synu, było męką, dla niego; on nie rozumiał niezależności, skromnych ale własnych wydatków — wydawało mu się to nędzą, upadkiem. Nie śmiał jednak głośno a szczególnie przy synu z tem się odezwać, — i najczęściej wewnątrz szklaneczki z miodem było milczącym powiernikiem jego narzekań.

— Więc powiadacie że stary hrabia się zmienił? spytał po chwili Józef podejmując tak miły dla niego wątek rozmowy o dawnym panu.

— O! postarzał się mocno, szczególnie od czasu jak dostał tego nieszczęśliwego ataku.

— Ataku? Jakto?

— Ano, apopleksya.

— On? apopleksyi?

— Prawda, że nie wyglądał na to.

— Anibym przypuścił. I z czegoż mu to przyszło?

— A z czegożby jak nie ze zmartwienia. Podobno nasz panicz się do tego przyczynił — ale dużoby o tem było mówić, dość, że było źle.

— I dawnoż to się stało.

— A, tak dwa lata temu. Byliśmy właśnie na wsi — pamiętam przy herbacie, pan dostał właśnie listy z poczty i czytał — niosłem mu filiżankę z herbatą, gdy naraz patrzę, a pan leży na ziemi.

Oj, był to sądny dzień, pani zemdląła, pan Władysław począł krzyżeć, wszyscyśmy potracili głowy, nie wiedzieliśmy co robić, a do miasta było daleko; nimby doktor przyjechał kto wie, coby się było stało.

— I któż go uratował?

— Ktoś, cośmy się najmniej spodziewali. Panna Jadwiga.

— Ona?

— Kiedyśmy wszyscy latali jak waryaci, potracając się wzajem i tylko przeszkadzając sobie, ona pobiegnęła do pokoju hrabiego, przyniosła scyzoryk, zdjęła surdut i rękaw od koszuli i zrobiła na rękę cięcie, jakiegoby się najtęższy felczer nie powstydział — to uratowało hrabiego.

— Panna Jadwiga? proszę, proszę, takie to wydawało się delikatne i wzięte, że tylko dmuchnąć na to a przewróci się, a tu patrzcie panie, no, no.

— Trzeba ją było widzieć wtedy, jakże skrwawionym nożykiem klęczała nad naszym panem i wyczekiwała znaku życia. Była blada panie jak trup, ale w oczach miała coś tak wspaniałego, silnego, że patrzeliśmy na nią wszyscy z respektem i podziwem, jak na jakieś niezwykajne zjawisko. Ho, ho, jest tam hart w tej dziewczynie, któregoby się i mężczyzna nie powstydział. Pan Władysław

przy niej to jak laleczka do zabawki wygląda. On śmiało mógł się dziewczyną urodzić.

— I hrabia zawsze się temi sierotkami opiekuje.

— Ależ panie jak ojciec rodzony. Rozczulać on się tam nie umie, bo tego niema w zwyczaju; ale dba o to, żeby krzywdy nie miały.

— A o mnie nie spyta się też kiedy? spytał Józef nieśmiało, a w głosie jego czuć było rozrzewnienie.

— Dawniej jakoś nie przypominam sobie. Ale teraz będzie temu z parę tygodni, gdy go golił, spytał mnie: „nie wiesz Tomasz, co się z tym Józefem dzieje, co to służył u nas dawniej?”

— Pocziwe panisko, jaki pamiętny.

— Pewnie teraz biedę łąta, mówił dalej, ha, sam sobie winien, zachciało mu się bawić w pana.

— Mnie? uchowaj Boże, i gdyby nie syn... Urwał, nie chcąc do dna wypowiedzieć się ze swoich zmartwień. Chwilkę jakąś obaj milczeli wpatrując się w lampeczki miodu,

— A cóż to, zagadnął od drugiego stołu gospodarz, panie Józefie, nie będzie to dziś partyjki, czy co?

— A toby był fenomen, odezwał się drugi głos.

— Innym razem, innym razem, odrzekł Józef kłaniając się przyjaźnie i dziękując za pamięć, nie chciał bowiem porzucać miłej pogawędki z Tomaszem.

— Jak widzę mospanie, odezwał się znowu gospodarz, pan Józef zaczyna się znowu oszczędzać, boi się grać, żeby nie przegrać. Albo to swoje przegrywa. Ta pana Józefa głowa o to nie boli, z kąd wziąć. Dochował się mospanie syna, który teraz myśli o nim żeby mu niczego nie brakowało. Wej, mocny Boże, kiedy to człowiek ze swojego doczeka się takiej pociechy.

— A w którejże klasie?

— W trzeciej dopiero.

— Ho, ho, to jeszcze dużo wody upłynie.

— Oj, prawda, a panie bieda coraz cięższa, coraz trudniej człekowi.

— Gdybyś go dał panie Macieju do rzemiosła, odezwał się stolarz z pod pieca, miałbyś już z niego wyręczenie.

— Radbym przecież, żeby mój Wicuś wyszedł na człowieka.

— A cóż to rzemieślnik nie człowiek? Ej, panie Macieju, nie kalajcie własnego stanu. Czy to z was nie uczciwy obywatel, choć rzemieślnik?

— Tak; ale człowiek całe życie biedę klepie, a nauka zawsze daje lepszy i łatwiejszy kawałek chleba.

— To dawniej a nie teraz. Teraz to tylko chłopcu w głowie przewrócą i tyle. Trzeba wam było być zeszej Niedzieli na kazaniu księdza Gabryela, tobyście się byli nasłuchali jakich ta teraz herezjy uczą po szkołach. To strach słuchać. A dyć ja wolę, żeby moje dziecko całe życie biedę klepało a było bogobojne, jak Bóg przykazał, niż, żeby miało stad się heretykiem.

— Oj prawda, prawda, odezwało się kilka głosów.

— Ja nie chcę, żeby moje dziecko publicznie z ambony wyklinano, jak kilka niedziel temu jakiegoś tam filozofa. Niech Bóg moje dziecko od tego zachowa.

— A czy wyklinano kogo? spytał Józef, na którego cała ta rozmowa jakieś niemiłe, trwożne wywarła wrażenie.

— A jakże, a toż wszyscy słyszeli.

— Oj słyszeliśmy.

— I o cóż go wyklinano?

— O co? Ano o to, że na kościół katolicki się rzuca, że się z Sakramentów Przenajświętszych

śmieje, że do spowiedzi nie chodzi.

— No, toby wielu takich naliczył, którychby wyklinać musiano, wtrącił Tomasz.

— Tak, ale ten był gorszy, bo innych psuł i gorszące nauki po pismach drukował. Dla tego go Kościół Św. musiał palcem wytknąć.

— Biedni rodzice, jeżeli jeszcze żyją, toż to dla nich pociecha.

— Może i rodzice nie lepsi, nie daleko jabłko od jabłoni.

— I wymienił go ksiądz po nazwisku? spytał znowu Józef niepokoiony jakimś przykrem przecuciem.

— Nie słyszałem.

— Ani ja.

— Nie wymienił, to prawda, odezwał się Omnibus, który właśnie tylko co wyszedł z drugiej izdebki i płacąc przy szynkwasię słuchał całej rozmowy ale jakby go palcem pokazał, bo mienił jego książkę, a wszystkim wiadomo kto ją pisał.

— Więc aspan znasz tego ptaszka? spytał stolarz buńczucznie.

— A coby nie, to Antoni Kowalski, ten sam co to dziś tak dowodził w sali ratuszowej.

— To ten sam, zawołał jeden z tych, którzy z Omnibusem zabierali się do wyjścia.

— A tak. Antoni Kowalski, powtórzył Omnibus.

Po tych słowach zapanowała przez chwilę głęboka cisza, szczególnie przy stoliku pod piecem. Wszystkich oczy zwróciły się na Józefa, który z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w Omnibusa, jak ogłuszony piorunem, nieprzytomny i nieruchomy. — Czyby to był wasz syn Józefie? odezwał się gospodarz, ależ być nie może, to pomyłka.

Józef nieprzytomny wzrok zwrócił znowu na pytającego, ale już powoli przychodził do siebie, bo muszkuły jego twarzy drzeć nerwowo poczęły a krzaczaste brwi zbliżały się ku sobie.

— I wy nic o tem nie wiedzieliście? spytał go bliżej siedzący.

— Nic, nic, odpowiadał zaschłym głosem, a rękami bezwiednie macał koło siebie szukając czegoś.

— Na Boga panie Józefie, co wam jest? spytał Tomasz chwytając chwiejącego się i drżącego w swoje ramiona.

— Dajcie mu miodu, to go skrzepi.

— Lepiej wody trochę świeżej — hej, Magduś, wody żywo.

— Biedny stary.

— Ot, doczekał się pociechy na starość.

— Jabym się odrzekł takiego syna.

— Oj, dzieci teraz, dzieci.

— Posyłaj tu do szkoły. Mój od wakacyj pójdzie do terminu, jak amen w pacierzu.

— Jabym zaś wolał bywszy wami oddać go na technikę.

— Tak tu jak tam djabeł. Nie chcę. Niech będzie szewcem, byle uczciwym.

Takie zdania posypały się wśród tłumu otaczającego Józefa.

— No, cóż lepiej wam teraz?

— Lepiej, lepiej, szeptał ochryplym głosem i szukał koło siebie laski i czapki z nerwowym niepokojem.

— Cóż wam się stało?

— Nic, nic — trochę za gorąco — przejdę się, to mi lepiej zrobi. Chodźmy panie Tomaszu.

Uczepił się starego znajomego i wstał.

— Ależ zostańcie lepiej jeszcze wszak to na nogach się ledwie trzymacie, odezwał się któryś z

obecnych.

— Nie, nie, już czas na mnie — jutro sobie nagrodzimy, — do miłego widzenia się z panami.

Mówił gorączkowo, pospiesznie, w ruchach jego był ten sam niepokój, widocznie pilno mu było uciec ztąd — nie śmiał patrzeć znajomym w oczy, jak zbrodniarz, i nie chciał słyszeć ich słów politowania; jedno i drugie jątrzyło go. Przeciskał się z gwałtownością przez tłum, zegnając się po drodze i siląc się na pokorny, dobrotliwy uśmiech. Dopiero gdy wyszli na ulicę — stary zatrzymał się westchnął głęboko, mocno, jakby z tem westchnieniem chciał zrzucić z siebie całą boleść, pochylił głowę na ramię Tomasza i zaszlochał głośno, rozpacznie.

— Oj, panie Tomaszu, czego ja się doczekałem. Jedyne dziecko.

— Kto wie czy to on. Jest tylu Kowalskich.

— Bóg by dał, żeby to była pomyłka. Ale nie, to nie pomyłka. Ja już oddawna uważałam u niego wiele rzeczy, które mi się nie podobały.

— Hula?

— Broń Boże. Owszem siedzi po całych dniach i nocach w domu i ślęczy nad jakimiś książkami — ale ani niedzieli nie obserwuje, ani do spowiedzi świętej nie chodzi; słowem żyje jak zwierzę. Nie odzywałem się, bo sobie myślę, że on przecie ma rozum, wie co robi i duszy gubić nie będzie — i pokazało się, że źle robiłem, że trzeba było go przestrzedz i upomnieć — toby do tego nie było przyszło. A teraz taki wstyd, taka hańba na moje stare lata.

— Mniejsza wstyd u ludzi, — ale zatracenie duszy — to gorsze. Powinniście panie Józefie wpłynąć na niego, bo szkoda chłopaka.

Temi słowami pożegnał Tomasz Józefa, który ze spuszczoną głową powlókł się powoli do domu. Stanąwszy przed kamienicą, w której mieszkał wraz z synem, podniósł głowę w górę i zobaczył w jednym oknie światło. To znaczyło, że Antoni jest w domu, co się bardzo często trafiało. Tylko że dawniej widok tego światła czuwającego rozrzewniał starego, a teraz przeszył serce jego trwogą i dreszczem. W blasku tego światła widział teraz jakąś moc nieczystą, która go strachem przejmowała. Powoli wchodził na górę, tchu mu brakowało, a przy tem rozmyślał jak zacząć rozmowę, co powiedzieć. Umysłowa bowiem wyższość syna imponowała zawsze staremu i czuł się w obec niego nieśmiałym. Dziś trzeba było przełamać tę nieśmiałość i samemu imponować. Stary nie wiedział jak się zabrać do tego, szukał słów, układał całą przemowę i dlatego wchodził powoli, by mieć dosyć czasu zebrać myśli.

Ale wszystkie te przygotowania na nic się nie przydały, bo gdy otworzył drzwi i ujrzał syna siedzącego przy stole z twarzą ponurą, zamyśloną, z oczyma wpatrzonemi sztywno w płomień lampy — zapomniał całkiem co miał mu powiedzieć. W twarzy bowiem syna zobaczył ponurą jakąś boleść, tyra wymowniejszą, że milczącą — i powagę, która mu zamknęła usta, a przygotowane słowa uciekły staremu, przestraszone w głąb duszy. Cicho przesunął się koło syna i za ledwie się zdobył na niewyraźne bąknięcie przywitania. Antoni tak był zamyślony, że nie słyszał wejścia ojca — wrócił on niedawno do domu po owej przykrej porażce, jakiej doznał na zgromadzeniu. Cały plan jego zawiązania klubu, który z takim zamiłowaniem opracował, którego przyszłością i rozwojem się cieszył — cały ten plan mu złamano, spaczono, spotwarzono; w miejscu, gdzie chciał wszczepić idee postępu — naznoszono śmieci i kału. Ktokolwiek kiedy doznał podobnego zawodu, ten zrozumie głęboką boleść Antoniego. Nie była to boleść, ale raczej jakieś uczucie przykre, ściskające piersi, gniotące, niszczące, uczucie które trawi i wysusza żywotne siły duszy i sprawia niesmak moralny. Pod wpływem tego uczucia Antoni oddał się smutnym rozmyśleniom, z tego ciernego wątku snuł się cały szereg ponurych myśli, a twarz jak zwierciadło odbijała ten pochód pogrzebowy. Spojrzawszy się na tę surową, namarszczoną twarz, stary stracił do reszty tę odwagę, w jaką się napompuwał

przez drogę i milczkiem poszedł do swego pokoiku. Skrzypnięcie drzwi zbudziło uwagę Antoniego - zerwał się z siedzenia jak przebudzony i spojrzawszy ku drzwiom, spytał:

— Czy to ty ojcze?

— Ja, odrzekł stary krótko i wsunął się do ciemnego pokoiku.

— Któraż to godzina?

— Nie wiem. Będzie może dziewiąta.

— I ty ojcze już w domu? Cóż się stało? Czy nie było partyjki?

— Nie miałem ochoty.

— Może krajcarów brakło — co? To moja wina że nie zrewidowałem dziś twej sakiewki, nie byłbym cię puścił bez pieniędzy.

Ojciec nic nie odpowiedział. Antoniego zdziwiła ta suchości lakoniczna i chciał znowu o coś się zapytać, gdy usłyszał w ciemnym pokoju ciche, przytłumione łkanie. Porwał lampę ze stołu i wbiegł do pokoju ojca.

— Co tobie ojcze jest? spytał zaniepokojony patrząc na starego, który odwracał twarz od blasku lampy i ocierał łzy. — Czego ty płaczesz, na kogo? Co ci się stało, czyś chory?

Mięki ton głosu ośmielił starego, rozbeczał się jeszcze głośniejsze i rzekł składając ręce i kiwając głową nad synem.

— Antosiu, bój się Boga coś ty zrobił?

— Ja? zadziwienie pełne szlachetnej dumy i zaufania w czystość swych czynów błysnęło mu na twarzy.

— Powiedz mi czy to prawda, że ciebie kościół wyklął.

Zdziwienie Antoniego przeszło w pogardliwy uśmiech.

— Więc o to idzie? Byłem pewny, że w istocie coś się złego stało.

— Ty się śmiejesz, spytał ojciec z bogobojną trwogą patrząc przerażony na syna. Czy ty wiesz co to klątwa?

— Kiedyś była to straszna broń kościoła, dziś jest niczem. Przez nadużycie zużyto tę broń.

— Toś ty chyba nigdy nie czytał o wyklętych?

— że przed nimi zamykano drzwi domów i nikt im nie podał jadła ani napoju. Nie bój się ojcze, dziś świat inaczej patrzy na tę rzecz, w każdej restauracyi mogę się ocalić od śmierci głodowej, a gospodarz mój pewnie mi nie wypowie mieszkania, chyba gdybym nie płacił regularnie.

— Ale Pan Bóg nie będzie tak sądził i ciężko cię ukaże za taką bezbożność — i mnie, że nie śmiem im się spojrzeć w twarz.

— Kto ci śmiał ubliżyć, ojcze?

— Kto? — ludzie co mędrkują i jak wy młodzi, ale mają Boga w sercu i żyją po katolicku, jak Bóg przykazał. Ci ludzie wytykają mnie palcem i mają słuszność. Oj, dolaż moja dola, czegom ja na stare lata doczekał, bodajbym był nie dożył tej godziny.

Tu stary głośnym wybuchnął płaczem. Wobec tej boleści ojca, Antoni stał bezsilny i bezradny; nie czując się winnym podług swoich wyobrażeń, nie widział potrzeby bronienia się, usprawiedliwiania, uważałby to za śmieszne i uwłaczające mu; a z drugiej strony nie wiedział jak wytłómaczyć ojcu, że nie powinien się martwić. Zbyt wielka różnica przekonań, wykształcenia, pojęć była między ojcem i synem aby się zrozumieć mogli. Milczał więc, ale milczenie to było dla niego okropnem, bo go bolało, że ojciec cierpiał, a choć powód tego cierpienia uważał za urojony, to jednak stawiając się na stanowisku ojca, Antoni rozumiał dobrze co cierpieć musi i jak prostoduszność jego musi być przerażona wiadomością o klątwie. Bolało go to tym więcej, że nie umiał temu zaradzić, że nie miał sposobu przekonania starego i uspokojenia jego skrupułów.

Tymczasem ojciec milczenie jego wytlómaczył sobie zatwardziałością w grzechu i rozpacz go ogarniała na myśl, że syn jego stracony.

— Powiedz mnie, co ciebie do tego skłoniło?— spytał ze łzami w oczach i prośbą w głosie — tyś był dawniej tak dobry, tak nabożny. Co cię opętało? Co cię odmieniło?—może ty z biedy sprzedał się złym duchom—powiedz—może tobie szło o to, byś mnie mógł dopomóc. Ja niechcę nic od ciebie, będę pracował na siebie i na ciebie, nie jestem jeszcze tak stary, sił mam dosyć; tylko nawróć się, popraw się; popal te przeklęte pisma i książki, które cię psują. Ja nie chcę, żebyś ty był uczonym, chcę tylko żebyś żył po katolicku.

— Mój ojcie — odezwał się Antoni tonem napozór spokojnym; ale widać było po drzeniu jego, że się silił tylko na spokój. Mój ojcie, rzekł — żyjemy lat tyle razem, patrzysz na życie moje, powiedz czy masz mi co do zarzucenia?

— Właśnie to mnie boli, że będąc tak dobrym synem, jesteś złym katolikiem i oddajesz duszę na potępienie wieczne.

— Dlaczego? Że jednemu księdzu podobało się wydać taki wyrok.

— Mój synu, ten ksiądz to sługa i namiestnik Boży — tak nas Zbawiciel sam naucza. Ale wy na to nie zważacie, u was nic nie znaczy ksiądz, nic Pan Bóg, religia, msza Ś-ta, spowiedź — wszystko to głupstwo. To też Pan Bóg nie błogosławi waszej pracy.

Antoni nic się nie odzywał. Ta pajęczka tkanina katechizmowych frazesów, wypowiedziana przez ojca, spętała jego wolę, jego myśli, jego usta; czuł się zgnębiony, osłabiony, pokonany, i milczał choć może miał tysiące argumentów na odparcie zarzutów, ale wszystkie były bezskuteczne naprzeciw religijnych skrupułów starego, którego wiara nie rozumowała, nie dysputowała, nie myślała nawet, ale ślepo kładła się pod przepisy kościoła. Każde słowo starego wyciągało na torturach duszę Antoniego, był męczony przez potęgę tradycji, która pastwiła się i znęcała nad nim przez usta ojca.

— Mój Boże — ciągnął dalej stary usiadłszy na łóżku i zwiesiwszy smutnie głowę na piersi — czegom ja dożył. Co mnie na świecie trzymało? com ja miał? Tylko ciebie jednego. Cieszyłem się i pyszniłem tobą. A teraz — o! Bóg mnie srogo ukarał. I ciebie ukarał za twoją dumę. Bo trzebaż ci było porzucić łaskę hrabiego? Mówiłeś, że on cię obraził. Cóż w tem było strasznego — on pan z panów, a ty co? Biedak, który jemu wszystko winiłeś, gdyby nie on, czemu byś był? Trzeba się było udać w pokorę, przeprosić, nie byłbyś potrzebował męczyć się i pracować i jeździć do tych Niemców, gdzie zatraciłeś wiarę ojców. Wszystko złe poszło ztąd, żeś nie słuchał hrabiego, że zhardziałeś i stałeś się niewdzięcznym.

Żal starego stawał się coraz wymowniejszym, wszystko, co miał na sercu wypowiadał teraz bez ogródki, nie mając nawet pojęcia o tem, jak każde słowo jego zadawało bolesne ciosy synowi; jak raniło i obrażało dumny i wzniosły jego umysł. W prostocie ducha zdawało mu się, że podaje synowi lekarstwo podczas gdy poił go żółcią.

— Mówiłeś — ciągnął dalej stary — że hrabia wymagał od ciebie rzeczy niepodobnych, a on pewnie nie chciał nic innego, tylko żebyś żył po katolicku. Musiał on widzieć u ciebie coś, co mu się niepodobało i chciał cię naprowadzić na dobrą drogę. A ty zamiast usłuchać podziękować za ojcowską radę, hardo się znalazłeś względem swego dobroczyńcy i niewdzięcznie, a kto nie umie być wdzięcznym po tym niewiele dobrego spodziewać się można. Hrabia był taki łaskaw na ciebie. Gdybyś nie był porzucił jego dworu i trzymał się pańskiej klamki, byłoby i tobie dobrze i mnie przy tobie.

— Więc teraz jest ci źle ojcie? — spytał z boleścią Antoni. Wszystko bowiem robił, aby ojcu uczynić życie przyjemnem, aby nie czuł niedostatku. I na tym punkcie spotkał go zarzut — to go zakłuło do żywego.

— I jak mi ma być dotrze, kiedy widzę, że po całych dniach i nocach pracujesz i nic nie masz z tej pracy.

— Trzeba czekać—to darmo. Niedługo los mój się rozstrzygnie.

— I czekanie na nic się nie zda, jak Pan Bóg nie pobłogosławi, a Pan Bóg nie może błogosławić takim, co go się wypierają, co nim gardzą. Antosiu! Bój się Boga, do czego cię to doprowadzi? Zlituj się nademną i nie martw mnie i niezatruwaj mi tych resztek życia — popraw się.

— I cóż mam robić ojcie — powiedz co robić? — spytał Antoni głosem pełnym udręczenia. Co chcesz abym robił?

— Zacząć inne życie, bogobojne; przeprosić Pana Boga za dawne grzechy — modlić się, spowiadać. Ty już dawno pewnie nie byłeś u spowiedzi? Antosiu, zrób to dla mnie i idź oczyścić się z grzechów. Zobaczysz jak ci to dobrze zrobi. Po spowiedzi odzyskasz spokój, którego ci teraz brak, pogodę duszy.

Przysunął się do syna i biorąc jego milczenie za przyzwolenie, pogłaskał go po twarzy i mówił dalej:

— No Antosiu, zrobisz to dla ojca. Pójdziemy razem. Co?

— Jeżeli cię to ojciec uspokoi — to dobrze — pójdę, odrzekł z poddaniem się i cierpką rezygnacją.

— Kiedy? zawołał ojciec ucieszony.

— Kiedy chcesz? — jutro, odrzekł obojętnie.

— O! nie, jutro zawczasie, trzeba się należycie przygotować. Ja cię przygotuję, tyś już pewnie zapomniał, co należy robić. Co to mamy dziś? środa. Otóż w sobotę pójdziemy do spowiedzi — to dzień Matki Boskiej najświętszej; Ona przyczyni się za tobą. Potem pójdziemy do księdza Gabryela — wyznasz mu swoją skruchę — on ulituje się nad niewinną owcą i cofnie swój wyrok.

Antoni zerwał się gwałtownie ze stołka.

— Nie wymagaj odemnie ojcie — zawołał tego co jest nad moje siły — nie dobijaj mnie.

— No, więc nie, nie. Tylko pójdziemy do spowiedzi, resztę zrobi Pan Bóg, on ci da dobre natchnienie. Czy ty masz książkę do nabożeństwa?

— Nie mam.

— Kupimy jutro, a tymczasem dzisiaj pomodlimy się z mojej, są tam prześliczne modlitwy przed spowiedzią. Czekaj — zaraz je odczytamy.

Ze skwapliwym pośpiechem, poszedł odszukać książkę i okulary i za chwilę wrócił do syna.

— Czy ty będziesz czytał — czyja mam czytać? spytał.

— Czytaj ty ojciec.

— Klękniemy przed Matką Boską Częstochowską o! tutaj — albo nie, czekaj — lepiej przed sercem Jezusowem.

Antoni machinalnie poddał się woli ojca, ukląkł obok niego i oparłszy ręce o stołek zanurzył twarz w obie dłonie. Ojciec głośno z rozrzewnieniem i nabożeństwem odczytywał modlitwy: w twarzy jego ożywionej widać było błogie zadowolenie i radość z nawrócenia syna. W kilka dni potem Antoni poszedł z ojcem do spowiedzi. Stary czuwał nad nim jak nad małym dzieckiem, sam wyszukał mu konfesyonał, ułatwił przystęp do księdza, podszeptał formułkę potrzebną do rozpoczęcia spowiedzi i dawał mu różne rady. Antoni jak automat dał mu się powodować, w niczem się nie sprzeciwił, wszystko robił, jak mu kazano. Spowiedź trwała niedługo. Gdy wstał od konfesyonału, ojciec zbliżył się do niego uradowany, rozpromieniony, ścisnął go za rękę, spojrzawszy na niego oczami szklącymi się łzami radonu po cichu:

— I cóż?

— No, zrobiłem, co chciałeś ojcze, wypowiedziałem się. Czyś już spokojny teraz o mnie?

— Dał ci rozgrzeszenie?

— Dał.

— A widzisz kościół ma ojcowskie serce dla nawróconych grzeszników.

I rozbeczał się stary z rozczulenia i szczęścia.

— Może pójdziemy już.

— A komunia! zawołał stary zgorszony tem zapomnieniem syna — zapomniałeś o komunii świętej. Tylko w takim razie gdybyś nie dostał rozgrzeszenia, nie mógłbyś przystąpić do komunii świętej.

— Więc choćmyż do tej komunii.

— Pierwej trzeba odmówić pokutę. Cóż zadał ci za pokutę?

— Coś mi kazał odmawiać, nie pamiętam.

— Może psalmy pokutne?

— Być może.

— Oto masz tutaj, o! jest ich siedem. Skoro Omówisz wszystkie, pójdziemy potem do komunii i będzie po wszystkim. Widzisz, me ma w tem nic tak straszego.

— To prawda — nie ma w tem nic, nic zgoła — powtórzył syn w posepnem zamyśleniu i wzięwszy książkę z rąk ojca, poszedł z nią przed ołtarz. Stary klęknął zdaleka od niego i modlił się, rzucając od czasu do czasu troskliwe spojrzenia w stronę, gdzie klęczał syn jego. Martwiło to potrochu starego, że Antoni odbywa wszystko z obojętnością, bez żarliwości nabożeństwa, ale jak na pierwszy raz, stary nie śmiał wymagać więcej; dziękował Bogu gorąco w duszy, że do tego już doprowadził, że zrobił początek i wierzył w to mocno, że łaska boska z każdym dniem skuteczniej działać będzie i sprawi całkowite nawrócenie. Dlatego nie chcąc syna na pierwszy raz przeciążać praktykami religijnymi — zaraz po komunii zbliżył się do niego i rzekł:

— No, może teraz pójdziesz do domu?

— Czy już po wszystkimu?

— Już, już mój Antosiu. Niech ci niebo nagrodzi to sownie, żeś usłuchał starego ojca, wróciłeś mi połowę życia. Tak mi teraz dobrze, jakby kto ciężki kamień zrzucił mi z serca. Odzyskałem znowu mego Antosia. Antoni w milczeniu pocałował rękę ojca.

— No, idź już do domu.

— A ty ojcze?

— Ja tu jeszcze trochę zostanę, pomodlę się — jest za co Panu Bogu dziękować. Dla nas starych widzisz kościół — to najmilszy kątek na świecie. My już za kościołem niewiele mamy się spodziewać. No, idź już ja tam niezadługo przyjdę.

Pocałował go w czoło, przeżegnał i wrócił przed ołtarz. Antoni wybiegł szybko z kościoła, jak ptak puszczony z klatki — i na ulicy odetchnął swobodniej. W drodze spotkał go doktor Seweryn.

— A ty zkąd tak rano? spytał go — właśnie szedłem do ciebie, byłem pewny, że cię zastanę w domu.

— Zdziwisz się, gdy ci powiem zkąd wracam — od spowiedzi.

— Jakto? Ty spowiadałeś się?

— Ja.

Doktor spojrział na niego zdziwiony.

— Chodź! wytłómaczę ci to w domu — rzekł Antoni i pociągnął go za sobą.

Gdy stanęli w mieszkaniu, Antoni opowiedział doktorowi ze wszystkimi szczegółami scenę z ojcem, którą miał przed kilkoma dniami i zakończył opowiadanie swoje w ten sposób:

— Powiedz czy miałem inny sposób uspokojenia mego ojca? Siła argumentów jest bezsilną w obec ślepej wiary; głos rozumu w obec zakorzenionego przesądu jest herezyą. I cóż mogłam zrobić dla uspokojenia obaw ojca, w oczach którego moje przekonania były zbrodnią? Musiałem dla uspokojenia tych obaw zrobić ofiarę z moich przekonań i wbrew głosowi rozsądku poszedłem za jego wolą. Litość nad ojcem skłoniła mnie do tego. Nie uwierzysz co mnie to kosztowało.

Rozdrażnienie i gorycz malowały się na twarzy mówiącego.

— Wstyd palił mi twarz, mówił po chwili, bałem się podnieść oczów na ludzi, bym nie wyczytał na ich twarzach pogardy dla mej hypokryzyi, choć w duszy niemam sobie nic do wyrzucenia, bo zrobiłem to w najlepszych zamiarach, bo kłamstwo moje i obłuda uszczęśliwiły ojca. Kiedy w studenckiej mojej izdebce w Heidelbergu rzucałem śmiałych zarysach plany przyszłego mego działania w kraju i walki z przesądami, ciemnotą, nie przyszło mi nigdy na myśl, że w pochodzie moim do zwycięstwa przyjdzie mi deptać po świętych uczuciach miłości synowskiej, że własny ojciec stanie w poprzek moich szczytnych pomysłów. Dziś zrozumiałem upadek wielu reformatorów, którzy cofnęli się przed wielkością swej misyi. Dawniej nazywałem to tchórzostwem; dziś niemógłbym ich potępić, bo wiem co im mogło spętać skrzydła i zrzucić na ziemię. Ach, jak to bolesne. Nie tak wyobrażałem sobie walkę. Zdawało mi się, że tytaniczne potęgi złego staną przeciw mnie z całym arsenałem argumentów, zgnilizny, czynów, że będę się pasował z nimi całą siłą mego ducha, w obec zdziwionych tłumów, które z niepokojem wyczekiwać będą końca walki. A tu tym czasem zamiast olbrzymich zapasów drobne przykrości podgryzają siły żywotne, zamiast tytanów robactwo obsiadło mnie i niszczy, i wśród tych drobnych utarczek duch zużywa się i słabnie. Potęga, którą wyzwalałem, odpowiada milczeniem, milczeniem zabijającym, ciosy moje padają bezowocnie w pustej i ciemnej przestrzeni a tym czasem czuję jak jej niewidzialne siły kopią mi grunt pod nogami, jak ziemia mi się usuwa i grzęzną. O taki stan jest nie do zniesienia.

Powiedz mi Sewerynie czy ty nie przechodziłeś nigdy takich katuszy?

— Byłbym nieszczerzy, gdybym powiedział: nie. Każdy młody człowiek z żywszą duszą przechodzić musi przez ten czyściec, jaki stwarza w duszy starcie się wzniosłych pomysłów z tysiącem drobnych rzeczywistych przeszkód. Ale byłem w tem o tyle szczęśliwszy od ciebie, że zbyt wcześnie przyszedłem do równowagi i spokoju, a zyskałem jedno i drugie przez moje studia przyrodnicze. Zagłębiając się w misterne tajniki praw przyrodniczych przyszedłem do przekonania, że w przyrodzie nic się nie dzieje nagle, niespodziewanie, że nawet wielkie przewroty i kataklizmy przygotowywały się w długim szeregu lat drobnymi, na pozór nie widocznymi przyczynami. To spostrzeżenie nauczyło mnie cierpliwości, a co więcej nauczyło mnie cenić każdą drobną pracę, każdy najmniejszy objaw życia. Jeżeli, myślałem sobie, drobniuchne stworzonka budują w szeregu stuleci olbrzymie skały kredowe, — dlaczegóżby praca człowieka miała przeaść bez śladu? To przekonanie wzmocniło mnie niesłychanie na duchu, ochroniło od zwątpień, rozczarowań i innych tym podobnych chorób, wyleczyło mnie z butnych, gigantycznych pomysłów, któremi chciałem przekształcać świat i zamiast walki burzącej wybrałem pracę, która buduje. Jak w przyrodzie tak i w historii widzę ciągły choć nadzwyczaj powolny postęp, który się posuwa w ciągu wieków, podobnie jak owe słoneczne systemy ku jakiejś nieznannej gwiazdzie, a posuwa się naprzód wbrew woli milionów ludzi tamujących go, — i ten widok podnosi mnie, a myśl że jestem jednym z pracowników tego postępu, ta myśl, że spełniam mój obowiązek, napawa mnie większą rozkoszą, niż tę, jaką czuli tryumfatorowie świata.

— Być może, że to jest szczęście; ale ci nie zazdroszczę tego szczęścia. Dla mnie ta myśl, że jestem jakąś śrubeczką mikroskopijną w tej potwornej maszynie, z której wy ludzkość zrobić chcecie, byłaby okropną, przygniatającą, onaby mnie ubezwładniła. Gdy przeciwnie wiara, że sam na własną

rękę mogą zdziałać coś wielkiego, wiekopomnego, że z czynów moich zbuduję sobie pomnik nieśmiertelny — jest sprężyna, która mi duszę ożywia i do działania pobudza.

— A gdy się przekonasz, że to tylko złudzenie, sprężyna ta łamie się na lada przeszkodzie i orli duch upada bezwładny — w zwątpienie. To jest właśnie waszą wadą panowie idealisci, że puszczając się na ocean życia, wydymacie naraz wszystkie żagle zużywacie cały zasób sił od razu, bez umiarkowania, a gdy przyjdą burze giniecie w odmętach.

— Kto chce cedić po odrobinie siły życia, ten nic wielkiego nie dokáže, nie wyjdzie po za granice mierności. Bez tego młodzieńczego entuzjazmu, który się nie obywa bez szału i awanturniczości, świat nie miałby geniuszów, bohaterów.

— Ale miałby czynów więcej. Czy myślisz, że bohaterowie, których nazwiska zapisała historia, tworzyli historią, wypadki? Nie, stworzyli ją ci, o których świat nic nie wie; bohaterowie owi byli tą pianą, którą wewnętrzne ruchy wyrzuciły na wierzch i uczyniły widoczną, albo jeżeli wolisz, byli kwiatem, który nigdyby nie zakwitł, gdyby nie owa wewnętrzna niezmordowana praca soków z naczyń drzewnych, praca, o której zapominają ci, co się delektują zapachem i barwą kwiatu. Nie mówię przez to, aby człowiek bez zapachu i natchnienia pracował, bo do każdej, choćby najmniejszej pracy, potrzeba zapachu, co ożywia i sił dodaje; ale chciałbym, aby ten zapach nie wybuchał jak fajerwerk bezużytecznie, ale palił się wciąż w duszy jak ogień w parowej maszynie. Jestto może nie poetycznie, ale pożytecznie. Tej ekonomii wy nie macie w waszych czynnościach, wydaje się ona wam czemś upakarzającym, a jednak wierz mi, że tylko taka praca żmudna, a ciągła coś stwarza.

— A jeżeli w tej pracy co krok napotyka się na przeszkody i trudności, to co?

— Widziałeś kiedy w lesie wśród mchów procesję pracujących mrówek? Każda z nich spieszy po plon, szuka, zbiera i wraca z tą samą niezmordowaną skwapliwością do gniazda. Przypatrując się ich pracy, umyślnie rzucałem nieraz na drodze, którą biegły te pracowite stworzonka, drobne kamyki. Były to dla nich wielkie przeszkody i zawały. I cóż robiły? Obeszły przeszkodę i szły dalej znowu wytkniętą drogą do celu.

— Więc obchodzić należy.

— Czekaj, jeszcze nie skończyłem. W kilkanaście dni przyszedłszy na to samo miejsce zauważyłem, że deszcz wbił owe kamyki w ziemię, mech zasłonił je prawie i wyrównał i mrówki prostą już drogą szły do swego legowiska. Ten drobny przykład nauczył mnie wiele.

— A mnie nie. Omijać przeszkody i trudności to małoduszność, to tchórzostwo, które przystoi może mrówkom, ale nie nam. Czekać aż los, przypadek czy opatrność zniesie zawady, jest to wyrzekać się własnej woli, stać się bierną istotą. Tego przecież wymagać nie możesz od ludzi, którzy postawili sobie w życiu jakieś zadanie.

— Nie rozumiałeś mnie jak widzę. Nie mówiłem o odstąpieniu od celu, bo właśnie gdyby mrówki zajęły się uprzątnieniem kamienia, praca ta zajęłaby im Bóg wie jak wiele drogiego czasu, i przez to właśnie opóźniłyby spełnienie głównego swego zadania. Inna rzecz, gdyby ten sam kamień zawalił im wejście do legowiska. Wtedy nie zostawiłyby go w spokoju, ale to inna rzecz, bo wtedy praca ich byłaby koniecznością. Dając ci ten przykład nie miałem wcale na myśli potępiać walkę z przeszkodami, ale mówiłem o walkach bezużytecznych, które sprowadza nie konieczność, ale obrażona ambicya, buntująca człowieka; mówiłem o tych niebezpieczeństwach, które człowiek sam wywołuje i wyzywa na harce.

— Czy to przytyk do mojej rozprawy „Kościół i cywilizacja”.

— Jak możesz przypuścić coś podobnego. Praca ta postawiła cię wysoko w moich oczach, jest to praca dodatnia, głęboka i zacna. Ale mówię tu o twojej broszurze „Niekarność w obozie demokratów”. Wszak to twoja?

Antoni zarumienił się mocno i spytał:

— Zkąd wiesz o tem?

— Domyśliłem się tego z niepewnych odpowiedzi redaktora.

— Napisałem w niej, co myślę o naszym obozie.

— A jednak nie śmiałeś się podpisać na tej broszurze.

— Byłbym to zrobił, gdyby nie redaktor, który mnie gwałtem od tego powstrzymał.

— I dobrze zrobił. Broszura ta sprawiła wielkie wzburzenie w mieście. Gdyby wiedziano żeś to ty napisał, przepadłbyś w opinii tych ludzi.

— A jednak napisałem prawdę.

— Tak; ale napisałeś ją w chwili, gdy twoja miłość własna była podrażnioną, napisałeś ją z złością i goryczą. Gdybyś tę samą rzecz był obrobił nie pod wpływem chwilowego rozdrażnienia, ale spokojnie, naukowo, z rozwagą i miłością, działanie tej broszury byłoby zbawienne, oświeciłoby nie jednego i naprowadziło na dobrą drogę. Ja sam byłbym zatem, aby tak obrobioną broszurę rozrzucić, niby katechizm demokratyczny po warsztatach i fabrykach. Byłaby to bowiem rzecz na czasie i pożyteczna. Ale takiej, jaka wyszła teraz z pod pióra twego pochwalić nie mogę; jest to ferment roznamiętnionej duszy, który tylko kwasy i gorycz stworzyć może.

— Przyznaję ci słuszość. Sam po głębszej rozwadze widzę, że się nadto uniosłem. Ale stało się — darmo. Byłem za gwałtowny.

— Uważałem już tę wadę w tobie. Człowiekowi prywatnemu możnaby to wybaczyć; ale takim jak ty ludziom, to nie uchodzi. Podobny brak taktu będzie ci wielką przeszkodą w karierze politycznej, która cię czeka; nie wyrobiłeś się jeszcze na człowieka politycznego. Zdanie to nie tylko moje, ale i innych świątłych ludzi a życzliwych ci. I dla tego przyszedłem do ciebie z propozycją.

— O cóż idzie? spytał Antoni zaniepokojony tonem, z jakim doktor wymówił ostatnie słowa.

— Idzie o to, abys na teraz zrzekł się kandydatury na posła.

— Czy sądzicie, że nie dorósł do tej wysokiej godności? spytał z ironią.

— Odrzuć ten ton ironiczny, to nie dla nas broń. Mówmy na seryo. Spodziewam się, iż jesteś aż nadto przekonany, że nie mam w tej sprawie żadnych osobistych celów, a tym mniej niechęci ku tobie i gdybym tylko mógł mieć choć jaką taką pewność, że wybór twój jest możebny, pierwszybym go popierał wszelkimi siłami, bo mało kogo widzę równie zdolnym do tego zaszczytu w naszym obozie. Ale wybór twój niema żadnej a żadnej pewności. Pominąwszy już ową ostatnią broszurę, której autorstwa możesz się w końcu wyprzeć, trzeba wziąć na uwagę, że jesteś w mieście zbyt mało znany, niepopularny, a co nadewszystko zdyskredytowany w opinii.

— Ja? A to przez co? Wszak mówisz, że mnie tu mało znają.

— Tego sobie także wytłomaczyć nie umiem. Jest ktoś, co silnie agituje po mieście przeciw tobie i podkopuje cię w opinii publicznej. Czy to jest działanie partyi przeciwnej, czy nawet z naszej partyi ktoś źle przeciw tobie usposobiony szerszy te pogłoski, dość, że one się rozchodzą i działają na ludzi.

— I cóż mogą mówić o mnie? spytał z godnością Antoni.

— Podejrzewają czystość twoich zasad, odgrzebują przeszłość twoją i robią ci zarzut z tego, żeś się pokazał niewdzięcznym względem swego dobroczyńcy hrabiego Medarda.

— Więc i z tego zarzut mi robią, że się wyrzekł wygodnego życia, świetnych nadziei, byle ocalić moje przekonania, wolność myśli. O ludzie, ludzie!

Okropną gorycz i boleść czuć było w tym wykrzyku duszy głęboko dotkniętej i zranionej tak boleśnie.

Doktor mówił dalej:

— Te wszystkie zarzuty byłyby niczem jeszcze, na publicznem zgromadzeniu oszczerca nie

śmiałyby wystąpić z nimi bez narażenia się; ale są zarzuty, które mają większą daleko doniosłość u klas ciemnych. Tu już nie jakaś ukryta nienawiść, osobista niechęć; ale fanatyzm występuje przeciw tobie.

— Mówisz o klątwie?

— Tak. To coś słyszał od twego ojca, usłyszysz tani na zgromadzenia od wielu. Co im na to powiesz? Wszak sam powiedziałeś że siła argumentów bezsilną jest w obec ślepej wiary. A ludu tego wiara jest bardzo ślepa, bo ci, co żyją z jego pobożności mają w tym interes, aby lud ten nigdy nie przejrzał; smutny to stan, jest na dzieją, że kiedyś się to zmieni; ale to kiedyś jeszcze daleko. Widzisz więc, że wszystko sprzysięga się przeciw tobie. Obliczyliśmy dobrze twoje szansę i po sumiennej naradzie zdecydowaliśmy się zaproponować ci, byś się sam cofnął.

Doktor przerwał na chwilę i patrzył na Antoniego czekając, co powie; ale Antoni utopiwszy wzrok w podłodze milczał i zdawał się słuchać jeszcze. Doktor odezwał się znowu:

— W przekonaniu, że usłuchasz życzliwej rady uchwaliliśmy postawić w miejsce ciebie mecenasa Lichnowskiego. I cóż ty na to?

Pytanie to ocuciło Antoniego z zamyślenia, zerwał się jakby prądem elektrycznym dotknięty i odrzekł z pośpiechem:

— Nie, nie, zapóźno — dziś się już nie cofnę. W głosie jego była stanowczość i siła.

— Antoni! mitygował go doktor, zastanów się tylko.

— Nie chcę się zastanawiać, nie cofnę się, mówił gwałtownie chodząc dużymi krokami po pokoju. Nie miałem wcale zamiaru starać się o krzesło poselskie — wyście mnie namówili.

— Jako... i ja?

— Ty, czy inni wszystko jedno. Dziś cofnąć się byłoby tchórzostwem. Bądź co bądź się stanie będę się starał.

— A jeżeli upadniesz?

— To się pokaże.

— Upadniesz więcej jak pewno, a upór twój zrobi tylko to, że się głosy rozstrzelą i wyjdą z koła demokratycznego kandydaci, którzy przy wyborach przepaść muszą i ultramontanie przeprowadzą swoich, zwłaszcza, że na liście swojej umieścili dra Natorskiego, swoją kreaturę, który przy tem ma wielką popularność w mieście. I ty nic na to?

— Nic, nic. Mogę ci przyznać, jeżeli ci o to chodzi, że masz rację; ale iść za twojem zdaniem nie mogę. Rozkołysaliście we mnie morze pragnień i chcecie teraz, by na jedno wasze słowo wszystkie te pragnienia pokładły się i spać poszły.

— A więc duma, ambicya twoja tu w grę wchodzi?

— A choćby i tak było? Czyż mi nie wolno wierzyć, że więcej mam prawa dobijać się o tę godność, niż inni, gdy czuję, że mam po temu zasoby ducha? Po co mam oszukiwać świat mniszą pokorą? Tak jest, idzie mi o to, abym był posłem; nazwij to ambicyą, dumą, czem chcesz, mniejsza mi o nazwę; uczucia tego wstydzic się nie potrzebuję, mam pewność, że nie zawiodą się na mnie ci, co mnie wybiorą.

— A jeżeli uczucie to wchodzi w kolizyę z innymi wyższymi uczuciami, jeżeli idąc za podszeptem dumy narażasz sprawę naszą, czy i wtedy uczuciu temu dasz pierwszeństwo i nie cofniesz się?

— Nawet wtedy nie, odrzekł z rezygnacją Antoni.

— Ha, niema tu co robić. Między nami wszystko skończone. Zawiodłem się mocno na tobie.

Chwycił za czapkę mocno wzburzony i zabierał się do wyjścia. Antoni stał na środku pokój i zdawał się nad czemś mocno namyślać. Gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi poskoczył za doktorem i

zatrzymując go za rękę rzekł:

— Zaczekaj, nie odchodź, idzie rai o to, abyś mnie nie potępił niesłusznie. Nie chciałbym w twoich oczach uchodzić za gorszego niż jestem. Powinieneś więc całą, prawdę wiedzieć. Nazwałeś mnie dumnym, ambitnym. Może nim i jestem, nie przeczę; ale taka duma, gdyby była wyłączną tylko moją własnością, miałaby swoje granice i cofnęłaby się przed radą, rozważą a w końcu przed koniecznością. Ale jeżeli ta ambicya nie tylko do mnie należy, jeżeli jest ktoś trzeci, dla kogo nie wolno mi się cofnąć, dla kogo muszę podtrzymać to pragnienie mojej ambicyi pod klątwą tchórzostwa lub lekceważenia, to cóż ty wtedy na to?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi

— Zrozumiesz, tylko posłuchaj. Ale pod słowem, że to co ci powiem zostanie między nami?

— Słowo.

— Ty pierwszy jesteś, którego wprowadzę w tę tajemniczą schówkę mego serca, do której nie zawsze śmiałem zaglądać.

— Więc miłość?

— Tak. Posłuchaj.

Usiedli w głębi pokoju pod piecem a Antoni trzymając rękę przyjaciela drżącym nieco głosem rozpoczął spowiedź swego serca:

— Jak wiesz chowałem się na dworze hrabiego Medarda. Byłem już wyrostkiem, kiedy hrabia po śmierci jakiegoś swego przyjaciela czy znajomego, wziął na, opiekę sieroty po nim pozostałe chłopca i dziewczynę, wraz z ich matką. Dziewczynka mogła mieć wtedy lat najwięcej ośm, chłopiec był o dwa lata starszy; matka była więc jeszcze młoda, a przy tem ujmującej słodczy i anielskiej łagodności.

— To musi już być kobieta niemłoda.

— Ona już nie żyje. Ale mówię ci o niej, bo ona wpłynęła na całe moje życie. Wszystko co jest we mnie szlachetniejszego, podnioślejszego zawdzięczam tylko jej. Hrabia bowiem lubo się mną opiekował i nakładał na moje wychowanie, nie przypuszczał mnie nigdy blisko siebie i gdy na wakacje wracałem do ojca, przepędzałem ten czas na folwarku wśród synów oficyalistów, w towarzystwie sług i lokajów; czasem tylko pozwalano mi przyjść do dworu ucałować rękę dobrodzieja i podziękować mu za jego łaskę. Rozumie się, że w takich warunkach młoda dusza karleć i gminnych narowów nabierać zaczęła, że względem osób ze dworu wyrodziła się we mnie służalcza uniżoność połączona z nieufnością i dzikością. Ile razy wchodziłem w bramę pałacową czułem się nie w swoim żywiole, jak wilk wyciągnięty z lasu, widok dziedzica mieszał mnie i trwożył, była we mnie jakaś dzika mieszanina uniżoności i dzikości. Przyczyniło się nie mało do tego wstępu, jaki miałem dla dworu, postępowanie syna hrabiego, chłopca zuchwałego, ambitnego, który przy każdym spotkaniu traktował mnie jak ostatniego sługę i wymagał odemnie często posług upokarzających. Byłem mu posłuszny, nadszakiwałem nawet, a nienawidziłem go w duszy. Tak było aż do przyjazdu owej wdowy z sierotami. Wtedy położenie moje się zmieniło; zostałem zawołany do dworu i kazano mi uczyć syna wdowy. Rozkaz ten przestraszył mnie, jak dzikiego zwierza huk wystrzału w lesie; postanowiłem uciekać; ale ojciec odkrył moje zamiary i przygotowania, obił i gwałtem zaciągnął do dworu, tłumacząc mi przez drogę, jak bardzo powinienem sobie cenić taki zaszczyt, że ja syn ekonoma będę uczył pańskie dzieci. To, co starego uszczęśliwiała, dla mnie było męczarnią. Ale to trwało niedługo; kilka dni wystarczyło, aby ułaskawić zdziczałego chłopca, a dokazała tego matka mego ucznia, dziwnie łagodnem i ludzkim obejściem. Była dla mnie tak dobrą, tak łaskawą, że nieraz kiedy zaczęła mówić do mnie łzy dławiliły mię w gardle, tak się czułem tem uszczęśliwiony. Przez nią wciągnąłem się do dworu, oswoiłem z jego mieszkańcami, ona była

pośredniczką między mną i mym dobroczyńcą, na którego miała wpływ wielki i przez jej protekcję byłem przypuszczony do stołu pańskiego, a nawet pozwalano mi wchodzić do salonu i bawić się tara, z dziećmi. Pod ten czas ona z troskliwością matki czuwała nad każdym krokiem moim, nad każdym słowem i zachowaniem się i delikatnie, ze słodyczą i łagodnością robiła mi uwagi, jak mam, postępować, co robić. Ona wytępiła ze mnie służalcze przyzwyczajenia, dzięki instynkta uszlachetniła, obudziła we mnie poczucie godności i wykształciła smak estetyczny; była dla mnie duchową matką, wychowała mnie prawie. To, też przyłgnąłem do niej nadzwyczajnym przywiązaniem, które graniczyło z uwielbieniem. Czciłem ją i szanowałem jak świętą jaką. Każde jej słowo było dla mnie rozkazem, milczenie naganą, która mnie dotkliwie bolała. Dość jej było powiedzieć: to źle, to nie wypada, tak się nie robi, abym z tego zrobił przykazanie. Raz pamiętam, gdy wróciła z miasta wybiegłem przed bramę na jej spotkanie i z uczuciem niewysłowionej radości przystąpiłem do stopni powozu przywitać ją, po kilkotygodniowej niebytności; ona ręką wskazała na ojca mego, który siedział na koźle i szepnęła: ojciec pierwszy, jego najprzód przywitaj. Ten ruch jej ręki więcej mnie nauczył czcić ojca, niż najdłuższe nauki katechety. I tak było zawsze, gdzie trzeba było wyjaśnić, nauczyć, poprawić, tam zjawiała się zawsze jak mój dobry anioł stróż. To też już nie trzeba było do namowy ojca, abym szedł do dworu; bo mnie ztamtąd wyjść się nie chciało; miejsce którego niegdyś nie cierpiałem, stało się odtąd dla mnie jakąś uroczą, zaczarowaną krainą, miejscem świętym, do którego pielgrzymowały wszystkie moje myśli i pragnienia. Szczególniej lubiłem bardzo, gdy hrabstwo na czas jakiś gdzie wyjechało; wtedy jakaś niebiańska, uroczysta cisza panowała we dworze, a opiekunka moja otoczona dwojgiem prześlicznych dobrych dzieci wydawała mi się jak Sykstyńka Madonna. Było mi tak wtedy dobrze, że trzask z bicza, który się dawał słyszeć na podwórze za przybyciem hrabstwa, robił na mnie wrażenie zbliżającego się nieszczęścia. Stary hrabia bowiem choć był dobry i łaskaw na mnie, jednak był zawsze sztywny i zimny, a syn jego nieznośny. Czulem jego ambitne obejście się ze mną tym bardziej, im więcej we mnie budziło się uczucie godności. Przychodziło nieraz między nami to starcia, które anielska opiekunka moja umiała zawsze załagodzić. Raz było to na wiosnę Jadwinia, córka mej opiekunki, cudowny aniołek z bledziutką twarzą, ubraną w trzęsące się loczki kasztanowatych włosów — wyszła po drabinie na parkan ogrodu, by zerwać pierwszą różę, co rozkwitła na krzaku pod murem; gdy ją zerwała zwróciła się do nas i spytała figlarnie: kto mnie zesadzi? Ja i Artur, tak było na imię synowi hrabiego Medarda, podbiegliśmy równocześnie wyciągając ręce do dziewczyny. Wtedy Artur ujrzawszy mnie obok siebie odepchnął pogardliwie i rzekł: ty stój tam aż cię zawołają; nie zapominaj się, żeś tylko sługa. Krew uderzyła mi do głowy, wyrwałem z ziemi kawał drewna podpierający kwiaty i podniosłem go z zamachem w górę. Wtem spotkałem się z wzrokiem mej opiekunki, w oczach jej przeczytałem, że ją zgorszył mój postępek i ręka mi na dół opadła. Sprawa ta doniosła się do hrabiego, Artur został surowo napomniany, a mnie moja opiekunka rzekła: o mało żem się dziś nie pogniewała na ciebie. On mnie obraził—odrzekłem. Czy sądzisz — odpowiedziała—że pięścią ocalisz swoją godność. Upuszczając kij na ziemię, więcej pokazałeś godności, niż gdybyś go był nim uderzył. Innym razem podczas wielkiego zjazdu gości, gdy urządzano wyścigi na podwórku wkoło gazonu, a mój ojciec kulbaczył konia dla młodego hrabiego, ten zniecierpliwiony widząc, że inni jeźdźcy siedzieli już na koniach, uderzył z zaciętością mego ojca przez ramię i krzyknął: prędzej stary gamoni. Jeszcze nie miał czasu wymówić tych słów, gdy poskoczyłem ku niemu, pochwyciłem za gardło i rzuciłem nim na gazon jak pomietłem słomy. Oburzenie dało mi szaloną siłę. Wszyscy osłupieli na taką zuchwałość, ojciec mój zbladł jak ściana i spojrział przerażony w stronę, gdzie stał stary hrabia. Ten miał twarz groźną i ponurą, ale nic nie powiedział. A gdy hrabina cała drżąca z oburzenia, przyskoczyła ku niemu i spytała: widziałeś tę zuchwałość, to coś okropnego; — hrabia

rzekł pół głosem: Artur zawinił. Na mnie jednak nie spojrział — widziałem ile dumnego pana kosztowało przyznanie mi słuszości. Kiedy po tej scenie wszedłem do mieszkania mej opiekunki cały jeszcze wzburzony i drżący, ujrzałem ją, stojącą przy oknie; nie mogłem więc wątpić, że widziała całą tę scenę. Zbliżyłem się do niej, pocałowałem pokornie w rękę i spytałem: gniewasz się na mnie opiekunko moja? A ona rzekła zwracając się do córeczki: Jadwiniu, idź uściskaj Antosia. Za co? — spytało dziewczę robiąc duże oczka ze zdziwienia. Bo Antoś dziś postąpił sobie pięknie. Potrzeba było abym ci powtarzał te drobne szczegóły, bo z nich możesz nabrać dopiero wyobrażenia, co to była [za kobieta i co jej mam do zawdzięczenia, czem była dla mnie i jakie zaciągnąłem względem niej obowiązki. Niestety zbyt krótko ten anioł gościł na ziemi, po wyjeździe do miasta, gdzie mieszkała dla edukacji dzieci, zdrowie jej i tak wątłe, uległo pod ciosem silnej piersiowej choroby. Gasła i wiodła w oczach i po paru latach takiego sztucznie podtrzymywanego życia — umarła. Przed śmiercią wezwała mnie do siebie i wskazując na płaczące dzieci wyszeptła słabym głosem: nie opuszczaj ich, bądź ich przyjacielem. Dopełniłem o ile mogłem tego zlecenia umierającej; cały szacunek i wdzięczność i miłość, jaką miałem dla niej przemieniłem na uczucie macierzyńskiej miłości dla dwojga sierot, zostających odtąd stale w domu hrabstwa Medardów. Szczególniej pociągała serce moje do siebie Jadwisia, bo dziwnie mi przypominała matkę. Dwoje tych dzieci stanowiło jakby część rodziny mojej. Kiedym po dłuższej niebytności wracał do domu, doznawałem tego błędnego uczucia, jakie ma ojciec, wracający do swych dzieci. Na święta i imieniny wysilałem się na niespodzianki dla moich małych przyjaciół, każda ich krzywda oburzała mnie, cieszyłem się gdy widziałem uśmiech na ich twarzach, razem chodziłem z nimi na grób matki, razem wyjeżdżaliśmy na spacer a nawet zajmowałem się po prostu ich wykształceniem, choć to było zbyt ciężkim, bo hrabia był bardzo starannym pod tym względem i wywiązywał się z całą sumiennością z przyjętej opieki; ale prosiłem bym mógł dalej kierować wykształceniem Władzia i wykładać niektóre przedmioty Jadwini i nie odmówiono mi tego. Tak było lat kilka. Ale po tych latach stosunek nasz zmienić się musiał. Wtedy kiedy ja doszedłem do lat dwudziestu czterech, Jadwinia miała już lat siedemnaście, a wcześniej rozwinięty umysł i powaga ruchów czyniły ją o wiele starszą. Trudno było w obec tej zmiany trzymać się w roli opiekuna, toteż ani wiedziałem kiedy z opiekuna stałem się bratem, przyjacielem sierot. Usposobienia ich ciche, łagodne, melancholiczne nieco, dziwnie nadawały się do mego; razem marzyliśmy z poetami, błądziliśmy w zaczarowanych krainach sztuki, jednakie mieliśmy upodobania, pragnienia a czasem nawet myśli. Hrabia żartobliwie nazywał nas tryumwiratem. W istocie był to tryumwirat związany wspomnieniami umarłej, którą wszystko troje nazywaliśmy matką. W tym tryumwiracie Jadwiga miała nad nami dziwną władzę, ulegaliśmy jej już nietylko przez wzgląd winny kobiecie, ale przez respekt dla tajemniczej siły duszy, którą nam imponowała. Każde słowo jej miało wagę i powagę, mówiła bardzo mało, ale z tego co mówiła, znać było, jakie tam bogactwo myśli mieściło się w głowie, jak młoda dusza pracuje w niewidzialnych głębinach swoich. Brat lubo starszy o lat parę miał dla niej uszanowanie, jakby dla starszej i słuchał jej jak dziecko, a ja—miałem dla niej jakieś dziwne, bałwochwalcze, nieokreślone uczucie, na stworzenie którego składała się jej klasyczna piękność, anielska dobroć, wspomnienia jej matki, którą tak przypominała; przebyte z nią razem dziecinne lata; słowem ona była dla mnie wcieleniem wszystkich najpiękniejszych chwil mojego życia i snów przeszłości. Nie przypuszczałem, że to jest miłość, zdawało mi się, że to jest uczucie wznioślejsze nad egoistyczne pragnienia miłości, że nawet po wyjściu jej za mąż, uczucie to zostanie niezmiennie, silne. Ale wnet przekonałem się, że się łudziłem. Jednego razu przyjechał do nas na wieś jakiś niepierwszej młodości, ale wcale jeszcze przystojny i bardzo bogaty baron, który nadzwyczaj zachwycony był wdziękami Jadwigi i nie taił się z tem przed hrabstwem, owszem oświadczył

podobno staremu hrabiemu, że byłby szczęśliwy, gdyby mu się udało pozyskać jej miłość. Po odjeździe barona mówiono o tem wiele, hrabia Artur pozwolił sobie nawet kilku żarcików na temat przyszłego zameżcia kuzynki i polecił swoją pustą kieszeń względom przyszłej milionerki. Był to wieczór okropny dla mnie, pierwszy raz doświadczyłem męczarni zazdrości) upokorzenia i rozpacz. Boleść, wściekłość, żal, szarpały mi wnętrzności, a musiałem udawać spokój i wesołość. Przez kilka dni unikałem Jadwigi, czułem żal do niej, a nawet nienawiść—nienawidziłem jej dlatego, że cierpiałem przez nią, choć ona temu winną nie była, ale rozpacz moja nie umiała być sprawiedliwą, chciałem koniecznie, aby była winną, abym ją mógł nienawidzić, kiedy kochać mi nie wolno było. Jednego dnia, ujrzałem ją idącą koło stawu, skrzyłem na bok, by się z nią nie spotkać. Spozstrzegła to i zawołała mnie. Stałem — ona zbliżyła się do mnie i składając książkę, którą czytała, spytała patrząc mi w oczy.

— Co tobie się stało? — dlaczego unikasz mnie? Czy zrobiłam ci co złego?

Słodki dźwięk jej głosu rozbroił mnie.

— Nic mi — odrzekłem — ot, dziwactwo. Potrzebują samotności — i oto wszystko.

— To samolubne dziwactwo. Zapominasz, że nam ciebie potrzeba, że bez ciebie dziwnie jakoś i smutno.

Roześmiałem się dzikim, szyderskim śmiechem, który ją przeraził i zdziwił. Cofnęła się i patrząc na mnie wystraszona — spytała:

— Co znaczy ten śmiech?

— Jeżeli prawdą jest co mówiłaś przed chwilą — rzekłem, to będziesz musiała w intercyzie ślubnej położyć za warunek baronowi, aby i mnie zabrał między innymi ruchomościami.

— Uwzięliście się wszyscy męczyć mnie tym baronem — rzekła z wyrzutem.

— Wszak idziesz za niego?

— Antoni, rzekła — jesteś nie dobry. Zkąd ta gorycz wzięła się u ciebie, ty nie byłeś nigdy takim. Co tobie jest? Jesteś blady, mizerny, czyś ty chory?

Położyła rękę na mem ramieniu i patrzyła na mnie z troskliwością i czułością. Mało brakowało, żebym wybuchnął głośnym płaczem i wyznał jej co mnie boli; ale w sam raz przerwała proponując mi przejażdżkę po stawie.

Weszliśmy do łodzi — ja usiadłem przy wiosle, ona naprzeciw mnie na ławeczce i płynęliśmy powoli po stawie. Niebo już zmierzchać się zaczynało. Obłoki oświecone różowym światłem zachodu, odbijały się w wodzie — ona miała twarz wzniesioną ku niebu, ja patrzyłem w wodę i płynęliśmy milcząc. Uroczysta, święta cisza ogarnęła nas — dzwonek na wiejskim kościele dzwonił na Anioł Pański. Chwila ta nagromadziła mi wszystkie męki przebyte przez te dni kilka, spokój wieczoru jak balsam sączył się na świeże rany i miałam myśl wypowiadać się przed nią z tego błógiego stanu i już powiedzieć, jak mi teraz dobrze; gdy dał się słyszeć trzask bicia w podwórca a Jadwiga ocucona z zamyślenia odezwała się:

— Ktoś przyjechał.

— Pewnie konkurent nowy,—odrzekłem z goryczą rozirytowany, że mnie tak niemile zbudzono z narzeń.

Ona spojrzała na mnie uważnie, głęboko i spytała:

— Czy ty nie chcesz, abym poszła za mężem?

— Owszem, to wasze przeznaczenie. Przecież niepodobna, żebyś całe życie wozila się po stawie z ekonomskim synem. To dobre dla zabawki, ale nie wystarcza na długo.

Nie obraziła się goryczą słów moich, jak to sądziłem, ale z powagą i godnością rzekła:

— Te słowa niegodne są ust twoich, one nie wyszły z twej duszy, tyś je wyrzucił z siebie

bezmyślnie, aby nimi zakryć to co myślisz. Bądź ze mną szczerym, bo i ja przed tobą nie mam żadnych tajemnic.

— Nie masz tajemnic żadnych?

— Żadnych.

— A gdybyś je miała?

— Wtedy tybyś o nich także wiedział. Wypowiedziałabym ci wszystko do dna mej duszy.

— Gdybym ci np. zapytał: czy — no, rozumiesz mnie?

— Nie rozumiem — odrzekła spokojnie.

— Czy kochasz kogo? — spytałem z dziką namiętnością i chwyciłem ją za rękę, a oczy utopiłem w niej tak głęboko, jakbym chciał dopatrzeć dno jej duszy.

— Prócz ciebie i brata — nikogo. Powiedziała to z takim niewinnym spokojem, że wątpić nie mogłem, iż mówi prawdę.

— A gdyby się znalazł ktoś, — badałem ją dalej — kogobyś więcej ukochała, dla którego trzeba by ci się wyrzec mnie, zapomnieć o mnie, nie widywać mnie?

Słuchała słów moich z głową podpartą na ręce i zamyśliła się poważnie, — a potem rzekła:

— Jak dziwnie schodzą się nieraz nasze myśli.

Czy wiesz, że i ja nieraz myślałam o tem i chciałam ci podobne zadać pytanie; ale wstydziłam się byś tego nie wziął za samolubstwo, bo jabym chciała, żebyś ty tylko był szczęśliwy, bo zasługujesz na to.

— A gdybym ci powiedział, że nie mógłbym być szczęśliwym bez ciebie? — spytałem biorąc jej drobne rączki w moje ręce, — że bez ciebie zmarnieję, że bez wiary, iż z tobą los mój kiedyś podzielę, stracę ochotę do pracy, do życia?

— O! nie chcę tego — rzekła z pośpiechem — nie pozwolę na to. Ja chcę, żebyś ty był szczęśliwy — żebyśmy byli szczęśliwi oboje — dodała po chwili i mówiąc te ostatnie słowa zarumieniła się lekko, — spuściła oczy. Więc będziesz czekać na mnie? — spytałem.

— Przysięgam ci na matkę moją, że jeżeli nie będę mogła zostać twoją żoną, nie będę niczyją — odrzekła z uroczystą powagą.

— O! takim zapewnieniem wlałaś mi w duszę herkulesowe siły do walki z losem — rzekłem tuląc ją do siebie. Przebojem pójdę przez życie i zdobędę sobie stanowisko godne ciebie.

— I dobre imię — dodała z prośbą.

Po tej rozmowie — ciągnął dalej Antoni — zabrałem się do pracy z podwojonemi siłami, z gorączkową żaliwością; tak mi pilno było stanąć u celu mych marzeń. Chcąc własnymi siłami wywalczyć sobie stanowisko, zrzekłem się dobrowolnie opieki hrabiego. Przyczyniło się do tego postępowanie jego syna, z którym nieraz miałem dość gwałtowne zajścia, nie chcąc dać sobie uchybiać. Przytem i hrabia sam zaczął mi narzucać swój sposób myślenia, naznaczać kierunek moim studjom podziękowałem mu więc za tę despotyczną opiekę i rozpocząłem życie na własną rękę z zapałem i energią, bo mnie pchała wciąż naprzód nadzieja tej nagrody, co mnie czekała na krańcach trudów moich. Będąc za granicą unikałem zabaw, rozrywek, nawet koleżeńskich pogawędek, uważałem to bowiem za marnotrawstwo, za zbytek, którego sobie pozwolić nie mogę. Gdy w bezsennych nocach upadałem ze znużenia, ta myśl mnie krzepiła i ożywiała, że każda godzina pracy skraca drogę do mego szczęścia, radbym był zdwoić dnię rozszerzyć godziny, zrobiłem się prawdziwym skąpcem czasu. To też o rok wcześniej pokończyłem studia i wróciłem tu z bijącym sercem, pędzony tęsknotą i nadzieją. Ale kiedym tu stanął, straciłem wiarę w moje szczęście, zwątpiłem w trwałość przysięgi kobiecej, byłem pewny, że trzy lata wystarczyły jej do zapomnienia, że dojrzały wiek kazał jej śmiać się z dziecinnych ślubów.

— Jak to — więc przez ten czas nie pisywaliście do siebie? — spytał Seweryn, który dotąd w milczeniu słuchał opowieści Antoniego.

— Nie.

— I czemu?

— Wiesz, że zerwałem całkiem z hrabią, moje listy mogły ją lub brata w fałszywym stawić świetle względem dobroczyńców. Można było prawda ominąć te trudności i wynaleźć sposób skomunikowania się, ale umyślnie nie chciałem tego, chciałem wystawić na próbę ogniową moje szczęście. Nieufność i podejrzliwość, wkorzeniona we mnie w dzieciennych latach, odezwała się we mnie i podszeptała mi ten szkaradny eksperyment. Od kilku tygodni bawiłem tu w mieście a nie miałem odwagi dowiedzieć się o skutku mych doświadczeń, bałem się zapytać kogo o rodzinę hrabiego i jego wychowawców, by nie usłyszeć straszliwej pewności. Aż wczoraj spotkałem się z nią. Wychodziła właśnie z kościoła i miała wsiadać do powozu. Gdy mnie ujrzała idącego ulicą, zatrzymała się i podając mi rękę rzekła:

— Godziż się tak zapominać o nas?

— Pani wiesz, że tu jestem już czas jakiś? — spytałem — a wzruszenie tamowało mi głos.

— Wiedziałem i dziwiło mnie milczenie pańskie.

— Myślałem, że tu już nikt nie pamięta o mnie.

— Ja nic nie zapomniałam — odrzekła z naciskiem.

W twarzy mojej musiała przeczytać szczęście, jakim mnie jej słowa przejęły, bo podając mi rękę rzekła:

— Do widzenia więc, — i oblała mnie spojrzeniem pełnym miłości, — a widząc, że nie odchodzę, bo ruszyć z miejsca nie mogłem tak byłem odurzony, oszołomiony szczęściem — rzekła:

— Życzę z całego serca szczęścia przy wyborach.

— Więc wiesz pani o tem.

— Czytałam i czuję się dumną i szczęśliwą. Umiesz pan być słownym do podziwu. Oby się powiodło.

Podawała mi znowu rękę i wsiadła do powozu — a ja stałem jeszcze długo na tem samym miejscu ogłuszony, nieprzytomny, nie czując ziemi pod nogami, nie widząc ludzi koło siebie. Wiesz więc teraz wszystko, wiesz jaka siła pcha mnie naprzód. Gdyby szło o mnie tylko, o ofiarę z własnej ambicyi, możebym się umiał cofnąć, ale teraz gdy ona powiedziała, że droga na którą wszedłem czyni ją dumną i szczęśliwą — cofnąć się byłoby tyle, co zdrwić z niej, byłoby z mojej strony tchórzostwem. Skoro mi powiedziała: idź tą drogą, pójdę, choćby mnie to niewiedzieć co kosztować miało. Gdybym się cofnął teraz, czy miałbym czoło stanąć przed nią? Cóżby mi mogła powiedzieć?

— To samo co powiedziała jej matka, gdyś kij podniesiony na hrabiego Artura upuścił; ustępując przez wzgląd na dobro sprawy pokazałeś więcej godności i poświęcenia, niż idąc przebojem. Takby powiedziała, gdyby wiedziała cały stan rzeczy.

— A jeżeli czuję w sobie siłę, że mogę więcej być użytecznym niż inni sprawie ogółu, dlaczegóż mam się cofnąć? Dla czego mam się uznać za pobitego przed walką?

— Ha, więc rób jak myślisz. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć nad to, co powiedziała ona: oby ci się powiodło.

— Dziękuję ci serdecznie za to życzenie — rzekł Antoni, ściskając rękę doktora.

Kiedy ten zabierał się do wyjścia, ktoś lekko i nieśmiało zapukał do drzwi i za chwilę ukazała się w nich twarz żyda. Antoni zmieszał się i zarumienił, skinął na żyda, by poszedł z nim do drugiej izdebki i poszedł za nim przeprosiwszy wprzód doktora, że go samego zostawia. Doktor który już miał odejść zatrzymał się i usiadł. W drugim pokoju odbywała się jakaś żywa rozmowa prowadzona

zniżonym głosem. Po chwili żyd wyszedł i ukłoniwszy się doktorowi wysunął się do sieni. Za nim wyszedł z pokoiku Antoni z twarzą zachmurzoną. Doktor wstał i postąpił ku niemu.

— Może ci się wyda — rzekł — niedyskrecją z mej strony, że nie odszedłem, ale umyślnie się zatrzymałem ujrawszy tego lichwiarza. Znam go, to pijawka dla tych co z nim raz weszli w stosunki. Nie radziłbym ci wdawać się z nim. Jeżeli ci potrzeba pieniędzy mogę ci usłużyć, wreszcie jeżeli nie chcesz, mogę poręczyć w banku. Tylko nie plątaj się w żadne interesa z tym lichwiarzem, bo będziesz tego żałował. No, przyznaj mi się szczerze.

— Ależ nic, upewniam cię — spłaciłem mu mały dług — i to wszystko.

Antoni kłamał przed doktorem przez zbyt wygórowaną dumę, która nie pozwalała mu korzystać z usługi przyjaciela. Nie dług on spłacał lichwiarzowi, ale wystawił mu nowy weksel z ogromnym dodatkiem procentu, by uzyskać przedłużenie terminu wypłaty. Antoni liczył na bliską nominację swoją uniwersytecką i okupywał się żydowi wystawianiem weksli na coraz większą sumę. Położenie jego finansowe było fatalne, ale odrzucił pomoc doktora, by nie zdradzić przed nim swego ubóstwa. Doktor uwierzył zaręczaniu Antoniego wziął znowu kapelusz i laskę i podając mu rękę rzekł:

— Więc do widzenia na wyborach.

— Tak; na wyborach. A o tem, com ci mówił, zachowaj milczenie. Ty byłeś jedyny, któremu zwierzyłem tajemnicę mego serca.

— Bądź spokojnym — masz moje słowo. Z tem się rozstali.

VI.

W dzień posiedzenia klubu demokratycznego przed samym wieczorem doktor Seweryn szedł pospiesznym krokiem w stronę rogatek miejskich, przy których stała fabryka Milutyńskiego. W bramie spotkał jej właściciela wyjeżdżającego właśnie z domu. Doktor ujrzawszy go zbliżył się do powozu i spytał:

— Pan wyjeżdżasz?

— Czy miałeś do mnie interes, doktorze.

— Przyszedłem w naszej sprawie.

— Właśnie w tym celu jadę do klubu, chciałbym porozumieć się z niektórymi członkami komitetu.

— W takim razie nie zatrzymuję pana i wrócę z nim razem do miasta.

Wsiadł do powozu i zajmąwszy miejsce obok Milutyńskiego spytał go z zajęciem:

— No i cóż?

— Ciężko idzie. Robię co mogę; ale widzę niepodobieństwo przeprowadzenia jego kandydatury.

— Musimy go wszelkimi możebnymi sposobami popierać; gdyby przepadł w klubie byłby to dla niego cios okropny. Czy wiesz pan, że mu odmówiono katedry uniwersyteckiej?

— Czytałem w gazecie nominacją Kalęckiego na tę posadę.

— Znasz pan tego człowieka?

— Znam. Mierność pod każdym względem, człowiek bez głębszej nauki, bez zdania.

— I w jakiż sposób mógł senat proponować go, dać mu pierwszeństwo nad Antonim?

— Protekcyja. Umiał się zasługiwać a przytem ma rozległe stosunki przez żonę, która jest z domu hrabianką Przedborską, Pomimo, że to była panna dobrze już stara i brzydka, Kalęcki ożenił się z nią i dziś przez jej wpływy i stosunki wypłynął na wierzch. Czy widziałeś się doktorze z Antonim? Cóż on na to?

— Nie miałem odwagi iść do niego. Co mu powiem na pocieszenie. U wrót życia taki zawód— to może fatalnie wpłynąć na niego. On taki wrażliwy.

— Wśród takich zawodów hartuje się duch młody i wyrabia. Co go ominęło dziś będzie mógł zdobyć sobie kiedyś, później.

— A co będzie robił tymczasem? — On nie może czekać.

— Czy położenie jego finansowe jest złe?

— Tak się domyślam, bo wiem że nie ma żadnych dochodów. Ale on nie przyzna się do tego przed nikim.

— A gdyby można mu pomódz w jaki sposób?

— Nie przyjmie. Znam go pod tym względem. Wiem, że nic nie można zrobić dla niego, prócz tego, aby przeprowadzić w klubie jego kandyda turę. To jedno dodałoby mu moralnej otuchy, po klęsce i niepowodzeniu, jakiego tam doznał. Dla tego poruszyłem wszystkich i wszystko, aby to przeprowadzić — użyłem wszystkich moich wpływów i znajomości. Jeżeli przepadnie — nie będę sobie miał nic do wyrzucenia, bo zrobiłem wszystko co mogłem. Dziś od rana jestem w gorączce, niepewność rezultatu przestrasza mnie — nie chcę myśleć nawet o tem, że się to nie uda. Spodziewam się, że i pan pomożesz mi ze wszystkich sił.

— Dałem panu na to moją rękę; — a lubo wybór ten nie zgadza się z mojem przekonaniem, jednak chcę solidarnie działać z wami i robię wszystko, co można. W komitecie klubu nie ma jeszcze zgody na trzeciego kandydata. Udało mi się już dwóch członków przeciągnąć na moją stronę; gdyby jeszcze ze trzech poszło za nami, to wobec niezgody reszty moglibyśmy przeprowadzić

naszego kandydata.

— Więc jedź pan tam. Ja muszę spieścić do redakcyi. Chcę pomówić jeszcze w tej sprawie z redaktorem.

— Na rogu ulicy doktor kazał furmanowi stanąć i wysiadłszy z powozu podążył do redakcyi. Zastał tam redaktora zajętego żywą i dość ostrą rozmową z Urbanem, którą nawet wejście doktora nieprzerwało. Redaktor skinął mu tylko głową i powiedziawszy że mu zaraz służyć będzie zwrócił się znowu do Urbana i rozmawiał z nim dalej. Szło o artykuł w rubryce przemysłu, w którym podnoszono świetny stan jakiegoś banku wiedeńskiego i zachęcano do zakupywania jego akcji. Redaktor ganił ostro Urbanowi umieszczenie tego artykułu bez jego wiedzy

— Czy pan znasz dobrze — mówił — interesa tego banku i ludzi co stoją na jego czele?

— Mam pod ręką sprawozdanie z rocznego posiedzenia akcyonaryuszów.

— Sądzę, że pan wiesz doskonale, ile prawdy jest w podobnych sprawozdaniach.

— Hrabia Jerzy je przyniósł. On jest agentem tego banku.

— Hrabia Jerzy może być również zwiedziony, jak tylu innych. Użyto jego nazwiska za szyld i może nadużyto łatwowierności. Hrabia ma słabe wyobrażenie o spekulacyach giełdzystów wiedeńskich i może niebacznie siebie i nas narazić. Kto panu dał ten artykuł?

— Sam go napisałem na podstawie sprawozdania. Cóż u licha tak złego się stało?

— Bardzo wiele. Rozchodziły się bowiem pogłoski o złych interesach tego banku, wielu akcyonaryuszów chciało pozbyć swoje akcye; tym czasem artykuł pański zbił ich z toru. A jeżeli bank upadnie — to co powiedzą? Żeśmy byli w zмовie, że nas przekupiono.

— Kto to śmie powiedzieć?

— Dziś na mieście między żydami już chodzą takie pogłoski. Niektórzy z nich z ironią zapytywali mnie, jak długo będziemy popierać interesa banku. W twarzach ich czytałem podejrzliwość i — posądzenie. Bądź pan więc ostrożniejszym i nie uwódź się łatwowiernością. Trzeba zważać na to, że żydzi z niedowierzaniem przyjmują te akcye, że po największej części średnia klasa, w której liczymy najwięcej przychylnych, dała się złapać na kupowanie tych akcyj. Jeżeli spadną — ci ludzie potracą całe swoje krwawo zapracowane mienie, wpadną w ruinę a na nas będzie ciężać cała wina, i przyjdzie nam pokutować za nie nasze grzechy.

Rozmowę tę przerwał nagły wykrzyk doktora, który z taką gwałtownością zerwał się z kanapy na której dotąd w milczeniu czytał świeżo wyszły numer dziennika, że redaktor i Urban ze zdziwieniem zwrócili się w tę stronę.

— Co się stało? — spytał redaktor — doktorze jesteś cały w ogniu?

— Kto pisał ten artykuł? — zawołał doktor przystępując do nich zaperzony i gniewny.

— Jaki artykuł?

— Masz — czytaj. Podał mu gazetę i drżącą z oburzenia ręką wskazał mu miejsce w kronice.

— Redaktor wziął gazetę i przeczytał co następuje:

„Szukaj kobiety! Ktoby życzył sobie bliższego objaśnienia do wytłomaczenia sobie postępowania niektórych mężów politycznych, temu moglibyśmy wskazać miejsce przed kościołem Panny Maryi, gdzie w cieniu herbowej karety odbywają się platoniczne schadzki pewnej damy wielkiego świata z jednym z tak zwanych demokratycznych znakomitości naszych. Osoby, które kilka dni temu miały sposobność przechodzenia blisko tego politycznego romansu herbu z ulicą, mogły dosłyszeć słowa herbowej damy: „umiesz pan być słownym — oby ci się powiodło”. Nam się jednak zdaje, że się nie powiedzie i demokracja pozna się na farbowanych lisach i wzgardą napiętnuje tego, co za pokątne miłostki z damą wielkiego świata zdradza sprawę demokracji”.

Przeczytawszy artykuł redaktor spojrział na doktora i spytał:

— Do kogóż się to ma odnosić? Nic z tego nie rozumiem.

— Ale ja rozumiem dobrze. Kto pisał ten artykuł?

— Panie Urbanie, czy to pan napisałeś? Urban ruszył ramionami na usprawiedliwienie się, że o niczem nie wie.

— W jakiż więc sposób dostał się on do dziennika?

— Nie wiem.

— Ale ja muszę wiedzieć koniecznie — zawołał doktor — i nie puszczę tego bezkarnie.

— Czy w istocie tak obszedł cię ten artykuł doktorze? spytał redaktor.

— Idzie tu o mój honor—i o cześć innych osób, które ten paszkwil obrzucił błotem i spotwarzył niegodnie.

— Jeżeli tak to musimy się dowiedzieć koniecznie. Chodź ze mną do drukarni.

Poszli do drukarni, przepytali zecerów, chłopców noszących korektę; ale się niczego dowiedzieć nie mogli. Pismo tego artykułu było nieznane, zecer znalazł je między manuskryptami przygotowanymi do druku i złożył. Omnibus tłumaczył się, że miał ten artykuł w korekcie; ale manuskryptu jego odszukać nie mógł między papierami i poprawił na pamięć.

— A jednak to dziwna rzecz—mówił redaktor wracając do redakcji z doktorem — jak mógł ten artykuł wcisnąć się do numeru. Nie wiem o co szło autorowi, ale widocznie wiele mu zależało na publikowaniu go, i na zakryciu siebie, skoro tyle zachodów robił względem zatarcia wszelkiego śladu. Panie Urbanie — mówił dalej wchodząc do redakcji — w naszym dzienniku dzieją się dziwne rzeczy, drukujecie artykuły, do których autorstwa nikt się nie przyznaje, o których nikt nic powiedzieć nie umie, w jaki sposób dostały się do nas. Cóż to wszystko znaczy?

— Alboż ja wiem? Sam jestem nie mało tem zdziwiony. Nie rozumiem nawet o co chodziło autorowi; jeden doktor zna tajemnicze znaczenie artykułu.

— I pan je znasz dobrze panie Urbanie — rzekł doktor z pogardą. Nie wiem w jaki sposób skradłeś pan tę tajemnicę i sfalszowałeś ją; ale w jakim celu to wiem dobrze.

— Panie! — zawołał groźnie Urban.

— Nie pozuj pan na niewiniątka i obrażonego — odparł doktor głosem silnym i stanowczym, — fakt jest, że ktoś z tutejszych popełnił tę bezecność; a nikt inny nie miał tyle powodów do zrobienia tego co ty.

Urban chciał mu przerwać.

— Milcz pan i słuchaj — wrzasnął doktor w oburzeniu. Jeżeli w przeciągu trzech dni nie znajdzie się właściwy sprawca — ty mi odpowiesz za to — rozumiesz?

— Odpowiem ci kulą młokosie, boś nie wart słów moich.

Walka na słowa stawała się coraz namiętniejszą. Z trudnością udało się redaktorowi przeprowadzić doktora do drugiego pokoju i uspokoić nieco. Był cały drżący i rozogniony.

— Ale o cóż chodzi? o co chodzi? — pytał redaktor. Niech się raz dowiem.

— Chodzi o mój honor. Przed kilku dniami powierzono mi pod słowem honoru tajemnicę — i tajemnicę tę dziś wyczytałem w dzienniku.

— I zkądze Urban mógł o niej się dowiedzieć.

— Nie pojmuję. Jednak to pewna, że nikt inny nie mógł tego zrobić. Sam przyznasz, że mam słuszność skoro ci powiem, że tajemnica tyczyła się Antoniego.

— Antoniego?

— Tak; jego to uczciwość podał w podejrzenie i obrzucił błotem cześć zacnej kobiety. Powiedz czy mogę mu to puścić płazem? Cóżby pomyślał o mnie Antoni. Dla niego muszę tę sprawę wziąć ostro; chcę być czystym w oczach jego.

Uderzenie zegaru przerwało rozmowę i ruszyło obydwóch.

— Siódma! — rzekł redaktor. Posiedzenie klubu się zaczyna. Spieszmy.

— Redaktorze! pamiętaj, że nam dziś trzeba koniecznie zwyciężyć.

— Oby nam się udało. Chodźmy.

Wyszli pospiesznie zdążając do miejsca, gdzie się odbyć miało posiedzenie klubu. Zastali już salę pełną i posiedzenie zagajone. Jeden z kandydatów proponowanych przez komitet klubu składał właśnie wyznanie wiary przed zgromadzeniem w mowie pełnej szumnych frazesów i deklamacji. Doktor rozpatrywał się w zgromadzeniu; ujrzawszy Milutyńskiego stojącego przy estradzie precyzyjnie się ku niemu i przywitawszy go spytał po cichu:

— I cóż?

— Rzecz wątpliwa. Komitetowi się wahają. Udało mi się jednak przeprowadzić, że nazwisko Antoniego umieszczono na czwartym miejscu.

— Czy widziałeś pan Antoniego?

— Jest tam pod oknem.

Doktor spojrział w tę stronę i zobaczył Antoniego opartego o mur. Twarz miał zmienioną i mizerną, znad było na niej cierpienie i zgnębienie. Tylko oczy zapadłe nieco wgłąb czaszki paliły się niezwykłym ogniem i ruchliwie biegały po zgromadzonych, zdradzając niepokój i przyspieszoną czynność myśli. Gdy mówca skończył posypały się z różnych stron interpelacje względem rozmaitych kwestyj społecznych i politycznych. Niektóre z nich świadczyły o płytkości myślenia, ignorancji i ciemnocie. Mówca odpowiadał na wszystkie. Każda jego odpowiedź wywoływała oklaski tłumu, którego w słabe strony umiał ugodzić mówca i zjednać sobie umysły.

— A pan czemu nie zabierasz głosu?—spytał doktor Milutyńskiego.

— Robię to z zasady, którą uważam poniekąd za cnotę. Gadatliwość jest naszą wadą narodową. Mówimy nie aby działać, ale aby gadać. Przy obradach, na zgromadzeniach, po pismach, wszędzie gadamy i nawet bardzo pięknie; ale słowo nie staje się ciałem. To mi zbrzydziło wszelkie mowy. Wolę jeden mały czyn, jak tysiące pięknych słów, które przebrzmiewają bez korzyści.

— Jednak słowo mędrszego i myślącego człowieka, zaważyć musi przy takich zebraniach i wywiera wpływ.

— Wierzysz pan w to? Bo ja nie. Ile razy słyszałem mówców, tyle razy przekonywałem się, że frazes, deklamacja, zręczny zwrot trafiający w słabe strony słuchaczy, lepiej popłacał niż najcenniejsze zdania i rady; przekonałem się, że łatwiej ludzi porwać i zachwycić, niż przekonać. A porwać ich łatwiej tam, gdzie fanatyzm i namiętność wiodą, niż gdzie rozsądek. Strój nie treść stanowią wartość mowy: to też potęgi słowa nadużyto, sponiewierano ją i zbezczeszczono. Stało się ono błyszczącą łupiną, z której prawdę wyjęto. A kto najwięcej nadużył tej boskiej potęgi? kapłaństwa — literaci. Dziwna rzecz, że najwyższe objawy profanują najwięcej ci, którym ich. straż polecono, oni najpierwsi ogień niebieski obracają na kuchenny użytek — z natchnienia robią rzemiosło. Kasty kapłanów profanowały w ten sposób wszystkie religije, — a dziś to samo robi kasta literatów. Życie ich i słowo — to, dwie sprzeczności. Dla tego nie wierzę, aby idea postępu zwyciężyła przez nich, choć szermują i gardłują w jej imieniu. Z komedji tej prawda nic nie skorzysta.

— Pessimistycznie patrzysz pan na ludzi.

— Nietylko trzeźwo, a nawet z pobłażaniem na słabości ludzkie. Ale pobłażanie nie może być wiarą.

— Więc pan nie wierzysz w zwycięstwo prawdy, postępu?

— Wierzę; ale nie wierzę w tych, co się mienią jej apostołami; oni tylko noszą na twarzach maski

apostołów, za któremi kryją swoją małość, wykrzywione namiętnościami rysy. Nie deklamacye, nie poezya tęskniąca wiecznie do jakichś ideałów da zwycięstwo prawdzie; ale nauka — kierunek naukowy, szczególnie nauki przyrodnicze, dadzą nam to, czego idealni marzyciele dać nie mogli. Nie w poezyi jest prawda, ale w nauce. Bo poezya często idealizowała fałsz, entuzjazmowała się do przesądów i zabobonów; nauka tego nie zrobiła nigdy, zdobycze jej stały się dziedzictwem pokoleń. Człowiek, który przez badanie i naukę dojdzie do pojęcia równo uprawnienia, tollerancyi, — nie zmieni swych przekonań, bo by musiał zaprzecić się tego co wie, zaprzecić się samego siebie. Poezja stwarzała nam ze słowa tęczowe gmachy szczęścia w obłokach; nauka buduje je z fundamentów — na ziemi. Dla tego cieszy mnie i nie małą otuchę daje zwrot do nauk ścisłych, a szczególnie przyrodniczych. Tu leży przyszłość nasza — zwycięstwo prawdy. Skoro światło wejdzie, mary imaginacyi i twory nocne pierzną. A światło to wejdzie nie z głów idealistów opromienionych sztuczną aureolą; jeno się narodzi z trudem z cichej a wytrwałej i rozumnej pracy, jak chrześcianiizm, co przez ubogich rybaków przyniósł ludzkości zbawienie w chwili, gdy ona go wyczekiwała od wielkich i możnych.

Gdy to mówił Milutyński naraz powstała w sali ogromna wrzawa, hałas, krzyk, pisk nie do opisania. Doktor i on spojrzeli po zgromadzeniu szukając powodów tej wrzawy.

— Co to ma znaczyć? — spytał doktor.

— Nie rozumiem, coś się stało A.! — i pokazał doktorowi na mównicy Antoniego — to tego tak przyjmują. Patrz doktorze! chce mówić;—nie pozwalają mu krzykiem. Widocznie znowa i pokątna agitacya to zrobiły.

— To więcej jak pewno. Jednak patrz pan, ta wrzawa nie zmieszała go całkiem, śmiało stawia czoło burzy. Mam cześć dla takiej odwagi. To nie powszedni człowiek.

— Wszelka nieprawidłowość w naturze jest zgubną — wtrącił Milutyński. Ale doktor nie uważał tych słów zapatrzonej w Antoniego. Ten stał wyprostowany, z twarzą podniesioną do góry i spokojem imponował wzburzonym masom. Ani jeden mięsień jego twarzy nie drgnął, ani twarz zmieniła kolor, stał z zimną krwią przypatrując się burzy, co szalała koło niego, pokonywał ją dumnym spojrzeniem i czekał. Wrzawa chwilami cichła, to znowu się z wysileniem podnosiła sztucznie podtrzymywana przez kilku; ale wybuchy te były coraz słabsze, coraz rzadsze. Antoni stał i czekał jak słup niewzruszony. W końcu poczęło się ściszać, aż stało się tak cicho, że turkot powozów po ulicy i ruch uliczny słycać było w sali, tak wszystkich oczarował spojrzeniem, milczeniem i spokojem stojący na mównicy. Ciekawość co powie, co zrobi, zamknęły wszystkim usta i sprowadziły tę głuchą ciszę. Wtedy dopiero zabrzmiał ostry silny głos mówcy:

— Co znaczyła ta wrzawa, te krzyki namiętne? Byłyż to głosy obywateli, które się podniosły w obronie swych praw? Nie, to nie w obronie prawa podniosły się te niesforne okrzyki, żeby gwałcić prawo, jakie ma każdy człowiek uczciwy w tem zgromadzeniu, aby zdeptać nogami wolność słowa.

I wy, którzy się tego bezprawia dopuściliście, mienicie się obywatelami, wy domagacie się uznania waszych praw od innych, gdy prawa innych szanować, ani uznawać nie umiecie. Zbrodniarz stawiony przed sąd ma prawo głosu, a wy zaprzeczacie tego prawa człowiekowi, który stanął przed wami, by wypowiedzieć jawnie swe przekonania, za które chce walczyć. I wy krzykiem bezrozumnym zatykacie mu usta. Jestże to czyn godny tego zebrania, godny tego sztandaru postępowego, pod którym zgromadziliście się tutaj — godny obywateli? Nie mogę przypuścić tego. Wolę wierzyć, że to był jakiś chwilowy szal, w który was wprowadziły namowy ludzi złej woli, że to był obłęd ducha, bo sądząc inaczej musiałbym zwątpić o was, o sprawie Waszej i wstydzić się imienia obywatela.

Tu i owdzie dały się słyszeć oklaski i głosy: mów! mów! słuchajcie! niech mówi! Pozwólcie mu

mówić!

Nastała cisza, wśród której Antoni rozpoczął mówić. Tłumaczył się najprzód, dlaczego lubo młody, nieznan i bez zasług ośmielił się starać o krzesło poselskie a tłumaczył to tem, że czuje w sobie siłę i zapał, które mu staną za doświadczenie; że długoletnią mozolną pracą przygotował się dostatecznie do pełnienia obowiązków reprezentanta kraju, że zna doskonale jego potrzeby a szczególnie zna potrzeby klas pracujących, bo sam wyszedł z tych klas i jako dziecię ludu zna lud i przyszłość jego leży mu na sercu. Następnie rozwinął zapatrywania swoje na szczegółowe kwestye będące na czasie i przedstawił w jaki sposób będzie się starał o rozwiązanie ich zgodne i z postępem i duchem czasu. Mowa jego jasna, jędrna, dosadna, pełna siły i prostoty a przytem nadzwyczaj obrazowa zrobiła dobre wrażenie na zgromadzeniu, o czem przekonywały coraz częstsze oklaski, jakie się słyszeć dawały po każdym efektowniejszym ustępie. Nawet skrupuły sumienia niektórych interpelantów uspokoił mówca oświadczeniem że jest za wolnością wyznań i szanuje wszystkie przekonania religijne. Nadzwyczajny dar wymowy, imponująca siła głosu i słowa oczarowała słuchaczy; nawet niechętni nie mogli się oprzeć chwilowemu urokowi, jaki na nich mówca wywierał; talent jego krasomówczy i głęboka nauka obok młodzieńczego wieku podziw obudzały nawet w mniej wykształconych; tych których nie przekonywał — olśniewał. Wobec takiego powodzenia wybór jego stawał się coraz prawdopodobniejszym, można było spodziewać się pomyślnego skutku. Doktor z radością uścisnął rękę Milutyńskiego i szepnął do niego:

— Nie spodziewałem się tak pomyślnego obrotu rzeczy.

— A gdy mówca skończył i huczne oklaski dały się słyszeć w sali, doktor rzekł:

— Wygraliśmy.

Gdy w tem z tłumy odezwał się jakiś ochryply, ostry głos:

— Proszę o głos — proszę o głos — i równocześnie widać było w tłumie falowanie głów ustępujących komuś, który gwałtownie przeciskał się do trybuny.

— Kto chce głosu? spytał przewodniczący.

— Ja — Urban — zawołał ten sam głos i za chwilę na estradzie ukazała się zaperzona, rumiana twarz trybuna ludu.

— Masz pan głos — rzekł przewodniczący.

Urban wyprostował się, poprawił zmięte ubranie, chrząchnął i wydobywszy z kieszeni jakąś gazetę począł czytać donośnym głosem:

„Klasy niższe ciemne...

Przerwał mu przewodniczący i rzekł: Pozwoliłem panu mówić, nie czytać.

— To też będę mówił — odparł niezmięszany tą uwagą—ale muszę zacząć od zacytowania słów nie moich; to tylko cytata—dodał wskazując na gazetę i czytał znowu:

„Klasy niższe Ciemne, bez zdania i sądu dają się łowić na przynętę pustych frazesów i czczych deklamacyi lada oszustowi”.

Tu zrobił pauzę i znacząco spojrzął na Antoniego.

— Co to ma znaczyć — spytał Milutyński doktora.

Doktor ścisnął go konwulsyjnie za rękę z twarzą pomieszana i szepnął:

— To wstęp z artykułu, który Antoni drukował przed kilkoma dniami. Wiem do czego zmierza ten niegodziwiec; ale mu się ten atak nie uda. Artykuł był bezimienny. Antoni może się wyprzeć autorstwa. Cicho i słuchajmy. W tem podniósł znowu gazetę do góry i czytał dalej powoli, dobitnie, kładąc nacisk na każde jaskrawsze wyrażenie.

„Brak w nich poczucia godności człowieczej, brak ufności w własne siły a przesady i ciemnota trzymają je w powijakach niemowlęcych. Dzięki namiętności i gwałtowne wybuchy proletaryatu

graniczą z lokajską czolobitnością dla rodów i imion i owdzem poddaniem się ich woli". Ci ludzie w danej chwili łatwo mogą stać się hajdamakami lub lokajami; ale trudno im zostać obywatelami, którzyby znali swe prawa i umieli o nie z godnością się dopominać i z odwagą ich bronić"

Wśród czytania słyhać było szmer niezadowolenia w sali, który powoli podnosił się w wrzawę a tu i owdzie dawały się nawet słyszeć krzyki i groźby. Urban słysząc to przerwał czytanie i zawołał:

— Powstrzymajcie się na krótką chwilę, obywatele — oznaki słusznego oburzenia, jakie budzić w was muszą oszczerstwa i potwarze rzucane na was z tego dziennika; — rozumiem dobrze wasz gniew; ale pozwólcie mi dokończyć, zajrzeć do dna tej goryczy, którą nas poczęstowano Oto co stoi tu dalej:

„Ci ludzie (mowa tu o was) w danej chwili mogą łatwo zamienić się w hajdamaków lub lokajów; ale trudno urobić z tego niesforenego i zmiennego materiału zastęp obywateli, którzyby znali i rozumieli swoje stanowisko, umieli z godnością upomnieć się o swoje prawa i z odwagą i wytrwałością walczyć w ich obronie". Tu zmiął gazetę i mówił dalej:

— Tak osądzono was, obywatele — nazwano trzodą owiec, zgrają hajdamacką, lokajskim motłochem. A wiecież kto rzucił wam w twarz takie urągowisko, kto obrzucił was pogardą i błotem? Oto ten sam co dzisiaj stara" się o względy wasze, przed chwilą obiecywał walczyć w obronie praw waszych i mieni się dzieckiem ludu. Jeżeli to prawda, że on z nas, to skalał własne swoje gniazdo tysiąc razy gorzej, niżby to mógł największy wróg uczynić.

W zgromadzeniu po tych słowach objawiać się zaczęły coraz groźniejsze oznaki oburzenia. Za nim jednak zdołały silniej wybuchnąć zjawił się doktor na mównicy z zamiarem bronięcia wszelkimi sposobami, chwiejącej się już sprawy Antoniego i dla ocalenia go przyznał się sam do autorstwa tego listu, z którego Urban tak ciężki zarzut chciał zrobić kandydatowi na posła.

— Gdyby tu był czas potem — mówił dalej — do przeczytania całego artykułu, dałyby się jeżeli nie całkiem uniewinnić, to przynajmniej usprawiedliwić po części te jaskrawe i ostre słowa, których oskarżyciel wyszukał umyślnie dla ukucia z nich broni, którą mniemał zwalczyć i zniweczyć tę sympatyę, jaką sobie słuszenie kandydat zdobył w sercach i umysłach waszych. Że jednak sprawa ta tyczy się tylko mnie, więc nie chcę dla własnej obrony przedłużać tutaj rozpraw tak ważnych i jedynie dla tego głos mój podniosłem, aby wam pokazać jak nieuzasadniona i zawzięta jest nienawiść niektórych ludzi, którzy bez żadnego przekonania, na oślep i na domysł zarzucają kandydatowi winy, których nie popełnił.

Doktor dopuścił się tego kłamstwa dla ocalenia Antoniego, szlachetne pobudki jakie go do tego skłaniały, usprawiedliwiały w jego sumieniu ten postępek, uważał go za manewr polityczny, którym spodziewał się pomódz dobrej sprawie i pokrzyżować przewrotne zamiary Urbana. A był pewny, że się to uda, bo wiedział od redaktora, że manuskrypt Antoniego został zniszczony;—ze stanowczością więc uderzył na Urbana, jak śmie na podstawie prostego domysłu oskarżać publicznie i podawać w podejrzenie szlachetny i postępowy sposób myślenia kandydata i to oskarżenie jego nie wahał się nawet doktor nazwać oszczerstwem, potwarzą. Ale ten atak nie zmieszał Urbana; zabrał on głos powtórnie i rzekł:

— Nie powątpiewam, że szanowny doktor mógłby być autorem tego artykułu, są, tam wyraźne przekonania, na któreby się bez wahania podpisał i nie wątpię, że umiałby w danym razie równie pogardliwie traktować klasy nieoświecone i lżyć je. Ale tym razem to nie pan pisał ten artykuł — dodał z tryumfującym uśmiechem i ironią— mam na to dowody i nie z domysłów samych ukułem broń na zamaskowanych nieprzyjaciół demokracji.

— To fałsz — zawołał doktor.

— To prawda — odparł Urban.

— Dowód, dowód — pokaz go — odzywały się niecierpliwe głosy.

— Oto jest — rzekł Urban i wyjął z kieszeni kartkę papieru zapisaną gęsto drobnym pismem. Oto jest — dodał podnosząc papier 'do góry — kawałek manuskryptu, który udało mi się dostać zanim zdołano całość zniszczyć. Znaczący niech osądzą i porównają czyje to pismo. Odwołuję się wreszcie do samego autora, czy będzie miał odwagę w obec tych dowodów wyprzeć się swego dzieła.

— Tak, to ja pisałem — odrzekł z dumą Antoni i gdyby nie wystąpienie doktora który bez mojej wiedzy zbyt porywczo przyjął autorstwo na siebie, byłbym zaraz przyznał się do tego bo niezwykle wstydziłem się moich czynności i uchylać się od odpowiedzialności za nie. Tak jest, ja napisałem, a napisałem może zbyt namiętnie, drżącą ręką, bom uczułem słuszne oburzenie, że ciemne i nieoświecone masy dają się uwodzić.

Nie mógł dokończyć bo powstał w zgromadzeniu taki zgiełk i hałas, że słów jego nie można było słyszeć w tej wrzawie. Napróżno podnosił głos i ręką nakazywał milczenie, napróżno prezes dzwoniem wzywał do porządku, w sali panowało takie wzburzenie, że niepodobna było przywrócić ład i spokój. Precz z nim — wołano zewsząd.

— My się nie damy obrażać.

— Wiemy co to za ptaszek.

— Wychodź! wychodź! — odzywały się głosy.

— Wyrzucić go! — wołali inni.

Antoni chciał przeczekać burzę — spokojnym pewnym spojrzeniem usiłował przywrócić do upamiętania i milczenia zgiełk tłumu, ale gdy to zachowanie się jego zamiast uspokoić rozdrażniało jeszcze wzburzoną masę, gdy niektórzy z namiętniejszych przedarłszy się do trybuny pogroźkami i podniesionymi pięściami chcieli zmusić go do ustąpienia z trybuny; życzliwi mu zaczęli go namawiaćby obecnością swoją, nie powiększał oburzenia i ustąpił.

W ponurem milczeniu przyjmował te rady, zdawał się nie słyszeć ich, czy też gardził nimi, trzymał się z uporem na mównicy; ale w uporze tym nie było już nadziei, najmniejszej nadziei zwycięstwa. Zwątpił już we wszystko, tylko duma nie pozwoliła mu cofnąć się. Dopiero, gdy Milutyński zgorszony tą całą sceną, zbliżył się do niego i surowo nawet upominał, aby uporem swoim nie sprowadzał skandalu i nie narażał sprawy demokracji na urągawisko w oczach jej nieprzyjaciół, — zszedł w milczeniu z trybuny, przez zaciśnięte zęby wypuścił jakieś przekleństwo i z pogardliwą dumą opuścił zgromadzenie.

Wzburzony i zirytowany wracał do domu, w twarzy jego osiadł taki wyraz, jaki ma człowiek po wypiciu gorzkiego lekarstwa, wyraz przykrego uczucia i niesmaku, a oczy ruchliwe rzucały z pod cienia brwi ponure spojrzenia na świat. Wracał zwyciężony ale zarazem pełen po gardy dla zwycięzców swoich, lekceważąc potęgę, która go udeptała, czuł się jeszcze bardziej oburzonym tryumfem tej potęgi. To przekonanie zdwajało jego cierpienia, i budziło w nim wstręt i obrzydzenie dla wszystkich. Szedł pośpiesznie, by coby prędzej pozbyć się widoku ludzi snujących się po ulicy, by nie słyszeć ich rozmów głośnych i śmiechów wesołych, wszystko to drażniło go niesłychanie. Uczucie nienawiści i pogardy miotało nim gwałtownie i odpychało go od ludzi. To też kiedy wszedł do swego mieszkania uczuł się swobodniejszym, — ciche to mieszkanie zdawało mu się bezpieczną przystanią, w którą się chronił po burzy, co go zmęczyła tak srogo. Ale spokój ten trwał niedługo. Wnet wszystkie wspomnienia dzisiejszej klęski z najdrobniejszymi szczegółami ruszały się w nim jak robactwo i poczęły gryźć i niepokoić duszę jego. Coraz to smutniejsze, czarniejsze myśli zalegały ją, jedno przykre wspomnienie wyciągało drugie — przyszły na myśl wszystkie najcięższe borykania się z losem z lat przeszłych, trudy jakie przebywał, zawody jakie go spotykały; kłopoty pieniężne, brak funduszy, omylone nadzieje na katedrę uniwersytecką — wszystko to przeciągało przed jego duszą

jak kondukt i robiło mu się coraz ciemniej i coraz straszniej. Widział się złamanym, zdeptanym, upokorzonym, zawiedzionym i tak gęste mroki rozpaczy go otoczyły, że przez nie nie mógł się nawet przebić jedyny jasny promień, jakim mogło być dla niego wspomnienie Jadwigi. Stracił już nadzieję we wszystko. Nie widział przed sobą żadnego celu — i doznał wrażenia jakie ma człowiek, który wśród ciemnej, przepaścistej nocy stracił ślad drogi — i ogarnęła go rozpacz i przestach. Zerwał się z miejsca, na którym dotąd siedział nieruchomo, chwycił oburącz rękami rozpalone czoło, jak by się bał, by je burza i zamęt przykrych myśli nie rozsadziły a z piersi dobyło się głuche, przeciągłe westchnienie. Było to przesilenie cierpienia, po którym upadł na łóżko osłabiony, nieprzytomny prawie, i leżał tak długo nieruchomy w jakimś bezmyślnem odrętwieniu, jakby w śnie letargicznym.

Nie zadługo ojciec wrócił do domu, a będąc pewny, że syn śpi nie chciał mu przeszkadzać i zatrzymał się w pierwszym pokoju. Usiadł przy lampie z książką do nabożeństwa i odmawiał godzinki i litanie a potem począł nucić cichym głosem: „dobranoc śliczna lilio”. Jednostajny szmer tego cichego śpiewu zbudził z przykrego odrętwienia Antoniego i działał na duszę jego uspokajająco; był on dla strapionego rodzajem kołyski, której łagodny ruch kołował wzburzone uczucia. Z oczami wlepionymi w sufit słuchał nabożnego śpiewu i przypominał sobie równocześnie ludzi, których kilka dni temu widział cisnących się do konfesyonału, a równocześnie z tem przypomnieniem przyszło mu na myśl, jak cichem i spokojnem korytem płynie życie tych ludzi, którzy zrezygnowali ze wszelkich badań, dociekań filozoficznych, którzy nie silą się szukać na własną rękę prawdy; — ale dają się prowadzić kościołowi ubitą drogą, wydeptaną wiekami, wygodną i bezpieczną. Myśląc tak zazdrościł tym ludziom. W obec ich życia uorganizowanego, systematycznego widział siebie mocującego się rozpacznie z trudnościami, jakie wieki i ludzie nagromadzili przed nim, usiłującego przebić się przez te zapory i dojść do prawdy — i ta praca olbrzymia, bez nadziei skutku pomyślnego, budziła w nim przestach i zwątpienie. Jak inżynier, który przez skaliste okolice chce prowadzić nowe proste szlaki, tak on wziął się był z zapalem do wytyczania i prowadzenia nowych dróg do szczęścia; ale gdy przyszło mu na tej drodze burzyć utrwalone latami budowle, gdy zobaczył, że dotąd praca jego ciężka, mozolna, tylko olbrzymie kupy gruzów i rumowisk wzniosła, gdy widział z jak wieloma trudnościami przyjdzie mu jeszcze walczyć, by zburzyciela stać się twórcą — odwaga jego zbezwładniała i z pośród rumowisk i gruzów, które go otaczały spojrzął z utęsknieniem i zazdrością na tych, co wędrowali ubitym gościńcem starych tradycji. Gościńiec ten ma dużo stron ujemnych, — myślał sobie — nie prowadzi ich do prawdy, do postępu; a jednak ludzie ci są zadowoleni, spokojni, — idąc temi drogami spełniają wiele dobrego i sami wiele dobrego zyskują, krzątania ich i zabiegi wydają szczęśliwe owoce; podczas gdy ja tutaj w ciemnościach, opuszczony męczę się nad przekopaniem dróg nowych i dla tej pracy wyrzekłem się wielu rzeczy, zaniedbałem wiele, a co będzie jeżeli nie podołam pracy, jeżeli gruzy zasypią mnie i przywalą a pamięć ludzka nawet wdzięczności nierzuci na tę straszą mogiłę moją i zamiast błogosławić usiłowania moje, powie: burzyciel. Czyż nie lepiej by było cofnąć się, wrócić na ubite gościńce i zarabiać sobie na chleb, na życziwość ludzi i imię.

Stały mu w myśli całe zastępy reformatorów, których prace i usiłowania w niwecz się obróciły i strzaskane, zdruzgotane upadły u nóg potężnego kolosu tradycji i wiary. Genialne błyski znakomitych filozofów chwilowym tylko blaskiem, oświecały ludzkość i ginęły w mętnych cieniach zabobonu i przesądu. Kto wie — rozmyślał dalej — czy te ciemności nie są koniecznością, potrzebą moralną ludzkości. Może ludzie potrzebują mieć przepaski przesądu na oczach, by się łatwiej i sforniej prowadzić dali? Może blask prawdy za silny na nasze oczy, a głos rozumu za słabym wędzidłem na ludzkie namiętności.

Takie myśli i zwątpienia opadły duszę jego i snuł z nich tysiące zapytań, na które brakło mu

odpowiedzi. Ale to trwało nie długo, dusza tonąc w przepaściach zwątpienia aż do dna, poczęła znowu podnosić się w górę i wzbijać jak nurek ku słońcu. Zaczął rozpaczać, że pomimo tylu upadków ludzkości, tylu zaćmień w historii — zaprzeczyć się nie da pewien postęp, który lubo powoli i nieznacznie się posuwa; a posuwa się właśnie pracą myślicieli i miłośników prawdy; że zbrodnią by było iść wbrew przekonaniu własnemu, zrzec się walki za idee, które uważamy za zbawiernie i wzniosłe; że nie należy ustępować złemu, ale tępić je z zaciętością, by się nierozmnażało. Wśród tych rozmyślań duch jego nabierał znowu sprężystości i siły. Podniósł się zółzka pokrzepiony tą wiarą i pełen odwagi do walki. A walkę zamierzał rozpocząć od uderzenia na tych, którzy dziś stanęli przeciwko niemu. Antoni identyfikując siebie i swoje idee, uważał tych ludzi, jako zawady przeszkadzające urzeczywistnieniu jego wzniosłych idei i dla tego przeciw nim skierował pierwszy atak.

Ojciec już spał. Antoni usiadł przy stoliku i rozpoczął pisać dość spory artykuł z napisem: „My demokraci.” Sens moralny artykułu był, że u nas nie ma demokracji i starał się to wykazać i udowodnić z bezwzględną surowością. Cały artykuł był pisany z namiętnością i gwałtownością, nie oszczędzał nikogo i nic a polemiczny zapał tak dalece uniósł autora, że nie zawahał się zadawać dotkliwe razy zarówno winnym, jak niewinnym. Uprzedzenie i rozdrażnienie uczyniło go niesprawiedliwym i bezlitosnym. Całą noc pisał ten artykuł. Już dobry był dzień, kiedy go ukończył. Nie przeglądał go wcale, był tak rozgorączkowany bezsennością i pisaniem że nie miał już ani chęci, ani siły przeczytać, co napisał; a pilno mu było wyprawić co rychło ten artykuł. Zwinął go więc spiesznie, włożył w kopertę i napisawszy na wierzchu: „proszę umieścić w dzienniku dziś jeszcze koniecznie” zawołał stróża i kazał mu artykuł natychmiast zanieść do redakcyi. Sam zaś usiadł na łóżku i wziął w rękę wczorajszy numer dziennika, którego jeszcze nie miał dotąd czasu przeczytać. Ale był tak znużony, że przeczytawszy zaledwie kilka wierszy upuścił bezwładnie rękę z gazetą i usnął mocno.

Kiedy się zbudził po kilku godzinach ujrzał siedzącego przy nim redaktora. Zerwał się, przetarł oczy i spojrzał w okno zdziwiony.

— Co to jest? która to godzina? — spytał.

— Już druga.

— Więc tak długo spałem.

A po chwili zebrawszy nieco myśli spytał znowu:

— Czy odebrałeś pan mój artykuł?

— Tak — i właśnie dla tego przyszedłem. Tu dobył manuskrypt z kieszeni.

— Jakto? czy nie będzie dziś drukowany?

— Ani dziś, ani nigdy. Artykułu tego w żaden sposób drukować nie mogę. I zdaje mi się, że pan sam, przejrząwszy go na trzeźwo, podzielisz moje zdanie.

Antoniego drasnęła ta uwaga i niezadowolnie zmarszczyło mu czoło.

— Co pan masz do zarzucenia temu artykułowi?

— Jest to płód rozgorączkowanej fantazyi. Musiałeś go pan pisać pod wpływem silnego rozdrażnienia.

— Nie napisałem nic takiego, czego bym nie powtórzył i teraz. Zresztą podpis mój uwalnia redakcyę od odpowiedzialności.

— Nawet z podpisem pańskim, artykułu tego umieścić nie mogę. Są tam bowiem rzeczy szkodzące naszej sprawie, wytrącające nam poprostu z dłoni sztandar, pod którym stanęliśmy do walki. Bo powiedzieć że u nas niema demokracji, jest to tyle, co wyrzec się racyi bytu.

— A jednak musisz mi pan przyznać słuszność. Pokażcie mi gdzie macie tę waszą demokrację?

— Istnieje ona tylko w waszych głowach i na papierze; ale w rzeczywistości jej nie ma. Ta ciemna, głupia masa, która nie tylko nie rozumie idei postępu, ale nawet nie wie po co żyje, nie może przecież nazywać się demokracją. A to, co po nad te masy wyrosło trochę rozumem lub talentem, dba tylko o własne korzyści, o nasycenie osobistych ambicji i nienawiści a idei demokracji używa jak wschodów do wejścia w górę lub jak pałki do uderzenia nią prywatnych nieprzyjaciół. Czy możesz pan temu zaprzeczyć?

— Gdyby tak było, jak pan mówisz — odrzekł redaktor — gdyby w istocie nie było u nas demokracji, to obowiązkiem byłoby naszym stworzyć ją, jak się stwarza sztucznie w suchych miejscach kanalizację, wodotryski, by społeczeństwo nasze nie zmieniło się w nieurodzajną i jałową pustynię. Ale tak nie jest, jak pan mówisz. Jest u nas wielu ludzi postępowych, rozsądnych, tylko brak im solidarności, brak organizacji. Każdy działa na własną rękę, według własnego rozumu. Robią mi oni wrażenie zbłąkanych, którzy usiłują wydostać się z przepaścistej puszczy starych nałogów, przesądów i ciemności i każdy w inną idzie stronę utrzymując, że droga, którą on toruje najlepsza, że nią wydostanie się ludzkość na otwarte pole. Rozbiegli się więc, nie komunikują się ze sobą, nawołują się z różnych stron wołając: tędy, tędy; ale rozstrzelone ich głosy giną wśród wrzawy puszczy, niesłyszają się wzajemnie i wielu z nich po bezowocnych usiłowaniach zatracą się gdzieś bez śladu i wieści. Otóż obowiązkiem naszym jest zwołać tych ludzi w jeden zastęp do wspólnej pracy, pogodzić małe różnice, które ich dzielą, wskazać jeden cel i zachęcić do wspólnego działania. A tego nie dokażemy rzucając na nich błotem, urągówiskiem, jakieś to pan uczynił w tym artykule. Powiedz mi pan, cóż wróg mógłby gorszego o nas napisać nad to, co pan napisałeś?

— Więc chcecie zakrywać rany i wrzody, które niszczą was, zamiast wypalić je?

— Ran nie zakrywamy; ale je chcemy goić, nie jątrzyć. To coś pan tu napisał to nie lekarstwo, to sztylet.

— To lancet chirurgiczny.

— Nie panie, to miecz obosieczny, którym pan machasz na ślepo nie patrząc, czy uderzy w winnych, czy niewinnych. Wydrukowanie tego artykułu byłoby kartką pogrzebową dla naszego dziennika — a nam dziś bardziej niż kiedy powinno zależeć na utrzymaniu tego pisma, bo zważ pan, że to jest jedyny organ, w którym głos prawdy i postępu przemawiać może. A upaść by musiał koniecznie gdybyśmy zrazili sobie i odstręczyli tę garstkę dobrze myślących, którzy istnienie jego podtrzymują.

— To znaczy, że dziennik wasz jest zależnym od względów i łaski protektorów.

— Mylisz się pan, zależnym on jest tylko od opinii świątłych i zacnych ludzi i to mu nie uchybia. Dziennik nie tylko powinien kierować opinią, ale być wyrazem pewnych opinii, inaczej nie miał by celu i podstawy.

— Przedewszystkiem powinien być organem do wypowiedania przekonań każdego, a szczególnie przekonań współpracowników.

— Jeżeli te odpowiadają tendencji dziennika, jeżeli nie wynikają z pobudek osobistych, które sprawie ogólnej szkodzić by mogły.

— Więc przypuśćmy, że głos ten jest tylko głosem moim; ale jest to głos człowieka, który uczuł się pokrzywdzonym. Czyż nie wolno mi poskarżyć się publicznie że mi się krzywda stała.

— Pan nie skarżysz się, ale potępiasz i to wszystkich bez wyjątku.

— Dajmy pokój dysputom — wyrwał się niecierpliwie Antoni — one do niczego nie doprowadzą. Jeżeli ja pana nie przekonałem, pan mnie tym mniej. Proszę mi powiedzieć krótko: czy pan wydrukujesz mój artykuł czy nie?

— W takiej formie jak jest — nie mogę.

— W takim razie cofam się od współpracownictwa w dzienniku pańskim.

— Jest to przykra dla mnie ostateczność, bo ceniłem i cenię bardzo zdolności pańskie. Mógłbyś pan wielkie oddać usługi swojemi pracami i pismu mojemu i sprawie naszej. A jednak mimo tego przekonania, łatwiej mi będzie znieść brak pańskiego pióra, niż korzystać z niego pod warunkami, jakie pan stawiasz.

— A więc skończyliśmy ze sobą. Artykuł ten bądź co bądź będzie drukowany choćby w osobnej broszurze.

— Nie radziłbym tego panu ze względu na niego samego. Występując w tak jaskrawy i nieprzyjazny sposób przeciw demokracji stajesz pan na pochyłości, z której Bóg wie gdzie stoczyć się możesz.

— Jestem panem moich czynności i umiem odpowiadać za nie — odrzekł dumnie Antoni dotknięty ostatnią uwagą redaktora — sądzę, że już nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

— W każdym razie przyjmij pan zapewnienie mojej niezmiennej dla niego.

— Dajmy pokój frazesom — przerwał mu Antoni. Nie bawmy się w komplementa. Życzliwość pana i wszystkich jego dobrze myślących przyjaciół nie wiele więcej mi pomogła jak owemu zającowi w bajce.

Po tych słowach uklonił się zimno i sztywnie redaktorowi i zwrócił się ku oknu. Było to tak wyraźne zaproszenie do wyjścia, że redaktor pomimo względów i pobłażliwości jaką miał dla Antoniego, nie miał już odwagi ani chęci prowadzić dalej rozmowy i wzięwszy kapelusz wyszedł z pokoju, dotknięty do żywego i obrażony.

Po jego wyjściu Antoni usiadł zachmurzony, ponury przy stole i bezmyślnie patrał na numer dziennika leżący przed nim. Potem machinalnie począł przebiegać go oczami, nie wiele myśląc o tem, co czytał. Na raz poruszył się żywiej na stołku, chwycił gazetę konwulsyjnym ruchem i podniósłszy ją bliżej oczów począł z niezwykłym ożywieniem czytać ją. Trafił właśnie na ustęp, o który wczoraj doktor taką scenę zrobił w redakcyi. Czytał i oczom własnym nie wierzył, zaczął czytać po raz drugi. Wzrok jego stawał się co raz niespokojniejszym, dzikszym a rysy twarzy przybierały wyraz ostry. Wreszcie zmiął gazetę w rękach gwałtownym ruchem i rzucił ją na ziemię, a przez zaciśnięte zęby wyrzucił stłumionym ale dosadnym szeptem słowo:

— Podły!

Wyraz ten skierowany był przeciw doktorowi. Nikogo innego nie mógł posądzić o autorstwo tego artykułu, bo wiedział, że jemu jednemu zwierzył się z tą tajemnicą.

— Tego brakowało — mówił do siebie po chwili — abym się nawet na tyra człowieku zawiódł, abym ani jednego uczciwego człowieka nie znalazł wśród tej zgrai, która świętokradzko tytułuje się demokracją. Jeden wart drugiego.

Oburzenie nie dało mu usiedzieć na miejscu. Wstał i chodził po pokoju szarpany gwałtownymi uczuciami gniewu i pogardy. Chodząc tak zaplątał jedną nogę w gazetę. Kopnął ją i odepchnął od siebie z obrzydzeniem i wstrętem, jakby gadzinę nadeptał i splunął z pogardą. Artykuł: „szukaj kobiety” przepelniał miarę jego nienawiści przeciw tej partyi, której niedawno był tak zapalonym rzecznikiem, a co więcej usprawiedliwiał go całkiem w jego przekonaniu i zdecydował go ostatecznie do tego, że bez wahania postanowił oddać artykuł swój do druku. Uskutecznił to tego samego dnia.

W parę tygodni od tego dnia spotkał się raz na ulicy z doktorem, który ujrzawszy go zbliżył się ku niemu i podał rękę na powitanie. Ale Antoni nie przyjął podanej ręki, zmierzył doktora od stóp do głowy wzrokiem pełnym pogardy i odwróciwszy się od niego poszedł dalej. Doktor domyślił się powodu tego postępowania, mógł to przypuścić że Antoni będzie go posądzać o zdradzenie

tajemnicy; ale miał w duszy niejaką nadzieję, że temu nie uwierzy, że przynajmniej będzie żądał od niego tłumaczenia, wyjaśnienia. Omylił się. Postąpienie Antoniego nie zostawiało żadnej wątpliwości, że uwierzył w nieuczciwość jego. To go zmartwiło i zasępiło mocno.

— Sądziłem — rzekł do siebie zafrasowany trąc zachmurzone czoło — że mi uwierzy na słowo. Dziś widzę że trzeba się postarać o inne dowody. I mieć je muszę — koniecznie muszę.

Mówił te słowa patrząc za odchodzącym Antonim i czekał chwilę, czy nie wróci się do niego, nie obejrzy się za nim. Ale Antoni nie zrobił tego i szybkim krokiem szedł dalej zmierzając do swego mieszkania. Kiedy tam wszedł zastał ojca oczekującego go z twarzą rozjaśnioną i ożywioną i nim jeszcze Antoni miał czas spytać go, co zaszło — staruszek zbliżył się ku niemu, wziął go za rękę i rzekł:

— Zgadnii Antosiu kto tu był?

Antoniemu w tej chwili przyszła na myśl Jadwiga; ale wstydził się zdradzić z tym domysłem i odrzekł:

— Nie wiem.

— Władzio, Władzio Żarecki wychowanek hrabiego, pamiętasz go przecie.

Silny rumieniec oblał twarz Antoniego; domysły jego nie zawiodły go. Władysław pewnie przyszedł z polecenia Jadwigi.

— I czegoż on chciał? spytał się maskując tem swoje pomieszenie.

— Mówił, że stary hrabia chce cię zobaczyć. Widzisz jacy to dobrzy ludzie.

— Hrabia Medard? — spytał Antoni. Wiadomość ta przeraziła go niezwykłością. Takiej wiadomości nigdy się nie spodziewał. Stała ona przed nim nagle niespodziewanie jak czarne widmo, które go dziwną trwogą przejęło.

— Hrabia Medard? — powtórzył.

— Mówił, że stary hrabia ma do ciebie interes jakiś. Patrz jaki on dobry, pamięta o tobie.

— Chyba o sobie; wszak ma interes podobno do mnie.

— I czegożby on od ciebie potrzebował — on pan z panów. Ale może Tomasz mówił mu o nas.

— Cóż Tomasz mógł mówić — z kąd mógł Tomasz co wiedzieć o nas? — spytał Antoni trochę ostro, bo dumę jego podrażniło przypuszczenie interwencji lokaja w jego sprawie.

— Ja się tylko tak domyślam — rzekł ojciec zmieszany tem, że się o mało nie wygadał przed synem o spotkaniu swoim z Tomaszem i rozmowie z nim. Ja nic nie wiem. Władzio — pan Władysław ci to lepiej wytłómaczy.

— Czy mówił, że tu będzie jeszcze?

— Jutro tu przyjdzie po obiedzie.

Antoni nie pytał się o nic więcej; ale wiadomość, którą mu ojciec udzielił, dała mu dużo do myślenia i ciążyła mocno na sercu. Robił tysiączne przypuszczenia czego może chcieć od niego hrabia Medard i nie umiał sobie zadawalniająco odpowiedzieć.

VII.

Dla wyjaśnienia tej zagadki trzeba nam zajrzeć na chwilę do mieszkania hrabiego Medarda. Było to właśnie w kilka dni po owej porażce, jaką poniósł Antoni na zgromadzeniu klubu demokratycznego. Hrabia był o tem wszystkim uwiadomiony przez swoich zaufanych i cieszył się niepomału z obrotu rzeczy, bo niesnaski w obozie demokratycznym, dawały mu nadzieję urzeczywistnienia jego planów i przeprowadzenia wyborów po jego myśli, a szczególnie kandydatura jego syna nabierała coraz większego prawdopodobieństwa. Obok wielu innych okoliczności przyczynił się do tego nie mało upadek pewnego banku wiedeńskiego, którego sprawę popierał był dziennik postępowy a w szczególności Urban. Kilka artykułów jego pióra umieszczonych w dzienniku, a przedstawiających świetny stan interesów tegoż banku, pociągnęło wielu łatwowiernych do kupowania akcji obiecujących akcyonaryuszom nadzwyczajne korzyści; a nazwisko hrabiego Jerzego jeszcze więcej przyczyniło się do utrwalenia łatwowierności. Mnóstwo szczególnie drobnych kapitałów utopiono w akcyach. Obietnica wielkich procentów i znacznej dywidendy skusiła wielu. Gdy na raz gruchnęła wieść, że całe przedsiębiorstwo banku było tylko ochydną spekulacją obliczoną na oszukanie łatwowiernych. Dyrektorowie banku zostali uwięzieni, akcye banku z przerażającą szybkością spadały, aż doszły do nic prawie nie znaczącej wartości i akcyonaryusze zostali zrujnowani. Czy hrabia Jerzy i Urban należeli do zmywy trudno orzec stanowczo. Sąd nie wyśledził ich winy. Owszem hrabia Jerzy wycofał się z tej całej sprawy jako ofiara, jako sam poszkodowany, a Urban w chwili upadku banku wypalił w dzienniku piorunujący przeciw niemu artykuł. Ale opinia publiczna głośno oskarżała dziennik postępowy o współnictwo, zarzucała mu publicznie sprzedajność i złe zamiary. W obec takich okoliczności dziennik stracił swój wpływ, a dało się to najwyraźniej uczuć na przedwyborczych zgromadzeniach, na których większość świadczyła się wyraźnie za kandydatami stronnictwa klerykalnego. Trzej kandydaci postawieni przez tę partję mieli wszelką nadzieję przejścia podczas wyborów. Za kilka dni miało się to rozstrzygnąć. Hrabia uprzedził o tem syna i polecił mu przygotować się do wystąpienia przed wyborcami z mową. Hrabia Artur przyjął z początku ten projekt ojca z lekceważącą ironią, tłumaczył mu się, że woli należeć choćby do ziewających widzów niż do lichych aktorów politycznych. Ale stary hrabia, który dotąd dość pobłażliwie traktował postępowanie syna, tym razem postawił się ostro i surowo zgromił jego obojętność na sprawy kraju.

— Jeżeli tak wszyscy ludzie naszej partji mówić będą, jak ty — rzekł do niego — Jeżeli usuniemy się całkiem od życia publicznego, wtedy ster wszystkich spraw wezmą w ręce ludzie nowi, ludzie z nieznanymi nazwiskami i przeszłością, a wtedy my zostaniemy na boku, jak rupiecica antykwarskie, nikt się o nas pytać, ani troszczyć nie będzie. Przez własną obojętność i lenistwo — mówił dalej — straciliśmy już wiele, bardzo wiele, daliśmy się w wielu rzeczach wyprzedzić i pozbyliśmy się wpływu, jaki mieliśmy dawniej. Trzeba nam teraz ten wpływ odzyskać, musimy zająć wszystkie stanowiska nawet mniej znaczne, choćby dla tego, aby na nie nie wcisnęli się ludzie przeciwnych nam przekonań. Czas już aby arystokracja wyszła z gnuśnej bezczynności, która ją na pośmiech i urągowisko wystawia. Jeżeli chcemy być pierwsi, umiejmyż stać na przodzie. Takie jest moje przekonanie i chciałbym abyś i ty je podzielał, a podzielał czynnie, przykładem. Dziś najsposobniejsza do tego chwila, wszystko nam sprzyja do zwycięstwa, jeżeli nie wygramy, to przez własne niedołęstwo. Kandydatura twoja ma dziś tak korzystne warunki, jakie nie prędko znowu się znajdują; powinieneś z tego korzystać. Kto wie jak szeroka i wielka karyera czeka cię na tej drodze. Znam twoje zdolności pod tym względem i wielkie robię sobie nadzieje. Od ciebie zależy być mężem

stanu lub pasożytem. Nie będę tał przed tobą, że stan nasz majątkowy wcale nie świetny; jeżeli nie wyrobisz sobie własną pracą i talentem stanowiska, zmarniejesz z mierności. Od ciebie więc zależy być czemś lub niczem. Wybieraj. Ja robiłem wszystko, by ci pomódz do wyjścia z beczynności. Reszta to twoją rzeczą.

Hrabia mówił te słowa ze stanowczością i zapałem, który poruszył zgnusiała; i ociężała duszę Artura. Ambicya ruszyła się w nim, słowa ojca rozdmuchały w nim ambitne nadzieje. Musiał w duszy przyznać słuszność ojcu, że pozostają mu dwie ostateczności, albo zdobyć sobie stanowisko, albo być całe życie niczem. To przekonanie poczęło nurtować niespokojnie w nim. Mało kiedy zastanawiał się nad swoją przyszłością, był za leniwy na to i za mało miał czasu, spychał życie z dnia na dzień nie patrząc dalej przed siebie. To też gdy ojciec zmusił go do spojrzenia w przyszłość, zatrwożył się, wszystkie ambitne pragnienia jego uderzyły na alarm, a energia jego zbudziła się. Przywykły jednak zawsze panować nad sobą i tym razem nie okazał tego, co się w nim odbywało i maskując stan wewnętrzny ironicznym uśmiechem odrzekł powoli:

— Ha, jeżeli takie ojca przekonanie, że to przyczyni splendoru naszemu domowi, gdy usiądę między adwokatami i mieszczuchami i radzić z nimi będę o mytach drogowych, to gotów jestem starać się o tę wielką godność.

Staremu hrabiemu wystarczyło to wyznanie, znał syna dobrze i z niedbale wyrzeczonych słów jego domyślił się, że dopiął swego celu i skłonił go do swych planów. Na teraz o więcej mu nie chodziło. Ale wybór Artura nie był ostatecznym i jedynym celem jego. Miał on szerszą myśl. Może po trochu przez dumę, a może i wskutek przekonań swoich stary hrabia zamyslał stronnictwu swemu nadać życie, skupić je w jedną silną falangę i stanąć na jej czele, chciał wskrzesić dawne jej znaczenie i wpływ. Jednym ze środków prowadzących do tego uważał założenie pisma politycznego, koło którego skupiałyby się wszystkie siły umysłowe stronnictwa i z którego szły by hasła dla całego stronnictwa. Pismo to miało ożywiać, kierować, łączyć i oświecać. Istniejący dotąd dziennik konserwatywny nie odpowiadał całkiem jego zamysłom. Dziennik ten oparty na spruchniałych podstawach, prowadzony przez ludzi kierujących się uprzedzeniami, mało miał wpływu, a co nadewszystko mało żywotności. Hrabia chciał stworzyć pismo pełne świeżych sił, umiarkowane w taktyce, polityczne i wpływowe. Wahał się tylko komu powierzyć kierownictwo takiego pisma. Chciał w tym względzie naradzić się z księdzem Hieronimem, na którego zdaniu bardzo polegał i w tym celu zaprosił go do siebie.

Ksiądz Hieronim stawiał się na wezwanie i gdy hrabia wyjaśnił mu sprawę dla której go wezwał odrzekł:

— Plan twój panie hrabio zgadza się bardzo z mojami projektami. I ja bowiem ułożyłem sobie w tych dniach jeden projekt i byłbym bez twego wezwania stawiał się u ciebie. Z tego coś mi hrabia powiedział widzę, że plany nasze schodzą się ze sobą. Hrabia szukasz człowieka zdolnego do kierowania pismem, a ja szukam posady dla pewnego człowieka zdolnego.

— A więc rzecz składa się wcale nie źle. I kogóż ksiądz masz?

— Jeszcze go nie mam; ale sądzę, że teraz łatwo go będzie można pozyskać.

— I któż to taki?

— Twój wychowanek hrabio. Ów Antoni Kowalski.

Hrabia wyprostował się w krześle i spojrzał z dziwną miną na księdza.

— Czy to żart?

— Nie, całkiem mówię na seryo. Wszak sam hrabia mówiłeś, że to chłopak niepospolitych zdolności.

— Tak ale przekonań wręcz przeciwnych — on i my — to ogień i woda.

— Musiałeś nie czytać hrabia ostatnich broszur jego wymierzonych przeciw demokracji. Są, tam zdania i poglądy, na które by się każdy z nas bez wahania podpisał, a może znalazło by się wielu, którymby może i brakło odwagi położyć tam swego nazwiska, z obawy ściągnięcia na siebie gromów z tamtego obozu.

— Nie trudno wytłómaczyć sobie tę jego odwagę — mówił hrabia, a w mowie jego znać było pogardę i niesmak dla człowieka, o którym mówił. Doznał sam zupełnej porażki a to, co napisał podyktowało mu nie przekonanie, tylko obrażona miłość własna. Gdyby mu się było powiodło, nie byłby z pewnością napisał tych broszur.

— Ja inaczej sędzę. Mnie się znowu zdaje, że zbliżenie się do tych ludzi, z którymi go łączyła jedność zasad, wyleczyło go z gorączkowych mrzonek. Poznawszy z bliska i w praktyce ciemne strony swoich teorii — przestraszył się nimi i cofnął się. Ale przypuśćmy nawet, że tak jest jak hrabia powiadasz, to nawet wtedy należałoby z korzystać z jego chwilowego usposobienia, nadać mu trwałość i pozyskać go dla naszej sprawy.

— To jest wziąć to co tamci odrzucili.

— Odrzucono go bo się nie poznano na nim. Tym lepiej dla nas. Kamień ten oszlifowany przez nas zajaśnieje właściwym blaskiem.

— A skoro rozdrażnienie jego przeminie porzuci nas i wyśmieje.

— Mylisz się hrabio; dla takich ludzi nie ma powrotu. Kto raz krytycznym okiem spojrzy na uwielbiane dawniej przez siebie ideały i pocznie wyszukiwać ich ułomności i wady, ten nie będzie w stanie rozgorzeć dla nich powtórnie silną miłością. Zresztą nie przyjęto by go w tamtym obozie. Ostatnią broszurą uniemożliwił sobie wszelki powrót.

— Czy masz książkę te broszury u siebie? — spytał hrabia ustępując już nieco pod naciskiem argumentów księdza.

— Przyszłe je dziś jeszcze hrabiemu. Skoro je przeczytasz zgodzisz się hrabia z pewnością na moje zdanie.

— Tak, mogę zmienić moje zdanie względem tego człowieka; ale postawić go na czele pisma mającego być naszym organem, oddać mu w ręce kierownictwo — to niepodobna. To byłoby tyle, co wilka wpuszczać do owczarni.

— Z neofitów kościół miał zawsze najzagorzalszych apostołów.

W kwestyach społecznych i politycznych ten sam proces się objawia. Z ludzi nawróconych stają się najgorliwsi, najnamiętniejsi prześladowcy idei, które dawniej wyznawali.

— Byłoby jednak wstydem, żeby w naszej partyi nie znalazł się człowiek, któryby mógł stanąć na czele pisma. Wszak ich mamy tylu.

Tu hrabia wymienił szereg nazwisk. Ale ksiądz mu przerwał żywo i rzekł:

— Wszyscy ci których wymieniłeś hrabia — należeli dawniej do przeciwnego obozu. Niepowodzenia a może rozsądek i dojrzałość przerzuciły ich do naszego obozu i dziś mamy z nich najdzielniejszych szermierzy i obrońców. Czyż np. taki pan Lucyan nie był kiedyś więcej skrajnym i czerwonym, niż Antoni? Stawiając go na czele pisma zyskujemy jedną z niepospolitych głów dla naszej sprawy.

Ksiądz przerwał wyczekując, co hrabia powie, spodziewał się może zaprzeczenia, ale hrabia wsunawszy swoją małą figurkę w głąb fotelu milczał i głowę upuścił na piersi. Zdawał się głęboko zamyślony nad tem, co słyszał. Ksiądz korzystał z milczenia i mówił dalej:

— Ani Antoni, ani ci ludzie, których hrabia przed chwilą wymieniłeś nie należą urodzeniem do naszego obozu. To prawda. Ale musimy żywić się pracą tych ludzi, bo arystokracja ich nie ma; musimy odżywiać się sokami nie swojemi, bo inaczej zniszczelibyśmy dla braku sił żywotnych.

Gdybyśmy chcieli poprzestać na tem, co arystokracja sama jako taka robi dla swojej sprawy,— śladu by z nas do dziś dnia nie było. Wyrodziliśmy się. W spuściznie po przodkach przechowaliśmy tylko wady. My dajemy tylko firmę naszemu stronnictwu, ale interesa nasze prowadzą ludzie nowi.

— Więc wątpisz w nasze odrodzenie się, w naszą żywotność?

— Prawie.

— A ja nie — rzekł ze stanowczością hrabia i wyprostowany podniósł się z krzesła, jakby tem podniesieniem chciał większe znaczenie nadać swoim słowom. Zobaczysz, że za lat niewiele stronnictwo nasze nie tylko zaciężnych liczyć będzie szermierzy. Mam nadzieję w młodem pokoleniu które z takim zapałem bierze się do nauk i pracy, że arystokracja wyjdzie ze stanu gnuśności i obojętności na pole działania.

— Ale za nim to młode pokolenie podrośnie...

— Wiem o tem, że to dalekie plany; ale lubię bawić się niemi, bo to dodaje mi sił i ochoty do pracy.

Mówiąc to hrabia zapatrzył się gdzieś daleko przed siebie, a sucha twarz jego promieniała dziwnym zachwytem. Ksiądz czy nie podzielał tych jego nadziei, czy nie chciał przeszkadzać marzeniom hrabiego, wstał i zabierał się do wyjścia. Hrabia spostrzegłszy to zatrzymał go i spytał.

— Więc sądzisz, że byłby dobry na kierownika naszego pisma?

— Jestem tego pewny.

— Ha zobaczmy. Chciałbym jednak pierwej przeczytać te broszury.

— Dziś jeszcze mieć je będziesz hrabio.

I rzeczywiście w godzinę po wyjściu przysłał hrabiemu obydwie broszury, do których przeczytania tenże zabrał się zaraz po herbacie. Z początku przeglądał je tylko, ale przeglądając tak się zainteresował niemi, że całe przeczytał zatrzymując się dłużej przy niektórych ustępach. Późno w nocy ukończył czytanie, bo była już blisko druga, gdy zawołał kamerdynera aby go rozebrał do łóżka.

Na drugi dzień podczas śniadania, niby od niechcienia rzucił wśród rozmowy Władysławowi zapytanie: czy się widział już z Antonim po powrocie jego z zagranicy.

Władysława nawiasowe to pytanie zmieszało trochę. Nie mógł wiedzieć w jakim celu było postawione, odpowiedział jednak, jak rzeczywiście było, że się z nim jeszcze nie widział.

— To niegrzecznie z twej strony — mówił dalej hrabia — zawsze mu masz wiele do zawdzięczenia. On był długi czas twoim nauczycielem.

Władysław nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Wybawiła go z kłopotu hrabina stając w jego obronie i rzekła:

— Nie życzyłabym sobie wcale, aby Władzio odnawiał tę znajomość, która by mu tylko szkodzić mogła.

— Dla czego? — Spytał hrabia udając, że nie wie o co idzie żonie. — Antoni jest człowiek wykształcony. Władzio mógłby wiele skorzystać w jego towarzystwie.

— Czy zapomniałeś; co mówił o nim ksiądz Gabriel? To bezbożnik.

— Był nim. Dziś liczy się do nawróconych.

— Chodzi do spowiedzi — wtrącił stary Tomasz podając hrabinie filiżankę z kawą.

Stary sługa miał zwyczaj mieszać się nie raz do rozmowy. Długoletnia służba uprawniała go do tej poufałości. To też hrabinę nie zdziwiło to odezwanie się starego sługi i najspokojniej spytała go:

— A ty z kąd wiesz o tem.

— Stary Józef mi mówił, jak syn jego teraz się poprawił i nawrócił. Inny z niego teraz człowiek.

— I ksiądz Hieronim mówił mi o nim wiele dobrego — odezwał się hrabia — bardzo by mi żal było tego chłopca, gdyby się zmarnował.

A zwracając się do Władysława dodał:

— Powinieneś go odwiedzić. Prawda Jadwiniu.

— Mówiłam to już Władziowi — rzekła a silny rumieniec oblał jej bladą twarz na wspomnienie Antoniego.

Hrabia zauważył ten rumieniec i to mu dało wiele do myślenia tak, że przez chwilę zatrzymał się wśród rozmowy, potem mówił dalej:

— Cokolwiek zaszło między mną i Antonim, ciebie to mój Władziu, nie uwalnia od wdzięczności dla niego. Trzeba żebyś był u niego, odnowił znajomość, a nawet mógłbyś go tu przyprowadzić. Sądzę, że to przynajmniej należy nam się od niego.

— On nie będzie chciał, — wyrwała się żywo Jadwiga.

— Tak sądzisz? — spytał hrabia zapuszczając w nią badawcze spojrzenie.

— Ja tak myślę — poprawiła się nieśmiało — on zawsze był taki ambitny.

— Toż przecie nie będziemy go tutaj chcieli upokarzać. Zresztą możesz mu powiedzieć — dc dał zwracając się do Władysława — że mam da niego interes, który się jego tyczy. Rozumiesz? Spodziewam się, że przyjdzie. Nie będzie przecież żądał, abym ja poszedł do niego.

To spowodowało ową wizytę Władysława, nad której celem Antoni napróżno sobie głowę łamał. Widzenie się z Władysławem dnia następnego nie objaśniło go wiele w tym względzie. Dowiedział się tylko tyle, że stary hrabia chce się z nim widzieć, że ma do niego interes. Należało pójść koniecznie, choć podejrzliwość i dziwna jakaś obawa wstrzymywały go. W chwili gdy wszystko go zawiodło gdy wszyscy go odstąpili, odezwanie się do niego hrabiego wydawało mu się niewytlómaczonem. Byłże to nadmiar łaskawości, czy wyrachowana jakaś kombinacja? Znajac hrabiego dobrze mógł przypuszczać i jedno i drugie. Hrabia umiał się liczyć z wypadkami, używać ludzi, ale obok tego z prawdziwie pańską wspaniałomyślnością świadczył wiele dobrego. Antoni obawiał się jednego i drugiego; bał się być upokorzonym jaką łaską hrabiego, a również nie chciał, by hrabia od niego żądał jakiej przysługi, której by spełnić nie mógł pomimo obowiązków wdzięczności, jakie miał dla niego. Takie wątpliwości trapiły go, gdy nazajutrz po wizycie Władysława szedł do hrabiego. Pierwsze powitanie było zimne i nadzwyczaj sztywne. Antoni nie wiedząc z czem go hrabia, oczekuje, trzymał się dumnie i nieco hardo względem niego. Przybrał on ten pozór jak maskę lub tarczę, po za którą skrył swój niepokój. Również hrabia, który spodziewał się zobaczyć skruszonego, złamanego człowieka, ujrawszy śmiałą i pewną siebie twarz jego, uczył się nie mile dotkniętym tą zuchwałością i zaledwie lekkim skinieniem głowy przywitał wchodzącego. Chwilę jakąś trwało przykre milczenie, żaden nie chciał zacząć pierwszy. Wreszcie Antoni zdecydował się odezwać i rzekł:

— Pan hrabia mnie wezwał do siebie. Jestem Antoni.

— Nie potrzebujesz pan przypominać mi się. Umiem pamiętać. Słowa te powiedział z naciskiem. Potem wskazując krzesło rzekł:

— Proszę siadać.

Sam jednak nie usiadł, podczas dalszej rozmowy chodził ciągle po pokoju zatrzymując się czasami przed krzesłem, na którym usiadł Antoni.

— Niech to pana nie dziwi — odezwał się po chwili — że go wezwałem do siebie. Byłeś pan moim wychowankiem, ciekawy więc byłem jak się panu powodzi, czem jesteś, co robisz. Przypuścisz pan, że mogło mnie to trochę obchodzić, jak się pokierował mój wychowanek.

— Wdzięczny jestem panie hrabio za pamięć.

— Nie mówimy o wdzięczności, przypuścimy, że to tylko prosta ciekawość. I jakież zawód pan sobie obrałeś? Czem jesteś?

— Niczem — Odrzekł stłumionym głosem Antoni, a wstyd palił mu twarz silnym rumieńcem, gdy robił to wyznanie. Z wstydem mieszała się gorycz i upokorzenie.

Hrabia zdawał się umyślnie przeciągać milczeniem to przykre położenie Antoniego, zatrzymał się przed nim i mierząc go od stóp do głów poważnym spojrzeniem spytał po jakimś czasie:

— Jakto? niczem? Jeżeli się nie mylę to pan masz już lat dwadzieścia ośm. W tym wieku młody człowiek powinien już mieć jakieś stanowisko.

— Nie moja wina, że go nie mam. Podałem się o katedrę uniwersytecką i odmówiono mi. Dla czego? nie wiem.

— Ja panu to wytłómaczę. Dotychczasowe prace pańskie nie dawały rękojmi, że będziesz mógł odpowiedzieć powołaniu swemu. Senat osądził, żeś pan zdolniejszy na reformatora, niż profesora. Zdradziłeś się tam pan z opiniami zbyt niebezpiecznymi, aby ci miano powierzać wychowanie młodzieży. Temu pan masz przypisać zawód, jakiego doznałeś. Gdyby instytucje publiczne oddano w ręce ludzi niespokojnych i burzliwych, społeczeństwo rozpaść by się musiało. Porządek być musi, a porządek to konserwatyzm. Jestem pewny, że i pan kiedyś zrozumiesz tę prawdę. Ale nie o tem chciałem teraz mówić. Więc pan nie masz żadnego zajęcia.

— Żadnego — odrzekł Antoni z bolesnym westchnieniem.

— I z czegoż się pan utrzymujesz? Pytanie to uraziło dumę Antoniego.

— Panie hrabio — rzekł wstając — nie przyszedłem tu po jałmużnę.

— Nie myślałem pana obrażać — odpowiedział hrabia szybko wstrzymując go za rękę i sadowiąc napowrót w krzesło. — Jeżeli się pytam o te szczegóły, to nie dla tego, aby pana upokarzać. Szanuję drażliwość twoją. Ale pozwól mi jako opiekunowi twemu pomyśleć o twym losie.

Pierwszy raz hrabia opuścił w rozmowie z Antonim wyraz „pan” i odezwał się do niego poufalej. To rozbroiło Antoniego, duma jego ugięła się pod życzliwością hrabiego.

— I nie masz nadziei otrzymania żadnej posady? — spytał znowu po chwili.

— Żadnej nadziei.

— I cóż myślisz robić ze sobą? Takie życie bez jutra niemożliwe.

— Myślę wyjechać do Niemiec i starać się tam będę o profesurę, bądź o miejsce przy jakimś dzienniku. To jedno mi zostaje.

— Byłaby to strata dla kraju, gdyby człowiek z takimi zdolnościami jak ty wyrzekł się pracy dla niego.

— Robię to z ostateczności.

— A gdybyś w kraju dostał jaką korzystną posadę przy jakim piśmie. Tymczasem możeby się otworzyło miejsce na jakiś urząd publiczny, na katedrę.

— O ile wiem nie ma u nas pism takich, przy których mógłbym znaleźć odpowiednie utrzymanie.

— Mogą powstać nowe. Ja sam mam myśl założenia nowego pisma. Otworzyło by się w ten sposób korzystne miejsce dla ciebie.

— Jakto? I mnie pan hrabia proponujesz współpracownictwo w tem piśmie?

— Nie tylko to, ale chciałbym ci oddać kierownictwo tego pisma?

— Czy hrabia zapomniałeś o różnicy przekonań? odrzekł oburzony tą propozycją hrabiego. Trudno, abys hrabia zgodził się na moje zasady, a sądzę również, że nie będziesz hrabia wymagał, bym ja zrzekł się moich. Byłoby to sprzedaniem się.

Hrabia zmarszczył ponuro brwi na to gwałtowne wystąpienie Antoniego i odrzekł z przekąsem:

— Sądziłem, żeś się wyleczył już po trochu z tych twoich zasad, jak powiadasz, a które według mnie są niczem więcej tylko gorączkowymi mrzonkami, fermentem młodej duszy. Wnosząc z tego co tu czytałem — rzekł biorąc ze stołu ostatnią broszurę Antoniego — sądziłem, że będę miał do

czynienia z człowiekiem patrzącym trzeźwo i rozsądnie na rzeczy.

— To, co tam napisałem tyczy się ludzi, nie zasad.

— A czemże jest zasada, której ludzie w życiu zastosować nie mogą? Utopią. Szumne i piękne są frazesa, któremi ludzie, tak zwani postępowi walczą przeciwko nam; ale w praktyce zasady te pokazały się najzgubniejszymi dla ludzkości, sprowadzały katastrofy, po których ludzie zmęczeni, bezsilni, przerzucali się całymi masami do naszego obozu. Po strasznych wysiłkach rewolucyj i reformatorskich zamachów reakcji, konserwatyzm stawał się zbawieniem ludzkości, przywracał zachwiany porządek i dla tego tysiące teorii, mających niby uszczęśliwić ludzkość, przeszło, świat o nich zapomniał, a my stoimy, — bo my dajemy ludzkości gwarancją spokoju i porządku. Walka, którą partya tak zwana demokratyczna prowadzi od wieków przeciw nam, nie ma racji bytu, jest sztucznie podtrzymywaną przez ludzi ambitnych, którym nie o zasady idzie, ale o hegemonię. Wsadź demokratę do powozu, oddaj mu władzę, a będziesz miał despotę. Zresztą nie potrzebuję ci tego mówić, z broszury twej widzę, że sam to dobrze rozumiesz. Przyjrzałeś się dobrze tym ludziom z bliska i znasz ich lepiej niż ja. Wołają postęp, oświata, a brak im właśnie ludzi gruntownie wykształconych; wołają równość, a pcha się jeden nad drugiego w górę pomiatając ludźmi prawdziwej zasługi i zdolności. Masz najlepszy przykład na sobie. Odsunięto cię boś im imponował nauką, gdy przeciwnie my umiemy każdą zasługę uznać, chcemy każdą zdolność zużytkować dla kraju. Czy to nazwiesz wstecznością.

Antoni słuchał w milczeniu i zamyśleniu mówiącego, argumenta hrabiego lubo słabe i pełne sofizmatów trafiały do jego przekonania, zgadzał się na nie całkiem. Pomimo, że przed chwilą utrzymywał w obec hrabiego, iż oddziela ludzi od zasad, jednak w głębi duszy myślał inaczej, i krzywda, jakiej doznał od partji liberalnej zbrzydziła mu sprawę demokracji, której niedawno jeszcze był tak zagorzałym wyznawcą. Hrabia lekceważył ją pogardliwie, on począł ją nienawidzić i wątpić w jej wziętość i wielkość. Nie nad tem się więc namyślał, czy wierzyć słowom hrabiego, bo w zarzutach przeciw demokracji poszedł on już nierównie dalej w swojej broszurze niż hrabia, nie szło mu o treść, ale szło mu o formę — o widoczne zerwanie z demokracją, z którą już w duszy zerwał był stanowczo, — a takim faktem byłoby przyjęcie na siebie redakcji proponowanej mu przez hrabiego. Dotąd to wszystko, co pisał przeciw demokracji mogło iść na karb jego oburzenia, stawiało go w obec niej w roli człowieka czyniącego gorzkie wyrzuty osobie, którą kochał, a na której się zawiódł i to go usprawiedliwiał. Ale przejście wyraźnie, jawne do innego obozu byłoby złamaniem wiary, odstępstwem i dla tego na krok ten nie miał odwagi zdecydować się.

Hrabia zdaje się domyślał się, o co mu chodzi, bo po chwili odezwał się:

— Nie wymagam dziś od ciebie stanowczej odpowiedzi: Namyśl się, rozważ, czy możesz przyjąć moją propozycję. Niechciałbym, abyś kiedykolwiek mógł mieć żal do mnie z tego powodu, żem cię do tego nakłonił. Jeżeli masz nadzieję dojść do czegoś na drodze, którą dotąd szedłeś, będę żałował twoich zmarnowanych zdolności, odradzać ci jednak nie mam prawa. Mnie się jednak zdaje, że temi broszurami zagrodziłeś sobie na zawsze drogę, na którą cię młoda fantazyja na chwilę wtrąciła, że tam już nie ma dla ciebie przyszłości, bo ci ludzie nie umieją przebaczać. Jest to może twoje szczęście.

— Mów jak chcesz panie hrabio, zawsze to niemożna nazwać niczem innem jak odstępstwem.

— Rzeczywiście tak nazwią to może szalone pałki demokratyczne i potępią cię za to, żeś przyszedł do rozsądku. Nie ty jeden to zrobiłeś. Wielu przed tobą było takich, których młodzięcza fantazyja zaprowadziła na błędne drogi, ale się wczesnie opamiętali, wrócili na drogę rozsądku i dziś z korzyścią pracują dla kraju. Taka przemiana nie jest odstępstwem, ale dojrzałością i nie ma wstydu dla człowieka, gdy uznawszy, że błędził, cofa się na inne drogi. Ale jak powiedziałem, nie nalegam

na ciebie. Podaję ci tylko sposób wyjścia z fałszywego położenia, bo mi chodzi o to abyś nie zmarniał. Oto program naszego pisma — tu podał mu papier — przejrzyj go a pewny jestem, że nie znajdziesz w nim nic co by obrażało twoje przekonania. Będzie to pismo w rodzaju Revue des deux monds, traktujące przede wszystkim o kwestiach czysto naukowych.

Antoni wziął papier z rąk hrabiego i przeczytał cały program uważnie.

— No, cóż? — spytał hrabia.

— Program ten każdy rozsądny i nieuprzedzony człowiek pochwalić musi. Jest jednak jedna kwestya, która stawia mnie z nim w kolizyi, w której nigdy nie zgodziłbym się z tem pismem. Jest to kwestya religijna. Program stawia ją dosyć wydatnie zaznaczając na pierwszym planie obronę spraw kościoła. Na ten punkt pisać bym się nie nauczył. Było by to tyle, co stanąć w sprzeczności z samym sobą. Jeżeli w kwestiach społecznych zmieniłem moje zapatrywania, to w kwestyi religijnej mam zdanie silne, ugruntowane na długich i sumiennych studyach.

— I któreż nauki rozwiązały ci zagadkę zagrobowego życia, nieśmiertelności duszy, istności Boga? — spytał hrabia sadowiąc się naprzeciw Antoniego w krześle i patrząc na niego nieco drwiąco i z góry.

— Na pytania te żadna nauka odpowiedzi tej dać mi nie mogła.

— Tylko religia dać ją może — wtrącił hrabia z zapalem.

— Być może, ale kościół, który ma być stróżem tej religii, nie spełnia swego zadania i staje w sprzeczności z postępem i cywilizacją.

— Powtarzasz znowu oklepane frazesa — rzekł hrabia niecierpliwie.

— Tym razem prawdziwe. Udowodniłem to gruntownie w dość obszernej pracy pod tytułem:

— Kościół i cywilizacja — dokończył hrabia.

— Pan hrabia czytałeś to?

— My wszystko czytamy i to co za nami i co przeciw nam. I czy sądzisz, że wielką zrobiłeś przysługę ludzkości publikując to dzieło?

— Pisałem prawdę.

— W obec której kłamstwo byłoby cnotą.

— Nie rozumiem cię panie hrabio.

— Jeżeli zburzycie wiarę w świętość i nieomylność kościoła, zburzycie i religię, bo ona stanowi z nim nierozdzielalną całość. A wtedy co postawicie zamiast religii jako hamulec namiętności ludzkich?

— Rozum.

— Rozum? I ty wierzysz w to, że rozum będzie dostatecznym wędzidłem na rozszalałe namiętności? Policz ten szereg zbrodni, te tysiące ofiar, któremi skalala się pierwsza rewolucja w chwili, gdy ogłosiła panowanie rozumu. Może sobie ten rozum stwarzać maszyny, dokonywać cudów w przemyśle i w badaniach naukowych, ale cnoty nie stworzy nic, tyłka religia. A wy tę religię chcecie gwałtem oderwać ludziom i zdaje wam się, że wielki czyn spełniacie a dokonywujecie tylko zbrodni.

Słowa te mówił hrabia z niezwykłym ogniem, podniesiona ręka drżała mu od wzruszenia, które go objęło a oczy ruchliwe rozpały się i błyszcząły, jak główki szpilek. Trwało to jednak niedługo. Wnet upamiętał się, zapanował nad wzburzeniem swoim i spokojniejszym już głosem mówił dalej:

— Gdyby nie było Boga, potrzeba by go stworzyć, powiedział jeden z tych potworów rewolucyjnych — on nawet uznawał niezbędnosć Boga — religii.

— I ja to uznaję po trochu. Ale idzie o to, aby religia nie stała w rażącej sprzeczności z postępem, aby kościół nie był negacją cywilizacji, ale szedł wraz z nią.

— Dokąd? Porachuj wszystkie teorie, jakie przez te dziewiętnaście wieków wylegały się w mózgach reformatorów, filozofów, policz te różne szkody filozoficzne naszego wieku i powiedz, co by się stało do dziś dnia z kościołem, gdyby chciał iść za nimi. Rozleciałby się jak piasek wśród burzy, śladu by po nim nie było. Gdy tym czasem niewzruszonością swoją oparł się zawierusze wieków i stoi i stad będzie. Toś powinien był uwzględnić w twojem dziele, a nie byłbyś go może napisał, a przynajmniej byłbyś napisał w całkiem odmiennym duchu.

— Badania naukowe szukają bezwzględnej prawdy.

— Ale historyk musi uwzględnić wszystkie okoliczności, jeżeli nie chce być stronnikiem. A właśnie tę wadę ma twoje dzieło. Ale o tem będzie jeszcze czas mówić kiedy indziej. Mam wiele uwag do zrobienia ci.

— Czy względem niego dziełka?

— Tak. Sądzę, że zgodzimy się i na tym punkcie. Przynajmniej o ile mi się zdaje, nakłonię cię do szanowania naszych przekonań. Resztę zostawiam czasowi, a pewny jestem, że i tę reformatorską gorączkę przebędziesz szczęśliwie, że kiedyś sam o swoim dziele napiszesz ostrą krytykę.

— Tak dalece wierzysz panie hrabio w zmienność mych przekonań? — spytał Antoni z goryczą.

— Nie, tylko w twój rozsądek.

Wszedł lokaj i zaanonsował przybycie jakiegoś gościa. Hrabia kazał go prosić do salonu, a potem zwróciwszy się do Antoniego rzekł:

— Może zabierzesz program ze sobą. Rozważ go sobie i zdecyduj się stanowczo. Masz czas do namysłu, bo nie chciałbym, abyś postąpił sobie bez namysłu i nierozważnie! Do widzenia. Pamiętaj że mój dom zawsze dla ciebie otwarty. Teraz pożegnać cię muszę. Chciałem zatrzymać cię na herbacie; ale ta wizyta.

Naraz przypomniał coś sobie i rzekł:

— A może zatrzymasz się u Władysława; będziesz mógł zarazem przywitać się z Jadwigą, wszak to twoja ulubiona uczennica.

Antoni nie mógł ukryć rumieńca, jaki na twarz jego wywołała wzmianka o Jadwidze. Hrabia nie mógł niezauważyć tego, być może iż umyślnie wywołał to wspomnienie i ciekawy był wrażenia jakie to zrobi na Antonim, bo chwilkę zatrzymał się w mowie, a potem dodał:

— Masz w niej prawdziwą, przyjaciółkę. Ona zawsze broniła twojej sprawy. Znajdziesz ich w tamtych pokojach.

Mówiąc to wskazał na drzwi na prawo.

— No, do widzenia.

Skinął mu poważnie ale przyjaźnie ręką na pożegnanie i wyszedł do salonu. Antoni zaś poszedł przez drzwi które mu wskazał hrabia, do dalszych apartamentów.

Serce mu biło gwałtownie, gdy idąc po miękim kobiercu zbliżał się do pokoju, gdzie spodziewał się zastać Jadwigę i Władysława. Drżącą ręką dotknął się mosiężnej gałki i lekko pocisnął.

W pokoju siedziała Jadwiga sama przy oknie zajęta pisaniem. Z tego cośmy o niej słyszeli, znamy ją już po trochu. Dla uzupełnienia rysów jej charakteru dodamy, że był to jeden z rzadkich typów niewieścich, które łączą w sobie harmonijnie energię mężką z czułością kobiecą, praktyczność z poetycznym usposobieniem. Nadzwyczaj czynna, była przytem małomówną, a małomówną była nie przez nieśmiałość lub ubóstwo myśli, bo owszem była pełna intelligencji, choć nie uczona. Wykształciła się więcej pracą myśli, jak książkową nauką; wiedza jej była więcej głęboka, jak obfita, a czynność i żywotność jej rozbudzonego umysłu malowała się w oczach, w spojrzeniu rozzumnym i poważnym. Lubo wychowana w otoczeniu arystokratycznym, wyrobiła w sobie przez czytanie i rozmyśl pojęcia nadzwyczaj postępowe. Arystokratką była tylko w wyborze znajomości,

wyobrażenia jej o zacności i prawości charakteru miały niepokalaną, idealną czystość posuniętą aż do nietollerancyi. Oburzała ją każda podłość, pogardę czuła dla płaskich i małodusznych ludzi, a z drugiej strony entuzjazmowała się dla wielkich poświęceń i bałwochwalczo prawie uwielbiała bohaterów. Znała ich więcej z książek niż w życiu, bo życie znała mało i podług książkowych wzorów układała sobie ideały swoje; wyegzaltowała je w duszy do wysokości przekraczającej prawie granice ludzkiej natury i wierzyła w ich prawdopodobieństwo. Jednym z takich ideałów, które panowały w jej duszy był Antoni. W dzieciennych jej wspomnieniach przesuwiał się zawsze jako uosobiona prawość, zacność, odwaga i rozum. Przez kilka lat niewidzenia go urósł w jej myślach do niezwykłej wielkości, fantazyja jej ubierała go we wszystkie cnoty bohaterów książkowych, wyposażyła duszę jego we wszelką zacność i szlachetność. Ile razy czytała o jakim wielkim czynie, szlachetnym poświęceniu, zawsze mówiła sobie: i on by tak zrobił i on zdolny do tego. Te fantazyje zamieniły się z czasem w silną wiarę. To co słyszała o nim, utrzymywało ją w tem przekonaniu. Słyszała o zdolnościach jego, o niezmordowanej pracy, o trudach i przeciwnościach, z jakimi walczyć musiał i to czyniło ją dumną i szczeliwą, z rozkoszą myślała o tem, że serdeczny związek złączył jej życie z losami tego człowieka. W obec tej miary, jaką wyobrażnia jej mierzyła jego duszę, wszyscy inni wydawali się jej karłami, każdy młody człowiek porównaniu z nim tracił w jej oczach, to też traktowała wszystkich, zimno, obojętnie a nawet lekceważąco.

Jeden tylko brat stanowił wyjątek, dla słabości jego miała wyrozumiałość i pobłażliwość macierzyńską prawie. Pomimo to, że znała się na muzyce i mogła była stosownie ocenić istotną wartość talenciku muzycznego brata, który inni przesadnie podnosili, jednak słuchała z zajęciem jego słabych kompozycji i lubowała się grą jego. Bolał ją brak energii jego i nieraz w głębi duszy smuciła się przyszłością jego, życiem lekkim, bezmyślnem i bez jutra, ale właśnie dla tego tym więcej go kochała, kochała wraz z jego wadami, z jego słabostkami i otaczała go niesłychaną czułością i troskliwością. Antoniego kochała jak mężczyznę, brata jak dziecko. Do pierwszego pociągał ją urok męskiej siły i energii, do drugiego bezsilność, miękkość charakteru, a to przywiązanie do tej wątłej cieplarnianej roślinki, jak go nieraz nazywała, było tak wielkie, że nieraz pokonywać się musiała, by nie psuć go zbytnią dobrocią i pobłażliwością. Chciała mu zastąpić matkę i myśl o nim zajmowała ją często. I teraz zajęta była przepisywaniem jakiejś kompozycji muzycznej, którą Władysław chciał dać do druku. Pracowała z pośpiechem, bo chciała mu zrobić niespodziankę i dziś jeszcze oddać manuskrypt przepisany. Skrzypnięcie drzwi przerwało jej robotę.

— Czy to ty Wła... — niedokończyła, bo spostrzegła przed sobą Antoniego.

Lekki okrzyk radości dobył się z jej ust, powstała szybko, postąpiła ku niemu z rozpromienioną twarzą i podała mu obie ręce na powitanie.

— A!... to pan.

Uścisnęła mu dłonie, on podniósł jej ręce do ust i złożył na nich pocałunek.

— Ach, jak mnie to cieszy, że pana — poprawiła się wnet i rzekła — że ciebie tutaj widzę.

— Więc pochwalasz ten mój krok.

— Życzyłam sobie tego bardzo. Rozłączenie się twoje z opiekunem ciążyło mi bardzo na sercu; podejrzewałam cię o niewdzięczność. A to mnie bolało. Bo ja chciałabym abyś był bez wady.

Mówiąc to patrzała mu w twarz oczami pełnymi zachwyty i miłości. On znowu pocałunkami okrył jej ręce.

— Ale usiądźmy — rzekła przypominając sobie obowiązki gospodyni — Władysław niezadługo przyjdzie.

Wróciła na swoje miejsce i zabrała się do składania nót do teki nie przerywając z nim rozmowy. On usiadł obok niej przy stole.

— I cóż? — pytała go z zajęciem — jakież było przywitanie z hrabią?

— Był nadzwyczaj łaskaw i uprzejmy.

— Ach, to dobrze. Bałam się czy cię nie zrazi chłodem i sztywnością. Jest to zwykle jego usposobienie, choć pod niem kryje się serce nie bez zalet. O czymże mówiliście?

— O mojem obecnem położeniu. Niewiem czy wiesz, jakich doznałem zawodów.

— Wiem, czytałam. Tomasz przynosił mi gazety w których pisano o tobie. Oburzało mnie postępowanie klubistów. Ileż tam jeszcze ciemnoty, złej woli i podłych ambicyjek. Niepowinieneś sobie z tego nic robić. Dla takich ludzi można czuć tylko pogardę. Odrzucając twoje usługi, sobie tylko krzywdę wyrządzili. Ty i na innem polu będziesz mógł działać z pożytkiem dla kraju i zdobyć sobie imię.

— Toż samo mówił mi hrabia. Cieszy mnie, że i ty jesteś tego zdania.

— Ja nie boję się o twoją przyszłość. Ludzie tacy jak ty, nie mogą zmarnieć.

— Dajesz mi otuchę, dziękuję ci za to. Dobre natchnienie przemówiło przez ciebie i zdecydowało moje postanowienie, które się ważyło. Tak, dobrześ powiedziała ja nie mogę zmarnieć, choćby przez pamięć na ciebie. W twojem proroctwie było przypomnienie obowiązków, jakie mam względem twojej — względem naszej przyszłości. Nie powinienem się wahać i stawiać na niepewną, kartę losu szczęścia nas obojga.

Gdy to mówił ożywiony — ona oparłszy o stolik ręce złożone jakby do modlitwy zapatrzyła się w niego z zachwytem i uległością. Wydawał jej się w tej chwili niezwykłym, zapał który go ożywiał rozgrzewał i rozsadzał jej piersi nieopisanem szczęściem a myśl jej korzyła się przed jego energią jak przed zwycięzcą.

Potem nastąpiła chwilowa przerwa w ich rozmowie. Oboje potrzebowali ochłonać ze wzruszenia, obniżyć nieco lot myśli ku ziemi. Spojrzeli sobie w oczy, jakby się na nowo witać chcieli, a Antoni biorąc ją za rękę mówił głosem stłumionym od radości:

— Tyle lat nie widzieliśmy się.

— Musisz mi wypowiadać się z tego czasu bardzo szczegółowo, z każdej chwilki, dobrze?

— Krótka będzie spowiedź. Pracowałem i myślałem o tobie.

— A jednak wróciwszy nie pokazywałeś się u nas tak długo.

— Wątpiłem czy pamiętałaś o mnie.

— Wszak miałeś moje słowo.

— Mogłem przypuścić, żeś miłość naszą uważała za dziecinną zabawkę.

— I myśląc tak źle o mnie mogłeś mnie kochać jeszcze? spytała poważnie.

— Kochałem więcej jeszcze, im bardziej traciłem nadzieję.

— Mogłeś kochać wiarołomną? Ja bym nie mogła kochać człowieka w którego bym wątpić mogła, bo już nie byłby w moich oczach doskonałością, — mówiła tym samym poważnym tonem co przedtem wymawiając każde słowo powoli, z zastanowieniem jakby się zamyślała głęboko nad tem, co mówił. Naraz zmieniła ton i rzekła jakby sobie coś przypomniała:

— Prawda można kochać ludzi i z ich wadami; ale słabszych od nas, — mówiąc to myślała o bracie. — Nie powinnam się była dziwić, żeś mnie mimo to kochał. Tylko silne dusze muszą być bez wad, aby je kochano.

Formułowała sobie to zdanie powoli, zestawiając z namysłem wyraz do wyrazu. Zdarzało się jej to często, ilekroć wyrabiała w sobie jakąś prawdę, jakieś zdanie, które miało jak drogoscak stanąć w jej duszy. Antoni nie zwracał uwagi na głębokość tego zdania, puścił je lekko mimo uszów i o coś innego zapytał. Czas jakiś rozmawiali o swoim szczęściu, o swej przyszłości. Jadwiga i w tej chwili nie zapominała o bracie i mówiła rozmarzona projektami, które wspólnie układali.

— On będzie przy nas — dobrze? — Przykład twój będzie dla niego nauką. Naucz się pracować i żyć na seryo. Tu trudno mu było nauczyć się tego, bo w naszym świecie nikt na seryo nie żyje. U nas a raczej u nich, bo ja i Władzio nie należymy do tego świata, choć żyć musimy w jego atmosferze—u nich życie zabawą, a zabawa życiem. To też mój Władzio zanadto się rozbawił. My go nauczymy żyć, pracować, a raczej ty go nauczysz, bo ja nie umiem, bo i mnie tego nie uczono. Wychowano nas na lalki do ubrania salonu, umiemy mówić ładnie, grać, śpiewać, tańczyć, ale pracować nie umiemy ani ja ani Władzio. Ty będziesz naszym nauczycielem — dobrze? — Co się tak wpatrujesz we mnie?

Pytanie to obudziło Antoniego z zamyślenia, w jakie go wprawiły słowa Jadwigi. Ze zdumieniem przysłuchiwał się temu co mówiła, bo choć ją znał jako rozumną i myślącą panienkę, nie przypuszczał jednak nigdy takiej dojrzałości i trzeźwości, takiego poważnego poglądu na życie,

— Czemuś się tak dziwnie wpatrywał we mnie? — spytała powtórnie — i dodała zawstydzona — mozem jaką niedorzeczność powiedziała?

Ta wstydliva skromność wprawiła go w uniesienie. Chwycił jej ręce i tuląc je w swoich obsypywał pocałunkami. Otworzyła szeroko duże swe oczy i patrzyła zdziwiona nie mogąc wyłomaczyć sobie tego nagłego wybuchu czułości. Cudownie piękną była z tym poważnym na twarzy wyrazem naiwności i nieświadomości.

Przyjście Władysława przerwało tę scenę, nastąpiło powitanie i rozmowa przeszła na pole dzieciennych wspomnień; temat był niewyczerpany, jedno wspomnienie wywoływało drugie i ani się spostrzegli jak szybko czas im przeleciał na uroczej pogawędce. Dopiero wejście Tomasza, który przyszedł prosić do herbaty, zreflektowało ich, że tak długo siedzieli. Antoni zerwał się pierwszy rozmarzony rozmową i począł się żegnać z Jadwigą i Władysławem; ale stary Tomasz przeszkodził mu w tem.

— Pan hrabia — rzekł — kazał także prosić pana Antoniego.

— Więc będziemy jeszcze razem — rzekła Jadwiga spoglądając ucieszona na Antoniego.

— Będziemy przy herbacie jak dawniej — dodał Władysław. — Chodźmy — i wzięwszy Antoniego za rękę poszedł z nim za Jadwigą. Tomasz szedł przodem niosąc świecznik. Antoniemu wydawało się że stąpa po dantejskiem niebie, nie czuł ziemi pod nogami. Wszystko co go tu otaczało, co widział, słyszał, wrywało go z granic rzeczywistego życia, jakie od kilku lat prowadził, w świat złudzenia i czarów. Byłby szedł tak bez końca zapatrzony w posągowe kształty swej przewodniczki rysujące się na tle światła, jakim ją oblewał świecznik. Ale podróż ta boska wnet się skończyła i Antoni zobaczył przez uchylone drzwi w jadalnym pokoju pomarszczoną i żółtą twarz hrabiny. Hrabia Medard stał przy niej i oczekiwał wchodzących. Nikogo więcej nie było w sali nawet Artura, o co Antoni wcale się nie gniewał. Obecność jego mogła mu tylko popsuć i osłabić urok tego wieczoru.

— Antoś! nasz wychowanek. — rzekł hrabia do żony przedstawiając gościa. — Czy poznajesz go.

— Jakże wyrósł i zmężniał — rzekła przyglądając mu się ciekawie — proszę siadać.

Była tyle łaskawą na niego, że sama przysunęła mu cukierniczkę, gdy podano herbatę. Charakter nawróconego i wiadomość o odbytej spowiedzi tak dobrze ją usposobiły. Gdyby nie jej grzeczność Antoni byłby wypił bez cukru i nie byłby spostrzegł tego, tak był oczarowany swoim szczęściem. Godzinę całą przesiedział jeszcze w domu hrabiego. Było mu tak dobrze, jak już dawno nie było. Zdawało mu się, że po latach tyłu wrócił do rodzinnego kółka, tak tu wszystko przyjaźnie, życzliwie na niego spoglądało. Ciepło owiało go przyjemne w tem otoczeniu. Jakże inaczej było mu wśród ludzi, z którymi żył przez te lat kilka. Na każdym kroku spotykał niechętnych, zawistnych, a co najwyżej obojętnych. Tu dopiero rozgrzał się; dusza roztajała i wypuściła się w marzenia. Byłby

długo jeszcze siedział, gdyby klejące się oczy hrabiny, nie były mu przypomnieniem, że czas odejść. Hrabia przy pożegnaniu podał mu rękę i rzekł:

— No spodziewam się, że się teraz częściej widywać będziemy. Jadwiga nie powtórzyła zaproszenia; ale oczami powiedziała mu więcej jeszcze.

Wyszedł na ulicę rozmarzony, odurzony, upojony szczęściem. Gdy wrócił do domu zastał ojca czekającego niecierpliwie na niego.

— I cóż hrabia? — spytał stary.

Antoni chwycił dłoń ojca uradowany i całując ją rzekł:

— Ach, ojciec jacy oni dobrzy dla mnie.

— I hrabia?

— I on i wszyscy.

Stary nie przestał na tej odpowiedzi i syn musiał mu choć w krótkości opowiedzieć szczegóły swej bytności w domu hrabiego.

Za parę dni powtórzył znowu wizytę. Miał dobry powód do tego; odniósł hrabiemu program, porobił niektóre poprawki i uwagi które podały im przedmiot do długiej i ożywionej rozmowy. O zdecydowaniu się na przyjęcie redakcyi nie było wcale wzmianki. Hrabia zdawał się jakby zapomniał o tem, z czego Antoni był rad, bo nie miał odwagi zdecydować się na krok stanowczy, nie miał odwagi przystać, a bał się odmówić, by nie zrazić sobie hrabiego, w którego domu tak . było mu teraz dobrze. Drżał na samą myśl gdyby mu przyszło opuścić ten zakątek, w którym po burzach i przeciwnościach zakosztował spokoju, ciepła i szczęścia. Hrabina tego dnia z powodu słabości nie pokazała się całkiem przy herbacie i Antoni spędził wieczór cały w towarzystwie Jadwigi, hrabiego, Władysława i księdza Hieronima, który okazywał dla niego wiele uprzejmej życzliwości. Rozmawiano nadzwyczaj wiele i swobodnie do późnej nocy i Antoni wyniósł z tego wieczoru to przekonanie, że wszelkie legendy potworne krążące w demokratycznym obozie o dumie arystokratów, o ich pogardzie dla niższych, są zmyśleniami. Nigdy bowiem wśród najliberalniejszych demokratów nie doznał tyle względów grzeczności, tyle delikatności w obcowaniu, co tutaj. Owszem tam częściej spotykał się z szorstkością, gburowatą niegrzecznością, z nadętą ambicyą obrażającą bez wszelkiego względu miłość własną drugich. W miarę im bardziej zapatrywania jego oddalały się od demokratycznego obozu, tym bardziej w czarniejszych przedstawiał mu się on barwach, tym surowiej krytykował jego czynności i intencje, tym więcej odkrywał w nim wad. Był to naturalny skutek stygnącej miłości do teorii, które przed tem ślepo ubóstwiał. Reakcyja podobna jest bardzo częstym i zwykłym objawem u entuzjastów. A w miarę im więcej zbrzydzał sobie stronnictwo, do którego przedtem należał, tym więcej czuł nie tylko pobłażliwości i optymizmu, ale nawet uwielbienia dla obozu przeciwnego, nie tyle może dla zasad bo do tych w zupełności przekonać się nie mógł, ale dla ludzi, którzy mu imponowali i pociągali go do siebie towarzyską ogładą, wykwinną formą, taktem i elegancją, która tak przypadła do jego wybrednych pojęć estetycznych. W atmosferze salonowej czuł coraz więcej uroku i powabu, do czego nie mało przyczyniało się i to, że w tej atmosferze poczęła kiełkować i wzrosła miłość jego dla Jadwigi.

Miłość ta teraz pod wpływem sprzyjających warunków rozwijała się szybko i bujnie. Dawniej (skrystalizowana skrywała się w jego duszy, jak drogocenny dyament, którem pieścił oko i myśl; dziś kryształik ten w ciepłej atmosferze roztajał, rozplynał się po całym organizmie, o władnął wszystkie jego pragnienia i myśli. Stan ten, u człowieka tak wrażliwego, jakim był Antoni, nie mógł się ukryć; spojrzenia jego, słowa i całe postępowanie zdradzały to co chwila. Hrabia nie mógł nie zauważyć tego. Raz nawet w poufniejszej sam na sam rozmowie z Antonim dał mu to poznać choć nie wyraźnie, że się domyśla jego uczuć dla Jadwigi i że je pochwała. Chwalił przytem bardzo przymioty Jadwigi,

zacność jej duszy, mówił, że pragnąłby widzieć ją szczęśliwą, zabezpieczyć jej byt i powierzyć jej przyszłość człowiekowi, któryby umiał ją ocenić, którego by ona kochać i szanować mogła.

— W naszych salonach — mówił — nie znalazła by takiego człowieka. Znam po trochu jej sposób myślenia i wiem, że nie oddałaby ręki najbogatszemu, gdyby jej serce za nim nie przemawiało, za dumna jest na to, aby poświęcić skłonność serca dla zrobienia świetnego losu. I ja bym nie życzył sobie tego, ani bym chciał jej doradzać coś podobnego. Wolałbym, aby wybrała człowieka naukowego, człowieka pracy; byłbym wtedy spokojniejszy o jej przyszłość. O ile ją znam jestem pewny, że wybór jej właśnie takim będzie, że nie próżność ale uczucie będą jej doradczą.

Nie mówiąc wyraźnie, o kim myśli, hrabia dał widocznie Antoniemu do zrozumienia, że się domyśla wszystkiego i że nie będzie przeciwny połączeniu go z Jadwigą. To odkrycie niezmiernie ucieszyło Antoniego i przywiązało go jeszcze więcej do domu hrabiego. Dom ten stał się dla niego teraz przybytkiem szczęścia; to też myśli jego wszystkie pielgrzymowały tam, jak do świętego miejsca i pod różnemi pozorami starał się przebywać jak najczęściej w domu hrabiego, a zawsze przyjmowany był życzliwie i dobrze.

Raz tylko doznał nieprzyjemnego wrażenia, a to przy spotkaniu się hrabią Arturem. Dotąd zawsze się tak zdarzało, że nigdy nie zeszli się razem, bo hrabia Artur bywał prawie gościem w domu, a choć nieraz zjawiał się tam w czasie obecności Antoniego, to najczęściej wtedy, gdy ten siedział w pokoju; Jadwigi lub w gabinecie hrabiego Medarda. Czy z umysłu czy z przypadku nigdy jakoś nie zeszli się razem. Dopiero po paru tygodniach, gdy Antoni wszedł raz do gabinetu starego hrabiego, zastał tam syna. Jego, który w pół leżąc na sofie prowadził z ojcem rozmowę. Za wejściem Antoniego nie poruszył się wcale, zdawał się go nieuważać wcale, choć Antoni uklonił mu się. Stary hrabia spostrzegło to i chcąc nagrodzić niegrzeczność syna zbliżył się do Antoniego i podał mu przyjaźnie rękę na powitanie a potem zwracając się do Artura rzekł:

— Czy nie poznałeś Antoniego.

Artur kiwnął lekceważąco głową, co miało znaczyć ukłon i dalej prowadził z ojcem rozmowę, ignorując całkiem przybyłego. Siary hrabia widocznie niekontent był z tego zachowania się syna a nawet zakłopotany i chcąc jako tako pokryć to nie miłe zajście rzekł do Antoniego:

— Dobrze, że przyszedłeś. Jadwinia ma do ciebie jakiś ważny interes. Przejdź do jej pokoju. Ja za chwilę służyć ci będę, tylko ukończę z Arturem jedną pilną sprawę.

Antoni wdzięczny był hrabiemu, że mu pomógł wyjść z przykrego położenia w tak delikatny sposób i co prędzej wszedł do dalszych pokojów rozdrażniony nieco lekceważeniem Artura. Po jego odejściu, hrabia Medard zwrócił się do syna z zachmurzonym czołem i rzekł:

— Nie podoba mi się wcale twoje obejście się z Antonim. Tylko dorobkiewiczom przystoi taka duma, jaką ty względem niego pokazałeś. Zrażasz sobie niepotrzebnie ludzi takim zachowaniem się. To pokazuje brak zmysłu politycznego, a tobie, który wchodzisz w życie publiczne, potrzeba owszem starać się o życzliwość takich ludzi jak ten. To człowiek niepospolitych zdolności i bardzo przydać nam się może.

— Odkądże ojciec stałeś się jego obrońcą? — spytał ironicznie młody hrabia.

— Odkąd powrócił do nas i chce iść z nami.

— Powrócił do nas? Czyż on był kiedy naszym? Jeżeli wrócił do nas, to chyba dla tego, żeby być jak jego ojciec ekonomem.

Hrabiego Medarda musiała mocno rozdrażnić ta uwaga syna, bo stracił zwykłą powagę i spokój i z gwałtownością się odezwał głosem cichym ale dosadnym.

— Gdyby sprawa nasza opierała się wyłącznie na ludziach naszej partyi, na samych dobrze urodzonych, śladu by z nas dziś nie było. W archeologicznych muzeach pokazywano by nas, jako

ciekawe zabytki dawnych czasów, jak zardzewiałe broje lub kości mamuta. Jeżeli istniejemy dotąd winniśmy to tylko tym zaciężnym zastępom, które udało nam się zrekrutować z ludzi nowych. Dla tego gardzić niemi nam nie wolno. Miałeś przykład na sobie. Kto przeforsował twój wybór, jeżeli nie tacy ludzie. Nasi panowie traktując sobie lekko jak zwykle sprawę, nie pokazali się prawie przy wyborach. Jedni powyjeżdżali, drudzy nie mieli chęci pofatygować się na salę, gdzie właśnie sprawa ich się rozstrzygała. Sam to uznać powinieneś, że nam dziś trzeba właśnie oprzeć się na ludziach takich, jak Antoni. A jego więcej niż kogo innego respektować należy i niezrażać, bo to jeden z tych, który o mało że nie przepadł dla nas zupełnie.

— I cóż mam robić? Mam że jak ten ojciec biblijny kazać bić wieprze i sprawiać ucztę dla syna marnotrawnego i cieszyć się jego nawróceniem?

— Żart nie na czasie — odrzekł hrabia surowo. — Nie wymagam od ciebie nic nadzwyczajnego, ale prostej grzeczności, jaką mieć winien każdy człowiek dobrze wychowany dla niższych od siebie.

Słowa te o tyle skutkowały, że Artur w dalszem obcowaniu z Antonim jeżeli nie był zbyt uprzejmym, to przynajmniej grzecznym i wcale znośnym. A więc nawet ta mała przykrość, 'jaką mógł doznawać Antoni z jego strony, została usunięta. Nic go już nie zrażało, a wszystko pociągało tam. Mimo to na krok stanowczy jeszcze się zdobyć nie mógł, nie lubił nawet myśleć o tem. Z kilku jednak rozmów z hrabią przekonał się, że hrabia uważał tę sprawę jako już załatwioną, że milczenie jego uważał za przyzwolenie. Tak nie było; Antoni nie był jeszcze zdecydowany, ale nie miał odwagi wyprowadzać hrabiego z błędu; czuł się zaplątany, spętany i nie widział sposobu wydobycia się z tej matni. Mógł ją rozerwać i wyjść z niej cało; ale i na to nie miał odwagi, nie czuł się na siłach.

Jednego dnia hrabia zaproponował mu, aby razem pojechali do drukarni, celem ułożenia się z właścicielem tejże względem druku i papieru. Potrzeba było spisać kontrakt, ułożyć warunki wydawnictwa, a hrabia w tem mało miał praktyki i dla tego poprosił Antoniego, by jako obznajmiony z manipulacyami wydawnictwa, zechciał mu w tem pomódz. Antoni nie mógł odmówić i pojechali.

Podczas umowy z właścicielem drukarni, Antoni jeszcze więcej miał sposobności przekonać się, że hrabia uważa go już i traktuje jako redaktora nowego pisma i nawet zażądał jego podpisu na kontrakcie. W obec trzeciej osoby nie miał śmiałości wywodzić hrabiego z błędu i wszczynać z nim rozmowy w tym przedmiocie — i podpisał. Podpis ten, według jego zapatrywań, nie obowiązywał go jeszcze do niczego.

Kiedy wracali do domu, na rogu jednej z ulic Antoni spostrzegł Omnibusa, który z drugim jakimś literatem patrzeli na niego i Omnibus wyciągnął nawet rękę w stronę powozu, jakby pokazując go swemu towarzyszowi. — Czy tak było rzeczywiście, czy Omnibus go widział istotnie, czy ruch jego ręki nie był przypadkowym tylko, czy może coś innego wskazywał swemu towarzyszowi — wszystko to można było przypuścić. Jednak Antoni w usposobieniu, w jakim obecnie zostawał, nie mógł sobie tego inaczej wytłómaczyć jak tylko, że palcami wytykano go, jako odstępcę. Ta myśl wstydem paliła mu twarz. Skoro zajechali przed pałac hrabiego prędko pożegnał go i poszedł do domu unikając dalszej rozmowy z hrabią. Chciał listownie wyprowadzić go ze złudzenia i stanowczo zrzec się redaktorstwa. Postanowienie było śmiałe, ale gdy przyszło je wykonać, gdy usiadł w domu nad arkuszkiem białego papieru, na którym miał napisać swoje ultimatum, zawahał się. Powody któremi miał usprawiedliwiać swoje zrzeczenie się względów i łask hrabiego, zmały teraz w jego oczach, a natomiast mnóstwo argumentów przeciwnych, mnóstwo wątpliwości cisnęło się do jego głowy — i wstrzymywały jego rękę. Zapytywał sam siebie: co potem się stanie? — i nie umiał sobie odpowiedzieć. Po za granicami listu, który miał napisać, kończyły się wszystkie jego nadzieje, urywały się drogi jego losu. — Co potem pocznie? — Gdzie się uda? Czem będzie? Pytania te, jak straszne widma powstawały w jego głowie. Mógł jechać do Niemiec i szukać tam stanowiska dla

siebie. Ale któż mu zaręczy, że tam jako obcy, nie będzie miał do walczenia z nierównie większymi przeszkodami niż tu między swoimi? — A jeżeli i tam go los zawiedzie? Co wtedy stanie się z nim, z jego miłością dla Jadwigi? na pytania te nie umiał sobie odpowiedzieć i rozpacz go ogarniała beznadziejna.

Z drugiej znowu strony tłumaczył sobie, że przejście jego do innego obozu nie może nazwać się podłością, bo dokonywa tego z przekonania, w skutek zmiany zapatrywań swoich do czego doszedł przez doświadczenie; że właściwie pozostanie w obozie demokratycznym którego sprawa i zasady sobie zbrzydził, byłoby hipokryzją niegodną człowieka prawego, że powinien mieć odwagę wystąpić jawnie przeciw zasadom, o których wartości zwątpił. Cóż zresztą rezykował przez takie wystąpienie? Czyż ogłoszenie broszur nie postawiło go już wrogo przeciw dawnym sprzymierzeńcom? — nie był już z nimi; wypowiedział im walkę na własną rękę, — szło teraz tylko, aby stanął w szeregach ludzi, którzy także z tem stronnictwem walczyli. Nie popełniał więc przez ten krok nic więcej nad to, co już był uczynił. A choćby nawet ten krok jego znalazł potępienie i ściągnął na niego gromy, — to cóż go mogła obchodzić opinia ludzi, którymi pogardzał, z których najlepsi tak nisko upadli w jego oczach? Myślał tu o doktorze, którego postępek przechodził miarę jego pogardy dla demokracji.

Tak rozumował sobie; a jednak ciągle jeszcze trzymał pióro w ręku i nie mógł rozpocząć listu; jakieś uczucie silniejsze nad wszystkie sofistyczne argumenta głowy, wstrzymywało jego rękę. W tem ktoś zapukał do drzwi. Antoni kontent był prawie z tego, że ktoś przeszkodził mu w tej chwili i odezwał się: proszę wejść.

Do pokoju wsunął się długi, wychudły żyd, którego już raz widzieliśmy w mieszkaniu Antoniego. Zjawienie się jego przypomniało mu całą przykrość jego finansowego położenia; złowroga rzeczywistość zdawała się przez kościste palce żyda wyciągać ku niemu swą prawicę i grozić mu. Położył pióro na stole i niespokojnie czekał, co powie lichwiarz. Ale ten ku wielkiemu zdziwieniu jego, zamiast natarczywie dopominać się o zwrot pieniędzy, jak to zwykle czynił, uklonił mu się użenienie i pytał czy znowu czego nie potrzebuje. W obec nieuiszczonego dawniejszego długu pytanie, takie zakrawało na drwiny; to też Antoni spojrzał ostro na żyda i spytał:

— Co to ma znaczyć? — Czy drwisz? — Ty chcesz mi znowu pieniędzy pożyczać? Ty mnie?

— Dam na mniejszy procent? odrzekł żyd przestraszony tonem mówiącego. Ja już nie będę tak natarczywy i niegrzeczny. Ja pana nie znał i niewiedziałem, że pan tak porządny człowiek, że tak się wypłaci akuratnie. Teraz ja już będę wiedział, z kim mam do czynienia

— Co! ja ci wypłaciłem? — spytał Antoni patrząc na żyda jak na waryata.

— No pan, czy ojciec pański, to jedno. Teraz możemy znowu zrobić jaki interes. Dam na mniejszy procent.

— Jakto? Ojciec mój wypłacił ci.

— No, przecież pan mu kazałeś — dałeś pieniądze.

— Ja, kiedy?

— No, będzie tydzień temu. — Jakto i pan nie wie o tem? — Jakto być może?

— Ojciec ci wypłacił? — wszystko?

— Co do grosza, my już zupełnie kwita?

— A weksle?

— Weksle oddałem ojcu.

Antoni zdumiał się. Ojciec mu nic o tem nie wspominał. Było to zagadką, której sobie wytłumaczyć nie umiał, z kąd ojciec wziął pieniędzy na spłacenie długu. Wiedział dobrze, że nie miał żadnych funduszków. Odprawił żyda prędko, bo jego obecność drażniła go i zniecierpliwie oczekiwał przybycia ojca, by wybrnąć co prędzej z niepewności i tysiącznych domysłów. Toteż ledwie stary

wrócił do domu, Antoni zapytał go zaraz o to. Zmieszał się tem pytaniem, począł się tłumaczyć, że żyd był kilka razy podczas nieobecności jego, że coraz natarczywiej upominał się o pieniądze i groził procesem.

— Nie chciałem mu wierzyć — mówił dalej — żeś tak zabrął w długi, nie przypuszczałem, żeśmy żyli za pożyczane pieniądze, ale pokazał mi weksle. Musiałem więc radzić, jak mogłem, by się z rąk tego lichwiarza, tej pijawki wydobyć.

— I z kąd ojciec wziąłeś pieniądze?

— Od hrabiego.

— Od hrabiego? Ba tego jeszcze brakowało. — jęknął Antoni głosem tak przerażającym, że stary aż zadrżał i niespokojnie spojrzął na niego.

Nie zrozumiał co było w tem tak strasznego, co zrobił udając się o pomoc do hrabiego. Antoniemu słowa ojca otworzyły oczy. Teraz dopiero wytłomaczył sobie, dla czego hrabia sprawę redaktorstwa uważał za załatwioną, wiedział, że był z góry zapłacony a więc się nie cofnie. Ta myśl przyprowadzała go do rozpacz.

— Co ojciec zrobiłeś? — zawołał z boleścią — Jak można było iść do niego, brać pieniądze. Od każdego innego, tylko nie od niego, nie w tej chwili. — Kto ojcu to poradził?

— Któż miał poradzić? — Ja sam wpadłem na tę myśl. Wiedziałem, że hrabia dobry, że mi nie odmówi, a bałem się, by ten lichwiarz nie chwycił się ostatecznych środków. Tyś mi się nigdy nie przyznał, że tak źle stoimy. Byłbym coś na to radził, byłbym poszedł do służby. O cóż ci tak chodzi? Przecież lepiej, że będziemy winni hrabiemu, jak tej pijawce któraby cię wyssała do ostatniej kropelki. Jak będziesz miał, to oddasz.

— Oddać trzeba koniecznie, mówił jakby do siebie — nagle zapytał: kiedy ojciec pożyczyles te pieniądze?

— W przeszłym tygodniu. Kiedy mnie tak żyd przypierał poszedłem do hrabiego, opowiedziałem mu nasze smutne położenie.

— A on?

— Dał bez wahania i jeszcze dodał: rad jestem że wam mogę pomódz.

— I mówiłeś mu ojciec wyraźnie, że to tylko pożyczka?

— Tego nie mówiłem, bo.....

— On powinien o tem wiedzieć, powinien wiedzieć natychmiast. Nie chcę, aby dłużej zostawał w mniemaniu, że m się sprzedał. Chwycił za czapkę i wybiegł prędko z pokoju zostawiając ojca w zdumieniu i przestachu. Poszedł prosto do mieszkania hrabiego, a dowiedziawszy się od służącego, że jest sam w swoim gabinecie wszedł tam. Na twarzy jego musiało się silnie wypiętnować wzruszenie gwałtowne, bo hrabia ujrzawszy go zapytał zdziwiony:

— Co ci jest? — Co się stało? — Jesteś dziwnie pomieszany.

— Panie hrabio — odezwał się Antoni głosem urwanym, zadyszany, bo wzruszenie tamowało mu dech, — przyszedłem tu w interesie pożyczki którą mój ojciec zaciągnął bez mojej wiedzy u hrabiego. Dziś dopiero dowiedziałem się o tem.

Hrabia spojrzął na niego dużemi oczami, zmierzył poważnem spojrzeniem i odrzekł cedząc wyraz po wyrazie:

— To nie była pożyczka.

— Owszem to nie może być niczem innym, jak tylko pożyczką.

— Ja nie lichwiarz żaden. Jeżeli mogę dać — daję; ale nie pożyczam.

— Więc sądziłeś hrabia, że mnie tem kupisz, wybuchnął Antoni z gwałtownością, że zapłaciwszy będziesz miał prawo do mnie.

— Panie Antoni, nie zapominaj się, — odparł urażony hrabia — Gdybym miał o tobie takie wyobrażenie, że tą małą sumką można cię kupić, nie robiłbym tyle zachodów, aby pozyskać ciebie dla nas. Jeżeli dałem pieniądze ojcu, to nie miałem wcale w myśli pozyskiwać przez to ciebie. Znalazłbym inny na to sposób. Dałem pieniądze tytułem gratyfikacji, jaka się należała ojcu twemu jako memu oficjalskiemu. Miał do niej wszelkie prawo. Byłbym mu ją wypłacił dawniej jeszcze, gdy się oddalał ze służby, gdyby nie to, że zrobił to w czasie mej niebytności w kraju, —

Wdzięczny mu jestem, że mi pomógł uiścić się z tego długu. A na co użył tych pieniędzy to mnie nie obchodzi. Dałem je bez żadnych zastrzeżeń, a ciebie one najmniej zobowiązują. Jesteś wolny i możesz robić co ci się podoba.

— Przebacz mi panie hrabio, że tak źle cię osądziłem — rzekł Antoni i popchnięty uczuciem wdzięczności rzucił się do hrabiego, by ucałować dłoń jego. Przejście z oburzenia do skruchy rozstroiło go i tuląc głowę do ramienia hrabiego, który go po ojcowsku uściskał, rozplakał się spazmatycznym płaczem.

— Dziecko z ciebie Antoni — mówił hrabia pobłaźliwie uspakajając jego wzruszenie. Wygórowana szlachetność zbyt daleko cię unosi. No uspokój się, usiądź.

— Zdjąłeś mi hrabio wielki ciężar z serca, — mówił Antoni ściskając jego rękę — postąpiłeś sobie szlachetniej ze mną, niż na to zasłużyłem. Nie będę mógł zapomnieć ci tego panie hrabio. Tym postępkim zobowiązałeś mnie bardziej, niż największą łaską jakabyś mi wyświadczył.

— Cóż tak wielkiego ostatecznie zrobiłem — rzekł hrabia starając się rozmowę z melodramatycznego tonu sprowadzić na weselsze tory,

— Rozumiem twoją delikatność panie hrabio i będę umiał być wdzięcznym. Oszczędziłeś mi upokorzenia i nie pozwoliłeś, bym się potrzebował wstydzic przed samym sobą. Dając mi wolność wyboru, zostawiając niezawisłość przekonań, zniewoliłeś mnie sobie na zawsze.

VIII.

W tym czasie w którym Antoni tak męczył się i wahał na heraklesowych rozdrożach swych przekonań, zakończyła się sprawa wyborów, która zainteresowała tyle umysłów, rozdmuchała tyle namiętności. Stronnictwo demokratyczne dla przyczyn, o których poprzednio mówiliśmy, poniosło zupełną porażkę, kandydaci konserwatywni przeszli przy wyborach znaczną, większością głosów, a między nimi i hrabia Artur. Wybór ten więcej go ucieszył niż się spodziewał. Z początku starał się o krzesło poselskie jedynie ulegając woli ojca, obojętnem mu było czy przejdzie, czy nie, wolałby nawet był przepaść przy wyborach, tak mu się nie chciało wyjść z wygodnej roli widza w której z pogardliwym i ironicznym uśmiechem przypatrywał się politycznym agitacyom i namiętnościom. Ale parę posiedzeń przedwyborczych wystarczyło, aby go wyleczyć z tej cynicznej apatii; podrażniona ambicja poczęła coraz silniej w nim się ożywiać i działać, skosztowawszy raz upajającego nektaru, pragnienie jego zwiększyło się; gorąca i burzliwa atmosfera politycznych agitacji rozgrzała go i rozruszała. Podczas wyborów, kiedy głosy jeszcze się ważyły, doznawał emocji dziwnej, obawa i nadzieja naprężyły wszystkie nerwy jego, oczekiwał rezultatu ze ścieśnioną piersią, przytłumionym oddechem i miał to uczucie, jakie nieraz w jockey klubie elektryzowało jego zużyty organizm, gdy szło o wielką wygranę; tylko tu uczucie to było nierównie jeszcze silniejsze i gwałtowniejsze. Toteż kiedy przeczytano po sprawdzeniu i obliczeniu głosów nazwisko jego, nie umiał ukryć żywej radości, pomimo to, że umiał panować nad wzruszeniem i pokrywać je szyderstwem i drwinkami. Tego samego wieczora wszedłszy do mieszkania baronowej pochwalił się przed nią swoim sukcesem, a lubo uczynił to w sposób ironiczny w formie żartu, jednak to samo, że z nowiną tą nie mógł się długo taić przed nią zdradzało, jak mocno zajmowała go ta sprawa. Zaledwie bowiem przywitał się z nią i wnet rozpoczął o tem rozmowę.

— No — rzekł — Belciu, powinszuj mi — zostałem wielkim człowiekiem, mężem stanu, człowiekiem publicznym. Słowom tym towarzyszył jałowy uśmiech.

— Więc zostałeś przecie wybranym? — spytała obojętnie baronowa.

— Przecież — Czy wątpiałaś w to?

— Wątpiałam, czy ci się będzie chciało przyjąć ten urząd. Tak zarzekałeś się tego.

— To prawda, że to nie bardzo pojętna rzecz odsiadywać jak student godziny na ławach sosnowych i słuchać nudnych rozpraw o wykupnie prawa propinacyjnego, o drogach krajowych i tym podobnych głupstwach; ale cóż robić? Musimy się na to zrezykować, jeżeli nie chcemy, aby mieszczuchy wzięli w swoje ręce te sprawy i robili, co im się podoba. Zresztą jest to dla mnie tylko epoka przejściowa — sejm nie potrwa długo — mam nadzieję, że wejdę do rady Państwa, a wtedy w Wiedniu powetuję sobie stokrotnie te nudy; pojedziemy oboje. Wiedeń wcale miłe miasto do mieszkania; po Paryżu najwięcej ma dla mnie uroku. Tam i ty rozbawisz się trochę; będziemy prowadzić dom otwarty.

Baronowa słuchała dość obojętnie tych projektów Artura, które wyrzucał z ust wraz z kółkami dymu cygarowego, wpiłszy się na kanapie. Cała kwestya wyborów, z których jej Artur niektóre ciekawsze szczegóły zaczął opowiadać, zdawała się, bardzo mało ją obchodzić; dopiero kiedy jej wśród rozmowy natracił, że już za dni kilka będzie musiał wyjechać do Lwowana sejm, zaczęła się więcej interesować tą sprawą, a nawet ożywiać trochę. Hrabia nie uważał tej zmiany w jej usposobieniu, a gdyby nawet był zauważył, nie byłby zapewne nigdy domyślił się powodu, który tę zmianę spowodował. Zbyt był zarozumiały i pewny siebie, aby mógł przypuścić, że wiadomość o jego odjeździe tak ucieszyła baronowę, że mając jego może żywić jaką tajemną skłonność do kogo innego.

Uważał wprawdzie zbyt wielkie zajęcie się jej Władysławem, parę razy jak wiemy, miał sposobność przekonać się o tem dość wyraźnie; jednak mimo to zarozumiałość uczyniła go ślepym, nie mógł pojąć tego, aby baronowa kogoś innego nad niego przenieść mogła, a stosunek z Władysławem uważał za zabawkę nawet wtedy, gdy tak niespodziewanie zeszedł ich podczas obiadu i niemile został uderzony tem sam na sam w czasie jego nieobecności; podejrzenia jego nie szły tak daleko, aby się domyślał jakichś stosunków, porozumień i zamiast robić z tego powodu jakie sceny zazdrości lub wyrzuty baronowej, oświadczył jej tylko, gdy zostali sami, że nie życzy sobie wcale aby przyjmowała Władysława tak często. Idzie mi tu o ciebie — mówił jej wtedy — nie chcę, aby ludzie mieli cię podejrzewać o słabość dla tego gagatka, a bardziej jeszcze nie chcę, aby ten młodzik miał jakikolwiek powód chwalenia się twemi względami i kompromitowania cię. Takim niewiele potrzeba, aby sobie Bóg wie co roili. — Powinnaś być ostrożniejszą.

Baronowa pozornie zastosowała się do życzenia Artura, przyjmowała Władysława rzadziej, traktowała go w obec wszystkich dość obojętnie, ale stosunek ich nie zerwał się, owszem udawanie więcej ich zbliżyło do siebie i doprowadziło do porozumienia. Znajomość ich wstąpiła w nową fazę. Dotąd Izabella kokietowała Władysława, usiłowała ująć go sobie uprzejmością, względami. Władysława ta nadzwyczajna dobroć, to widoczne wyróżnianie od innych olśniewało, łaskotało, ale zarazem przejmowało pewnym przestraczem, niepokojem, do czego nie mało przyczyniały się skrupuły, które mu niepozwalaly zdradzać Artura i korzystać z dobroci baronowej—uważał ją bowiem za cudzą, własność. Ale od chwili gdy baronowa zwierzyła mu się ze zmartwień swoich, gdy widział ją płaczącą, sumienie jego pozwoliło mu bez wyrzutów i zastrzeżeń uczuć sympatyę dla nieszczęśliwej; łzy jej silniejsze na nim zrobiły wrażenie, niż zalotne uśmiechy; odtąd stał się jej powiernikiem i przyjacielem. Przyjaźń — nigdy tego słowa nie nadużyto więcej jak w miłości, najsilniejsze uczucia pod tą firmą przechodzą ukradkiem granice zdrowego rozsądku, powinności i uczciwości. Nie będziemy tu szeroko rozbierali czy przyjaźń między mężczyzną i kobietą jest możebną; cokolwiekby kto za tem lub przeciw temu powiedział, to jednak przyznać musi, że ona jest niemożebną między młodzieniaszkiem a kobietą dojrzałą, jaką była baronowa. Łudzili się oboje nazywając uczucie, które ich zbliżyło przyjaźnią; pod tą fałszywą, formą szybko rozwinęło się i dojrzało inne uczucie, które nieśmiemy nazwać miłością tylko dla tego, by niewłączać miłości. — Do silniejszego rozdmuchania tej namiętności niemało przyczynił się sam Artur z jednej strony tem, że nie chciał nawet podejrzewać baronowej, by kogoś innego przeniosła nad niego, a ta zarozumiałość oburzała ją do tego stopnia, że nieraz napadała ją szalona chęć przekonania go, jak dalece się mylił. — A z drugiej strony życzenie jego objawione dość stanowczo by Władysława nieprzyjmowała tak często, spowodowało bliższe porozumienie się kochanków; musieli kryć się ze swojemi uczuciami oznaczać sobie dni schadzki, a ta tajemniczość podnosiła urok ich znajomości i szczególnej dla młodej a żywej duszy Władysława miała powab: niezwykły. Każda potajemna schadzka z baronową, każde sam na sam nastrajało go do rozkosznych marzeń, obudzało w nim jakieś nieokreślone pragnienia, nerwowe dreszcze. Głowa i fantazyja silniej może były zaatakowane tą miłością, niż serce: ale Władysław nie zdawał sobie sprawy z tego, nie umiałby zresztą umiejętnie zanalizować siebie w tej chwili, był cały pod wrażeniem tego tajemnego stosunku i oddał mu się cały. Chwile, w których mógł widywać się z baronową były bardzo rzadkie i ograniczone: ale umiał sobie marzeniami przedłużać je myśląc o przyjsciu tych chwil i rozpamiętywując je, gdy już minęły. Dla młodej i wrażliwej fantazyji wystarczało to

Ale baronowę niezadawalniały te krótkie, urywkowe schadzki. Tylko młodość umie spokojnie wyczekiwać i spodziewać się; ale gdy kobieta pocznie dochodzić do tej dojrzałości, po za którą tuż idzie przekwitnienie, wtedy każda chwila odkradziona miłości, wydaje się jej straconą; uczucie jej

ma jakąś dziką żarłoczność, staje się nienasyconem i gwałtownem. Baronowa dochodziła już do tego stanu, toteż spragnionemu miłości sercu nie wystarczały za powolne, sporadycznie przeciekające jak krople wody chwile szczęścia, ona pragnęła pić z pełnej czary. — Obecność i to zbyt częsta obecność Artura, stawała na zawadzie jej pragnieniom; to ją drażniło, irytowało, wprowadzało często w humor dziwaczny i kapryśny, którego sobie on wytłomaczyć nie umiał. Toteż nie dziw, że teraz wiadomość o jego niedalekim wyjeździe do Lwowa ucieszyła ją i ożywiła, bo mogła teraz z Władysławem widywać się bez przeszkód. Niezadługo stało się zadość jej życzeniom; Artur bowiem w kilka dni potem wyjechał. Kiedy go pożegnała, odetchnęła, jakby ciężki kamień spadł jej z serca, jakby już nigdy nie miał powrócić. Uczuła się wolną, swobodną i oddała się rozkosznym marzeniom o nieprzerwanych chwilach szczęścia z Władysławem. — Ale po paru tygodniach takiego nieprzerwanego szczęścia, spostrzegła z przestachem, że więcej obiecywała sobie niż jej rzeczywistość dać mogła; spostrzegła, że stosunek ten począł ciężać Władysławowi. I rzeczywiście tak było. — Dopóki miłość ich ograniczała się na krótkich schadzkach, urwanych słowach, przelotnych a płomienistych spojrzeniach, kiedy trzeba było dnia całe wyczekiwać na jedną chwilę, tać się, drzeć, — Władysławowi zdawało się, że kocha. Tajemniczość przeszkody i wszystkie ponętne przyprawy miłości, podsycaly w nim sztucznie to uczucie. Ale teraz, gdy wiedział dobrze, iż nikt nie przerwie ich rozmowy, nie przeszkodzi w spotkaniu, bo baronowa prócz niego nie przyjmowana nikogo pod pozorem blizkiego wyjazdu za granicę; gdy niepotrzebował z bijącym sercem wyczekiwać zjawienia się baronowej, ani z zegarkiem w rękę liczyć każdą minutę miłosnej schadzki, — miłość jago osłabła, zwolniała; wolność, jaką mu zostawił Artur wyjeżdżając, krępowała go i męczyła. A lubo starał się niepokazać tego po sobie i przymuszał się do udawania wszystkich pozorów miłości przez jakieś uczucie litości i wdzięczności dla tej, która oddała mu się cała, to jednak przenikliwe oko baronowej dostrzegło tę zmianę. Kobieta dojrzała i doświadczona, gdy kocha — ma przenikliwość dochodzącą do jasnowidzenia prawie i najzłudniejsze pozory nie mogą jej oszukać; — tym mniej mógł to uczynić Władysław który nie był wcale mistrzem w sztuce udawania. Mimo to nie dała mu wcale niczem poznać, że spostrzegła tę zmianę w jego uczuciach, nie robiła mu wyrzutów, sama przed sobą starała się zachować w tajemnicy to straszne odkrycie.

Władysław najczęściej długie wizyty u niej zapełniał grą na fortepianie lub rozmową o potocznych rzeczach, coraz mniej mówiono o wzajemnym stosunku, rozmowa na ten temat rwała się prędko, obojgu brakowało wątku do jej podtrzymania, bo miłość ich nie miała jutra. Po za granicami tych kilku chwil, które mieli spędzić razem, drogi ich rozchodziły się; oboje to czuli w głębi serc i ta refleksya zamykała im usta, z tą tylko różnicą, że on czekał niecierpliwie na rozwiązanie tego stosunku, a ją wspomnienie na tę chwilę przyprowadzało do rozpacz. Obojętność jego potęgowała jej miłość, która dochodziła do szału a gwałt musiała zadawać sobie, by nie poznał tego po niej. Wiedziała, że to mogłoby go tylko odstraszyć, — siliła się więc na spokój, wesołość, kokieterią i próbowała nawet drażnić go udaną obojętnością, i męczyła cały swój spryt i fantazyą na zatrzymanie go w jedwabnej matni miłości. Były chwile, w których jej się to udawało, ale od jakiegoś czasu termometr uczuć jego spadł nagle o kilka stopni niżej i baronowa dostrzegła w nim dziwne roztargnienie, niezadowolenie dochodzące często do opryskliwości. Wizyty jego bywały coraz krótsze i ceremonjalniejsze. A co szczególnie dostrzegła baronowa to to, że w pewne dni o pewnym czasie żegnał ją z niezwykłym pośpiechem, że kiedy ta godzina się zbliżała stawał się niespokojnym, spoglądał co chwila na zegarek i najusilniejsze jej prośby nie zdołały go wtedy zatrzymać na dłużej. Ta peryodyczna punktualność, której dawał coraz to inne przyczyny, obudziła jej podejrzenia i naprowadziła na domysł jakiejś miłosnej schadzki. Ta myśl jak drut rozpalony przeszła po jej sercu, furye zazdrości poczęły w niem odprawiać szalone harce. Przyczaiwszy się ze swemi

podejrzeniami, by go niespłoszyć, poczęła go bacniej obserwować w jego postępowaniu i po pilnych obserwacjach zkombinowała, że te jego peryodyczne wycieczki powtarzały się we Wtorki, Czwartki i Soboty — zawsze o czwartej. Postanowiła go wysledzić i obrała na to nadchodzącą sobotę. By zaś upewnić się że przyjdzie tego dnia do niej przed tym czasem, zaprosiła go na obiad. Propozycją przyjął lubo nie zbyt chętnie i stawił się jednak w oznaczonym dniu i to dość wcześnie. Zaczął od uspraawiedliwienia swego pośpiechu.

— Przychodzę wcześniej — rzekł — bo nie zadługo po obiedzie będę musiał pożegnać cię. Mam pilny.....

— Nie tłumacz się — przerwała — zamykając mu ręką usta, nie żądam tego. Wierzę ci bez wszystkiego. Źle by było, gdybym cię już teraz musiała podejrzewać.

Władysław zarumienił się mocno na te słowa.

Starał się ukryć swoje pomieszanie nachylając się do ucałowania jej ręki. Zatrzymała rękę jego dłużej w swoich dłoniach, które były tak zimne że aż zwróciło to uwagę jego.

— Jakże twoje ręce zimne i wilgotne — rzekł podnosząc oczy na jej twarz — czyś nie chora?

— Nie. Jest to może tylko dowodem, że serce zbyt gorące.... — rzekła z przymuszonym uśmiechem i pociągnęła go za sobą ku sobie.

Usiądźmy. — Był jej posłusznym i usiadł obok niej. Rozmowa jednak nie szła im jakoś, co chwila się rwała, coś wikłało i tamowało ich swobodę; myśl obojga była czem innem zajęta, nie tem o czem mówić usiłowali.

Wejście służącego, który przyszedł prosić do obiadu, przerwało tę męczącą rozmowę. Przeszli do jadalnego pokoju. Przy obiedzie baronowa była nienaturalnie ożywioną, rozmowną, trzpiotową prawie. Dowcip, którym się zwykle odznaczała, dziś nabrał jakiejś nadzwyczajnej potęgi, iskrzył się i olśniewał brylantowym blaskiem. Władysław słuchał jej z zajęciem i dziwną tajemną trwogą, bawił się jej rozmową, jak błyszczącą klingą sztyletu; do zachwyty mieszała się obawa zranienia. Siedział jak zaczarowany pod urokiem jej słów.

Po obiedzie gdy wstali od stołu i przeszli do salonu, baronowa której podał ramię, poprowadziła go prosto do otwartego fortepianu. Była to milcząca prośba. Za nim się zgodził na to spojrział pierwiej na zegarek. Baronowa ściągnęła lekko brwi z niezadowolenia, wnet jednak zapanowała nad sobą i rzekła spokojnie: — Może już musisz odejść?

— Mam jeszcze pół godziny czasu.

— Ale może nie jesteś usposobiony?

— Owszem. — Zagram ci tę rapsodyą Liszta którą tak lubisz.

Usiadł z pośpiechem do fortepianu; rad był, że mu zaproponowała grę, to go uwalniało od rozmowy, która dziś jakoś nie szła. Baronowa rzuciła się na kanapę i podparłszy głowę ręką słuchała go uważnie, rzucając od czasu do czasu na niego płomieniste, przenikliwe spojrzenia. Namiętne, gwałtowne akordy rapsodyi były w dziwnej harmonii z temi spojrzeniami.

Naraz u drzwi dał się słyszeć silny głos dzwonka. Baronowa ruszyła się zdziwiona na kanapie. Władysław przestał grać.

— Czy kto z wizytą? — spytał wstając.

— Wątpię.

Wszedł służący i przyniósł telegram. — Rozerwała szybko kopertę i przeczytała.

— To od Artura — rzekła — po wyjściu służącego i podała Władysławowi telegram. Treść telegramu zdawała się ją mało obchodzić.

— Jakto? więc obiecałaś mu przyjechać do Lwowa? — spytał jej po przeczytaniu.

— On chciał tego. Pisał mi o tem w ostatnich dwóch listach.

— I dla czegoż nie pojechałaś, spytał machinalnie.

Baronowa spojrzała na niego wzrokiem takim, że pożałował tego pytania, którego nie byłby jej zadał, gdyby był mniej roztargnionym w tej chwili. Chcąc naprawić swój błąd zbliżył się ku niej i biorąc ją za rękę rzekł całując ją:

— Jaki ja niewdzięczny — prawda? Zamiast odpowiedzi przytuliła się do niego, zarzuciła ramię koło jego szyi i położyła głowę na jego piersi. Była rozmarzona, rzewna w tej chwili, — pocałunek jego kazał jej zapomnieć o wszystkim.

— I cóż mu odpiszesz?— spytał po chwili Władysław.

— Co każesz, — rzekła miękko, z niewolniczym poddaniem się jego woli.

— Czy długo zabawi jeszcze we Lwowie?

— Podobno parę tygodni.

— Powinnaś jechać, żeby nie obudzić jego podejrzeń.

Wstrząsnęła głową pogardliwie i rzekła:

— Co mnie obchodzą jego podejrzania. On teraz dla mnie niczem.

Słowa te podziały jak prysnięcie zimną wodą na Władysława — przypomniały mu cały ciężar jego stosunku z baronową, puścił jej rękę i rzekł chłodno:

— Jednak masz zawsze względem niego pewne zobowiązania. Nie możesz, nie powinnaś z nim zrywać.

Baronowa wzdrygnęła się na to przypomnienie; bolesny, cierpki grymas przeleciał po jej bladej twarzy, wysunęła się z jego objęcia i szepnęła ponuro trąc czoło ręką:

— Więc tak mi radzisz?

Ale Władysław nie miał czasu jej odpowiedzieć — spojrzawszy na zegarek, zerwał się, chwycił prędko za kapelusz i rzeki:

— Do widzenia.

— Odchodzisz.

— Uprzedziłem cię że mam pilny interes. Skłonił się i wybiegł szybko z pokoju, — nie podawszy jej nawet ręki na pożegnanie. Po jego odejściu stała jakiś czas nieruchoma, z twarzą zwróconą ku drzwiom, jakby miała nadzieję, że wróci jeszcze. W oczach jej był taki wyraz, jaki mają ludzie stojący nad grobem. Naraz jakaś myśl nią szarpnęła i ruszyła z tej nieruchomości.

— Muszę wiedzieć kto ona — wyszeptala namiętnie, gwałtownie. Zarzuciła szal na ramiona, twarz zasłoniła woalką kapelusza i wybiegła prędko za nim. Wyszedłszy na ulicę rzuciła badawczo okiem w około; ujrzała Władysława wsiadającego właśnie do dorożki; przejechał koło niej niespostrzegłszy wcale. Na nieszczęście żadnej drugiej dorożki nie było w pobliżu. Baronowa nie była na to przygotowana, nie wiedziała co począć; straciła nadzieję wysledzenia schadzki — i patrzyła niespokojnym okiem za dorożką, która coraz to więcej oddalała się od niej. Naraz wpadła na pomysł; nawinał jej się jakiś ulicznik, skinęła na niego i rzekła mu prędko wskazując dorożkę:

— Biegnij za dorożką, uważ gdzie zajedzie, a potem wróc tu, czekam cię tam pod kościołem. Sowiec nagrodzę.

Chłopak pobiegł jak strzała. Baronowa widziała że dopędzał dorożkę, nim ta skręciła w inną ulicę. Była więc spokojną, że chłopiec spełni jej zlecenie i niechcąc zwracać uwagi przechodzących przeszła na drugą stronę ulicy ku kościołowi. —

W kruchcie zatrzymała się i uklękła. Usiłowała się modlić; ale tylko usta bezmyślnie powtarzały słowa pacierza; serca ścieśnionego boleścią nie rozgrzała ta modlitwa niespokojna, roztargniona. Oczy baronowej co chwila zwracały się ku otwartym drzwiom prowadzącym na ulicę, gdzie spodziewała się zobaczyć posłańca. Czekanie za długim jej się wydawało: wstała i wyszła z

kościół i chodząc po trotuarze oczekiwała niecierpliwie, patrząc co chwila w stronę zjazd miał przybyć. Nareszcie zjawiał się zdyszany, zmęczony. Baronowej było tak pilno, że poszła naprzeciw niemu.

— I cóż? — spytała.

— Ten pan pojechał aż pod rogatki.

— Czy pamiętasz dom?

— To fabryka.

— Idź po dorożkę. Każesz dorożkarzowi jechać tam i sam usiądziesz na koźle, skoro się zbliżać będziemy do tego domu, dasz mi znak.

Chłopak spełnił ten rozkaz. Za chwilę przybył z zakrytą dorożką, w którą baronowa wsiadła. Turkot powozu po bruku głośny głośno, ukołysał jej duszę w jakieś bezmyślne odrętwienie z którego zbudziło ją uderzenie ulicznika w szyby. Baronowa zadrżała, ruszyła się i przysunęła ku oknu. Zobaczyła jakiś duży budynek, na którym czernił się napis wielkimi literami. Baronowa przeczytała nazwisko swego męża. Jeszcze nie miała czasu zdać sobie sprawy z tego, gdy rzuciwszy spojrzenie w górę zobaczyła na balkonie Władysława. Stał oparty o balustradę a przy nim jakaś panią w niebieskiej sukni, w jasnych loczkach — zarumieniona i wesoła żywo gestykulowała rączkami i coś mu opowiadała. — Baronowa wydała cichy, bolesny okrzyk, i rzuciła się w głąb powozu by nie być widzianą. Poznała córkę — domyśliła się reszty. Tej rywalki się nie spodziewała. Odkrycie jakie zrobiła, zabiło bez litości resztę jej nadziei; Władysław był dla niej stracony na zawsze. Nietylko konieczność skłaniała ją do uznania tego faktu, ale i sumienie. Kiedy dorożka minęła rogatki i zatrzymała się w czystym polu, ulicznik zeskoczył z koźła otworzył drzwiczki.

— A co, widziała pani? spytał ciekawie, czy ten pan?

Baronowa nie mogła znieść przenikliwego, filuternego spojrzenia malca. Rzuciła mu kilka srebrników, a dorożkarzowi kazała inną drogą wracać do miasta i powiedziała mu adres swego mieszkania. Kiedy zajechano tam i dorożkarz ją wysadził z powozu, zauważył pomimo gęstej woalki, że miała oczy mocno zaczerwienione od płaczu. Tego wieczora kazała służącej pakować rzeczy do podróży. Na drugi dzień wieczorem miała wyjechać do Lwowa.

Zanim to się stanie, czujemy się w obowiązku wyjaśnić czytelnikom w jaki sposób Władysław dostał się do domu Milutyńskiego. Kilka słów, jakie z nim zamieniła Kornelka w domu matki i gra jego tak silnie zapisały się w pamięci młodej pensyonarki, że bezustannie mówiła o nim ojcu, jak o jakimś nadzwyczajnym zjawisku, suszyła mu głowę, by jej koniecznie odszukał tego młodego człowieka, żeby jej udzielał lekcji muzyki, bo chciała nauczyć się grać jak on. Odnalezienie jednak w mieście nauczyciela, którego nazwiska nie wiedzieli, było rzeczą niepodobną. Ulegając prośbom córki Milutyński wywiadywał się o wszystkich nauczycielach fortepjanu, niektórych, ponieważ ich rysopis zgadzał się po trochu z tem, jak mu przedstawiała córka owego nieznanego nauczyciela, sprowadzał nawet do domu. Ale Kornelka na widok każdego z nich potrzasała głową i mówiła: „o! to nie ten. Tamten wcale inny.” — A na przełożenie ojca, że i inni są równie zdolni i mogą ją równie dobrze nauczyć, jak tamten odpowiadała z naiwnym uporem: „o! nie, ojczażku, — nie mógłbyś mówić tego, gdybyś go raz słyszał.” I powtarzała z uporem: „będę się uczyć, jak mi go znajdziesz. — Żaden inny, tylko on.” To pragnienie uczepliło się jej główki, stało się jej marzeniem, ideałem. Nie tylko gra sama, ale i postać grającego spętała młode serce wspomnienie jedno i drugie splątało się razem i przypominając sobie grę jego, myślała równocześnie o melancholijnym, łzawem nieco spojrzeniu, które w nią utkwiał podczas krótkiej rozmowy, jaką im się raz zawiązać zdarzyło. Muzykę wyobrażała sobie zawsze w jego postaci i nie mogła uwierzyć, by ktoś co nie był tak pięknym jak on, mógł grać równie dobrze, — a nie wyobrażała sobie, by ktoś mógł być tak pięknym prócz niego. Nie

możemy się dziwić temu stronniczemu upodobaniu, gdy sobie przypomnimy, że Kornelka oprócz kilku nauczycieli nie widziała dotąd prawie mężczyzn, że po wyjściu z klasztoru ten był pierwszym z młodych ludzi, którego poznała, z którym rozmawiała. Poznanie i rozmowa trwały chwilę tylko; ale to właśnie działało jeszcze silniej na młodą wyobraźnię, — i wyobraźnia dopełniała i podnosiła postać jego do niesłychanej potęgi uroku. Wspomnienie nieznanego wirtuoza stało się udziałem dziewczęcia, — a odszukanie go celem jej pragnień. Najłatwiej było spytać o nazwisko jego baronowej; ale Milutyński nie chciał użyć tej drogi, a gdy mu córka raz tę myśl poddała, odpowiedział że matka wyjechała za granicę i nie wie o jej pobycie obecnym. Zerwawszy z baronową zupełnie nie chciał żadnych już z nią mieć stosunków, a odezwanie się do niej w tak błachej sprawie, uważał za niepotrzebne i nietaktowne. Byłaby więc długo Kornelka czekała na ziszczenie swych pragnień, gdyby przypadek nie był jej posłużył. — Raz wracając ze spaceru do domu w powozie, spostrzegła nagle Władysława idącego ulicą. Tak się tem uradowała, że podniosła się z siedzenia i zawołała głośno na niego.

— Kornelko! co ty robisz? — upomniał ją ojciec zdziwiony tem zapomnieniem się.

— To on, — zawołała ucieszona, nie zważając wcale na upomnienie ojca i widząc, że Władysław na głos jej zatrzymał się, kiwnęła mu przyjaźnie głową i skinęła, by się zbliżył.

— To on, to ten nauczyciel ojczulku! rzekła do ojca tajemniczo i ścisnęła go za rękę. Przemów do niego.

Milutyński chcąc naprawić dziecinny i naiwny postępek córki wysiadł prędko z powozu zbliżył się do zarumienionego Władysława, który nie wiedział, co ma zrobić z sobą.

— Wybacz nam pan tę napaść, córka moja wspominała mi o panu, jako zdolnym nauczycielu. Szukałem pana po całym mieście napróżno; bez nazwiska znaleźć pana nie mogłem. Wdzięczny więc jestem przypadkowi, który mi dał sposobność poznania pana.

Władysław zarumienił się jeszcze mocniej. Chwilowa mistyfikacja, w którą zabawił się był w obec młodej pensyonarki, zaczęła przybierać większe rozmiary. Nie śmiał przyznać się do kłamstwa i wahał się co powiedzieć. Milutyński wziął to wahanie za nieśmiałość i odezwał się:

— Bądź pan łaskaw wskazać mi swój adres i czas, kiedy mogę widzieć się z panem.

Ta propozycja jeszcze więcej zakłopotała Władysława, nie wiedział jak wybrnie z tego. W każdym razie adresu swego dać nie mógł bez narażenia się na odkrycie. Wołał więc przyrzec Milutyńskiemu, że sam stawi się u niego w najbliższym czasie. Ale podczas kiedy ten sięgnął do kieszeni, by mu podać swój bilet, Kornelka, która wychylona z powozu przysłuchiwała się z zajęciem ich rozmowie, odezwała się:

— Ależ pan nie trafi, to tak daleko, siadaj pan lepiej zaraz z nami. I podniósłszy się z siedzenia zrobiła mu miejsce obok siebie.

Przyparty w ten sposób Władysław coraz bardziej tracił przytomność. Milutyński uważając milczenie jego za przyzwolenie dodał także ze swej strony:

— Jeżeli pan masz czas wolny, to może zechcesz nam towarzyszyć. Możemy zaraz się rozmówić. I ruchem ręki wskazał mu miejsce w powozie.

Nie mogąc się wyplątać z fałszywego położenia, Władysław brnął dalej na oślep i nie pytając co będzie dalej, usiadł w powozie obok rozpromienionej jego widokiem Kornelki, i pojechał.

Rączy konie szybko dowiozły ich na miejsce. Kornelka zeskoczyła pierwsza i pobiegła przodem jak motylek na górę. Milutyński poprowadził gościa za nią po schodach kamiennych wyłożonych miękkim sukniem. Balustrada schodów w ozdobnym deseni udlana z żelaza była złocona, zakończyły ją u góry dwa piękne posągi brązowe trzymające w rękach siedmioramiennne świeczniki, które służyły do oświetlania sieni wspartej na kolumnach i ubranej posągami. Wspaniała ta sień

stanowiła widocznie w lecie salę jadalną, co można było poznać po pysznie rzeźbionym kredensie i wysokich stołkach w stylu gotyckim, wyplatanych trzcina, stojących wzdłuż ściany naprzeciw długiego stołu. Przez ten przedsionek weszli do salonu wysłanego perskim dywanem, umeblowanego poważnie i bez przepychu, ale z wielkim gustem i elegancją.

Władysław był zdziwiony i olśniony tem, co tu widział, nie dlatego, żeby nie był oswojony z tego rodzaju komfortem, ale że nie spodziewał się go zastać w mieszkaniu fabrykanta.

Kornelka oczekiwała ich przy otwartym fortepianie, już bez kapelusika i bez rękawiczek. Fortepian był francuzki Playla, prawdziwe cacko, misternie mozaiką wykładany. Kornelka przygotowała już wszystko do grania, tak jej było pilno usłyszeć go grającego.

— Ależ pozwólże panu odetchnąć, upomniał ją ojciec pobłaźliwie i rozśmiał się z tej naiwności dziewczęcia.

— Wszak pan nie zmęczony? prawda? Ja tyle czasu czekać musiałam, to mnie się należy.

— Zadałeś pan czary swoją muzyką mojej pieszczotce, mówił ojciec gładząc jej główkę. Nie myśli o niczem więcej, tylko o grze pańskiej.

— I ty ojczulku tak będziesz oczarowany, skoro usłyszysz. No, niech pan zagra. Prosiła uporczywie i przysunęła mu krzesło.

Władysław chętnie był posłuszny temu miłemu zaproszeniu; gra uwalniała go od rozmowy z ojcem, z którym nie wiedział o czem mówić.

— I cóż zagrać? spytał uprzejmie zdejmując rękawiczki.

— To coś pan grał wtedy, u mamy. To było takie piękne. Co to było?

— To była nocturna Szumana, jeżeli sobie dobrze przypominam.

— Więc tę pan zagraj, albo co pan chcesz.

Władysław po chwilowym namyśle zagrał nocturnę. Milutyński usiadł w dużym, poręczowym krześle i zanurzwszy głowę w obie dłonie słuchał uważnie gry. Kornelka stojąc oparta o fortepian patrzyła to na grającego, to na ojca, w oczach jej żywych malowało się zadowolenie i zachwyt, połączone z dziecinną radością, że w końcu stało się zadość jej życzeniom. Więcej zajmowało ją w tej chwili, jakie wrażenie na ojcu robi gra wielbionego przez nią artysty, niż jego gra sama. To też gdy przestał grać pobiegła z tryumfującą miną do ojca, i spytała go:

— A co? Czy słyszałeś ojczulku kiedy taką grę?

Ojciec uśmiechnął się pobłaźliwie z tego naiwnego entuzjazmu córki, pogładził ją po twarzy i niedając odpowiedzi na jej pytania, zbliżył się do Władysława, i rozpoczął z nim rozmowę o muzyce, z której Władysław poznał, że nie ma do czynienia z profanem. Milutyński mówił o sztuce bez entuzjazmu, nawet dość obojętnie, co bardzo gorszyło Kornelkę przysłuchującą się z uwagą ich rozmowie, ale ze znanstwem i trafnością w sądach. Chwalił delikatne, kobiece prawie uderzenie grającego, jego elegancją i lekkość w wypowiedaniu frazy muzycznej, a nadewszystko wielkie bogactwo uczucia, które, jak się wyraził, tak mało daje się spostrzegać u rutynowanych nauczycieli muzyki.

— Mechaniczna praca, mówił, u tych panów zamienia sztukę w rzemiosło, jednostajność zajęcia, ciągłe rachowanie taktu i poprawianie pomyłek uczennic, sprowadza u nich pewne znużenie, oschłość, którą znać bardzo w ich grze. Grają poprawnie, ale bezdusznie. Tymczasem u pana widzę wielki zasób życia i uczucia. Pan musiałeś niedawno rozpocząć swój zawód nauczycielski, nie prawda?

A widząc, że Władysław zarumienił się na to pytanie i przypisując rumieniec ten niedyskretności swego pytania, dodał prędko:

— Mówię to dla tego, że cieszy mnie, iż Kornelka będzie miała takiego nauczyciela. Bałem się

pedanta i rutynisty, którzy zamiast ożywiać, studzą zapał takich młodych stworzeń, jak moja dziewczeczka i odstrasza ją od pracy. Prawda, że ty będziesz się uczyć z zapałem? spytał córki z uśmiechem!

— O! będę ojczulku, bo ja chcę grać bardzo dobrze.

— Pan słyszałeś ją grającą?

— Nie, wcale.

— Początki ma nie złe. Jestem pewny, że przy chęciach, jakie okazuje, nie zrobi panu wstydu.

Takie jest moje zdanie, inaczej nie dawałbym ją uczyć. Dziś lepiej być żadnym, jak miernym wykonawcą. A moja panna, rzekł patrząc wzrokiem pełnym uczucia rodzicielskiego na córkę, będzie mogła zdaje mi się być więcej, niż mierną. Zresztą sam pan się przekonasz.

Wypadało jeszcze ułożyć się co do pieniężnych warunków. Przedmiot tak drażliwy załatwił Milutyński z wielkim taktem i delikatnością zostawiając Władysławowi wolność postawienia swych warunków listownie i przyrzekając już z góry zgodzić się na nie. Następnie obrano dni najdogodniejsze na lekcje. Władysław przystawał na wszystko bez oporu w duszy bowiem miał zamiar nie przeciągać dłużej tej mistyfikacji, objaśnić listem Milutyńskiego o pomyłce jego i nie pokazać się tu już więcej. Radby był jak najprędzej wydobyć się z tego domu, gdzie mu było duszno i nieprzyjemnie, że musiał udawać i kłamać. Ale Kornelka nie puściła go tak prędko. Musiał jej jeszcze zagrać kilka kawałków.

Szaro się już zrobiło na dworze, kiedy wyszedł z domu Milutyńskiego z silnem postanowieniem nie wracania tu więcej. Postanowienie jednak łatwiej było powziąć, niż wykonać. W stanowczej chwili brakło mu odwagi wyrzec się na zawsze widoku tego nadobnego dziewczęcia, które z tak naiwną prostotą spowiadało mu się z entuzjazmu swego dla gry jego. Miłość własna, próżność artysty i jakaś nie wyraźna skłonność sercowa, którą mu się podobało nazwać sympatyę, odradzały mu zerwanie. Kiedy pomyślał, że już nie zejdzie się nigdy z tą naiwną pensyonareczką, w której słowach, spojrzeniach, w całym zachowaniu się było tyle świeżości porannej, tyle uroku dziewiczego — było mu jakoś smutno.

Nadzieja, że będzie ją mógł widywać co drugi dzień, rozmawiać z nią, bawić się, namawiała go do przedłużenia mistyfikacji.

Milutyński nie bywał w kołach wyższego świata, nie *mógł* więc nigdzie spotkać się z nim, odkryć jego incognito. Można było przeto bez narażenia się trwać dalej w przyjętym charakterze, z czego w każdej chwili mógł się wycofać. Bez myśli tedy, jakie następstwa może mieć ta komedia, zdecydował się pójść w oznaczonym dniu na lekcję. Po tem poszedł drugi raz i trzeci, aż oswoił się całkiem z tą nową sytuacją, która nie tylko już nie zrażała go, ale nabierała coraz większego powabu w jego oczach. Już przestał się namyślać czy chodzić na lekcje czy nie; owszem wyczekiwał z pewnem utęsknieniem tych godzin i cieszył się ich zbliżaniem. Przy lekcjach zwykle najczęściej obecną była stara guwernantka, na którą mało zważali młodzi zajęci sobą. Nauka nie szła systematycznie; Władysław nie miał wcale talentu na nauczyciela, nie wiedział nawet jak zabrać się do tego; o szkole nie miał żadnego wyobrażenia; sam bowiem przyszedł do tej biegłości jaką miał, więcej talentem i wprawą, niż systematyczną nauką. To też nie miał pojęcia jak uczyć drugich, jak przelać w nich to, co sam umiał. Kornelka jednak ułatwiła mu zadanie przez to, że więcej wolała go słuchać, niż grać sama, a większa część godziny schodziła im na tem, że muzykę przeplatali żywą gawędką. Młoda szczebiotka z dziecinną otwartością spowiadała mu się ze wszystkich niewinnych tajemnic swego serduszka, z prostotą i naiwnością zdradzała przed nim swoje upodobania, pragnienia, obawy, on stał się powiernikiem jej zmartwień i małych kłopotów. W braku towarzystwa ojca, którego zajęcia fabryczne i publiczne często od niej odrywały, i w obec starej guwernantki, do

której nie miała śmiałości i zaufania, Władysław prędko zyskał jej przyjaźń, i stał się koniecznym jej potrzebnym. Kiedy miał przychodzić czekała go niecierpliwie na balkonie i zdaleka już witała żywą gestykulacją rącek i rozjaśnionem spojrzeniem. Trzeba było większej siły woli, niż ją miał Władysław, by się wstrzymać od przyjscia, gdy wiedział, że tam na niego czeka na balkonie powabna, młodziutka istotka, że czeka go z utęsknieniem chowając na jego przyjęcie wesołość, uśmiechy, miłą pogwarękę, i niewinne tajemnice młodziutkiego serca. Słuchał on ich z takim zajęciem, z jakim wędrowiec ogląda nieznaną wyspę, na którą go przypadek zapędził. Każdy szczegół go zajmował, był dla niego nowością. W salonach nie spotkał nigdy nic podobnego; w każdym jej słowie była jakaś niespodzianka, coś co go zastanawiało i ujmowało i znajomość ta nabierała w jego oczach coraz więcej powabu, który potęgowała tajemniczość. Krył się z tem przed ludźmi, jak skąpiec ze swemi skarbami i cieszyło go, że sam jeden znalazł przystęp do tego raj.

Czasami przy lekcji zjawiał się Milutyński. Obecność jego z początku ciążyła Władysławowi, nie był z niej kontent; ale kilka rozmów, jakie miał z nim zmieniły to jego zapatrywanie, poznał w nim bowiem człowieka wielkiej zacności i nauki, który z temi poważnemi zaletami łączył wielką łatwość w obejściu się, pobłażliwość dla ludzkich słabości i nadzwyczajny takt. Słowa jego zajmowały i uczyły zarazem, był w nich powab i treść pożywna. Po czczych i pustych rozmowach salonowych Władysław mógł dopiero osądzić ich wartość i doniosłość. To też z czasem towarzystwo Milutyńskiego stało się dla niego równie pożądanem, jak pogawędka z jego córką: pierwsze wyjaśniało mu pogląd na życie, odsłaniało nieznane mu jego strony; druga ożywiała go jak poranek majowy świeżością i zapachem. Serce i umysł znalazły tu obfity pokarm, gdzie spodziewał się tylko przelotnej zabawki. Pod wpływem tych dwojga ludzi, których z początku dość lekceważąco traktował, wątły jego charakter dojrzał, rozwijał się, nabierał siły. Rozmowy z Milutyńskim zwróciły uwagę jego na wiele rzeczy, których przedtem nie widział wcale, poruszyło w nim mnóstwo myśli, nad któremi zastanawiać się począł.

Raz po lekcji Milutyński zaprowadził go na drugą stronę domu do swojej fabryki. Władysław nigdy przedtem nie widział podobnego zakładu.

Wiedział wprawdzie, że są na świecie jakieś fabryki, że w nich siedzą ludzie osmoleni, brudni i pracują; ale to go mało obchodziło. Artystyczna i wykwinna dusza jego brzydziła się tem prozaicznem zatrudnieniem, wstrętni mu byli ludzie o czarnych twarzach i spracowanych rękach, dym fabryczny kszusił go, kominy zawadzały jego estetycznym zmysłem. To też nie bardzo chętnie schodził na dół, w czarne i zadymione warsztaty. Zrobił to tylko przez grzeczność dla Kornelki, która zdziwiła się, gdy jej powiedział, że nie zwiedzał nigdy fabryk.

— Nigdy? A! to pan żałuj, mówiła, to bardzo ciekawe. Chodź pan, ja będę pańską przewodniczką, bo ja już znam doskonale każdy kątek w fabryce ojca.

I oprowadzała go po warsztatach ślusarskich, stolarskich, zaprowadziła go do walcowni, do hamerni, tłumaczyła w jaki sposób robota się odbywa, jak się używają różne narzędzia; pokazywała wykończone roboty i zwracała jego uwagę na zręczniejszych pracowników w zakładzie. Ojciec z zadowoleniem przysłuchiwał się opowiadaniom córki, dodawał do niego swoje uwagi, poprawki i objaśnienia, a zwracając się do Władysława, rzekł:

— Patrz pan jak moje dziewczątko prędko obznajmiło się z tem wszystkim. Niezadługo będzie mnie mogła wyręczyć. A potem, dodał z uśmiechem, wejdziemy w spółkę i wypiszemy na szyldzie „Fabryka Milutyńskiego i córki”. Cóż dobrze Kornelko?

— I pana Władysława przyjmujemy do spółki, rzekła Kornelka całując pieśczośliwie ojca w rękę i patrząc na Władysława wzrokiem pełnym tak serdecznej życzliwości, że wzrok ten sięgnął aż do głębi jego serca i sprawił w niem dziwne, jakby elektryczne wstrząśnienie.

— Pan Władysław, rzekł ojciec, jest artystą, a artyści mają wielki wstręt do fabryk i przemysłu, fantazyja nie chodzi tak nisko. Nieprawdaż?

— W istocie, odparł Władysław dziwiąc się w duszy, że Milutyński tak przejrzał myśli jego, miałem dawniej podobne wyobrażenie; ale z tego, com tu dotąd widział przekonywuję się coraz bardziej, że przemysł nie jest znowu tak bezduszną pracą, jak myślałem, że duch ludzki zanim wynalazł to, co tu widzę, musiał nie tylko przechodzić przez długą drogę pracy i doświadczeń, ale i mieć także swoje chwile natchnienia, intuicji.

— Cieszy ranie, żeś pan to spostrzegł, czego wielu u nas nie widzi lub widzieć nie chce. Rzeczywiście człowiek, który padł na pomysł zastosowania "pary, stworzenia szklistej polewy lub maszyn do szycia, musiał mieć również chwile natchnienia jak poeta lub artysta, i w ogóle każdy, który stwarza to, czego nie było. Twórczości nauczyć się nie można, przychodzi ona niespodziewanie jak błyskawica we wnętrzościach ducha i daje pomysł. Wykonanie samo pomysłu to już rzecz pracy i nauki, a przyznasz pan sam, że więcej mozołu kosztowało wcielenie i urzeczywistnienie takiego pomysłu w przemyśle, niż wyprowadzenie idealnych marzeń słowem lub tonem. A jednak świat dotąd był o tyle niesprawiedliwy, że notując w pamięci ludzi imiona poetów, nawet wątpliwej wartości, przepominał całkiem o nazwiskach wielkich myślicieli i wynalazców w przemyśle. Każdy uczeń gimnazjalny wie o Klopsztoku, którego Messyada znudzi dzisiaj najzapaleńszego wielbiciela literatury, a o nazwiskach wynalazców, których odkrycia przekształciły świat cały, oddały ludzkości znakomite usługi, milionom biednych ludzi zarobek, nie wie nawet nie jeden profesor uniwersytetu lub członek uczonych towarzystw. Jest to wina spaczonych pojęć naszych, złego wychowania, które uczy nas cenić rzeczy nie podług ich istotnej wartości. Najczęściej rzeczy lekkie utrzymują się u nas na wysokości widzialnej, a poważne, gruntowne, fundamentalne, na których spoczywa byt społeczeństwa pozostają na dnie, w zapomnieniu. Dziś stosunek ten trochę się zmienia na lepsze, przemysł zyskuje już równouprawienie w świecie. Dotąd był on podobny do jakiejś poczciwej ciotki, którą się wszyscy w domu posługiwali, której pracą się żywili, ale podczas uroczystości i balów wypychano ją z salonów do kuchni i nie pokazywano jej gościom.

Tak rozmawiając przeszli do dalszych warsztatów, najdłużej zatrzymali się w odlewami, gdzie odlewano właśnie bramę wjazdową przeznaczoną do jakiegoś pałacu. Robotnicy wykończyli ostatecznie formę w ziemi; poczęto przebijać formę w piecu. Lawa roztopionego żelaza potoczyła się jak ognisty wąż po ziemi i kręto rozlała się po zagłębieniach, w których powoli stygła i czerniała. Władysław z zajęciem przypatrywał się temu wszystkiemu. Milutyński tłumaczył mu sposób, w jaki się urządza topienie żelaza, rzeźbienie form.

— Zresztą, dodał, Kornelka to panu dokładnie wytłumaczy, specjalnie tem się zajmuje i żaden jeszcze większy odlew nie odbył się bez jej obecności. Robotnicy tak do tego przywykli, że nie otwierają pieca dopóki panienka, jak ją nazywają, nie zejdzie z góry. Jeden nawet ze sprytniejszych odmodelował ją i zrobił wcale niezły odlew jej profilu. Zobaczysz go pan w rysunkowej sali, gdzie pana zaraz zaprowadzę.

Przeszli tedy do sali rysunków, gdzie kilku techników pracowało nad modelami maszyn. Władysław przypomniał sobie tę salę z owej tajemniczej wycieczki, podczas której śledził Kornelkę. Przypomnienie to miłem mu było i z zajęciem rozglądał się po sali, oglądał rysunki maszyn, fabryk całych i ów medalion Kornelki, który lubo grubo i nie zbyt zręcznie modelowany, przypominał jednak jej rysy.

— A to, rzekł Milutyński zatrzymując się przy jednym portrecie w dębowych ramach, to portret mojego byłego spółnika, któremu zawdzięczam dzisiejszą moją fortunę. Nie uwierzyłbyś pan ile szlachetności i zacności mieściło się w tej niepozornej i potwornej nieco twarzy. Poznaliśmy się w

Paryżu w szkole dróg i mostów, gdzie był jednym z najzdolniejszych uczniów, a następnie pracowaliśmy razem przy nowo budującej się wtedy kolei południowej. Potem porzuciłem to miejsce odziedziczywszy znaczny majątek po moim stroju i straciłem go z oczów. W kilka lat dopiero później spotkaliśmy się znowu w Szwajcaryi przy budowie tunelu. Ja byłem właśnie w zamiarze zakupu akcji jednego francuzkiego towarzystwa kolejowego i radziłem go się w tym względzie, jako znajomego interesu tego towarzystwa. Odradził mi to stanowczo. „Po co, mówił, mamy topić kapitały nasze w zagranicznych przedsiębiorstwach, po co mamy pracować dla obcych, gdy kraj nasz potrzebuje rąk zdolnych, potrzebuje fabryk i podniesienia przemysłu”. Podał mi wtedy myśl założenia tej fabryki, sam ofiarował się pomagać mi i zawiązaliśmy spółkę. On dał pracę, ja pieniądze, i poszczyściło nam się. W krótkim czasie dzięki energii i zdolnościom fabryka nasza robiła niebezpieczną konkurencję zagranicznym wyrobom. Gdyby nie on, byłbym dziś zrujnowany, bo towarzystwo, którego akcje miałem zamiar kupić, upadło i pociągnęło wielu do ruiny. On mnie uratował od tego, to też żywiłem dla niego zawsze wdzięczność i życzliwość. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi i dzieliliśmy razem złe i dobre losy. Przed kilkoma dopiero laty rozstaliśmy się z sobą — umarł. A że nie miał rodziny, więc cały majątek jakiego się dorobił zapisał na tych robotników, którzy wskutek nieszczęśliwego wypadku w fabryce, co się często zdarza, pozbawieni będą możliwości pracowania. Obecnie czternastu robotników korzysta z tego zapisu. Co miesiąc odbierają swoje utrzymanie z naszej kasy, bo mnie zrobił wykonawcą swej woli. Odkąd Kornelka jest przy mnie oddałem jej zarząd i rachunki tego zapisu, ona odbiera procenta od kapitału i rozwozi sama tym nieszczęśliwym. Muszę jej przyznać, dodał patrząc na córkę z czułością i dumą, że znalazłem w niej bardzo gorliwego urzędnika. Doniesiono mi jednak, mówił z wesołym uśmiechem, o pewnych nadużyciach, że szanowny urzędnik nie ogranicza się na samej wypłacie, ale robi jeszcze dla pobierających zasiłek, wydatki nadzwyczajne na rachunek własnej kasy.

— Fe, ojczulku, to niegrzecznie tak szpiegować, odezwała się zapłonią Kornelka.

— Twoi klienci sami cię zdradzili.

— To gaduły przebrzydłe, rzekła zadąsana.

— Ale my tu panu czas zabieramy i nudzimy pana rzeczami, które go pewnie mało obchodzą, rzekł nagle Milutyński zwracając się do Władysława. Nadużyliśmy cierpliwości pańskiej.

— Owszem, wdzięczny jestem państwu, żeście mi dali poznać wiele rzeczy, o których przedtem nie miałem najmniejszego wyobrażenia.

W oczach jego można było czytać, że słowa te szły mu z serca. Rzeczywiście przechadzka ta po fabryce dała mu poznać stronę życia, której nic nie znał. Dotąd salon był dla niego światem; to, co stało za granicami tego salonu, a co nazywał pogardliwie *ulicą*, mało zajmowało jego uwagę, patrzył na to jak na wielkie mrowisko ruszające się, krzątające, pracujące; ale tłum ten dla niego był bez nazwiska i bez szczegółów; nie miał z nimi nigdy bliższych stosunków; nie wyobrażał sobie, że tam może znaleźć coś, coby go zająć a tym mniej imponować mu mogło. Tym czasem przekonał się teraz, że się grubo pomylił; że właśnie w tej masie, którą uważa za ciemne tło życia, był właśnie istotny rdzeń jego, że tu płynęło ono bystrym prądem. W obec czynnego, pracowitego życia Milutyńskiego jakże błahemi wydały mu się te wszystkie zajęcia, które w salonach usiłują zapełnić nudne godziny. Patrząc jak żyje ten człowiek, zrozumiał dopiero dla czego się żyje, a słowo i obowiązek, pierwszy raz zastanowiło go i zaciężyło na jego myślach. Kornelka również dała mu dużo do myślenia. Zdawało mu się że to ledziuchne, rozkoszne dziewczętko umie tylko śmiać się wesoło i zachwycać grą jego, że zabawa stanowi wyłączną treść jej życia, a tym czasem za wesołym śmiechem zobaczył poważne zajęcie; spostrzegł ze zdziwieniem, że ten piękny koliberek nie tylko trzepotać

skrzydełkami umiał i bujać w słonecznej atmosferze marzeń i sztuki. To go zastanowiło i uczuło małość swoją w porównaniu do tych dwojga ludzi, od których przedtem czuł się o wiele wyższym.

Takie myśli zajmowały go, gdy wracał tego dnia do siebie, i nastrajały go poważnie i bardzo na seryo. Najpierwszym wynikiem takiego usposobienia była refleksja nad własnym postępowaniem względem Milutyńskiego i jego córki, i wydawało mu się to teraz nieuczciwością nadużywać łatwowierności tych ludzi i oszukiwać ich. Pierwszą tedy myślą jego było przyznać się w jak niegodny sposób zażartował sobie z nich udając się przed nimi za nauczyciela muzyki, prosić ich o przebaczenie i jeżeli można o dalszą życzliwość. Nachodziła go wprawdzie obawa, że Milutyński po takim odkryciu wypowie mu dom i smutno mu się robiło, gdy pomyślał, że nie będzie już więcej widywał Kornelki; ale to nie zmieniało w niczem jego postanowienia. "Wolał cierpieć, niż oszukiwać. Na drugi dzień zaraz miał zamiar wyjawić Milutyńskiemu swoje nazwisko i przedstawić mu się we właściwym charakterze, i niespokojnie oczekiwał tej stanowczej chwili. Miało się to stać właśnie w owym dniu, w którym baronowa chcąc sprawdzić swoje podejrzenia, zaprosiła go była na obiad. Jak wiemy przyjął zaproszenie; ale niedługo po obiedzie porzucił szybko baronowę śpiesząc do domu Milutyńskiego.

W salonie zastał Kornelkę samą, która przed rozpoczęciem lekcji wyprowadziła go na ganek i pokazywała mu jak przez wycięcie dwóch drzew w alei szeroki utworzył się widok na okolicę.

— Przybyło mi przeto kawałek nieba, mówiło dziewczę, a ja tak lubię dużo nieba; może dlatego, że w ciasnych murach w klasztorze miałyśmy go za mało. To też zdawało się, że wyjmimy oczami ten skrawek nieba, co nam się pokazywał w oprawie szarych murów klasztornych. Ten kawałeczek był naszym barometrem i naszą wyrocznią. Z niego domyślać się mogłyśmy czy pogoda czy chmurno na świecie.

— A dla czegoż był wyrocznią?

— Powiedziałyby panu, ale może będziesz się śmiał ze mnie. Ale to nie ja jedna tylko robiłam.

— I cóż takiego? spytał Władysław zaintrygowany trochę tem wahaniem dziewczęcia.

— Tego nas jedna koleżanka nauczyła. A to tak było: gdy która z nas spodziewała się wizyty lub listu z domu — to siadywała w oknie i mówiąc pacierze wpatrywała się w niebo. Jeżeli przez ten czas, nim odmówiła pięć ojcze nasz i zdrowaś i wierzę przeleciał gołąb lub kawka, to na pewno tego dnia był list lub wizyta.

Skończywszy tę naiwną spowiedź spojrzała zawstydzona trochę na Władysława, bo była pewną, że się rozśmieje z jej zabobonu dziecinnego, ale zobaczywszy jego twarz poważną i zamyśloną, rzekła:

— Jaki pan dobry, że się pan nie śmieje. Mój ojczulek to mnie wyśmiał a nawet zburczał za to, i nie chciał mi wierzyć, gdym mu się przysięgała, że ta wróżba zawsze nam się sprawdzała. To też wszystkie wierzyłyśmy mocno. A nawet przyznam się panu, że i teraz zbiera mnie czasem ochota próbować tej wróżby. . Przed chwilą np. pomyślałam sobie coś o panu i powiedziałam sobie, jeżeli przed odmówieniem pięciu pacierzy przeleci pomiędzy temi dwiema topolami ptak jaki, to moje myśli się spełnią.

— I cóż, przeleciał?

— Tak, przeleciał; ale to nie był ani gołąb, ani kawka, tylko wrona, a ja nie wiem czy to dobrze znaczy. Wyleciała ztamtąd, mówiła pokazując na miasto, zatrzymała się na tem drzewie, zakrakała obrzydliwie i poleciała dalej — o! tam, w pole.

Mówiąc wskazywała ręką na pole. W tej chwili powóz, w głębi którego siedziała baronowa, przejeżdżał drogę, Władysław i Kornelka zajęci rozmową nie uważali wcale tego.

— I na cóż była wróżba? spytał Władysław wpatrując się w ozywioną twarzyczkę swej

uczennicy.

Pytanie to zarumieniło ją po uszka, spuściła oczy i skubiąc listek oleandru, powiedziała nieśmiało:

— A! tego nie można powiedzieć, to sekret.

Władysław uczył podobne w tej chwili podobne wstrząśnienie, jak wtedy w fabryce, gdy Kornelka proponowała przyjęcie go do spółki. Nagle wstrząsnął się, jakby jakieś przykre przypomnienie go zakłóło i spytał zwracając się do Kornelki:

— Czy ojciec pani jest w domu?

— Jest.

— Pozwoli pani, że odejdę na chwilę. Chciałbym z nim pomówić.

— Teraz nie można, rzekła zatrzymując go, ma gościa u siebie, z którym zdaje się, że ojciec wyjedzie na miasto, bo słyszałam, jak kazał do powozu zaprzęgać.

Wiadomość ta zasmuciła Władysława, rad był w duszy, że znalazł się powód odroczenia stanowczej chwili, której się lękał trochę. Pamięć o tej chwili zasepiała mu czoło, ścisnęła mu piersi. To też widząc możliwość odroczenia, odetchnął swobodnie i z wyjaśnioną twarzą, przeszedł z Kornelką do fortepianu.

Milutyński tego dnia nie pokazał się wcale przy lekcji, tak byś zajęty gościem, o którym Kornelka Władysławowi wspomniała. Gościem tym był doktor Seweryn. Przyszedł do Milutyńskiego w niezwykłym interesie, a mianowicie prosić go na sekundanta w sprawie pojedynku, który miał się odbyć między nim a Urbanem. Prośbę zaś swoją poparł małym objaśnieniem, w ogólnych zarysach powodów pojedynku. Powody te musiały się zdawać Milutyńskiemu bardzo niedostateczne, bo kiedy doktor skończył odezwał się do niego:

— I dla tego pan chcesz się bić?

— Wyczerpałem wszelkie możebne sposoby, by wydobyć tajemnicę tego nędznika, przez miesiąc próbowałem rozmaitych sposobów dojścia do odkrycia, i nic nie odkryłem. Pozostaje mi tylko bronią wymódz od niego zeznanie, w jaki sposób przyszedł do posiadania tej tajemnicy, którą Antoni mnie jednemu powierzył.

— Czyż nie lepszy byłby sąd polubowny?

— Próbowałem i tego, ale Urban się nie zgadza. Utrzymuje, że tam, gdzie nie ma winnego tam sąd nie potrzebny; że prędzej przydałaby się policja, któraby go wytropiła. Nie ma więc innego sposobu tylko pojedynek.

— Pojedynek? więc pan się chcesz pojedynkować. Doktorze, gdzie twoje zasady. Przypomnij sobie, jak nieraz sam występowałeś przeciw temu barbarzyńskiemu zwyczajowi średnich wieków, sam mówiłeś, że kilkanaście kropel krwi utoczonej nie można zmyć z podłego człowieka i dla pokrzywdzonego jest bardzo małym zadosyćuczynieniem. Czyż się zaprziesz tego? Pamiętasz pan, jak z oburzeniem mówiłeś o tym ojcu rodziny, który w skutek zajścia z jakimś młodym awanturnikiem, stanął do pojedynku i nazwał to zbrodnią, oburzałeś się na człowieka, który dla błahostki, dla jakiejś fikcyjnej obrony honoru, naraża byt swej rodziny, jej spokój i szczęście na strzał lada awanturnika. I po tem wszystkim pan przychodzisz do mnie, aby mi powiedzieć, że chcesz się pojedynkować? Nie, to nie do uwierzenia.

Doktor w ponurem zamyśleniu słuchał tych uwag nie przerywając mówiącemu. Gdy ten skończył, wstał z krzesła i chodząc żywym krokiem po pokoju, mówił:

— Wiem, że działałam wbrew zasadom moim, ale nie ma innego punktu wyjścia. Wskaż mi pan, w jaki sposób mogę przekonać Antoniego, że nie ja zdradziłem tajemnicę, którą mi powierzył.

— Kiedyś może się ta rzecz wykryje.

— Na to rachować nie można. Ja muszę mieć dowód. Chcę oczyścić się w jego oczach. Niech wśród tylu przykrości, jakich doświadczył w ostatnim czasie, oszczędzę mu przynajmniej tej jednej, by się miał zawieść na mojej przyjaźni.

— I czy sądzisz pan, że pojedynek da ci ten dowód?

— Położę to za warunek pojedynku.

A jeżeli Urban nie przyjmie ani warunku, ani pojedynku?

— Zmuszę go do tego, zbeszczeszczę publicznie.

— Doktorze, zbyt daleko unosi cię wygórowana szlachetność.

— Mylisz się pan, idzie tu o rzecz nie błahą, bo o uratowanie człowieka od zwątpienia w przyjaźń, w uczciwość.

— A jeżeli przypłacisz to życiem?

— Ocalę wtedy innego od śmierci moralnej.

— Czy tak bardzo zależy ci na tym człowieku? spytał Milutyński po niejakiem namyśle.

— Wiele mi zależy, bo wiele obiecuję sobie po nim.

Milutyński ruszył ramionami i powiedział pół głosem.

— Ha, może pan go lepiej znasz, niż ja.

— Czy pan wątpisz w jego zdolności?

— Nie, ale w charakter.

— W charakter? Co pan mu masz do zarzucenia?

— Zbytnią, dumę i gwałtowność. Jest to niebezpieczny zaprząg dla młodej duszy, boję się, by go nie poniósł na bezdroża.

— Sądzisz go pan zbyt ostro.

— Chciałbym, żebym się mylił.

— Ja go znam dobrze i wiem, że mu nic zarzucić nie można. Naszem staraniem być winno, utrzymać go na tej drodze, by przeciwności i zawody nie cofnęły go z niej.

— Jego ostatnie artykuły pokazują już pewne zboczenie od tej drogi, czuć w nich apostatę.

— Ja uważam w tem tylko chwilowy upadek ducha, z którego podnieść się musi silniejszy i zahartowany. Potrzeba mu tylko uczciwego doradcy, przyjaciela. Dziś jest sam jeden, nie poparty przez nikogo, odstąpiony przez wszystkich i dla tego zwątpił we wszystko.

— Czy pan nie starałeś zbliżyć się do niego.

— Robiłem, co mogłem, ale owa zdradzona tajemnica jego serca, o co mnie posądza, stanęła murem między nami. Muszę więc bądź co bądź zrzucić tę zaporę, by dostać się do niego i uratować go dla naszej sprawy.

— A jeżeli pan zginiesz?

— Ha, daremno, zrezykowałem się na to. Moja śmierć będzie najlepszym dla niego dowodem, że powinien wierzyć w uczciwość naszą. Pan będziesz się starał przekonać go o tem, będziesz działał za mnie. Ułożyłem to sobie naprzód i dla tego właśnie powodu zdecydowałem się prosić pana a nie kogo innego na sekundanta.

Długo jeszcze rozmawiali o tej sprawie. Milutyński starał się wszelkimi sposobami odwieść doktora od pojedynku, ale ten stał uparcie przy swoim.

— Stawiasz mnie doktorze, mówił dalej Milutyński, w przykrem bardzo położeniu. Ostatecznie nie będę mógł panu odmówić tej przysługi, jakiej odemnie wymagasz, a jeżeli się na to będę musiał zdecydować, będę działał wbrew moim przekonaniom, wbrew sympatyom moim, a nawet wbrew korzyściom naszego stronnictwa. Bo przyznam się panu, że nie podzielam pańskich nadziei względem wartości tego człowieka, dla którego chcesz zrobić ofiarę z twych zasad i życia. Wybierając

pomiędzy wami dwoma ani na chwilę nie wahałbym się poświęcić tamtego nie już ze względów osobistej sympatii, ale przez proste rozumowanie. Walka stronnictwa naszego z partią wsteczną trwa od lat wielu, a rezultaty jej lubo są, są bardzo małe w porównaniu do ważności prawdy, której bronimy. O ile zastanawiałem się nad tem przyszedłem do przekonania, że przyczyną wątpliwych zwycięstw i małych korzyści jest głównie to, iż dotąd walka nasza odbywała się na podstawie teoryj wylęgłych w głowach pojedynczych, wybitnych osobistości. Teorye te zawsze miały swoje słabe strony, których umieli użyć nieprzyjaciele przeciw nam. Dodaj pan do tego, że sami twórcy tych teoryj sprzeniewierzali im się często bądź wskutek zmiany przekonań, bądź dla mniej szlachetnych pobudek; a przyjdiesz pan do tego przekonania co i ja, że walka na polu teoryi, filozoficznych systematów nie doprowadzi nas do zwycięstwa. Słowo, jak miecz obosieczny, użyć się daje i nadużyć. Ale w ostatnich czasach na wielką pociechę moją spostrzegłem że walka z mglistej krainy przeniosła się na grunt realny, na pole innych umiejętności i doświadczeń, że badania przyrody zajęły uwagę powszechną, i na tej drodze widzę zwycięstwo prawdy, widzę postęp. Rozszerzające się w ten sposób światło nauki coraz to ciałniejszymi granicami ściska dawne przesady i uprzedzenia, ludzie ucząc się coraz więcej, badając coraz gruntowniej prawa przyrody, przychodzą do coraz jaśniejszych pojęć o życiu, pozbywają się coraz więcej złudzeń które ich w ciasnych granicach ciemnoty i zabobonu trzymały, i stają się prawdziwymi wyznawcami postępu nie w skutek sympatii i urojeń, ale przez konsekwencyą, w skutek dojrzałości umysłowej. Nauki przyrodnicze stały się wielkim sprzymierzeńcem naszym i zapewniają nam zwycięstwo, a ludzie uprawiający te nauki większą nam dają stokroć gwarancję, niż cały zastęp idealnych szermierzy, którzy na własną rękę prowadząc walkę często więcej szkodzili niż pomagali sprawie demokracji. Takie jest moje przekonanie. Zrozumiesz pan teraz dla czego mając do wyboru między panem i Antonim nie mógłbym się wahać, choćby tylko na podstawie obrachunku.

— Zgadza się z panem, odrzekł doktor, że kierunek przyrodniczy, indukcyjny, w jakim teraz idą ludzie, ma niesłychaną doniosłość, że w retortach i pod mikroskopami badaczy przyrody odkrywa się oręż, którym pokonamy ciemność i przesady; ale te drobne zapasy wojenne przygotowywane mozolnie przez pojedynczych badaczy, potrzebują myślących, filozoficznych organizatorów, którzyby je połączyli w jedną wielką armię; potrzeba również i takich, którzyby na podstawie nowszych poglądów, przerobili cały arsenał historycznych faktów i zastosowali do użytku, oczyścili stare i zardzewiałe, bezużyteczne czynniki wiedzy i zrobili z nich broń straszną dla nieprzyjaciół. Duch ludzki ma także swoje potrzeby, fantazja i uczucie łakną także pokarmu; idzie więc o to, aby się znaleźli ludzie, którzyby mogli podać pokarm zdrowy i posilny, słowem potrzeba nam rycerzy ducha, zdolnych szermierzy w dziale nauk moralnych. A Antoni ma wszystkie po temu warunki i dla tego tak mi chodzi o utrzymanie w naszym obozie tego człowieka,

Milutyński w milczeniu rozważał słowa mówiącego, na twarzy jego malował się frasunek.

— Widzę, rzekł, że będę musiał uleść konieczności i zgodzić się na żądanie pańskie. Za nim jednak to panu przyrzeknę, pozwól że będę jeszcze używał wszystkich sposobności, aby uniknąć tej ostateczności.

— Dobrze. Ale uprzedzam pana, że czasu mamy nie wiele.

— Dziś jeszcze rozpocynam robotę. Zacznę od widzenia się z Urbanem. Może mi się uda wymóżyć na nim odkrycie tajemnicy.

— Przekonasz się pan że to próżna praca.

— Zobaczymy.

Zbliżył się do okna i spojrzawszy na dziedziniec odezwał się:

— Powóz już czeka. Możemy jechać.

Zeszli na dół. Gdy już wsiedli do powozu, ze schodów schodził Władysław i mijając Milutyńskiego pokłonił mu się.

— A ten tu co robi u pana? spytał doktor wskazując na wychodzącego na ulicę Władysława.

— Pan go znasz?

— To kuzyn podobno hrabiego Medarda,

— Musiałeś się pan pomylić, czy dobrze mu się przypatrzyłeś?

— Zaraz przekonamy się.

Powóz ruszył z miejsca. Doktor przysunął się do szyby okna i pilnie obserwował Władysława idącego ulicą. Gdy go minęli zwrócił się do Milutyńskiego, i rzekł:

— Nie omyliłem się, to on. Pan go nie znasz? Wszak zdaje mi się, że wychodził z pańskiego pomieszczenia.

— Jest nauczycielem muzyki.

— Nigdy nim nie był. To gagatek salonowy, ulubieniec starych pań, które go uważają za geniuszka.

— W takim razie jest czemś więcej, bo oszustem, który nadużył zaufania mej córki i mojego, i wkradł się w nasz dom. To niegodnie.

Łagodna zwykle twarz Milutyńskiego, przybrała w tej chwili wyraz ostry i surowy.

— W jakiż sposób zrobiłeś z nim znajomość?

— Kornelka poznała go u swej matki i *życzyła*, sobie brać od niego lekcye.

— O ile słyszałem, to posądżają go o romans z baronową.

— A, to już za wiele. Obejdę się z nim, jak na to zasługuje, kto wie w jak podłych zamiarach wślizgnął się do mego domu. Wdzięczny ci jestem doktorze za przestrożę, która mi uratuje dziecko. Kornelka mu ufała i ja przyznam ci się żywiłem dla niego wiele sympatii. Pokazuje się, że nie umiem poznawać ludzi. Jutro zdemaskuję jego incognito i wypędzę z mego domu.

Dziwnym więc zbiegiem okoliczności stało się, że właśnie w ten dzień, w którym Władysław chciał odkryć przed Milutyńskim istotne nazwisko swoje i wyjednać sobie tem przebaczenie dla swego płochego postępu, miała spaść na niego niespodziewana burza, która niedojrzałe postanowienie zniweczyć miała. Nie przeczuwał wcale tego, co go spotkać miało i pod wpływem błogiego spokoju wracał do domu. Czekala go tam niespodzianka, list baronowej, w którym prosiła go by ją. dziś jeszcze natychmiast odwiedził. Nie w porę mu było to zaproszenie, wizyta u baronowej nie licowała dziś z poważnym i uroczystym nastrojem jego duszy.

Ale po niejakiem namyśle zdecydował się iść tam, a nawet rozważając gruntowniej obecne swoje położenie, przyszedł do przekonania, że zaproszenie baronowej poddawało mu właśnie sposobność do prędszego skutecznienia tego, co sobie postanowił. Równocześnie bowiem z wewnętrzną przemianą, jaka się teraz odbywała w jego duszy pod wpływem nowych uczuć i wrażeń, uważał za konieczność zerwanie dwuznacznego stosunku z baronową, który mu się teraz wydawał upakarzający i nieuczciwy.

Nie wiedział jeszcze w jakiej formie to zrobić i kiedy, ale był pewnym, że zrobi to niezawodnie. Zaproszenie baronowej przyspieszało ziszczenie tego postanowienia i poszedł natychmiast do niej, czując dziś więcej niż kiedykolwiek odwagi do stanowczego kroku.

Wchodząc do mieszkania baronowej zobaczył parę kufrów przygotowanych do drogi, w które służąca wkładała rzeczy. Na zapytanie jego co to znaczy odpowiedziano mu, że pani baronowa dziś wieczór wyjeżdża. Była to wiadomość, której się najmniej spodziewał i dla tego przyjął ją z zadziwieniem niemałym. Nagłe postanowienie wyjazdu baronowej, o którym dziś rano jeszcze mowy nie było, kazało mu się domyślać jakiegoś nadzwyczajnego powodu, który go zaniepokoił. Z pewnem

drżeniem i pomieszaniem nacisnął klamkę i wszedł do salonu. Zastał baronowę siedzącą na kanapie i widocznie oczekującą jego przybycia.

Była bladą, jakby po nieprzespanej nocy, a koło oczów znać było lekkie zaczerwienienie. Jednak gdy ujrzała wchodzącego usiłowała nadać twarzy wyraz spokojny i wesoły. Nie chciała, aby poznał, ile ją kosztowało wyrzeczenie się jego miłości, bo po to go wezwała, aby mu powiedzieć, że znajomość ich skończyć się powinna.

Uprzedzić chciała przez to cios, który ją czekał. Walka tu była niepodobną. Z wszelką inną kobietą rywalizowałyby zacięcie, użyłaby wszelkich sposobów jeżeli nie do odzyskania serca Władysława, to do zniszczenia jego miłości dla drugiej i przeszkodzenia mu na każdym kroku. Ale tutaj słowo „córka” rozbijało ją i zażegnywało burzące się w niej złe potęgi. Postanowiła zrobić z siebie ofiarę i dobrowolnie zrzec się miłości tego, który już przestał należeć do niej. Zrobić zaś chciała to w sposób najmniej dotkliwy dla siebie i bez upokorzenia miłości własnej; dla tego siła się na wesołość i dobry humor. Podała Władysławowi rękę na powitanie i wskazała mu miejsce obok siebie.

— Cóż to odjeżdżasz? spytał Władysław nie mogąc wyjść jeszcze z podziwienia, w jakie go wprowadził ten niespodziewany wyjazd baronowej. Cóż się stało?

— Cóż cię w tem tak dziwi? spytała obojętnie.

— Przed kilkoma godzinami nie było jeszcze mowy o tym projekcie.

— Czyż tak wiele potrzeba czasu i namysłu na kilkogodziną przejażdżkę?

— Przecież musiało cię coś skłonić do tego?

— Nic, po prostu kaprys, fantazja, a może, — tu zatrzymała się i spojrzała mu bystro w oczy z przenikliwym uśmiechem, i dodała: a może i nudy. Nie gniewaj się mój drogi; ale wcale nie wyglądałeś zabawnie w roli zakochanego. Już to przyznać trzeba, że oboje źle graliśmy rolę. Przekonałam się że nie mam woale zdatności do ról zakochanej heroiny starych romansów. Myślałam że taka zabawka rozerwie mnie trochę podczas nieobecności Artura; ale widzę że nie i dla tego jadę szukać innej rozrywki.

Władysław wpatrzył się w nią osłupiałym, błędnym wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie i przerażenie. Słuchał i własnym uszom nie wierzył.

— Jakto? zapytał gwałtownie, więc to wszystko była komedia? A to potworne!

— A tyś może brał na seryo. A to byłoby zabawne.

I zaczęła się śmiać dzikim, szalonym śmiechem; ale wnet śmiech, przemienił się w spazmatyczne łkanie. Straciła panowanie nad sobą; boleść jej potargała wszystkie zapory, któremi ją stłumić chciała i wylała się głośnym płaczem, który szarpał jej piersi. Władysław poskoczył ku niej by ją ratować i prośbami starał się ją ocucić i przywieść do przytomności. Zajęty ratowaniem omdlałej baronowej nie słyszał, że drzwi skrzypnęły i ktoś wszedł do salonu. Był to hrabia Artur.

Ujrzawszy baronowę w objęciach Władysława wstrząsnął się cały, jakby iskra elektryczna szarpnęła jego nerwy, a wyraz srogiego zadziwienia i oburzenia przeleciał po jego bladej twarzy i pokurczył potwornie jej rysy. Trwało to jednak krótką chwilę; wnet opamiętał się i z szyderskim cynicznym uśmiechem, co stanowił zwykły strój jego twarzy, obserwował w milczeniu czułą scenę.

Władysław widząc, że baronowa nie daje znaku życia, zerwał się, by biegnąć po ratunek dla niej, gdy naraz odwróciwszy się, spotkał się z przenikliwym, kłującym wzrokiem Artura. Cofnął się zmieszany i jakby na usprawiedliwienie swojej bytności wskazał machinalnie ręką omdlałą baronowę, i rzekł: - Baronowa zasłała.

— To twoja wina, źle ją pielęgnowałeś. Pozwolisz, że cię teraz wyręczę.

To powiedziawszy zbliżył się do omdlałej, wziął ją na ręce i wyniósł do sypialnego pokoju.

Władysław pozostał w salonie. Odchodzić nie wypadało, byłoby to tchórzostwem; był pewnym, że Artur za chwilę wróci i czekał na niego. W istocie nie długo czekał. Artur wrócił do salonu, ale zdawał się nie uważać wcale jego obecności, poszedł prosto do stolika i zadzwonił.

— Po doktora, rzekł do służącego, a gdy ten wyszedł, spojrzął na stojącego z kapeluszem w ręku Władysława, i rzekł chłodno:

— Możesz odejść, damy sobie radę bez ciebie.

— Zapewne będziesz żądał odemnie satysfakcji, wiem że ci ją dać jestem obowiązany i służę ci w każdej chwili.

— Satysfakcji? spytał Artur dumnie go mierząc od głowy do stóp, za co? Dam ci tylko radę że zamiast wałęsać się po kobiecych buduarach, czasby już było abyś zajął się jaką pracą, bo wiecznie naszym kosztem utrzymywać cię nie możemy.

Krew uderzyła Władysławowi do głowy na te słowa; postąpił gwałtownie do Artura i rzekł głosem ścieśnionym od gniewu:

— Arturze, zdasz mi rachunek za te słowa.

— Co? Pojedynek? Ja nie Herod, żeby m małoletnich mordował.

— Zmuszę cię do tego, to powiedziawszy chwycił za kapelusz i wyszedł z pokoju.

IX.

Rozgorączkowany i wzburzony wrócił Władysław do siebie, wstyd i upokorzenie paliły mu twarz gorącym rumieńcem, a chęć pomszczenia pojedynkiem doznanej obelgi roznamiętniała zboląłą duszę. Pragnął jak najprędzej rozprawić się z Arturem, zdawało mu się, że tylko krew oczyścić go może z tej plamy, jaką rzucono na niego, że krew uspokoi go — mniejsza o to z czyjej rany płynąć będzie. Ale po niejakiem czasie, gdy bardziej rozmyślać zaczął nad zajściem u baronowej, gdy refleksya wzięła górę nad chwilowem rozdrażnieniem, musiał przyznać, że w słowach Artura lubo obrażających go do żywego — była prawda, prawda bolesna, okropna, której dotąd sam nie spostrzegł. Czemże on był jeżeli nie dziadem żyjącym z łaski i jałmużny. Dziwił się jak mógł dotąd nie spostrzedz tego. — Łaskawość opiekuna, przyzwyczajenie, brak zastanowienia się nie dały mu dotąd uczuć upokarzającego położenia, żył z dnia na dzień łaską i pomocą hrabiego Medarda, nie myśląc nigdy o tem, wśród ciągłych zabaw i zajęć przyjemnych nie zważał, że żyje o zebranych chlebie. Potrzeba było aż szorstkiego wstrząśnienia, by się obudził z tego złudzenia; cyniczna niedelikatność Artura zdarła tęczowe obłony z jego oczów i pokazała mu okropną rzeczywistość. Przebudzony w ten sposób począł coraz więcej zastanawiać się nad sobą i coraz czarniejsze, smutniejsze myśli snuł w głowie. Zapytywał sam siebie czem jest? jaka przyszłość go czeka i wzdrygnął się, jak przed złowrogiem widmem, przed grozą tych surowych pytań, na które nie miał w tej chwili odpowiedzi. Następnie pytał siebie: czy pojedynek z Arturem jest w stanie oczyścić go z zarzutu, jaki mu uczyniono. Gdyby mógł być pewnym że kula Artura położy koniec jego życiu, nie wahałby się ani na chwilę stanąć do pojedynku i oddać życie, które teraz nie tylko nie miało w jego oczach żadnej wartości, ale nawet budziło w nim obrzydzenie. Ale jeżeli właśnie jego strzał będzie szczęśliwszy i Artur padnie. Czy to nie będzie potwornym czynem zabić syna tego, od którego doznawał przez tyle lat opieki, pomocy? Czy byłoby to uczciwie w ten sposób spłacać dług wdzięczności? Te skrupuły rozbroiły jego namiętne pragnienie pojedynku.

— Nie, — zawołał z rozpaczą rzucając się na kanapę — mnie nie wolno mścić się zniewagi na nikim, tylko na sobie, bo ja tylko sam znieważylem siebie — i rozplakał się głośno jak dziecko.

Płacz uspokoił go trochę część boleści spłynęła ze łzami i ulżyła sercu. Leżąc na kanapie z głową wciśniętą w poduszkę rozmyślał już spokojniej i trzeźwiej nad swoim położeniem i nad tem, co mu teraz czynić wypada. Z początku były to jakieś bezładne, fantastyczne marzenia, które powoli poczęły krystalizować się w realniejsze formy, aż się wcieliły w postanowienie, że powinien wiaść się do pracy, — a równocześnie z tem postanowieniem przyszło drugie, że powinien opuścić dom hrabiego. Myśli tej uczeplił się z entuzjazmem i postanowił natychmiast ją wykonać. Wrażliwy i drażliwy umysł jego brał wszystko na gorąco, doraźnie, — nie znał co to namyślać się i rozważać i dla tego nie chciał zwlekać wykonania postanowienia. Zdecydował się natychmiast opuścić dom hrabiego, rozpocząć życie na własną rękę i pracować.

Kiedy stary Tomasz wszedł do jego pokoju, by go poprosić do herbaty, udał że śpi, chcąc tym sposobem uniknąć prawdopodobnego spotkania się z Arturem. Tomasz na palcach wysunął się z pokoju, po pewnym jednak czasie wrócił, przyniósł nakrycie do herbaty i na małym stoliku obok kanapy postawił szklanki, czajnik i przekąskę, aby Władysław skoro się przebudzi znalazł wszystko pod ręką. — Po wyjściu służącego Władysław podniósł się, spojrzął na stolik i ze wstrętem odwrócił się od niego. Zdawało mu się że przyniesiono mu posiłek, jak żebrakowi. Zbyteczną troskliwość Tomasza wytłumaczył sobie jako litość i jeszcze więcej uczuł swe upokorzenie.

— Nie, ja tu dłużej bawić nie mogę — mówił do siebie chodząc po pokoju — ten chleb dawany przez litość zadławiłby mnie. Trzeba uciekać jak najprędzej.

Zamysł ucieczki, zniknięcia bez śladu z domu hrabiego coraz silniej opanowywał jego wyobraźnię i przekonywał go o nieprzepartej konieczności zdecydowania się na to. Pokładając dosyć wiary w swój talent muzyczny, oparł na nim cały szereg planów dotyczących jego przyszłości. Miał nadzieję, że muzyka którą dotąd traktował po dyletancku — teraz w potrzebie zapewni mu utrzymanie i da imię w świecie. Rozmarzony temi nadziejami umysł jego odgadywał i przeczuwał wrażenie, jakie w kółkach znajomych zrobi nagła wiadomość o jego pierwszym koncercie w Wiedniu. Tam bowiem postanowił się udać najpierw i od razu dać się poznać jako kompozytor i wirtuoz. Długi czas na ten temat myśl jego tworzyła najcudowniejsze wariacje i tak się zapatrzył i wsłuchał w te fantastyczne rojenia duszy, że zapominał całkiem o rzeczywistości. Dopiero uderzenie zegaru, który wydzwonił północ zbudziło go z tego zadumania i przypomniało, że czas wielki wziąć się do wykonania powziętego postanowienia. Zaczął od napisania listu do siostry. List był w tych słowach:

„Droga Jadwiniu! Wyjeżdżam, bo chcę pracować sam na siebie i nie być nikomu w życiu ciężarem. Nie będę ci dziś szeroko rozpowiadał przez jak bolesny eksperyment myśl ta obudziła się we mnie; dość ci wiedzieć, że przyszedłem do przekonania, iż żyd dłużej z łaski nawet tak zacnego człowieka, jak nasz opiekun, byłoby wstydem dla mnie, który powinienem zapracować na siebie. — Wyjeżdżam bez pożegnania, bo się obawiałem, by twoja troskliwość i czułość nie odwiodły mnie od męskiego postanowienia, które stało się koniecznością. Wiem, że mi to przebaczysz i postarasz się wyłómaczyć i usprawiedliwić mój krok w oczach naszego opiekuna, — a życzenie i błogosławieństwo twoje pójdzie za mną. Dla tego rzucam się odważnie na otwarte i burzliwe odmęty życia, któremu dotąd ze spokojnej przypatrywałem się przystani; — a idę z silną wiarą, że nie zginę, że pracą własną i zasługą wzbiję się w górę i dzieciak wróci do was człowiekiem, by spłacić dług wdzięczności dobroczyńcy i zapewnić przyszłość sobie i tobie. Oby mnie ta wiara niezawiodła — módl się za mną i pamiętaj o kochającym cię zawsze bracie.”

Napisawszy list wsunął go w kopertę i położył na biurku. Po chwili jednak zmienił postanowienie, wziął list i lampę ze stołu i poszedł ku drzwiom prowadzącym do pokoju siostry. — Otworzył je cichutko i zasłaniając ręką światło lampy wszedł tam na palcach, ostrożnie; Jadwiga spała mocno, Władysław położył list na stolyczku obok łóżka i czas jakiś stał przy łóżku wpatrując się z czułością i smutkiem w twarz śpiącej, na której łagodnych rysach jaśniał nieziemski spokój. Potem nachylił się nieco i dotknął lekko gorącymi ustami białej ręki, która spoczywała na błękitnej kołdrze — i oddalił się szybko nie uważając że Jadwiga w tej chwili otworzyła oczy i dojrzała go gdy już przymykał za sobą drzwi. Zapytała go, czego chce; ale już nie słyszał pytania rzuconego za nim dość cichym głosem. Po wyjściu jego nie mogła zasnąć zaraz, dziwny niepokój ją ogarnął, z którego nie umiała zdać" sobie sprawy, bo całkiem nie odnosiła przyczyny jego do nocnej wizyty brata. Była bowiem pewną, że pewnie po jaką książkę, lub gazetę wszedł tak późno do jej pokoju. Aby ulżyć bezsenności usiadła na łóżku i zapaliła świecę. — W tej chwili wzrok jej padł na list leżący na stolyczku. Poznała pismo brata i z bijącym sercem pochwyciła list drżącymi rękami. Przeczytawszy go, zerwała się szybko z łóżka, zarzuciła turecki szlafroczek i szal i poszła za bratem. Zastała go pakującego rzeczy w mały, podróżny kufeczek. Gdy ją zobaczył wchodzącą zmieształ się i zaniepokojony spojrzał jej w oczy.

— Przeczytałaś list? — spytał domyślając się powodu jej przyjścia.

— Tak.

— I przyszłaś aby mnie wstrzymać od mego zamiaru?

— Nie — odrzekła, twarzą bladą — przyszłam się pożegnać z tobą.

On zdziwiony podniósł na nią oczy — spojrzenia ich skrzyżowały się i zdawały badać siebie na wzajem.

— Więc i ty byłaś tego zdania, że powinienem pracować? A dla czego mi tego dawniej nie mówiłaś.

— Nie myślałam, że będziesz miał dość siły do takiego postanowienia. My oboje — dodała zniżonym i smutnym głosem — powinniśmy pracować, aby nie być nikomu ciężarem; ale nas nie nauczono pracować.

— Ja będę pracował dla ciebie i dla siebie, bo jestem mężczyzną. Mam chęć do pracy i wierzę trochę w moje zdolności.

Tu zaczął się jej szeroko spowiadać ze swoich nadziei w zawodzie artystycznym, z projektów swoich, do których ona dodawała swoje rady i uwagi. W końcu przyniosła mu ze swego pokoju książkę do nabożeństwa i pugilares, w którym znajdowały się oszczędzone przez nią pieniądze z pensji miesięcznej, jaką pobierała od hrabiego na własne wydatki. Władysław nie chciał przyjąć tych pieniędzy i z trudnością udało jej się namówić go, że wziął to jako pożyczkę.

Świtać już zaczynało. Jadwiga pierwsza przypomniała bratu, że czas już na kolej, podała mu obie ręce na pożegnanie i nachyliła się ku niemu, by go pocałować. Robiła to wszystko z pozornym spokojem, jednak zimne usta i twarz śmiertelnie blada zdradzały, że cierpi, że sili się tylko na odwagę, by nie osłabiać postanowienia brata, który w stanowczej chwili tracił energią, przytomność i zbierał się do wyjścia machinalnie, roztargniony.

— Odwagi Władziu! — szeptała Jadwiga odprowadzając go ku drzwiom. A pisz nie zadługo. List adresuj na ręce Antoniego. Bądź zdrów.

Władysław uściśnął siostrę i wybiegł spieszenie z pokoju, by ukryć przed nią łzy, które sznurkiem puściły mu się z oczów, by nie słyszała głośnego łkania jego. Wstydił się nie męskiej tkliwości swojej w obec spokojnej rezygnacji siostry. Na ulicy było jeszcze pusto i szaro. Odgłos jego kroków powtarzały ściany kamienic. Chłodny poranny wiatr ostro ocierał mu łzy z twarzy rozpalonej. — Ten chłód, ta pustka i brudny koloryt popielatego zmroku przykrem uczuciem przejmowały jego serce i smutną zdawały się być wróżbą. Władysław w ponurem usposobieniu w jakimś apatycznym odrętwieniu szedł naprzód, więcej machinalnie jak z rozwagą, Gdy minął kilka ulic i skręcił w aleję ujrzał już ruch większy. Dorożki i piesi podróżni zdążali do dworca kolei, a robotnicy w czarnych bluzach z różnych stron miasta spieszyli do fabryki. Widok ten przypomniał Władysławowi Milutyńskiego, około którego mieszkania właśnie miał przechodzić. Równocześnie przypomniało mu się, że miał odkryć przed nim swoje istotne nazwisko i namyślać się począł, czy nie należałoby mu przed wyjazdem widzieć się z nim i zrobić to. Myśl ta kusila go bardzo, bo z nią łączyła się nadzieja zobaczenia jeszcze raz Kornelki i pożegnania się z nią. Ale po głębszym namyśle zaniechał tego zamiaru. — Niech trwają — myślał sobie — w tem przekonaniu, że jestem nauczycielem. Odkrywając im moje nazwisko musiałbym się przyznać, że jestem niczem, gorzej jeszcze, bo dziadem. Skoro nazwisku memu nadam jaką taką wartość pracą, wtedy będę mógł bez zarumienienia powiedzieć im, kto jestem.

Niechcąc osłabnąć w tem postanowieniu przy spieszył kroku, by jak najprędzej stracić z oczów dom Milutyńskiego, który go ciągnął ku sobie drogiemi wspomnieniami. — Za kilka minut stanął na dworcu kolei. W kwadrans potem był już na drodze do Wiednia..

Znał już to miasto poprzednio przebywając w nim w towarzystwie hrabiego Medarda; ale znał je wtedy ze strony świetnej, uroczej, pełnej przyjemności i zabaw, których używał bez rachuby, cudzym kosztem. Teraz przybywał do tego miasta ubogi, zmuszony liczyć się z każdym wydatkiem, by skromne jego fundusze wystarczyły mu na czas jakiś dopóki nie będzie mógł zarabiać na swoje

utrzymanie. W takich warunkach Wiedeń przedstawił mu się trochę inaczej, niż dawniej; to co dawniej go nęciło dziś przestraszało go tylko, zbytek i przepych raziły jego oczy. Z tłumoczkami w rękę pieszo przeciskał się przez tłum ludzi, na który dawniej z powozu zaledwie spojrzeć raczył; szybko omijał świetne hotele na Ringach do których zwykle z hrabią zajeżdżał i zapuścił się w ciasne poboczne uliczki szukając jakiego taniego mieszkania. Znalazł je w jakimś hotelu garni za opłatą guldena dziennie. Po paru dniach wycieczki, w których musiał oswajać się ze swoim nowym położeniem, przywykać do rachowania się z każdym groszem i myślenia o zaspokojeniu swych potrzeb i wydatków, Władysław zabrał się do urzeczywistnienia głównego zamiaru, dla którego tu przybył to jest do dania koncertu, przez który spodziewał się zwrócić na siebie uwagę świata muzycznego i znaleźć uznanie i sławę, — w tym celu szukał kogoś, ktoby mu jako nieznajacemu stosunków miejscowych, pomógł w tym względzie i zajął się administracyjną częścią koncertu. Wskazano mu jakiegoś żyda z Leopoldstadtu, który specjalnie zajmował się urządzaniem koncertów. — Udał się do niego Władysław; ale żyd ów po krótkiej z nim rozmowie oświadczył mu, że urządza koncerty tylko ludziom z ustaloną już sławą, że muzyk choćby utalentowany jeżeli nie ma protekcji sfer bogatszych i poparcia w gazetach — nie może liczyć na żadne powodzenie. W końcu przez szczególną jak się wyraził życzliwość, ofiarował się urządzić koncert ale pod warunkiem, że za trudy swoje i koszty urządzenia otrzyma z góry zapłatę. Suma, którą podał, wyniosła prawie tyle, ile cały fundusz Władysława, postawić to wszystko na niepewne wydawało mu się zbyt hazardownem i dla tego wahał się i namyślał. — Ale zaufanie jakie miał w talencie swym i jakaś lekkomyślna wiara w swoje szczęście zdecydowały, że zgodził się na warunki postawione przez przedsiębiorcę i wypłacił mu całą sumę zachowując sobie kilkanaście zaledwie guldenów, któremi miał opędzić potrzeby swoje aż do czasu koncertu. Po za to nie sięgała przezorność jego, bo wierzył, że po koncercie zmieni się jego położenie szczęśliwie.

Pierwszą czynnością przedsiębiorcy było, że go zaprowadził do fabryki Bosendorfera, by wybrał dla siebie jaki fortepian na koncert. W składzie fortepianów zastali jakiegoś garbuska w wytartym oliwkowym surducie, który wysłuchawszy życzenia przedsiębiorcy, wskazał Władysławowi kilka fortepianów, przeznaczonych do wypożyczania koncertantom i rzekł:

— Proszę sobie wybierać.

Władysław po dłuższej próbie obrał jeden, który uważał za najlepszy i zapytał garbuska czyby nie mógł przychodzić tu codzień dla ćwiczenia się, gdyż jako przejezdny nie ma u siebie fortepianu. Garbusek zgodził się na to z wielką uprzejmością i polecił służącemu, by w razie jego nieobecności był na usługi koncertanta.

Zaraz drugiego dnia potem Władysław zjawił się w zakładzie. Garbuska nie było jeszcze. Służący stosownie do instrukcji przybiegł, otworzył fortepian otarł z kurzu i przysunął stółek. Władysław usiadł i grać zaczął najpierw dla ćwiczenia palców różne studia, potem koncert Chopina i kilka innych utworów muzycznych, któremi chciał się popisywać na koncertach, a zakończył sonatą „Mondschein” Beethowena. Gdy zmęczony forsownem graniem i zarumieniony od wzruszenia wstał, spostrzegł za sobą stojącego garbuska, który oparty o stółek zdawał się uważnie słuchać i sympatycznym wzrokiem wpatrywał się w niego. Wzrok ten miał w sobie coś tak szczerego, ujmującego i pociągającego, że Władysław ulegając pierwszemu wrażeniu zbliżył się do garbuska i zapytał go z otwartością serdeczną:

— Pan zapewne jesteś także muzyczny?

— Tak, gram trochę — odrzekł zażenowany nieco tem pytaniem. Stanowi to poniekąd moje zatrudnienie tutaj, bo obowiązany jestem grywać osobom zwiedzającym zakład i wybierającym fortepiany.

— I musiałeś pan słyszeć wielu grających.

— Najpierwsi mistrzowie wybierali dla siebie fortepiany z naszej fabryki.

— Słuchając ich gry musiałeś pan sam skorzystać wiele i wyrobić sobie zdrowy sąd o muzyce.

Dla tego proszę pana powiedz mi szczerze i otwarcie, czy z mojemu siłami mogę porwać się na publiczny występ.

Garbusek podniósł oczy na mówiącego i przenikliwie wbił je w twarz jego, a potem odrzekł:

— Słyszałem artystów, którzy nie mieli ani tyle techniki co pan, ani tyle uczucia w grze, a jednak dawali tu koncerty z powodzeniem. Zależy to od tego przed kim się gra i kto urządza koncert. Reklama przedsiębiorców wiele znaczy. Jeżeli panu zależy na świetnym powodzeniu postaw pan przedsiębiorcy warunki wygórowane, a wtedy możesz być pewnym, że dołoży wszelkiego starania, aby się koncert udał.

— Jaki mam stawiać warunki?

— Może stało się przeciwnie.

— Tak. On postawił warunki i zażądał z góry zapłaty.

— I pan mu dałeś?

— Cóż miałem robić? — Nie było wyboru.

— Szkoda, że się pan tak pospieszyłeś — wpadłeś w ręce niesumiennego przedsiębiorcy, który będzie chciał wyzyskać cię o ile się da. Czyś pan już występował kiedy publicznie?

— Nigdy. To będzie pierwszy mój występ.

— A on wiedział o tem i dla tego korzysta z tego. Już to każdy z nas opłacić musi frycowe.

— Czy i pan je opłaciłeś?

— Tak i mnie się raz chciało dawać koncert — rzekł garbusek z przymuszonym uśmiechem — ale to już dawno temu. Miałem czas wyleczyć się z tego. Tu znowu uśmiechnąć się silił, jakby chciał drwić z siebie samego. Twarz jego pokurczona tem przymuszonym śmiechem miała wyraz przykry.

— Nie o mnie jednak teraz chodzi — rzekł po chwili — jeno o pana. Trzebaby jako zaradzić, by pana ten żyd nie oskubał do szczętu. Nie wiele ja wprawdzie mogę, ale co mogę to zrobię.

Władysław wziął rękę garbuska i uściśnął ją z podziękowaniem.

— To zawczasie, rzekł garbusek — może na końcu pokaże się, że nie było mi za co dziękować. Mam jak to mówią, nieszczęśliwą rękę.

— Poczciwa rada nie może przynieść nieszczęścia.

— Poczciwa? A jeżeli ja panu poradzę źle przez zazdrość artystyczną? rzekł garbusek z uśmiechem łagodnym, który kłam zadawał jego słowom.

— W każdym razie wolę upaść przez zawiść artysty, niż intrygi spekulanta — odrzekł Władysław równie żartobliwym tonem.

— A więc dobrze, najprzód trzeba — ba, albo to można spokojnie porozmawiać. Otóż zjawiają się, kiedy ich najmniej potrzeba.

Mówiąc to wskazał na osoby wchodzące do zakładu.

Wczoraj tu już byli oglądać i targować fortepiano. Będą nudzić z godzinę. Przy nich rozmawiać niepodobna.

— Zobaczymy się jutro.

— I znowu nam kto przeszkodzi. Lepiej żebyśmy się zeszli, gdy mam czas zupełnie wolny, np. wieczorem, gdzie pan mieszkasz?

Władysław powiedział swój adres.

— A więc będę u pana po siódmej.

Podał mu rękę na pożegnanie i spojrzał na niego wzrokiem tak pełnym życzliwości, że

Władysławowi ciepło i wesoło zrobiło się w duszy pod wpływem tego spojrzenia. Wrócił do domu pełen dobrej otuchy, że wszystko pójdzie dobrze, skoro na wstępie znalazł między obcymi tyle życzliwości i przyjaźni.

Garbusek stawiał się wieczorem podług umowy zaraz po siódmej. Władysław powitał go jak dobrego znajomego i poprosił siedzieć.

— Przedewszystkiem — rzekł siadając na krześle podanym — muszę panu wytłumaczyć powód mojego zainteresowania się panem. Bez tego objaśnienia mógłbyś mnie pan wsiąść albo za waryata, albo za zręcznego wyzyskiwacza ludzi młodych i niedoświadczonych. — Nie sil się pan na komplementa — rzekł przerywając Władysławowi, który chciał coś mówić — cokolwiekbyś mi powiedział nie wytłumaczy mnie tak, jak moje wyjaśnienie. W istocie zająłem się panem bardzo, bo jest między nami coś, co nas zbliżyło, spokrewniło. Jest to owa Beethovenowska sonata, którą pan grałeś w chwili, gdy wszedłem do zakładu, — utkwiała mi ona głęboko w pamięci bo na niej złamały się moje młodzieńcze marzenia o sławie i wielkości; a była ona zarazem uwerturą do tego cichego lichego życia, jakie teraz prowadzę.

Sonatę ową grałem właśnie na pierwszym moim koncercie — lat temu piętnaście. Był to pierwszy i zarazem ostatni mój koncert, w sonacie leżał mój sąd i wyrok. Toteż nie będziesz się dziwił, że skoro dziś rano wszedłem do zakładu i usłyszałem ciebie grającego tę sonatę, skoro mi powiedziałaś, że nią rozpoczynasz twój pierwszy koncert, zdawało mi się, że to ja drugi raz, tylko w innej postaci, odrodziłem się i rozpoczynam na nowo pielgrzymkę artystyczną, wszystkie pragnienia i nadzieje, jakie iniludziłem się dawniej, za-tętniały we mnie, że aż serce zadygotało ze wzruszenia i zazdrościłem ci tej chwili, a smutne doświadczenie kazało mi równocześnie żałować cię. Zamyślił się garbusek; ale wnet otrząsnął się z przykrej zadumy i rzekł poprawiając się:

— Ot kraczę jak wrona nieszczęście — głupie przyzwyczajenie, — tak się nauczyłem wątpić we wszystko, że tobie chcę także odebrać odwagę. Nie słuchaj mego głupiego marudzenia. Inna rzecz ty, inna rzecz ja. Ciebie natura wyposażyła wszystkiem, że mnie zrobiła parodią człowieka, a cóż dopiero mówić o artyzmie—wyobrazić sobie sztukę w takich potwornych kształtach — to ironia. Można umrzeć ze śmiechu patrząc na taki ideał artysty.

Garbusek stawał się coraz bardziej cierpki i zgryźliwy. Władysław chcąc wyprowadzić go z tego przykrego usposobienia przerwał mu zapytaniem:

— I pan poprzestałeś na jednym koncercie? — Dałeś się pan odstraszyć tak łatwo przeciwnościami?

— Dwa takie koncerty byłyby ranie strawiły, zjadły. Niechciałem narażać się na powtórny eksperyment, jeden wystarczył, aby mnie odebrać odwagę na zawsze.

— I cóż wpłynąć tak mogło na niepowodzenie koncertu?

Garbusek się roześmiał boleśnie.

— Co? Gdyby jedna lub dwie przeszkody, byłoby nic; ale wszystko, wyobraź sobie wszystko.

Entrepreneur mnie zdarł i nie dotrzymał umowy, nie porobił ogłoszeń, nie opalił sali, sprowadził lichy fortepian; szalona zamieć śniegowa odstraszała ludzi od wyjścia z domu. Do tego dodaj że gaz, głupi gaz nawet sprzysiągł się z innemi żywiołami na nieudanie się mego koncertu, gaz zamarznął w rurach, koncert się miał zaczynać, a sala była ciemną. W ostateczności posłałem po kilka funtów świec i kazałem obstawić niemi estradę i oświecić tych kilka osób, które pomimo niepogody przyszły i w futrach marznąąc w zimnej sali, czekały na moją sonatę.

— Czy nie można było odłożyć?

— Entrepreneur ani chciał słyszeć o tem; chyba gdybym mu był koszta wrócił, a nie miałem z czego, bo przybyłem z prowincyi o bardzo szczupłych funduszach, które się wnet wyczerpały. Trzeba

więc było odrobić swoje. Wyszedłem na salę błądy i zmieszany, — gdy zobaczyłem na estradzie fortepian otoczony rzędem smutnie palących się świec, zdawało mi się, że widzę katafalk, na którym brakowało tylko trupa. Cały koncert miał minę pogrzebu. Z siniałymi od zimna palcami, z niepokojem i pomieszaniem usiadłem do fortepianu i zagrałem ową nieszczęśliwą sonatę. Grałem ją tak lichy, jak nie pamiętam — grałem jak student w obec surowego nauczyciela, w oczach mi się mieszały klawisze, palce się plątały i popełniały fałsz po fałszu, że mi coraz więcej brakowało odwagi dokończyć. Dobiłem wreszcie do końca. Z ciemnej sali, w której siedziała publiczność dolatywały mnie śmiechy i ktoś klasnął nawet jakby na drwiny. Chciałem poprawić moją reputacją i rozpocząłem co prędzej drugi kawałek; ale publiczność nie ciekawa już była dalszej gry i wyносиła się z sali. Słyszałem kroki wychodzących; ale nie śmiałem spojrzeć na nich — wstyd palił mi twarz — i grałem dalej. Dopiero obsługa zwrócił dość niedelikatnie moją uwagę, że niepotrzebnie się trudzę, bo już nikogo nie było w sali. Wstałem od fortepianu zrozpaczony, zgnębiony i uciekłem do domu. Com ucierpiał, tego panu dziś nie byłbym w stanie opowiedzieć, złorzeczyłem pamięci ojca, który mnie uczył początków muzyki, przeklinałem tych którzy mnie pochwałami psuli i wzbudzali we mnie ambitne nadzieje. — Była chwila w której myślałem o samobójstwie; śmierć wydawała mi się jedyną ucieczką przed sobą samym, brak celu życia zbrzydził mi życie, nicość była najodpowiedniejszą dla mnie, który byłem niczem. Potrzeba tylko było odrobinę odwagi, aby wykonać na sobie tę operację w której było stanowcze lekarstwo dla mnie; ale tej odwagi mi zabrakło a instynkt zachowawczy, który robakowi lichemu każe żyć i ratować się, skłonił mnie, że przeniosłem mizerne i chorowite życie nad śmierć. Dusza zwinęła żagle, z motyla zmieniłem się w gąsiennicę i pełzam i żyję, jak pan widzisz. — Żyje nawet nieźle, mam lekcyę, które zapewniają jakie takie utrzymanie dla mnie, żony i dzieci (bo nawet ożeniłem się), w zakładzie mam też nie złą pensyjkę i byłoby mi nawet całkiem dobrze, gdyby nie te szalone pragnienia sławy, których nie mogę zdusić w sobie, które mnie czasem męczą okropnie. Szczególniej ile razy widzę jakiego młodego artystę, jak np. pana dzisiaj, wchodzącego w świat z wiarą i zapalem, demony moje budzą się i niepokoją mnie i kuszą. Doświadczam wtedy tego, co doświadcza matka, gdy córka jej wstępuje w dziewicze lata i poczyna marzyć, kochać. Matka siłą odczucia zaczyna żyć po raz drugi i razem z córką marzy, kocha, niepokoi się, spodziewa i czeka. Rozumiesz pan teraz dla czego tu przyszedłem?

— W każdym razie uczucie, które tu pana sprowadziło, dowodzi zacności duszy i zamiłowania sztuki i wdzięczny panu jestem za życzliwość.

— Żeby cisie tylko na co przydała, bo jak powiedziałem, mam nieszczęśliwą rękę, a do tego jeszcze przez zbyt dużą nieśmiałość mam mało znajomości i wpływu. Ale co będę mógł to zrobię. A najprzód trzeba nam, jeżeli się uda, wydostać pieniądze, któreś dał przedsiębiorcy, bo to stracone, jakby w błoto rzucił. Pryncypał mój wypożyczy ci fortepian za darmo, najmiemy salę, a ja zajmę się afiszami i reklamą w dziennikach. Pora teraz stosowna do koncertu, byłoby już wielkie nieszczęście gdyby nam się nie udało. Chodźmy zaraz do tego żyda — nie ma co zwlekać.

Wstał i wziął czapkę ze stołu. Władysław szukał czegoś w swym podróżnym kufeczeku. — Garbusek obserwował go uważnie, a gdy zabierał się do wyjścia, zatrzymał go i odezwał się:

— Proszę pana powiedz mi szczerze, otwarcie jakie jest twoje położenie majątkowe. Nie posądzam cię, żebyś był bogatym, ale czy masz jakie takie utrzymanie, któreby uwalniało cię od obawy niedostatku.

Pytanie było postawione z taką szczerością, że Władysław nie miał odwagi taić swego położenia i przyznał się, że po opłaceniu z góry kosztów koncertu, zostało mu zaledwie tyle, iż będzie mógł kilka dni mieć zabezpieczonych.

— A gdyby się koncert nie udał? — spytał go garbusek. — Jestto tylko przypuszczenie,

ostateczność, na którą jednak trzeba być przygotowanym. W takim razie trzeba wszystko przewidzieć. Dlatego trzeba, żebyś się zaraz wyniósł z hotelu. Tu za drogo dla ciebie.

— Gdzież się mam przenieść.

— Przeprowadzisz się do mnie. Mam małeńki pokoik, gdzie pracuję—odstąpię go tobie na czas jakiś; będziesz się u nas stołował — to ci taniej wyniesie — a fortepian będziesz miał pod ręką do ćwiczenia się. Cacko prawdziwe, które dostałem od mego pryncypała za kilkoletnią wierną służbę u niego. To będzie ci wygodniej, niż żebyś miał co dzień biegać do zakładu. Wprawdzie dzieci będą trochę hałasować; ale na to poradzimy. Zgoda?

Władysław był tak zażenowany dobrocią i życzliwością garbuska że nie wiedział co powiedzieć i nieśmiało wybąknął, że się wstydzi nadużywać grzeczności, że nie będzie mógł wywdzięczyć się za to.

— Za co wdzięczność? Wszak będziesz mi płacił. To ja jeszcze panu wdzięcznym być powinienem, że coś zyskam na tobie, — rzekł z wesołym uśmiechem poczciwy garbusek.

— A jeżeli moje fundusze nie wystarczą na opędzenie potrzeb?

— A koncert. Zapomniałeś że koncert musi ci coś przynieść. Jeszcze ja gotow obłowić się przy tobie.

— A jeżeli koncert się nie uda?

— To się uda drugi, dziesiąty. Zresztą co tu wiele gadać; biorę cię w entrepryzę i basta. Jestem pewny, że nie stracę. No, a teraz załatwij twój rachunek w hotelu i marsz w drogę.

— Rachunek dziś rano już zapłaciłem.

— Więc bierz rzeczy, ja ci pomogę — daj mi ten kufeczek i chodźmy.

I nie czekając wziął podróżny kufeczek Władysława i poszedł naprzód. Oprzeć się tak natarczywej gościnności było niepodobna i Władysław poszedł za garbuskiem rozczulony jego dobrocią i poczciwością. Garbusek zakwaterował go w swoim domu w małym ale schludnym pokoiku, przedstawił żonie, dzieci nastraszył postem, jeżeli będą goście się naprzykrzać krzykami, a załatwiwszy to wszystko w bardzo krótkim czasie, wyszedł z Władysławem na miasto celem odszunia przedsiębiorcy. Znaleźli go w kawiarni i po długich utarczkach, kłótniach, pogroźkach nawet, udało im się wydostać z rąk żyda przynajmniej większą połowę pieniędzy. Resztę żyd zatrzymał dla siebie niby tytułem wydatków, które już porobił. Garbusek był kontent że i tak ta sprawa się załatwiła.

Przez następne dni w chwilach wolnych od zatrudnień począł energicznie chodzić koło koncertu starając się wszelkimi sposobami zapewnić swemu pupilowi świetne powodzenie. A najprzód postarał się o reklamę w jednym z dzienników, w kronice miał znajomego współpracownika. — W końcu tego dziennika pojawiła się niebawem wiadomość, że Władysław Trembecki uczeń konserwatorium paryzkiego znany i pełen talentu pianista przybędzie niezadługo do Wiednia, gdzie się da słyszeć muzykalnemu światu w koncercie. Silniejszą jeszcze reklamę urządził garbusek w afiszach zapowiadających koncert, w których swego protegowanego nazwał nadwornym pianistą królowej angielskiej, znanym w świecie muzycznym kompozytorem i znakomitym wirtuozem.

Gdy Władysławowi pokazał ten afisz, żadną miarą nie chciał się zgodzić na jego ogłoszenie, afisz ten bowiem obrażał w wysokim stopniu jego skromność, godność i rzetelność. Napróżno go garbusek starał się przekonać, że ten rodzaj blagi stał się koniecznością dla publiczności, której potrzeba takiej przynęty, że każdy koncert używa tego sposobu, bo bez niego byłby zmuszony grać przed pustymi ławkami, że wreszcie nikt go tu nie zna i nie będzie sprawdzał jego tytułów. Władysław stanowczo oparł się temu i zdecydował się raczej odstąpić od koncertu jak plamić nazwisko swoje kłamliwymi reklamami. — Garbusek rozumiał dobrze tę delikatność i drażliwość młodego artysty, ale chciał

koniecznie usunąć na bok te skrupuły, bo wiedział z doświadczenia, jak podobne reklamy skutkują. Wywiązała się dość żwawa rozmowa, w której Władysław uporczywie stał przy swoim. Po długich przedkładaniach i namowach udało się w końcu garbuskowi utargować przynajmniej tyle, że Władysław pozwolił lubo z wielką przykrością i wstydem na tytuł kompozytora i ucznia konserwatorium paryzkiego. Tytuły te kazał garbusek wydrukować na ogromnych afiszach i porozsyłał po wszystkich kawiarniach, cukierniach, kazał porozlepiać po rogach ulic i niczego nie zaniedbał, aby zapewnić koncertowi powodzenie. Dzień koncertu został przyspieszony, gdyż garbusek dowiedział się w zakładzie z rozmow niektórych muzyków, że Tausig spodziewany jest w Wiedniu; trzeba więc było się spieszyć zanim wiadomość ta rozejdzie się po mieście.

W dzień koncertu opuścił swoje lekcye, nie poszedł nawet do zakładu, by mieć czas zająć się urządzeniem sali, sprowadzeniem fortepianu i najęciem służby, — kiedy pozałatwiał te czynności wrócił wieczorem do domu, najął dorożkę i zabrał ze sobą Władysława. — Przez drogę udzielał mu rad swoich, dodawał odwagi a gdy już mieli wysiadać rzekł biorąc go za rękę:

— No, mój młody przyjacielu, zrobiłem dla ciebie wszystko co mogłem; reszta od ciebie zależy. Oby ci się lepiej udało niż mnie. Twoje powodzenie będzie moją pociechą.

Łzy miał w oczach, gdy to mówił i nachyliwszy się do Władysława pocałował go w czoło.

Po schodach oświetlonych rżęsiście i wysłanych dywanem wprowadził swego protegowanego na górę do pokoiku przytykającego do sali koncertowej i rzekł:

— Tu zaczekasz, aż się sala napełni. Sam przyjdę po ciebie. — Muszę jeszcze iść zobaczyć, czy wszystko dobrze urządzono.

A widząc, że Władysław był nieco blady i wzruszony — rzekł:

— Odwagi mój synu, nie taki djabeł straszny jak go malują. Pamiętaj o tem, że między słuchaczami będziesz miał jednego życzliwego człowieka, który ma wiarę w twoje powodzenie. Pomyśl że grasz tylko dla mnie — to ci doda pewności i śmiałości, No, do widzenia.

Wysunął się z pokoju zostawiając Władysława wzruszonego i rozczulonego. Im bardziej zbliżała się chwila stanowcza, tym mocniej biło serce młodemu artyście. Nie sądził nigdy, że będzie doznawał takich emocyi, obawy, niepokoju. Dotąd występował zawsze w gronie znajomych i życzliwych, każda gra jego była zabawą miłą i tryumfem, naprzód już był pewnym oklasków. Ale teraz miał występować wśród obcych, którzy z niedowierzaniem go przyjmą, których sympatyą trzeba sobie będzie gwałtem zdobywać. Bał się zimnego przyjęcia, głuchego milczenia niezadowolonych, zaczął wątpić w pewność ręki i pamięci i dreszcze febryczne przechodziły po nim. Dla rozgrzania zziębniętych palców zacierał ręce i niespokojny chodził po pokoju. Przez nachylone trochę drzwi widział osoby idące do sali i zatrzymujące się dla kupowania biletów. Z pewną obawą i niepokojem obserwował tych nieznaną sędziów, którzy mieli wydać sąd o jego talencie. Naraz wśród różnych głosów uderzyła go rozmowa prowadzona po polsku przy kasie — w rozmowie usłyszał swoje nazwisko. Na dźwięk tych znajomych głosów zbladł i zadrżał — przysunął się bliżej ku drzwiom i wysłuchał następującą rozmowę prowadzoną między mężczyzną i kobietą:

— A jeżeli to on? — spytała kobieta. Wątpię. Pewnie jaki inny tego samego nazwiska.

— Ależ imię to samo.

— Przypadek.

— On grywał nieraz te utwory, które właśnie afisz ogłasza.

— Tak; tylko że gra taka nie kwalifikowała się na koncert, w salonie wśród pogawędki można było jeszcze tego słuchać. Miałby zbyt wiele arrogancyi gdyby z taką grą chciał się popisywać na koncercie. Zresztą to jest podobno uczeń konserwatorium paryzkiego, a Władysław nigdy nim nie był.

— A jednak ja mam przeczucie, że to on.

— Ha przekonamy się za chwilę. Przecież nie w masce wystąpi. Ale gdyby to był on — to by był skandal.

Osoby, które te rozmowę prowadziły kupiły bilety i weszły do sali. Władysław stał w miejscu jak skamieniały, nogi pod nim osłabły, zachwiał się i potoczył na ścianę. Poznał osoby, które tę rozmowę prowadziły. Była to baronowa Kalkbrünel i Artur. Zjawienie się ich jak piorun niespodziewanie spadło na niego. Przeważenie go ogarnęło, gdy pomyślał, że za chwilę będzie musiał wystąpić i pokazać się im na estradzie, że poznają go i przekonają się o kłamstwie jakiego się dopuścił w afiszu ozdabiając się tytułami fałszowanymi. Stanać w takiej upokarzającej roli w obecności kobiety, która go kochała kiedyś, w obecności szyderczego śmiechu człowieka, który go już raz znieważał — było niepodobnym.

— Za nic w świecie rzekł nie zrobię tego. Nie mogę pozwolić na to by do dawnej obelgi dodał nową i nazwał mnie oszustem.

Władysław w jednej chwili ocenił całą okropność swego położenia. Stanać jak pod prężeniem pod gniołącą siłą spojrzeń tych dwojga ludzi po tem, co słyszał o sobie i o grze swojej — znaczyło tyle, co dobić się do reszty; czuł, że spojrzenia te ubezwładniły by mu ręce, poplątały by mu myśli jego i odjęły wszelką odwagę. Równocześnie z temi przerażającymi refleksjami powziął szybkie postanowienie, którego się chwycił bez namysłu. Zarzucił palto na ramiona, włożył kapelusz na głowę i wybiegł z pokoju do kassyera. Tu zażądał karki papieru i napisał do niej następujące słowa drżącą ręką:

— Koncert trzeba odłożyć, zasłabłem nagle — pieniądze oddać publiczności."

Zawinął kartkę i oddając ją rzekł:

— Skoro mój przyjaciel, ten pan, który urządza koncert, będzie się pytał o mnie, proszę mu wręczyć tę kartkę.

— Ale pan wrócisz? godzina ósma dochodzi. Władysław nic nie odpowiedział i zbiegł e schodów szybko bojąc się spotkać z garbuskiem. Dopiero ujrawszy się na ulicy odetchnął, — schowany w ciemność wieczoru uczuł się bezpieczniejszym i swobodniejszym. Prędkim krokiem podążał ku domowi, w głowie jego był chaos i zamęt okropny. Wśród tysiącznych kombinacji niepowodzenia, które sobie tworzył, tej jednej nie przypuszczał, nie mógł nawet przypuścić, aby coś podobnego mogło mu pokrzyżować jego zamiary i zniweczyć je. Zdawało mu się, że to jakiś męczący sen, który go trapi przed koncertem i szedł nieprzytomny, jakby pijany, potracając przechodniów. Żona garbuska ujrawszy go wchodzącego aż przeżegnała się z zadziwienia i przestachu.

— Cóż się stało? — spytała — czy nie będzie koncertu?

— Odłożony. Jestem słaby.

— Co panu jest? Jesteś pan w gorączce, masz mocne wypieki na twarzy. Może po doktora.

— Nie, nie potrzeba. To nerwowe. Wzruszenie zbyt silne zaszkodziło mi. Ale to przejdzie. Potrzebuje tylko spoczynku.

I postąpił szybko ku drzwiom swego pokoiku. Wszedłszy tu zamknął się i z ciężkim westchnieniem rzucił się jak kłoda na łóżko. Leżał tak długo w stanie odrętwienia, pół snu gorączkowego, męczony trapiąciami myślami, i gubiąc się w domysłach nad niespodziewanym zjawieniem się

Artura i Izabelli. Nie było w tem nic nadzwyczajnego. Artur jako poseł wybrany do rady państwa przyjechał od paru dni do Wiednia a baronowa towarzyszyła mu w tej podróży, gdyż zamysłała przepędzić zimę tutaj, co było bardzo na rękę Arturowi, bo stosunek z baronową dawał mu pewną pozycję w Jockey-klubie, w którym ona liczyła dużo wielbicieli, tak swych wdzięków jak i dowcipu.

Ten wzgląd skłonił go do pogodzenia się z baronową, po swej niemiłej scenie w czasie jego powrotu ze Lwowa. Było to wszystko bardzo naturalnem. Ale rozgorączkowanej wyobraźni Władysława ten zbieg okoliczności wydawał się jakąś mistyczną fatalnością, która wplątała się jak czarna nić w jego życie i wikłać się już w niem będzie.

Rozmyślanie jego przerwało lekkie pukanie do drzwi. Władysław domyślił się że to garbusek chce się z nim widzieć; ale chcąc uniknąć jego badań i pytań udał sen i nieodzywał się wcale. Pukanie jednak powtarzało się coraz natarczywiej, bo garbusek zaniepokojony był uporczywym milczeniem swego lokatora i Władysław w końcu zmuszony był otworzyć drzwi. — Garbusek wszedłszy ze świecą w rękę spojrzał najprzód z badawczą troskliwością na twarz Władysława i zaniepokojony spytał:

— Co się stało? Co panu jest? Dla czego pan kazałeś odwołać koncert?

— Stało mi się to samo, co panu przed kilkunastu latami — odrzekł Władysław zmuszając się do uśmiechu - brakło mi odwagi.

Garbusek z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— To być niemoże. Trudno przypuścić, żeby febra koncertowa zmusiła pana aż do zerwania koncertu. Gdybyś to pan zrobił po przegraniu jednego utworu, któryby ci się nie udał, jak mnie owa nieszczęśliwa soneta — to rozumiem; ale tak cofnąć się przed wystąpieniem i to w chwili gdy wszystko było przygotowane, gdy okoliczności sprzyjały i rokowały powodzenie — tego sobie wytłomaczyć nie umiem. Coś pan zrobił, coś pan zrobił — powtarzał zafrasowany garbusek, tak zaszkodzić samemu sobie — to nie do darowania — to szaleństwo.

— Drogi panie — odezwał się Władysław zbliżając do garbuska i biorąc go przyjaźnie za rękę — nie powinienem cię zwodzić. Po tem co dla mnie zrobiłeś byłoby wielką niewdzięcznością z mej strony, tać istotny powód, który mnie skłonił do zerwania koncertu. W gronie osób, które przyszły na koncert były dwie bliżej mnie obchodzące, dobrze mi znajome, w obec których nie byłbym się odważył wystąpić w charakterze blagiera i oszusta.

— To byli pana ziomkowie?

— Więcej jeszcze — to był mój rywal, który mnie już raz upokorzył, który mnie spowodował do wyjazdu z kraju — i kobieta, którą... która mnie dawniej obchodziła.

Garbusek pokiwał głową i szepnął pod nosem:

— No, teraz mi jasno. Rozumiem, rozumiem.

— Z pokoju w którym mnie pan zostawiłeś, widziałem ich wchodzących, słyszałem złośliwe uwagi, jakie robili nademną czytając afisz.

— Więc afisz przyczynił się do tego. A co? nie mówiłem, że mam nieszczęśliwą rękę. Chciałem ci zrobić jak najlepiej, a tymczasem właśnie popsułem wszystko. A! to fatalnie. Po co ja mieszałem się do tego. Bezemnie nie byłoby się to stało.

— Nie kłopotz się pan tem — uspakajał go Władysław, nic straconego. Za tydzień ogłoszę drugi koncert — tym razem już bez reklamy.

— Za tydzień Tausig przyjeżdża. W jutrzejszych dziennikach będzie już o tem wiadomość; to wszystko składa się jak najgorzej.

— Przeczekać więc kilka tygodni.

Tem postanowieniem uspokoił siebie i garbuska, zdawało mu się ono najpraktyczniejsze; ale nie zadługo pokazały się różne trudności tego postanowienia. Czekanie wymagało utrzymania, a fundusze Władysława z każdym dniem się wyczerpywały. Mieszkał i stołował się u garbuska na kredyt, oprócz tego domyślał się, że garbusek zapewne poniósł znaczne koszta przy urządzaniu koncertu, na które zapewne nie wystarczyły pieniądze wzięte od żyda przedsiębiorcy. Nie śmiał go spytać o to, bo

nie miał na razie czem pokryć tego długu; odkładał to więc do koncertu, po którym miał nadzieję spłacić wszystko, co był winien. Niemniej też martwił się i gryzł tem, że musi zaciągać długi; bał się by garbusek milczenia jego pod tym względem źle sobie nie wytłomaczył i nie myślał, że chce go zarwać, a rozpocząć o tem rozmowy nie miał odwagi, ani śmiałości. Garbusek zdaje się domyślił się strapienia swego lokatora i chcąc mu w sposób delikatny przyjść w pomoc w przykrem położeniu wynalazł mu parę jakichś lekcyi, to nieraz prosił go o zastępstwo, a wiedząc że Władysław nie wprawny jest w systematycznej nauce i mało miał wyobrażenia jak jej udzielać, dawał mu wieczorami rady i wskazówki w tym względzie. Ta uprzejmość, gościnność i bezinteresowność jeszcze więcej onieśmiały i krępowały Władysława, z każdym dniem bardziej uczuwał, że nie będzie się mógł wypłacić z długu wdzięczności, który zaciągał u tych pocziwych ludzi, a pensya jaką brał za lekcyę, nie wystarczy na zapłacenie za mieszkanie i stół. Jedyną nadzieję pokładał w koncercie, na który jednak żadną, miarą zdecydować się nie mógł. Bo cały Wiedeń zajęty był Tausigiem. Po kawiarniach, teatrach, cukierniach i towarzystwach wszędzie mówiono tylko o nim, udzielano sobie wiadomości o jego przyjeździe, zamawiano bileta i przepłacano je. W takiej chwili wyrywać się z koncertem człowiekowi młodemu, nieznanemu jeszcze, byłoby nedorzecznnością. Toteż Władysław zdecydował się czekać, aż publiczność ostygnie trochę z Tausigowskiej gorączki i będzie przystępniejszą mniej silnym wrażeniom. Tym czasem przyjechał zapowiedziany przez gazety król fortepianu. Bilety były szalenie drogie, licytowano je na giełdzie i Władysław mimo nieprzeparłej chęci słyszenia mistrza musiał dla braku funduszków zrzec się tego. Ale w dzień koncertu Garbuskowi udało się przez znajomości jakie miał między artystami, dostać bilet gratisowy i dał go swemu lokatorowi. Ten nie chciał przyjąć takiej ofiary, nie chciał pozbawiać garbuska sposobności słuchania mistrzowskiej gry, ale ten tak nalegał i prosił, że Władysław uleść musiał.

— Tyś tam potrzebniejszy, niż ja — mówił garbusek wyprawiając go na koncert — tyś młody, wchodzisz dopiero w życie, tobie się to przyda na coś; a mnie zaspokoiliby tylko prostą ciekawość. Aby mózdz grywać w zakładzie Bösendorfa na to nie trzeba słyszeć Tausiga. No idź synu, potem opowiesz mi wrażenia twoje. Czekamy cię z wieczerzą. Czekaaj, odprowadzę cię, bo mam właśnie interes w tamtej stronie. Wziął czapkę i zapowiedziawszy żonce by im przygotowała coś smacznego na kolacyę, jako w dzień nie zwyczajny, bo uroczysty dla muzyków — wyszedł z Władysławem na miasto.

Wrócił koło dziesiątej do domu — gospodyni przy schludnie i czysto zastawionym stole czekała już na nich. Władysława jeszcze nie było.

Za chwilę jednak dały się słyszeć kroki jego na schodach. Garbusek kazał co prędzej podawać wieczerzę.

— Nasz lokator wróci zapewne porządnie głodny, bo silne wrażenia wyrabiają apetyt, mówił krając chleb i zwracając się do wchodzącego Władysława odezwał się:

— A co.... — niedokończył pytania tak go zmieszała twarz przybyłego, na której widać było zgnębienie moralne, a w zapadłych oczach malowała się ponura boleść.

— Cóż się stało? — spytał garbusek — wracasz jak gdyby z własnego koncertu.

Władysław zdawał się nie słyszeć tego żartobliwego pytania, usiadł przy stole i podparłszy głowę ręką zamyślił się. Wnet jednak rzucił się niespokojnie w krzesło i zawołał z udręczeniem:

— Jak on gra, jak on gra — to można umrzeć z rozpacz. I mnie się mogło zdawać, że ja coś umiem, jakież głupiec ze mnie. Chciało mi się dawać koncert, — to była bezczelność, arrogancya.

— A ba, — więc o to ci idzie. Znam tę chorobę. Przebywałem ją nieraz. Ale inna rzecz ty, inna rzecz ja. Przed tobą życie całe, nadzieje.

— Rozstałem się z niemi na zawsze. Kto słyszał taką grę, jak ja dziś słyszałem, ten powinien

pożegnać się z nadzieją, by mógł kiedy tak grać. Mam być fuszerem, miernością — to lepiej niczem.

— No, no, zbyt bierzesz do serca ten skrupuł. I Tausig gdy rozpoczynał swój zawód, nie był tem czem jest dzisiaj. Pracą można wszystko zdobyć.

— To nieprawda, bo w takim razie wszyscy byliby Tausigami, bo pytam ktoby nie chciał nim być wtedy? Ale, to jest niepodobna. Żebym się zapracował nie wiedzieć jak, nigdy do tego nie dojdę. Co za szalona technika, jakie zuchwałe a pewne rzuty rąk — to trzeba widzieć, aby uwierzyć. Po dzisiejszym wieczorze przyszedłem dopiero do przekonania, że albo tak grać trzeba, jak on gra, albo wcale nie grać. Miernością być nie warto.

Do tego rezultatu dochodził ciągle wśród przykrych rozmyślań, a zwątpienie we własny talent coraz większe przybierało rozmiary. Napróżno garbusek usiłował go rozerwać żarcikami i skręcał z ręcznie rozmowę na inny przedmiot, on wciąż wracał do swego i kręcił się w zaklętym kole smutnych myśli. Nie można go było nawet namówić do jedzenia. Dotknął za ledwie jakiejś potrawy na naleganie żony garbuska, machinalnie poruszał widelcem i położył go znowu, by dalej mówić o koncercie, przypominał sobie każdy szczegół gry, wszystkie szalone trudności, jakie pokonywał artysta z niesłychaną łatwością, i dokładnością — zachwycał się tem i zarazem gryzł się i martwił. — Po kolacyi wstał i pożegnawszy gospodarzy poszedł do swego pokoiku. Garbusek niezatrzymywał go dłużej, spojrzawszy za odchodzącym wzrokiem pełnym serdecznego współczucia i rzekł do żony.

— Ten już nigdy nie będzie artystą, za mało ma wiary w siebie i pewności. Zwątpienie to robak, co niszczy owoc. I ja byłem taki.

Długo w wieczór rozmyślał o młodym swym towarzyszu i jego zwichniętej karierze, a co go najbardziej bolało, że sam przyczynił się do tego.

— Po co ja osioł dawałem mu ten bilet. Mimowoli popchnąłem go w tę przepaść, w którą teraz będzie się zsuwał coraz więcej. Jeżeli to genjusz może się jeszcze nadludzkim wysileniem zerwać i unieść w górę, ale jeżeli to tylko talent bez żelaznej woli — to przepadł.

Gdy takie myśli trapiły garbuska, Władysław zamknięty w swoim pokoiku siedział przy oknie, rozpalone czoło oparł o szybę i oddawał się równie smutnym wspomnieniom. Karyera artystyczna jego była skończoną; po dzisiejszym koncercie stracił całkiem wiarę w swój talent i przyszedł do przekonania, że tylko nieznajomość lub pobłażliwość życzliwych mu ludzi mogły łudzić go przepowiadając mu świetną przyszłość na polu sztuki. Porównywając grę swoją z tą, którą dziś słyszał, widział dopiero całą różnicę, całą niedołężność swoją i ocenił, że lata pracy za ledwie by go do tej doskonałości doprowadzić mogły; ale na to trzeba było czasu, funduszków, — a on nie miał nic i myśl o jutrze złowrogo niepokoiła go. O koncercie własnym już ani myślał — a odrzuciwszy ten zamiar stanowczo, zapytywał siebie: co dalej robić będzie? Trzeba było zapłacić długi, które zaciągnął, a na zaspokojenie tych nie miał nic więcej prócz lichego dochodu z dwóch lekcji, które mu garbusek nastęrczył. — Siedzieć tu dłużej i wyczekiwać, czy się nic lepszego nie trafi i żyć dalej kosztem ludzi, którzy mu już tyle dobrego wyświadczyli — było niepodobieństwem. Wszakże nie dla tego uciekł z domu hrabiego, by żyć z łaski ludzi, którzy sami nie mieli wiele. Co bądź go spotkać miało postanowił przede wszystkim opuścić dom garbuska, by mu nie być dłużej ciężarem. Z prawdopodobnego obrachunku wypadało, że był mu winien około sto guldenów; dług ten przed rozstaniem trzeba było koniecznie zaspokoić, a że nie miał gotówki tylko kilka guldenów, więc dołączył do nich złoty zegarek z łańcuszkiem i napisał bilecik do swego gospodarza, dziękując mu za przytułek i serdeczność, jaką doznał w jego domu; pisał mu, że nigdy nie zapomni tych dobrodziejstw, że wiecznie pozostanie jego dłużnikiem i prosił go o życzliwą pamięć dla siebie. List ten wraz ze wszystkimi rzeczami, które zostawiał na pokrycie długu, położył na stole mając zamiar sekretnie wynieść się z domu garbuska, bo bał się, by go nie usiłowano zatrzymać. Resztę nocy

przepędził na półbezsenie, na pół w gorączkowych majaczeniach, a rano zaraz po śniadaniu wyszedł na miasto z zamiarem niewrócenia tu więcej. — Bolesno mu to było okropnie rozstawać się w ten sposób z ludźmi, u których tyle widział serca i życzliwości, ale przemógł to na sobie gwałtem, bo obawa życia z łaski, jałmużny ludzkiej pędziła go dalej. Gdy się zobaczył znowu sam na miejskim bruku bez znajomych, bez pomocy, bez pieniędzy, straszne pytanie zajrzało mu znowu w oczy: co dalej robić? Trzeba było coś przedsięwziąć, by nie umrzeć z głodu, by nie być zmuszonym wyciągnąć rękę do kogo, — gulden, który sobie zachował, nie na długo mógł wystarczyć; trzeba więc było spieszyć się z postanowieniem, a nie wiedział co postanowić, do czego się wziąć. Wałęsając się po różnych ulicach zatrzymał się w końcu przed jakimś domem komisowym, na którym były wypisane żądania ludzi do różnych zatrudnień, to na stróżów, na leśnych, na ekonomów, etc. — Władysław przejrzał całą listę i nie znalazł żadnego zajęcia, do którego byłby zdolny; do jednych przeszkadzał mu brak sił fizycznych, do innych brak odpowiedniego uzdolnienia i nauki. Wiedział wprawdzie wiele, ale wiadomościom jego brak było elementarnej podstawy do tego stopnia, że nawet na prywatnego nauczyciela nie miał odpowiednich kwalifikacji. Zawiedziony w oczekiwaniu odszedł zafrasowany i począł szukać innego domu komisowego, w którym spodziewał się znaleźć coś odpowiedniejszego dla siebie. Co? Tego nie wiedział, nie umiał zdać sobie sprawy czego się chwycić, aby na razie uchronić się od nędzy i zapewnić sobie jakie takie utrzymanie. Nie długo szukając znalazł drugi dom komisowy, gdzie na tablicy między ogłoszeniami wyczytał, że w pewnym domu pod liczbą 27, na Mariahilf potrzebny jest zdolny fortepianista zaraz, — któryby grywał za opłatą jednego guldena za wieczór. Władysław zdecydował się przyjąć to zajęcie; zarobek jakkolwiek mały dawał mu jakie takie utrzymanie, gdyby jeszcze znalazł kilka lekcyi do tego — mógłby jako tako istnieć czas jakiś, dopóki szczęśliwe okoliczności nie pozwolą mu wydobyć się na wierzch. — Ta kombinacya grała nie małą rolę w jego zamiarach, wierzył w to, że pracą wydobędzie się z tego przykrego położenia, w które grzęznął coraz bardziej: że to co przechodził, było próbą jego siły charakteru, chwilowem intermezzo. Na czem opierał te swoje rachuby — nie umiałby sobie zdać sprawy, ale ta wiara była sprężyną, która go podtrzymywała, dodawała otuchy do walki z losem. Gdyby nie ta wiara, może po wczorajszym koncercie nie doszedłby do domu garbuska, gdy wracał wzdłuż głębokiego Dunaju. Zanotowawszy sobie numer domu poszedł natychmiast na Mariahilf. Odszukał dom łatwo podług adresu, ale zaledwie wszedł do niego i zobaczył gospodarza domu kędzierzawego żyda i kilka wystrojonych kokotek, które obstały go ciekawie, wnet poznał gdzie się znajduje i cofnął się z obrzydzeniem. Na taki zarobek zgodzić się nie mógł choćby był nawet w nędzy najostatniejszej. Z odrazą oddalał się jak najspieszniej z tego miejsca i wrócił do miasta jeszcze więcej skłopotany. Nadchodzący zmrok przestraszał go, nie wiedział gdzie iść, jak noc przepędzić. Przechodząc koło jakiejś garkuchni przypomniał sobie, że cały dzień nic nie jadł. Poszedł tam posilić się, a posiłek ten lubo skromny, zmniejszył o połowę fundusze jego. Wyszedłszy na ulicę stanął bezmyślny, bezradny, nie wiedząc co począć z sobą. Około niego był ruch i gwar. Powozy, omnibusy przejeżdżały z turkotem i mijały się, w różne strony spiesząc się i potracając. — Wszyscy szli gdzieś, za czemś, z jakimś celem, on jeden nie miał celu, nigdzie mu się nie spieszyło, nic go nie pociągało, nikt na niego nie czekał — był sam i nie wiedział gdzie noc przepędzi; kilkanaście krajcarów, które mu zostały, nie wystarczyłyby na zapłacenie noclegu: a wałęsać się po ulicach i kawiarniach do rana było niepodobna.

Pierwszy raz znajdował się w takim położeniu i to ogromne, ruchliwe, błyszczące miasto, w którym pomimo tylu tysięcy domów, nie było dla niego schronienia, przejmowało go dziwnem strachem, wydawało mu się jakimś kamiennym potworem, który eksploatuje kieszenie ludzkie, a nielitościwie odtrąca od siebie tych, którzy mu się nie mają czem opłacić. Ta obawa podsunęła mu

myśl ucieczki, chciał co prędzej pozbyć się widoku tych ludzi wesołych, uśmiechniętych, wrzaskliwych, tych sklepów i kawiarni rześkie oświeconych, wszystko to bowiem zdawało się urągać z jego ubóstwa, z jego rozpacz. Bał się doczekać tej chwili, w której ulice się wyludnią, kawiarnie zamkną, a on będzie zmuszony błąkać się wśród zamkniętych kamienic razem z psami zgubionemi przez swych panów. Nie chciał doczekać się tej ostateczności i postanowił uciec za miasto, daleko, — tam w polu znośniej mu będzie noc przepędzić i policyant nie przerwie mu snu, gdy zmęczenie rzuci go na ziemię. Zwrócił się więc szybko ku Aspernbrücke, przeszedł przez Leopoldstadt, i prędkim krokiem zmierzał w stronę Florisdorfu trzymając się nieco na prawo, by ominąć mieszkania robotników i fabryczne budynki. Im bardziej oddalał się od miasta, tym czuł się swobodniejszym, tym lżej było mu na sercu; oddalając się od miasta oświeconego łuną gazową zdawało mu się, że ucieka od trosk, nieszczęść i wszystkich przykrości swoich i ta myśl dodawała mu sił do dalszego pochodu, paliła mu pięty i gnała coraz dalej. Chciał co prędzej odsunąć się jak najdalej, zrobić jak najwięcej drogi. Był to zamiar, który bez namysłu powstał w jego głowie wywołany siłą ruchu. Z początku chciał tylko noc przepędzić za murami Wiednia, o opuszczeniu go ani myślał, dopiero wśród drogi przyszła myśl nie wracania więcej i ta myśl w miarę ruchu w coraz silniejsze rozpalala się pragnienie i zdecydował się iść na los przed siebie — naprzód. Jakaś dziwna nie wytłomaczona siła ciągnęła go w nieznanne strony, niezdawał sobie sprawy dokąd pójdzie, byleby nie wracać tam, gdzie tyle tysięcy ludzi nagromadzonych w ciasnej przestrzeni, jak w mrowisku roi się i zre nawzajem i walczy ze sobą o kawał chleba wydzierając go sobie wszelkimi sposobami. Życie na prowincyi wydawało mu się znośniejszym, lepszym, zarobek łatwiejszy i ta nadzieja pociągała go naprzód. Parę mil zrobił drogi bez odpoczynku prawie i dobrze po północy już było, kiedy się zatrzymał koło jakiegoś świerkowego lasku. Był znużony i pot oblewał mu twarz. Iść dalej było już niepodobna. Zeszedł nieco z drogi między zarośla i zmęczony rzucił się na ziemię i niezadługo zasnął mocno.

Dobry już był dzień, kiedy się przebudził. Potrzebował jakiegoś czasu zanim sobie mógł przypomnieć gdzie jest i jakim sposobem tu się dostał. Tak nagła przemiana zaszła w jego życiu przez kilka tygodni, że się z nią oswoić nie mógł jeszcze i wszystko to wydało mu się jak sen. — Z błyszczących salonów gdzie otaczał go zbytek i wygody, zsunął się w przeciągu tak krótkiego czasu na samo dno społecznego porządku, i tak mało potrzeba było aby sprowadzić tę okropną przemianę, aby go wyrzucić po za granicę wszelkich stosunków. Ta refleksya naprowadziła go na różne filozoficzne rozmyślenia o życiu, o układzie społecznym i istotnej wartości rzeczy. Od ogólnych uwag przeszedł znowu do obecnej chwili i zastanawiał się nad sobą, nad swoim położeniem. Nie miał nic, tylko to co na sobie i kilkanaście krajcarów, z którymi uciekł z Wiednia, nie wiedział gdzie się znajduje i co dalej pocznie.

Mógł wprawdzie wrócić do Wiednia i żyć dalej do jakiegoś czasu przynajmniej przy rodzinie garbuska i szukać sobie utrzymania z lekcji ; mógłby był nawet gdyby chciał, wrócić w dom hrabiego Medarda gdzie pewnie nie odmówiono by mu nadal opieki i życzliwości; ale nie Byłby nigdy zgodził się na to przez dumę i wstyd. Stanowczo nie chciał żyć z łaski, wolał zdecydować się na najcięższą pracę, na największą nędzę, byle tylko nie prosić o nic nikogo. Ta myśl stała się jego manją. „Ja muszę — powtarzał sobie uparcie, sam pracować na siebie, wyrobić sobie stanowisko,“ — a fantazyja jego bujna, młodzieńcza, poddawała mu tysiączne marzenia na ten temat. Marzył, ale nie obmyślił nic, ani nie obrachował, bo nie umiał radzić sobie, nie miał najmniejszego doświadczenia w tym względzie i nie znał życia. — Byłby Bóg wie jak długo oddawał się tym nieokreślonym marzeniom, gdyby odzywający się głód nie był przypominał mu, że trzeba coś przedsięwziąć. Wstał, ogarnął się jak mógł, obmył się w potoczku, co się sącył w zaroślach, poprawił na sobie ubranie i

wyszedł z lasu na gościniec. Zaledwie uszedł kawał drogi wnet znalazł towarzysza w jakimś robotniku w niebieskiej bluzie, który żwawym i pewnym krokiem podążał w tę samą stronę. Widocznie lubił towarzystwo i rozmowę, bo zrównawszy się z Władysławem pierwszy zaczął go pytaniem:

— A dokąd droga?

Pytanie to tak proste i naturalne zmieszało Władysława, bo niewiedział co odpowiedzieć na nie, gdyż ani wiedział gdzie jest, a tym mniej gdzie idzie. Podróżny jednak wybawił go z tego kłopotu dodając po chwili:

— Pewnie do Lundenburgu — co?

— Tak; do Lundenburgu — odrzekł niepewnym głosem Władysław.

— A to pójdziemy sobie w kompanii czas jakiś będzie nam weselej. Niedaleko Wohenaau rozejdziemy się, bo ja do Neustadt. Mam tam rodzinę i coś z czego będzie kiedyś rodzina. Rozumiesz. Idę właśnie na wesele. Bo trzeba ci wiedzieć, że jestem ślifierzem z profesyi. W Neustadt szło mi lichy rzemiosło, przeniosłem się więc do Wiednia i tam dorobiłem się trochę grosza jeżdżąc z moim warsztatem, po Mariahilf. Mam teraz tyle, że mogę dziękować Bogu i żonę i siebie utrzymać, a że w Neustadt zostawiłem dziewczynę, która ma wiele przymiotów na dobrą żonę, więc idę zakończyć sprawę. — A ty czym jesteś? Władysław znowu się zmieszał. Szczerość towarzysza wymagała równie szczerości i otwartości a przynajmniej, jakiej takiej odpowiedzi a dać mu nie mógł żadnej nie chcąc skłamać. — Bo czymże on był? Niczem. — Lichy robotnik który umiał zaledwie ostrzyć noże, miał w rękach jakieś zdeterminowane rzemiosło, w klasyfikacyi społecznej miał miejsce oznaczone, — a on, który pozornie tyle umiał, był dotąd niczem, był po zagranicami porządku społecznego, anomalją — niczem. Ta odpowiedź, którą sobie w duszy zrobił, wstydem zarumieniła mu twarz. Towarzysz jego roztrzepany i zajęty czem innem nie uważał tego zakłopotania i ciągnął dalej rozmowę. Zadając pytania nie ciekawy był wcale odpowiedzi, szło mu tylko o to, aby mózdz mówić. I wnet rozpoczął długie opowiadanie o tem, jak mu z początku trudno i z oporem szło rzemiosło w Wiedniu, jak potem jakiś stary generał zatrzymał się przy jego warsztacie i dał mu swój scyzoryk do wyostrzenia, a gawiedź uliczna z respektem i zdziwieniem przyglądała się temu, jak od tego czasu liczni przechodnie i mieszkańcy Mariahilf szukali go i pytali czy to on ostrzył scyzoryk starego generała i dawali mu tyle roboty, że nastarcyc nie mógł.

— Odtąd — mówił dalej — szło mi wszystko jak z płatka. Roboty miałem po uszy. Przynajłem sobie pomocnika, który mnie teraz zastępuje, i nawet wynajłem stały kram, który oblepiłem licznymi świadectwami uzyskanymi od rozmaitych osób. Jedno z nich noszę przy sobie, bo pochodzi od jakiejś damy ze dworu. Zaraz ci go pokaże. A umiesz czytać?

— Umie, odrzekł Władysław biorąc zatłuszczony i pożółkły papier z rąk szlifierza.

— Jakiś ty szczęśliwy, że umiesz czytać. Ja umiem także trochę, ale z drukowanego. Z pisanego ani rusz. No, to gdybym ja umiał czytać i pisać — to jabym daleko zaszedł.

— I cóż byś zrobił?

— Co? niewiem. Ale kiedy tak bez tego tyle dokazałem — to gdybym jeszcze miał naukę, zaszedłbym Bóg wie jak daleko. Bo to nauka, to wiele znaczy. Ta uwaga podróżnego dodała nieco otuchy upadającemu już na duchu Władysławowi, pomyślał sobie, o wiele więcej umie od biednego, prostego ślifierza, i wiele zatrudnień stoi dla niego otworem, w których będzie mógł dobić się lepszego losu.

— Gdybym miał naukę — mówił szlifierz idąc obok swego towarzysza — poszedłbym do jakiego banku, bo tam najprędzej można teraz pieniądz zrobić. A jak nie w banku — to przy kolei lub jakim przedsiębiorstwie musiałbym znaleźć utrzymanie i wyszedłbym na pana. I nie szedłbym wtedy

piechotą do mego rodzinnego miasta, ale w powozie rozparty, żeby moi towarzysze z lat młodzieńczych gęby pootwierali z podziwu. Władysław słuchał tych głośno wypowiedzianych marzeń wyrobnika i czerpał w nich odwagę do walki z losem, a zarazem rady względem dalszego swego postanowienia. Dotąd miał jedyną nadzieję polepszenia losu swego i zdobycia stanowiska w świecie przez swój talent muzyczny, odkąd stracił nadzieję w ten talent, stracił i grunt pod nogami, marzył wiele, ale nie mógł obmyśleć nic. Teraz rozmowa ze szlifierzem podsunęła mu refleksyę, że nauka, jaką ma, jakkolwiek bez systematu i podstawy, jak również znajomości języków, są także kapitałem, który korzystnie użytkować może. Wnet zatem przysłała decyzja, że w najbliższym większym mieście starać się będzie o umieszczenie przy jakiej fabryce banku lub zakładzie, byleby się zahaczył o coś, znaleźć jakiegokolwiek zatrudnienie, o więcej się nie troszczył; miał nadzieję jakąś upartą, że niezginie. — Decyzja ta uspokoiła go; z weselszą już twarzą i lżejszym sercem szedł w dalszą drogę obok swego towarzysza i wdał się z nim w pogadankę. Gdy dochodzili do wioski, która przed nimi leżała w dolinie — towarzysz jego odezwał się:

— No tutaj nasze drogi rozchodzą się. Moja idzie tam na prawo tą lipową aleją. Zanim się jednak rozłączymy, musimy wstąpić do tej gospody, którą widać na końcu wsi i wypić na szczęście — ja płacę.

Napróżno Władysław wymawiał się nie chcąc przyjąć traktamentu towarzysza; ten tak usilnie nalegał, tak prosił i tłumaczył, że odmowę poczytałby sobie za obrazę, a nawet za złą wróżbę, że Władysław w końcu zdecydował się "wstąpić z nim do gospody na napitek i przekąskę, której bardzo potrzebował. — Hojność szlifierza ocaliła jego kieszeń od wydania ostatnich kilkunastu krajcarów. Przy napitku tak się Niemiec rozserdecznił i rozgadał, że przeciągnął tam pobyt prawie do zmierzchu; aż Władysław przypomnieć mu musiał, że czas aby szedł w dalszą drogę — przyczem życzył mu szczęścia.

— I ja tobie — odrzekł szlifierz — i ja tobie. Niewiem coś za jeden; ale choć biedno koło ciebie, wyglądasz mi jakoś na pana. Albo byłeś nim albo będziesz — o! ja się znam na tem, miałem czas obserwować ludzi na ulicach Wiednia i poznawałem dorobkiewiczów nawet wtedy, gdy się otaczali lokajami i powozami eleganckimi dodawali sobie miny. — Otóż ja w tobie choć jesteś bez służby, poznałem zaraz coś lepszego. Nie chcę wchodzić w to, co ty za jeden, kiedy sam mi tego nie powiedziałeś. W każdym razie nie bardzo musi być dobrze z tobą, skoro piechotą wędrujesz. Ale ci życzę, żeby ci się powiodło, co zamysłasz. — Mam nadzieję, że ci się to spełni, bo ja jak komu życzę — to z całego serca.

Po przyjacielskiem uściśnieniu rozstali się. — Szlifierz poszedł dalej a Władysław został w gospodzie chcąc przenocować tutaj, bo już wieczór był blisko. Z innem usposobieniem kładł się spać niż dnia poprzedzającego. Przypadkowa znajomość i pogawędka ze szlifierzem wzruszyła go trochę, ożywiła i dodała wiary w siebie. Ujęty był poczciwością i serdecznością jego, a pewność z jaką ten człowiek szedł przez życie i patrzył na świat i jemu się po trochu udzieliła. Kładąc się spać już wyraźniejsze i rzeczywistsze plany kreślił sobie — a najbliższym celem jego podróży i zamysłów był Lundenburg. A że kilka mil jeszcze oddzielało go od tego miejsca, więc wstał nazajutrz bardzo rano, by jak najwięcej ujść drogi. Szedł dzień cały prawie — mało odpoczywając; nieuszedł jednak zbyt wiele, bo nie posilony niczem organizm, wnet ogarnęło znużenie. Nocleg wypadł mu znowu w szczerem polu, bo nie miał już czem opłacić gospody.

Drugiego dnia dowlókl się wreszcie wynędzniały, zmęczony, głodny i bez grosza w kieszeni do miasta i tylko nadzieja, że tutaj znajdzie jakieś zajęcie, które podźwignie go z przykrego położenia, podtrzymywała go na nogach. Wstąpił do domu komisowego i prosił o miejsce dla siebie bądź w jakim banku lub domu handlowym.

— Pan znasz języki?— spytał go komisant.

— Znam.

— Francuzki także?

— Tak — i polski.

— W takim razie moglibyśmy panu wskazać wcale korzystne miejsce. Prosimy o takse.

Władysław spojrział na mówiącego z zakłopotaniem i pomieszaniem. Ten zaś sądząc że go niedosłyszał — powtórzył.

— Proszę o takse, która wynosi trzy guldeny.

— Nie mam — wyrzekł Władysław nieśmiało. Komisant uśmiechnął się ironicznie i rzekł zacierając ręce:

— No w takim razie trudno, żebyśmy dla pana coś zrobić mogli.

— Zapłacę później, jak miejsce dostanę.

— Jaką dasz pan pewność?

— Słowo uczciwego człowieka. Powiedział to głosem tak rzetelnym i z głębi serca pochodzącym, że komisant aż podniósł oczy od biurka i spojrział na niego, by przypatrzeć się temu, który z taką pewnością i gotowością ofiarowywał monetę nie mającą wcale kursu, t. j. słowo uczciwego człowieka. Twarz Władysława musiała w jego oczach, wydawać się nie złym certyfikatem tego słowa, bo zdawał się namyślać nad tem, czy przyjąć czy nie zaręczenie słowne w końcu odezwał się:

— Wiec dobrze, zapłacisz nam pan później.

Jednak dla pewności i porządku zostawisz nam pan swój pasport.

— Nie mam pasportu.

— To przynajmniej świadectwa jakieś. Wszak te pan mieć musisz.

— Nie mam żadnych.

Komisant ruszył ramionami i spojrział na Władysława jak na waryata.

— Jakto? Nie masz pan żadnych świadectw i chcesz pan starać się o posadę. Postaraj się pan o miejsce w szpitalu waryatów, bo to najodpowiedniejsze będzie dla pana. I odwrócił się od niego oburzony, że tyle czasu stracił na bezużyteczną rozmowę. Władysław wyszedł złamany, zgnębiony, w ponurej rozpacz. Widział że o własnych siłach nie wygrzebie się z okropnego położenia; w które grzęznął coraz więcej. Na każdym kroku spotykał przeszkody, o które potykały się wszystkie jego projekta. I znowu niewiedział co dalej począć ze sobą, gdzie się obrócić bez pieniędzy wśród obcych ludzi. Już nie o jutro mu nawet chodziło, ale obecnie każda godzina była trudną do przebycia. Głód i znużenie dokuczały mu i zbezsilniły go zupełnie. Nie pozostawało mu nic jak chyba wyciągnąć rękę do którego z przechodniów. Ta myśl wstrząsnęła go całego. Więc dla tego odrzucił pomoc ludzi życzliwych, dla tego opuścił dom opiekuna, aby zostać żebrakiem? Nigdy — pomyślał sobie — choćby mi przyszło skonać z głodu, I nie chcąc wystawiać postanowienia swego na wątpliwą próbę — zebrał ostatek sił, by co prędzej wyjść z miasta, uciec od ludzi bo się bał, by głód nie pokazał się silniejszym niż jego postanowienie i nie zmusił go do kroku, którego by sobie przez całe życie nieprzebaczył.

Wyszedł za miasto i szedł na oślep przed siebie bez myśli i celu. Nogi pod nim już całkiem osłabły i zbezwładniały — gorączka wysuszyła mu usta i wargi, tak że język przyczepiał się do podniebienia — a w oczach poczęło mu się mglić i majaczyć. Przedmioty coraz nie wyraźniej rysowały się przed nim, widział jak przez mgłę jakąś wioskę czy miasteczko przed sobą, jakieś wieże czy kominy fabryczne, które zdawały się chwiać i blednąć — słyszał niewyraźnie jakieś głosy koło siebie, chciał spojrzeć, odwrócił się — nie miał już sił — i upadł omdlały.

Gdy przyszedł do siebie i otworzył oczy, ujrzał się na łóżku w pokoiku skromnie ale schludnie umeblowanym, przy nim siedział jakiś stary człowiek o podłużnej, kościstej twarzy i siwych włosach, który jedną ręką podtrzymywał go i wpatrywał się w niego z czułą troskliwością, a w drugiej trzymał kieliszek z winem. Człowiek ten skoro spostrzegł, że chory oczy otworzył, zbliżył do ust jego kieliszek z winem i rzekł z dobrocią i łagodnością:

— Napij się jeszcze — to cię pokrzepi.

— Gdzież ja jestem? — spytał Władysław usiłując się podnieść i oglądając się w koło.

— U starego Steinberga bakałarza. Wracając dziś z przechadzki z moimi chłopakami znaleźliśmy cię na gościńcu omdlonego i tuśmy cię zanieśli. Doktor powiedział, że omdlałeś z braku sił i kazał ci wlewać po odrobinie starego wina, a gdy przyjdiesz do siebie kazał podać coś posilnego, byś się wzmocnił. Moja Agata przygotowała już posiłek — zaraz go mieć będziesz.

— Agato! — zawołał głośniejszym głosem zwracając się ku drzwiom, w których natychmiast pojawiła się stara jakaś kobieta i na rozkaz bakałarza przyniosła wnet potrawkę z kurczęcia na talerzu. Bakałarz pomógł choremu podnieść się, podstawił mu talerz bliżej i włożył widelec w rękę. Władysław machinalnie był mu posłuszny; ale w chwili, gdy miał trać do ust posiłek, coś sobie przypomniał, odrzucił widelec na talerz i odwrócił się od jedzenia.

— Co ci jest mój młody przyjacielu, co ci się stało?

— Nie chcę, nie chcę — odrzekł Władysław odpychając od siebie talerz z gorączkową niecierpliwością — to by było nic innego tylko jałmużna. A ja jałmużny nie chcę, nie chcę. Czyż ja już nie mogę być niczem więcej, tylko dziadem! Załamał ręce, że aż zatrzeszczały w stawach i rzucił się z jękiem na poduszki. Stary bakałarz patrzył na niego zdziwionym wzrokiem, nie rozumiał znaczenia słów powiedzianych i brał je za gorączkowe majaczenia.

— Bóg z tobą młody przyjacielu, co mówisz o jałmużnie?

— A jak nazwiesz to co mi dajesz? — spytał Władysław zrywając się niecierpliwie z łóżka; w głosie jego malowało się udręczenie i boleść, a silny gorączkowy rumieniec rozpalał mu twarz.

— Robię to, co każdy na moim miejscu by zrobił.

— Jest to dobry uczynek z twej strony starcze; ale ja nie mogę, ja nie chce być żebrakiem i żyć ciągle litością ludzi, — nie, nie.

— Jeżeli w tem masz jakie skrupuły — to mi zapłacisz potem — rzekł starzec z pobłażliwym uśmiechem.

— Ja nie mam czem płacić.

— Rozumiem cię młody przyjacielu — popadłeś zapewne w nędzę, a duma nie pozwala ci żyć z łaski ludzi. Ale gdybym ci powiedział, że nie ja tobie, ale ty mnie łaskę robisz przyjmując od odemnie pomoc — to czy trwałbyś dalej w swoim uporze? Głos starca gdy to mówił był miękki i rzewny, drżący i jakby łzami przesiąknięty. Władysław spojrzął na twarz jego wzruszoną, na siwe oczy w tej chwili wilgotne od łez i spytał go zdziwiony:

— Jako — ja tobie łaskę świadczę? Staruszek wskazał mu ręką portret wiszący na ścianie i rzekł:

— Widzisz to mój syn, jedynak. Mieszkaliśmy razem i pracowaliśmy razem. Wojna rozłączyła nas. Kilka dni temu odebrałem wiadomość, że został ranny i wzięty w niewolę. Możesz się domyśleć co się ze mną dzieje. Niepokój i obawa dręczą mnie o niego. To też kiedy dziś znalazłem ciebie leżącego na ziemi zdawało mi się, że własnego znalazłem syna — on jest właśnie w twoim wieku i także blondyn. Widok twój wzbudził we ranie ojcowskie uczucia, kazałem cię przenieść tu na jego łóżko i zająłem się tobą troskliwie, bo pomyślałem sobie — może tam syn mój w tej chwili potrzebuje również pomocy i opieki i jakiś litościwy człowiek zrobi dla niego to, co, ja tutaj dla

ciebie zrobiłem. Jest to rodzaj wekslu na miłosierdzie — nieprawda? — spytał starzec ze smutnym uśmiechem — dziwaczny egoizm a może i zabobon. Nazwij to jak chcesz, ale gdybyś był ojcem, nie dziwiłbyś się temu. Twój ojciec by mnie lepiej zrozumiał.

— Nie mam ojca, ani matki — rzekł z westchnieniem Władysław. Jestem sierotą, niechciałem być nikomu ciężarem, chciałem pracować na siebie, ale nie umiem. Do czego się brałem nic mi nie szło. Znalazłem ludzi litościwych, ale nie znalazłem takich, którzyby mnie pracować nauczyli i pokazali jak pracować i to moje zmartwienie całe, bo ja chcę pracować, ja nie chcę żyć z łaski, jałmużny ludzkiej. Zrozumiałeś mnie teraz staruszk, czemu twoja litość tylko mi boleść sprawia?

Starzec pokiwał głową potakująco i rzekł:

— Rozumiem. Szlachetny to wstyd i dobrze świadczy o tobie. A ja posądzałem cię o grę nieszczęśliwą lub jaką inną, brzydką namiętność, która cię do tego stanu przywiodła. Cieszy mnie że się omyliłem. Jeżeli chcesz pracować znajdziemy ci pracę uczciwą i korzystną, roboty tu u nas dosyć. Ale przede wszystkim potrzeba, ażebyś przyszedł do sił. Ofiarę moją nie uważaj za jałmużnę, ale za pożyczkę, którą będziesz mógł spłacić. Nie wymawiaj się — musisz przyjąć odemnie — jak od ojca. — No jedz, a potem pogadamy.

Prosił tak natarczywie i serdecznie, że Władysław przyjąć musiał ofiarowany posiłek. Potem staruszek rozpytywał go o niektóre szczegóły, o poprzednie zajęcia jego i uzdolnienie, a gdy wysłuchiwał wszystkiego, co mu Władysław powiedział — rzekł:

— No, źleby było, żeby człowiek taki jak ty nie znalazł zajęcia. Znaleść go mogłeś dawno; ale pozwól sobie powiedzieć mój młody przyjacielu, nie szukałeś go na seryo. Z tego coś mi powiedział widzę, że w twojej całej wędrówce za pracą, za zdobyciem sobie stanowiska było więcej poetycznego zachcenia niż rzeczywistych, męzkich postanowień. Wy młodzi, życie uważacie poniekąd za scenę na której chcecie być od razu widziani i oklaskiwani przez tłumy, a nie chcecie wiedzieć tego, że większa część ludzi, którzy zasłynęli w świecie, długo i mozolnie przygotowywała sobie te szczeble po których wyszła wysoko, że ci ludzie długi czas byli nieznanymi, że się twardo i ciężko borykać musieli z losem. Z małych początków powstaje wszystko, z niedostrzeżonych prawie okiem porostów powstała bujna wegetacja świata. Tobie mój młody przyjacielu zachciało się od razu zabłysnąć, chciałeś by wciągu jednej nocy, jak w powiastkach ludowych stanął gmach twego szczęścia — a tu trzeba budować cegielkę po cegielce i nie dla tego budować, aby zadziwić oczy ludzkie, ale aby był użytek dla ciebie i dla drugich. Gdybyś był z tą myślą zaczął pracę, nie byłyby ręce opadały ci w zwątpieniu i rozpacz. Sława jest udziałem nie wielu ludzi wybranych od losu; ale użytecznym każdy być może i powinien. Życie ludzkie składa się z drobnych obowiązków, pełniąc je sumiennie zasługujemy się lepiej, niż ci, którzy gwałtownymi wysileniami chcieli nagle stworzyć przemiany. W ciszy i spokoju dojrzewa ziarno, gwałtowne burze więcej robią złego, niż dobrego tak w przyrodzie jak i w świecie praktycznym. Widzisz i ja kiedyś miałem wybujałe marzenia, które mnie wysoko unosiły po nad ziemię, chciało mi się być znakomitym i męczyłem głowę nad tem, traciłem czas i siły na to, aby zadziwiać. — Tymczasem dziś przyszedłem do tego przekonania, że wszystkie spekulacje filozoficzne, wszelkie naukowe szperania mają o tyle tylko wartość, o ile podają środki do usłużenia bliźniemu. Nad sławę uczonego filologa, któryby zadziwiał świat swojemi szperaniami klasycznymi, przeniósłem stanowisko wiejskiego nauczyciela i więcej mnie to cieszy, gdy widzę młodzieńcze pokolenie podrastające w zasadach przezemnie głoszonych, jak małe szczepki w ogrodzie, niż gdyby mi się udało porobić Bóg wie jak trafne uwagi nad pisownią Liwiusza, albo wytłomaczyć trochę inaczej niż inni jaki ustęp z Lukretiusza. Dawni koledzy moi nazwali mnie dziwakiem, oryginałem, a mnie się znowu zdaje, że to oni szaleńcy. Bo nie na tem rzecz, aby osiągnąć wysokie stanowisko; ale aby być wyższym nad osiągnięte i mieć jasny pogląd z

góry na rzeczy, by nie upędząć się za tem, co niewarte zachodu i trudu. Tobie może nie w smak ta mowa starego — co? — spytał bakałarz patrząc na zasepioną jakimiś myślami twarz swego gościa — młodemu duchowi duszno i ciasno wśród takich zasad — nie prawda? — Wina to waszego wychowania. Stawiają przed wami od dzieciństwa świetne przykłady wielkości, bohaterstwa, choćby takiego, które kosztowały ludzkość miliony łez i krwi, i dla tego nie umiecie być maluczkimi; każdy radby być generałem, nikt nie chce być żołnierzem i dla tego klęski ponosi ludzkość i zwyciężyć złego nie może; teraz dopiero nowsze poglądy i teorye rozpowszechniają między ludźmi tę wielką prawdę, że drobne przyczyny, zwyczajne wypadki i czynności w połączeniu tworzą olbrzymie rzeczy i dają rezultaty niesłychane. Skoro tu u nas pobędziesz czas jakiś — a mam nadzieję, że cię tu zatrzymamy, — zobaczysz co mogą usiłowania maluczkiich połączone silną organizacją. Przypatrz się — mówił dalej, pokazując palcem w okno, temu lasowi sterczących kominów, nie żaden milioner je wznosił, nie — stanęły one pracą tutejszych robotników, którzy stowarzyszili się wspólnie i stali się właścicielami tych fabryk. Dawniej należały one do jakiegoś barona. Stały wtedy dość lichy, zaledwie kilka kuźnic było czynnych; administracja połykała większą część dochodów, resztę puszczał baron na hulanki i rozpustne życie, aż przyszło do tego, że fabryki wystawiono na licytację, a robotnicy zostali bez utrzymania. Wtedy znalazł się jeden między nimi, który poddał innym myśl, aby fabryki zakupili dla siebie na wspólną własność. Wykonanie tej pięknej myśli dużo miało trudności, szło o zebranie dość znacznej sumy. Ale ten który tę myśl podał, umiał ją i urzeczywistnić. Zaciągnięto pożyczkę z kas zaliczkowych, z banków, ułożono się z wierzycielami większymi względem częściowej spłaty, robotnicy zgodzili się na obniżenie dziennej płacy dla umarzania długu — słowem zrobiono wszystko, co można było, poruszono wszystkie sposoby finansowe praktykowane w takich razach. — Z początku szło twardo i z oporem; brak kredytu, nizkość płacy i lichy popyt zagrażały spółce ruiną. Po kilku jednak latach interesa stowarzyszenia wyrównały się, a korzystny kontrakt zawarł przedsiębiorcami budowy kolei względem dostawy szyn i żelaza postawił je na nogi. Odtąd wzmagalo się ono coraz więcej, rozszerzyło fabryki, zakupiło grunta okoliczne, poczęło budować i dziś osada fabryczna wygląda jak małe miasteczko; ma swój kościół, szpital, dom przytułku, szkołę przemysłową i początkową, pocztę, kasę zaliczkową i kasę oszczędności. I to wszystko zrobili ludzie biedni, którzy pojedynczo byliby do dziś dnia żyli w nędzy i pracy, która by im nie była zabezpieczyła przyszłości — a dziś są właścicielami fabryk, mieszkają, że aż miło popatrzeć, a dochody ich z każdym rokiem się powiększają. Zresztą po co ci mam dużo gadać — zobaczysz sam, przyjrzyj się z bliska, bo to warto studyować takie stosunki — to człowiekowi dodaje odwagi do życia i wytrwałość i chęci do pracy. Przynajmniej na mnie tak działa widok tego stowarzyszenia. Kiedym pierwszy raz przyjechał tutaj obejrzeć ten zakład i przyjrzeć mu się zblizka, bo cuda o nim słyzałem, byłem tak zachwycony tem wszystkim, com tu widział, że od razu wzbudziło się we mnie pragnienie wejścia w skład tego stowarzyszenia, które tak wzorowo się urządziło. Szczęście zdarzyło, że poprzedni nauczyciel umarł, ogłoszono konkurs i podałem się. Dostałem posadę, a w kilka lat później ze znaczniejszym udziałem przystąpiłem jako członek do stowarzyszenia. Mój syn należał także, a oprócz tego pracował w wydziale rysunkowym w zakładzie i był zarazem sekretarzem stowarzyszenia. Gdy go powołano pod broń, ja go zastępowałem łudzając się nadzieją, że wojna wnet się zakończy i on wróci. Ale teraz kiedy z tą nadzieją na długo trzeba się będzie pożegnać — mówił dalej westchnawszy boleśnie i spuściwszy na dół głowę — a mnie siły nie służą tyle, żebym mógł podołać tym dwom obowiązkom, dziękuję przypadkowi, który mi ciebie nastreczył. Będę mógł i sobie ulżyć i tobie pomódz. Zobaczysz, że ci się tu spodoba u nas, a przy pracy i dobrych chęciach będziesz mógł nie źle wyjść.

Długo jeszcze w ten sposób mówił bakałarz opowiadając gościowi swemu niektóre ciekawe

szczegóły dotyczące się fabryki, cytował mu życiorysy niektórych jej członków, których usiłowania i wynalazki przyczyniły się nie mało do podniesienia i rozgłosu fabryki. Gawędka przeciągnęła się do późnej nocy. Władysław z zajęciem i uwagą słuchał opowiadania bakałarza, skrzepiło go ono więcej niż posiłek podany przez Agatę, bo posiliło i wzmocniło ducha jego.

Na drugi dzień po odbyciu lekcji, bakałarz wyszedł z gościem swoim na obejrzenie osady fabrycznej. Poprowadził go długą ulicą zabudowaną symetrycznie pięknymi domkami, w których mieściły się rodziny robotników. Domy były stawiane na jeden prawie sposób, ale bardzo wygodnie i z gustem. Każdy kawałek ziemi umiano zużytkować i upiększono o ile można było. — Przez czyste i jasne szyby okien widać było, że i wewnątrz domów równem odznaczały się staraniem i czystością. Przed domami tu i owdzie bawiły się gromadki dzieci różnymi ćwiczeniami gimnastycznymi, starszych osób nie wiele widać było, bo kobiety zajęte były przygotowaniem obiadów, a mężczyźni w fabryce i biurach mieli zajęcie. Przed jednym domem blisko kościoła spostrzegł Władysław w ogródku jakiegoś starca, koło którego bawiło się kilkoro dzieci i stado gołębi, które obsiadło sztachetki ogródka i dach domu i zlatywało co chwila do ziemi trzepocząc skrzydłami koło głowy starca. Staruszek trzymał miareczkę z grochem i co chwila rzucał go pełnemi garściami przed siebie patrząc z uśmiechniętą twarzą na wzlatujące gołębie. Bakałarz spostrzegł zajęcie się gościa tą postcią i pośpieszył z objaśnieniem.

— To Nestor nasz — rzekł wskazując na starca — najstarszy i najzasłużeńszy człowiek w tej osadzie. To właśnie jest ów, który projektował urządzenie spółki i zajął się urzeczywistnieniem, bywały w świecie i tęga głowa. Czas jakiś pracował w Birmingham i tam właśnie poznał wartość i siłę stowarzyszeń i przeniósł tę zbawienną instytucję, najznakomitszy wynalazek tego stulecia, na rodzinną ziemię. Jemu osada zawdzięcza wszystko. Powodzenie jej jest dla niego największą nagrodą. Na starość cieszy się widokiem pomyślności i miłością wszystkich. Cała osada uważa go za ojca i dobrodzieja swego i otacza go szacunkiem i wdzięcznością. Dziś wiek niepozwała mu już zajmować się interesami jak dawniej, mimo to wiele jeszcze robi, bo powiada zawsze, że bezczynność to śmierć, a on chce żyć jeszcze. To też zobaczysz go na każdym zgromadzeniu, gdzie nieraz dobrą przysłuży się radą. Każde słowo jego ma wagę i znajduje posłuch u ludzi, on tu decyduje, on rozsądza spory, godzi, zachęca, słowem jest duszą osady. Miłą jest taka starość — nie prawda? Nie jeden wielki sławny w świecie człowiek mógłby mu pozazdrościć tej starości. Chodź, — przedstawię cię jemu.

Podeszli ku domowi. Staruszek ujrzawszy bakałarza skinął mu przyjaźnie ręką i odezwał się:

— Jak się masz Steinberg. Właśnie posłałem ci przed chwilą gazety. Wyczytasz w nich dobrą wiadomość. Układy o pokój przychodzą do skutku, jest więc nadzieja, że niezadługo zobaczysz twego jedynaka. I nam także źle bez niego. Wojna zrabowała nam dużo ludzi; Kuźnicę Elżbiety musieliśmy zamknąć na czas jakiś dla braku ludzi, — Straszne to złe ta wojna, niektórzy nazywają to złem koniecznem; ale ja tego nie powiem. Gdyby porządek świata zależał od nas fabrykantów, wojen by nie było. Ale siadajże trochę tu — obok mnie, poczęstuję cię paradną albanką. Kogóż to prowadzisz ze sobą? — spytał spostrzegłszy Władysława.

— To jeden młody człowiek, który szuka zajęcia.

— Zajęcia u nas nie brak. A do czegoż chce się wzięść.

— Chciałbym go zaproponować na posadę sekretarza po moim synu.

— A jak syn wróci.

— To zostanie w wydziale rysunkowym, będzie tam miał dosyć do roboty, bo teraz Budowle się rozpoczną.

— Słuszna uwaga.

Przyłożył rękę do czoła zasłaniając oczy od światła i popatrzył uważnie na Władysława.

— Nie źle mu z oczów patrzy — rzekł zwracając się do bakałarza — ty Steinberg masz szczęście do odszukiwania ludzi. Naszego pastora mamy także z twojej poręki — a i telegrafistę tyś nam stręczył — nie prawda?

Bakałarz przytakiwał głową.

— No, jeżeli i teraz równy zrobiłeś nabytek, to ci wdzięczni będziemy. A z kąd jesteś mój przyjacielu? — spytał zwracając się do Władysława.

— Z Polski.

— Polak tedy. To dobrze, że umiesz ten język, bo mamy liczne interesa w tym kraju — a Polacy to nieźli ludzie. U siebie troszkę niesforni i kłótniwi a nawet leniwi, ale między obcymi to się tędzy ludzie z nich robią. Za kilka dni będzie zebranie wydziału to się ta sprawa załatwi.

— A teraz pójdziemy dalej — rzekł bakałarz — chcę mu pokazać naszą osadę.

— To idźcie z Bogiem. A przechodząc koło odlewni bądź tak dobry przypomnieć kontrolerowi, że jutro wypada termin odstawy szyn do kolei.

— Patrz mówił bakałarz do Władysława, gdy odeszli nieco od domu Nestora — jaka młodzieńcza żywość jeszcze w tym starcu, jak go wszystko zajmuje, o wszystkim pamięta. Blisko ośmdziesiąt lat już liczy. A jaka przy tem skromność i łagodność w obejściu się z ludźmi, jaka prostota w potrzebach życia, pomimo dość znacznego majątku. Gdyby tak który z naszych panów dorobił się takiej fortuny, to ani przystęp do niego, zaraz liberya, powozy i Bóg wie jakie wymysły. A tu w niczem nie poznasz różnicy między nim a najbiedniejszym robotnikiem. Niedawno ofiarowano mu za zasługi, jakie położył koło podniesienia przemysłu krzyż i baronostwo. Krzyżyk przyjął z wdzięcznością i powiesił go nad łóżkiem; ale baronostwa odmówił. „Bo — powiedział — moich współpracowników toby demoralizowało, zdawałoby im się, że baron coś więcej znaczy, niż uczciwy rzemieślnik, tak myśleć nie powinni, bo tak nie jest.” — Widzisz — to prawdziwy demokrat. — Znałem w parlamencie wielu zapalonych liberałów i demokratów, którzy długie mowy miewali w obronie postępu i praw ludu i mienili się jego trybunami, ale żaden zdaje mi się nie odrzuciłby baronostwa, — choć tyle nagardłowali przeciw uprzywilejowanym kastom. U nas tu nikt nie piorunuje na arystokrację, robotnicy nasi nie znają tej nienawiści i namiętności, jaka po wielkich miastach burzy krew ludzi nisko urodzonych. My tu patrzymy na stare herbowne rody, jak się patrzy późną jesienią na kwiaty, które się jeszcze utrzymały w ogrodzie; bawi nasze oko ich przepych i świetność; ale wiemy, że zwiędnąć i zniszczyć muszą, bo się przeżyły.

— Gdy tak mówił bakałarz na zakręcie drogi, pokazała się bryczka, w której siedzący młody człowiek energicznej twarzy i bystrych oczów pozdrowił uprzejmie przechodzących i rozkazawszy stanąć woźnicy zapytał:

— Panie Steinberg, gdzie mógłbym znaleźć teraz magazyniera?

— Za kwandrans znajdziesz go pan w mieszkaniu, bo o tym czasie jada obiad.

— Dziękuję panu.

Kazał woźnicy nawrócić i skręcił ku szeregowi domków.

— To nasz adwokat — rzekł bakałarz wskazując za odjeżdżającym — syn jednego robotnika.

On prowadzi interesa nasze. Bo trzeba ci wiedzieć, że osada nasza dostarcza nie tylko robotników, synowie robotników kształcą się w większych zakładach naukowych i wychodzą nieraz na wielkie figury. Związek ich z zakładem nie ustaje jednak, związki rodzinne i interesa materyalne utrzymują ich w ciągłym stosunku z nami. Mamy swoich ludzi w parlamencie, w urzędzie, w szkołach w handlach i mamy z nich przez to dzielnych pomocników i protektorów. Są to przeważnie ludzie prawi i dzielni. Niewielu tylko naliczyłoby można wyrodków, którzy przeniewierzyli się zasadom

wyniesionym z domu i zapomnieli o nas.

Tak rozmawiając zbliżali się do fabryk, które bliskość swoją anonsowały turkotem kół, gwarem ludzi krzątających się w różne strony i ożywionym ruchem. Pracowity ten ruch przypominał mrowisko.

— Tu serce osady naszej — rzekł bakałarz z pewną dumą — tu grają główne pulsa naszego życia. — Przypatrzysz się temu bliżej kiedy indziej; dziś już za późno. Za chwilę zadzwonią na południe. Otóż właśnie dzwonią.

Na głos dzwonka z kuźnic i warsztatów wysypały się gromady robotników osmolonych i zdążyły w stronę czerwonych domków. Krok ich był żwawy, twarze wesołe, uśmiechnięte, szli gwarząc głośno i śmiejąc się. Nie widać było na nich owego zmęczenia, zgnębienia, jakie sprowadza nadmiar pracy i ciężki trud. Władysław objawił swemu przewodnikowi zdziwienie swoje pod tym względem i rzekł:

— Zdawało mi się zawsze, że ludzie, którzy tak ciężko i tyle godzin pracować muszą, muszą się czuć bardzo nieszczęśliwymi, że taka praca ciągle zabijać musi swobodę umysłu.

— Źle sądziłeś mój młody przyjacielu. Nie ma skuteczniejszego lekarstwa na choroby duszy jak praca fizyczna. Walka z trudami rozbudza zamiłowanie życia. Ludzie pracy rzadko są samobójcami. Gdybyś widział tych ludzi wieczorem po pracy, gdy się oddadzą zabawie — to dusza się raduje patrząc na ich wesołość i humor. A pracują u nas więcej niż gdziekolwiek indziej; ale pracują nie z musu, każdy wie że pracuje dla siebie, że w miarę pilności jego wzrośnie majątek towarzystwa i będzie miał większą dywidendę. Ta myśl zapracuje dla siebie i dla rodziny daje mu podwójne siły i czyni znużenie znośniejszem. A przytem stosowne odżywienie przyczynia się także nie mało do tego stanu w jakim widzisz naszych robotników. — Żyją dostatnio, a stosunkowo tanio, bo stowarzyszenie nasze zakupuje wszystkie artykuły do życia z pierwszej ręki i odstępuje członkom bez zysku. W taki sposób robotnik żyje tanio a dobrze i to wpływa bardzo korzystnie na stan zdrowia. — W szpitalu naszym nie wiele zwykle jest chorych, najczęściej jaki nieszczęśliwy przypadek pomnaża pacjentów. Ale czas by może było — rzekł zatrzymując się — i nam na obiad.

Spojrzał na zegarek.

Mamy jeszcze półgodziny czasu, wstąpimy po drodze do pastora. Poznałeś materialnie nasze siły potrochu, trzeba, żebyś także poznał i duchowe, byś nie myślał, że samym tylko chlebem żyjemy. Skręcimy tędy przez mostek na ścieżki — tędy bliższa droga.

Szli jakiś czas przez łąki, które otaczały osadę fabryczną od południowej strony, a kończyły się lesistą górą.

— Ten las i te pola już za mojej bytności tutaj zakupiło stowarzyszenie. Jedni chcieli ich użyć na rozprzestrzenienie fabryki, inni chcieli je odprzedać, bo się zdarzała sposobność korzystnego odstąpienia ich jakiemuś bankierowi; ale pastor nasz sprzeciwił się temu i wykazał na zgromadzeniu o ile więcej zyskuje osada zatrzymując to wszystko na własny użytek i dla przyjemności. Doktor poparł jego wniosek tłumacząc robotnikom, że zdrowie to także kapitał, że szczególnie robotnik zmuszony większą część życia przepędzać w gorącu, zaduchu i dymie, potrzebuje dla zdrowia świeżego powietrza, przechadzki, a więcej jeszcze potrzebuje tego wątły organizm dziecięcy i proponował urządzenie w lesie spacerów, a po łąkach parę ogródków i miejsc do spoczynku i zabawy. Projekt ten przeszedł; ale miał dużo niechętnych, którzy niepokojeni żądzą prędkiego bogacenia się, sarkali na to marnotrawstwo, mruczeli, że stowarzyszenie nie na to się zawiązało, aby myśleć o zabawach, przyjemnościach i innych pańskich rozrywkach, że najlepszem miejscem zabawy i odpoczynku dla robotnika jest knajpa. Dziś wszyscy zadowoleni są z tego i wdzięczni są za ten pomysł staremu Nestorowi. — Ta łąka i ten las — stały się z czasem salonem naszym. Tu się

odbywają zabawy, wyścigi piesze, gry różne, w Niedzielę i święto ludno tu i gwarno, jak na odpuszcie.

Opowiadający szedł wąską ścieżką naprzód; za nim postępował Władysław słuchając z zajęciem jego opowiadania i rozglądając się po okolicy. I on w tej chwili błogosławił szczęśliwą myśl Nestora oddychając pełną piersią świeżem powietrzem. Wśród dymu fabrycznego i domów robotników było mu trochę duszno i ciasno; tu szerzej i weselej mu się zrobiło w myślach i czuł szybsze krwi krążenie w żyłach. To miłe wrażenie skłoniło go do podziwiania wielkiego rozsądku starego fabrykanta, który tak dobrze rozumiał wszelkie potrzeby ludzi i starał im się zaradzić.

Z łąki zeszli ku rzece, co płynęła wśród zarośli i przeszli znowu drugi most, obok którego na prawo była furtka prowadząca do ogrodu pastora. Ogród był starannie i ze znajomością utrzymany, wypełniały go drzewa owocowe i wspaniałe włoskie orzechy. Astry i georginie zdobiły klomby przed oknami, a dzikie wino oplatało gęstymi splotami ganeczek. Na ganku siedziała młoda córka pastora zajęta haftem i od niej dowiedzieli się, że ojciec jest w kasynie na lekcyi śpiewu.

— O tej godzinie? — spytał zdziwiony bakałarz dobywając zegarka.

— Jutro koncert. Więc dzisiaj jeneralna próba. Dla tego tatko pospieszył z obiadem i od kwadransa wyszedł. Ale powiedział, że za godzinę będzie z powrotem. Może panowie usiądą i zaczekają.

— Czekają nas z obiadem. Przyjdziemy innym razem.

Uklonili się pastorównie, i poszli ku domowi.

— Więc ksiądz jest muzykalny? — spytał Władysław, gdy już weszli na główną ulicę.

— Czem on nie jest, to niezmiernie ciekawy do wszystkiego człowiek, wszystko go zajmuje, wszystko radby wiedzieć i widzieć. I śpiewa i gra i maluje trochę, nawet pisze. Wydał już kilka powiastek. Nie są to arcydzieła, ale w każdej zdrowa myśl i tendencya, a według mnie tendencya ta stanowi grunt powieści. Na co się zda człowiekowi czytać najgenialniejsze opisy okolic, najpyszniejsza charakterystyka dziwaków i orginałów, za którą upędzają się artyści. — Dobrze to wszystko; ale niech forma artystyczna i znakomita technika nie stanowi ostatecznego celu. Celem każdego dzieła sztuki a specyalnie powieści jest, aby człowieka podniosła, aby z niej można było wynieść dla siebie kilka prawd głębszych, poznać życie i nauczyć się żyć. Takie jest moje przekonanie i dla tego z zajęciem czytam powieści naszego pastora, a światłe słowo o literaturze cenię bardzo. Zeszłego roku zrobiliśmy go bibliotekarzem naszego kasyna i od tego czasu czytelnia nasza ma dużo książek takich, które z prawdziwym pożytkiem czytać można. Zaprowadzę cię w niedzielę do czytelnia, zobaczysz jak my tu niedziele spędzamy. Tylko się nie bój, nie same książki łykamy we święta, znajdzie się i piwo i bilard i kręgle i muzyczka, bo pastor urządza nam co niedziela koncerta. Mamy czas na wszystko, bo musimy z czasu korzystać.

Tych słów domawiał bakałarz już w sieni domu, gdzie spotkali Agatę niosącą wazę do pokoju. Obiad był skromny, składał się z trzech potraw tylko, ale smacznie przyrządzonych i czysto podanych. Władysławowi po kilku dniach biedy i niedostatku, obiad ten smakował nadzwyczaj, do czego nie mało przyczyniła się nadzieja dostania pewnej posady, myśl że je z jałmużny niepsuła mu już apetytu.

Po obiedzie, przy którym dla uczczenia gościa i posilenia, wypito pół butelki wina, bakałarz wypalił fajeczkę i przygotował skrypta do szkoły. Aby zaś gość w czasie nieobecności jego miał zajęcie, dał mu kilka książek do czytania ze swojej biblioteczki. Między innymi było tam dziełko Smilesa o „Pomocy własnej”.

— To dziełko bym ci radził przeczytać, jeżeli go nie znasz — rzekł bakałarz. Jest w niem dużo rzeczy takich, na które bym się nie zgodził, a szczególnie to mu mam do zarzucenia, że kładzie zbyteczny 'nacisk na siły jednostek, gdy tymczasem w obec trudności z jakimi teraz jednostka

walczyć musi w świecie, więcej ludzi łamie się niż dobywa na wierzch własną pracą. Stowarzyszenia dzisiaj są siłą — usiłowania jednostek zespolone cuda tworzą. Takie jest moje przekonanie. Ale zawsze książkę tę z pożytkiem przeczytać można. Jest tam dużo rzeczy, które dodają hartu, odwagi i wiary w siebie.

Władysław usłuchał rady starego bakałarza i po odejściu jego zabrał się do czytania książki, która w miarę im bardziej się w nią wczytywał, tym więcej go interesowała. Przechodząc kolejno dzieje pojedynczych usiłowań ludzkich, które nieraz tak świetnymi zostały uwieńczone skutkami, uczył się o wiele silniejszym do walki z losem, a przyszłość w coraz jaśniejszych i pewniejszych przedstawiała mu się kolorach. Wieczorem bakałarz podyktował mu podanie do zgromadzenia o udzielenie posady sekretarza, które jutro miał zanieść do biura.

— Potrzeba będzie mówił załączyć papiery twoje.

Słowa te zmieszały Władysława, przeląkł się " że znowu tu powtórzy się ta sama historia co w Lundenburgu, że o tę przeszkodę rozbijają się znowu wszystkie zamysły jego.

— Ja nie mam żadnych papierów — odrzekł zmienionym głosem — nie mam żadnych świadectw — nic.

— Mniejsza o świadectwa. Świadectwo niczego nie dowodzi jeszcze. Najgorsi i najnieudolniejsi ludzie umieją często postarać się o najlepsze świadectwo. U nas to nie jest wcale rękojmią. Ale potrzebne są inne papiery do podania — np. metryka. Wszak tę mieć musisz.

— I tej nie mam. Nie pomyślałem, że mi będzie potrzebna.

— Trzeba więc będzie, abyś o nią napisał do kogo z krewnych lub znajomych. To jest koniecznym dla porządku.

Żądanie to tak naturalne zakłopotало na chwilę Władysława, a to głównie z tego powodu, że postanowił nie dawać o sobie znaku życia siostrze, dopóki nie zdobędzie sobie stanowiska. Postanowienie to powziął w czasie, gdy wybujałe marzenia chodziły mu po głowie, a lubo teraz znacznie się z nich wytrzeźwił i poważniej zaczął patrzeć na swój los, to jednak uważał sobie za upokorzenie, że będzie musiał pisać do siostry a nie może jej równocześnie donieść nic pewnego i dodatniego o sobie. Zdecydował się jednak przełamać w sobie ten fałszywy wstyd i napisał list do siostry, w którym wypowiedział się jej po trochu z kolei jakie przechodził w tym krótkim czasie, donosił jej gdzie się obecnie znajduje, co zamyśla robić i prosił jej w końcu o metrykę i inne potrzebne papiery. List ten stosownie do instrukcyi Jadwigi zaadresował na ręce Antoniego, do którego także kilka słów dopisał i prosił o spieszłą odpowiedź.

Według jego obliczeń najdalej za tydzień powinien był mieć odpowiedź i papiery. Ale minął tydzień — minął i drugi i trzeci, a nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Był pewny, że list zaginął, wysłał więc drugi; ale i na ten mu nie odpowiadano.

Dla wyjaśnienia powodów tego dziwnego milczenia ze strony Jadwigi i Antoniego potrzeba nam wrócić znowu do miasta, w którym rozpoczęła się nasza powieść i przypatrzeć się dalszym działaniom znanych nam osób, a przede wszystkim Antoniego.

Po długim namyśle i wahaniu, party więcej biegiem wypadków niż własnej woli zdecydował się nareszcie stanowczo na przyjęcie redakcyi nowego pisma, mającego być organem umiarkowanego stronnictwa ultramontanów. Przypadek zrzucił że program, w którym nazwisko jego było umieszczone na pierwszym miejscu, ogłoszono właśnie w dzień przed pojedyńkiem doktora z Urbanem. Na takie jawne przetrzucenie się do przeciwnego obozu, powstało w demokratycznym stronnictwie niesłychane oburzenie. Nawet ci, którzy obalamuceni przez Urbana, podejrzewali już dawniej Antoniego o wsteczne dążności, zdumieni się tą odwagą, z jaką odsłonił się przed nimi i nazwali to publiczne zdemaskowanie bezczelnością i cynizmem. Tylko jeden Urban nie dziwił się, zacierał ręce z radości, że się pierwszy poznał na farbowanych lisach i tryumfował.

Dla doktora Seweryna wiadomość ta była okropną i zastała go wcale nieprzygotowanym właśnie w chwili, gdy dla oczyszczenia się w oczach Antoniego i odzyskania jego przyjaźni, stawiał życie swoje na kartę. Zdarzyło się jeszcze tak, że właśnie Milutyński przyniósł mu ów program, na którym stało nazwisko Antoniego i podając mu go rzekł:

— Przeczytaj.

A gdy doktor zmieszany szybko przebiegał oczami pismo, w którym była tak okropna dla niego niespodzianka — Milutyński zapytał go:

— A co? Czy będziesz go jeszcze bronił? — Ja zawsze podejrzewałem tego człowieka, bo głównym motorem jego czynności nie była miłość sprawy, za którą chciał walczyć, ale duma, a kto żywi w piersiach tę szpetną namiętność, ten nie przebiera w środkach nasycenia się.

Doktor przygnębiony niespodziewanym ciosem słuchał w milczeniu ostrych słów Milutyńskiego, bo nie miał nic do powiedzenia na obronę Antoniego. Wątpić już nie mógł w jego przetrzucenie się do przeciwnego obozu; fakt był zbyt przekonywający. Mimo to chciał przynajmniej w części usprawiedliwić swego dawnego przyjaciela, którego postępek więcej go bolał, niż oburzał i odezwał się nieśmiałym głosem:

— Tak, straciliśmy człowieka. Ale potępić go bezwzględnie nie możemy. Kto wie jakie powody skłoniły go do tego? A jeżeli w duszy jego zaszła jakaś nieznaną nam reakcja, która zmieniła jego przekonania?

— Przekonania nie zmieniają się jak suknie w kilku dniach lub tygodniach. Zresztą gdyby tu szło tylko o to, miałbym go może za wytłomaczego, bo wierzę, że człowiek wewnętrznie zmieniać się może, w skutek doświadczeń, rozmyślań i dla tego szanuję przekonania, nawet takie, które są wprost przeciwne moim zasadom. Ale w postępku jego nie widzę przekonania, tylko namiętność. Żołnierz, który stracił wiarę w świętość sprawy, za którą walczył, usuwa się z obozu; ale nie zaciąga pod sztandar nieprzyjacielski. Takie przejście jest dezercją, zdradą. Inaczej tego nazwać nie mogę; — zwłaszcza, że nie mogę go posądzić, by nie znał złej woli tych, z którymi się teraz sprzymierzył. Gdyby oni wierzyli w to co głoszą, możnaby ich przynajmniej szanować. Ale dla nich religia jest tylko obronną redutą, za którą chowają własne cele. Przywiązali Chrystusa na swoim sztandarze i noszą go przed sobą, by siebie obronić od naszych pocisków. Ultramontanizm to nie religia — to państwo w państwie, którego żelazna organizacja utrzymała się przez wieki ze szkodą interesów

ludzkości. Wbrew idei wolności chcą narzucić światu swoje przekonania, ochrzczone fałszywym mieniem Chrystusowej nauki — i dowiedli tego z szatańskim sprytem. Bo zaprawdę nie małej trzeba było przebiegłości, aby za pomocą demokratycznego Chrześcijanizmu, ustalić różnicę stanów i przywileje. On sam im to wytykał w swoich broszurach, a dziś staje po ich stronie — to niegodziwie.

— Ze wstrętem myślę o tem — rzekł doktor — nie mogę pojąć w jaki sposób się to stało, nie mogę przypuścić brudnych celów, nie mogę uwierzyć żeby to zrobił dla interesu, on był wyższym nad takie względy. Prędzej uwierzę w jakiś umysłowy obłąd, w złudzenie, któremu się poddał. On był zawsze marzycielem, idealistą; tacy ludzie patrzą na świat przez tęczowe, magiczne szkła poezji, które często tak fałszywie pokazują.

— Mniejsza o powody. Nie warto męczyć się nad szukaniem ich. Ten człowiek dla nas stracony, gorzej jeszcze, bo szkodliwy być może. Ale nie o nim chcę teraz mówić, tylko o tobie doktorze. Postępek Antoniego zmienia postać rzeczy i uwalnia cię już od pojedynku z Urbanem. Teraz byłoby to lekkomyślnością do niedarowania, gdybyś jeszcze przez jakieś względy dla tego człowieka chciał narażać życie. Zawsze to utrzymywałem, że dziesięciu takich Antonich nie warci ciebie jednego. Więc odstępujesz od pojedynku?

— Nie będę się bawił w Don Kiszota i przyznam panu, że pojedynek jest teraz zbyt ciężki.

— Tom chciał wiedzieć. Spieszę więc do Urbana i odwołam.

— Jednak bez ubliżenia nam.

— Spuść się na mnie,

— Gdzież się zobaczymy?

— Może u mnie. Będziesz chciał może odwiedzić twoją pacjentkę i zobaczyć skutek lekarstwa.

Kornelka wczoraj odebrała ów list.

— I cóż? — Uspokoła się.

— Chwilowo lekarstwo dobrze podziałało. Jest spokojniejszą a nawet zdecydowała się zażyć pigułki.

— To już dobrze. Początek zrobiony. Idę tam zaraz.

— Mój powóz czeka przed domem — i zawiezie cię — ja wezmę dorożkę.

Wyszli razem i na dole rozłączyli się. Doktor pojechał do córki Milutyńskiego, którą leczył od kilku dni. Po nagłym bowiem zniknięciu Władysława, Kornelka popadła w jakiś stan rozdrażnienia nerwowego, które się objawiało częstym płaczem i bezsennością, w skutek czego ustał apetyt i na krótki czas chora bardzo pomizerniała. Ojciec mocno zaniepokojony był tym stanem i wezwał rady lekarza, który nie mogąc odgadnąć istotnego powodu tej dziwnej choroby, przypisywał ją złemu odżywianiu i brakowi ruchu w klasztorze, co u młodych pańienek sprowadza często blednicę. Tutaj choroby tej nie zauważył jeszcze w rozwinięciu. Jednak dla uchronienia od możliwych następstw i przytem dla wzmocnienia osłabionego organizmu, zapisał pigułki żelazne i jakąś wodę mineralną. Zdziwił się jednak, gdy przyjechawszy za parę dni zobaczył stan chorej znacznie gorzej, a lekarstwa całkiem nie użyte. Na zapytanie doktora chora z na pół dziecięcą naiwnością oświadczyła mu, że lekarstw żadnych brać nie będzie, bo ona chce koniecznie umrzeć. Doktor ze zdziwieniem spojrzął na córkę i na ojca. Domyślił się, że źle odgadł powód choroby, że jakieś moralne cierpienie kryje się na dnie tego wszystkiego. Milutyński objaśnił go potem bliżej względem tego.

— Nieogłędnie sobie postąpiłem bardzo — rzekł mu gdy byli sami — że obcemu człowiekowi dałem przystęp do mego domu i pozwalałem mu korzystać z dziecinnej łatwowierności mej córki. Wiesz o kim mówię — o tym niby nauczycielu. Muzyką, słodkimi słowami, eleganckiem obejściem i urodą zawrócił głowę dziewczęciu, które jeszcze tak mało zna świata i wkradł się w serduszko młode. Moja wina, że dopuściłem do tego, zanadto mu zaufałem; wydawał mi się uczciwym, tak mu

dobrze z oczów patrzyło. Na szczęście tyś mnie przestrzegł co to za ptaszek. Musiał zmiarkować coś, bo od tego czasu się nie pokazał. Cieszyłem się z tego; ale teraz ze smutkiem spostrzegłem, że za późno przestał bywać. Kornelka moja przywiązała się do niego i teraz martwi się, że go nie widuje. W dziecinnej głowie swojej uroiła sobie, że to z mojego powodu przestał bywać, że ja miałem coś do niego, że nie dość go szanowałem, nie dość zachwyciałem się jego talentem. No i cóż tu poradzić na to? Mógłbym powiedzieć jej prawdę, a nawet trochę surowiej skarcić rozkapryszoną panienkę moją, gdyby była zdrowa. Ale widziałeś jak jest mizerna — w oczach więdnije. Co tu robić doktorze?

— Co jej pan powiedziałeś o nim?

— Mówiłem jej, że przestał chodzić z własnej woli, bo zapewne gdzieś korzystniejsze dostał miejsce; ale nie chce temu uwierzyć, ciągle uparcie powtarza: nie, nie, nie wierzę aż mi to sam powie. Na to przecież przystać nie mogę, pomimo całej słabości, jaką mam dla swojej pieszczotki. Choć, wiesz, że czasem przychodzi mi szalona myśl iść do niego, odwołać się do jego honoru i prosić go, by sam wyprowadził ją z błędu. Ale na to trzeba, żeby miał poczucie honoru; a człowiek, który w tak podstępny sposób wkrada się w dom i korzysta z łatwowierności ludzi, mieć go nie może. Gotów mnie wyśmiać jeszcze lub uważać mój postępek za rodzaj narzucania mu córki. Po takich ludziach wszystkiego mogę się spodziewać i to mnie wstrzymuje.

— Choćby nawet nie to i tak plan pański byłby niemożliwym do wykonania, bo on wyjechał za granicę. Ale to podsuwa mi jedną myśl szczęśliwą. Panna Kornelia nie zna jego pism?

— Zdaje mi się, że nie.

— Otóż gdyby można napisać list, niby od niego, w którymby usprawiedliwiał swój nagły wyjazd — powodów tysiące się znajdzie. Taki list byłby bardzo skutecznym lekarstwem, a przynajmniej ułatwiłby nam kurację. Próbowałem raz podobnego sposobu u jednej z moich pacjentek, u której nieszczęśliwa miłość była także pierwszym powodem choroby i udało mi się za pomocą długiego szeregu listów przeprowadzić miłość tę przez wszystkie fazy, ostudzać powoli a w końcu zamienić w obojętność. Listy zastępowały recepty — trzeba było leczyć najprzód imaginację, bo tam było źródło choroby. Tu zachodzi podobna okoliczność; sądzę więc, że ten środek byłby dobry. Cóż pan na to?

— Boję się, czy środek ten nie zawiedzie. Czy list taki nie podtrzymałby i nie rozzarzył jeszcze więcej tych uczuć które chcemy zniszczyć.

— Zależec to będzie od listu. Zresztą w ten sposób zyskamy na czasie — a czas to także dobry doktor.

— Więc rób doktorze, co uważasz za stosowne — daję ci zupełną wolność działania. Tylko uratuj mi moją ślicznotkę.

W skutek tej narady doktor napisał list do Kornelki jakby od Władysława. W liście tym było przeproszenie za nagły wyjazd bez pożegnania, a zarazem usprawiedliwienie tego pośpiechu. „Doniesiono mi telegrafem — pisał — że w konserwatorium paryzkim opróżniło się jedno miejsce bezpłatne i wezwano mnie abym natychmiast przyjechał, by mnie kto inny nie ubiegł. Szło tu o mój los, o moją dalszą karierę artystyczną, i dla tego nie mogłem się wahać”. List kończył się dopiskiem, że w lecie będzie chciał udać się do jakich wód w Niemczech, dla dania kilku koncertów i ma nadzieję, że może spotka tam swoją uczennicę. Doktor umyślnie zrobił w liście ten dodatek, aby pacjentkę swoją tem łatwiej skłonić do wyjazdu do wód, które jej były rzeczywiście potrzebne.

List ten, jak się dowiedzieliśmy z krótkiej rozmowy u doktora, wywarł dobry skutek i uspokoił chorą. Doktor chciał skorzystać z tego usposobienia i pojechał natychmiast.

Zastał pacjentkę w saloniku przy fortepianie. Obok leżał list bez koperty. Za wejściem doktora Kornelka przestała grać, wstała od fortepianu i zwracając się z dziecinną radością do wchodzącego

rzekła żywo:

— Ach, doktorze, — powiem ci coś bardzo ważnego — on pisał.

— Kto? — spytał doktor z dobrze udanym zdziwieniem.

— No — Władysław — pan Władysław. O! patrz!

I wzięwszy list z fortepianu pokazała go doktorowi.

— Któż to jest ten pan Władysław?

— Jakto, ojciec panu nic nie mówił o nim? — To mój nauczyciel, artysta, znakomity artysta. Jest teraz w Paryżu, gdzie pojechał kształcić się. Wyjechał tak prędko, że nawet pożegnać się z nami nie miał czasu. Ale to było konieczne i ja nie gniewam się wcale na niego, bo tu szło o jego przyszłość artystyczną.

Szczebiotała z naiwną powagą powtarzając słowa listu, którym wierzyła z całą wiarą nie zmaconą żadnym podejrzeniem. Doktor z pobłażliwym uśmiechem przysłuchiwał się mówiącej dobrze udając, jakoby o niczem nie wiedział.

— Píše mi — mówiło dalej dziewczę — że w lecie ma nadzieję zjechać się z nami gdzie u wód. Ach, jak on to wszystko dobrze obmyślił. Na lato ojciec zapewne będzie potrzebował jakich kąpiel — prawda? — Napiszemy mu więc przedtem, gdzie będziemy i on tam przyjedzie. Do których kąpiel tatko wyjeżdża? Pan jako doktor musisz to wiedzieć.

— Ojciec żadnych wód nie potrzebuje.

— Nie — a przecież teraz wszyscy [do wód jeżdżą — odezwała się głosem rozmiękłym od smutku, jakim ją nagle przejęły słowa doktora.

— Tak jeżdżą, ale jeżdżą ludzie albo chorzy, albo bez zajęcia. A tatko jest zdrow i bardzo zajęty.

— Więc byśmy całkiem nie pojechali do wód? — spytała zatrwożona tą myślą.

— Dla tatki nie, ale panna Kornelia może będzie potrzebowała jakich wód zagranicznych. Ale ażeby wody skutkować mogły, trzeba poprzednio pilnie zażywać lekarstwa.

— O będę, będę. Dziś już nawet zażyłam pigułki, które mi doktor przepisał.

— A wodę czy się piło?

— A prawda o wodzie zapomniałam.

— Potrzeba używać jednego i drugiego, oprócz tego jeść dość mięsa, chodzić wiele.

— To wtedy pojedę do wód?

— Tak, dla dokończenia kuracyi.

— A kiedy jeżdżą do wód?

— To zależy od pory, od pogody. Bywają lata, w których już w maju można.

— O! to my w maju pojedziemy — nieprawda? A do których wód pojedziemy?

— Prawdopodobnie do Ems.

— A czy tam dają koncerta?

— Naturalnie. Wybór europejskiego towarzystwa tam się zbiera.

— A więc może tam przyjechać i dawać koncerta. Zaraz mu o tem napiszę.

Nagle zatrzymała się jakby sobie coś przypomniała, spojrzała na list i po chwili odezwała się do doktora zmieszana.

— Ach, on adresu swego nie podał. Jakżeż go znajdę?

— Wszak podobno jest w konserwatorium.

— Prawda. Jaka ja niedomyślna, przecież go tam wszyscy znać muszą. Ach, jak to wszystko dobrze się składa.

To mówiąc klasnęła ucieszona w ręce i poczęła nucić półgłosem jakiegoś wesołego walczyka. Nadzieja zobaczenia Władysława tak ją ożywiła, a nawet bladą jej twarz zabarwiła lekkim

rumieńcem. Wcale ją to nie niepokoiło, że od spodziewanego wyjazdu do wód, oddziela ją jeszcze długa zima. Młodość umie czekać spokojnie, bo ma wiarę do czekania i czas na czekanie. Doktor z zajęciem i upodobaniem przypatrywał się tym szczerym oznakom wesołości; ta prostota i szczerłość uczuć, niekrępowana obłudą, w jaką zwykle wychowanie tegoczesne sznuruje kobietę, miała dla niego niezwykły powab i urok — była w tem natura.

Niezadługo powrócił Milutyński. Był jakoś mocno zafrasowany i czemś zajęty. Wszedłszy spytał doktora:

— No, jakże się tu sprawia moja panna. Jak ją znalazłeś doktorze?

Pytanie to jednak znać było, że było rzucone machinalnie — nie było w niem duszy. Kornelka nie spostrzegła tego i podbiegnąwszy ku ojcu, rzekła wesoło.

— Doktor jest ze mnie zadowolniony ojczulku. Ale mówi, że koniecznie będę musiała wyjechać na lato do kąpiel, że tego moje zdrowie wymaga.

— Dobrze, dobrze — pojedziemy.

— Do Ems.

— Dobrze.

Mówiąc to, zdawał się o czem innem myśleć, jakaś chmura zasępiła wzrok jego i czoło. Prędko pod pozorem zajęcia wyprawił córkę z pokoju, chcąc zostać sam na sam z doktorem.

— I cóż? — spytał go doktor po wyjściu Kornelki. Byłeś pan u niego?

— Byłem.

— I nie znalazłeś pewnie?

— Owszem byłem.

— Cóż powiedział?

— Nie chce odstąpić od pojedynku. Tłómaczenie moje wziął za tchórzostwo.

— Więc trzeba będzie stanąć, aby nie myślał że tak jest.

— Czy ci doktorze zależy tak na opinii tego człowieka?

— Nie zależałoby mi, gdyby to był człowiek prywatny; ale wiesz pan dobrze, że on reprezentuje pewne stronnictwo, które mimo sztandaru demokratycznego, jaki wywiesza, jest nam wrogiem. Nie od dzisiaj datuje się nienawiść Urbana do mnie — ma ona głębsze powody, niż ostatnie nasze zajście. Urban jest przedstawicielem tego wichrowatego, burzliwego usposobienia, które od pewnego czasu ogarnęło wielką liczbę u nas ludzi tak zwanych postępowych. Piękne, szumne frazesy, czczone deklamacye, są charakterystyczną ich cechą. Kto lepiej umiał upajać umysły — ten stawał się ich dowódcą. Jest to rodzaj umysłowej pijatyki. My przynieśliśmy inne hasło — pracę; entuzjazm zastąpiliśmy trzeźwością, na miejsce czczone frazesów postawiliśmy pracę i drogą mozolnych doświadczeń i badań szukamy prawdy. Partyzancką utarczkę z fałszem i ciemnotą zamieniliśmy w ten sposób na regularną wojnę, do której prowadzenia nie wystarcza sam zapal i fantazyja, ale potrzeba świadomości, rozsądku, nauki i porządku. To zaniepokoiło partyzanckich dowódców, szczególnie takich jak Urban, którzy walcząc na własną rękę, używali entuzjazmu i siły swych stronników, często dla osobistych celów i z partyzanckich oddziałów, robili bandy łupieżkie. Praca nasza im nie na rękę, bo wyświeca ich mądrość, egoizm i próżnię, która nadymając się, udawała czas jakiś wielkość. Zdyskredytowaliśmy ich i dlatego nienawidzą nas. Takie uczucie żywi Urban dla mnie i to jestem pewny, było głównym powodem dla którego nie chce się cofnąć od pojedynku. Dwa nieprzyjazne prądy wyzywają się na bój śmiertelny.

— Tak — i zwycięstwo będzie po stronie tego, który lepiej mierzyć potrafi. Urban jest mistrzem w sztuce zabijania i zginiesz. To wiele przyczyni się do zwycięstwa naszej sprawy — rzekł z bolesną ironią Milutyński.

— Więcej niż gdybym się cofnął. Gdyby ludzie patrzyli się na pojedynki tak, jak patrzy na nie prawo tj. uważali je za prosty zamach na życie, mógłbym bez uchybienia sobie i sprawie, której bronię, cofnąć się. Ale są pewne występki i wady, które w pewnych wiekach i pewnych społeczeństwach uchodzą za cnoty — do takich występków tolerowanych, a nawet respektowanych przez ludzkość liczą się jeszcze pojedynki. Uchylenie się od nich nazywa się u nas podłością, tchórzostwem, a na taki zarzut zasłużyć nie chcę; dość już i tak nas szkalują przeciwnicy nasi, zarzucając nam Bóg wie jakie występki i robią z nas rodzaj straszydeł moralnych, co bardzo szkodzi postępowi i rozpowszechnieniu naszych zasad. Cofnięcie się moje dałoby powód Urbanowi do nowych ataków i szkalowań, ustępstwo z mojej strony ośmielałoby go do tego, przyjmując zaś pojedynkę, zamknę mu usta, będzie to hamulec na niego, bez którego broiłby bezkarnie i napadał na nas. Widzisz pan więc, że to jest nieuniknionem.

— Wszystko to prawda doktorze. Uznaję całkiem słuszność twych uwag, a jednak nie mogę zgodzić się z tą myślą, żebyś ty dał się zabić za nic takiemu błaznowi, który nic nie ma do stracenia i na którym ludzkość nic nie straci, gdy przeciwnie twój ubytek mocno nam się da uczuć.

— Przeceniasz pan moje działalność. Na moje miejsce znajdują się inni, którzy mnie zastąpią, bo mam nadzieję, że szeregi nasze z każdym dniem powiększać się będą, że coraz więcej będzie takich, którzy uwierzą, że mrzonki i lamenta na nic się nie zdadzą, że trzeba sumienną a trzeźwą pracą budować sobie powoli a mozolnie, przyszłość. Dotąd w działalności naszej jest może za dużo gorączkowego pośpiechu, zawiele projektów a nawet praca, która nas czeka, którą długie lata bezczynności nagromadziły miesza nas — chcielibyśmy wszystko na raz zrobić i to czyni nas czasem nieradnym. Ale z czasem gorączka ta przejdzie, działalność nasza ubije sobie pewny i szeroki gościec i pójdzie nim naprzód. Wierzę w to mocno, że społeczeństwo nasze coraz mniej będzie wierzyło próżnującym marzycielom i egzaltowanym głowom, a szukać będzie ludzi gruntownie i praktycznie wykształconych. Błaga choćby w poetyczne i patryotyczne szaty ubrana, w końcu upaść musi, światło nauki rozproszy złudne mgły, które zasłaniają prawdę. W to wierzę mocno i uzbrojony tą wiarą zginę spokojny, jeżeli mi zginąć przyjdzie. Jedną tylko prośbę mam do pana — jest to rodzaj testamentu — dodał ze smutnym uśmiechem.

— Słucham cię doktorze.

Wskazał mu krzesło obok siebie i obaj usiedli. Doktor tak mówił:

— Miałem zamiar przetłumaczenia na nasz język cenniejszych dzieł, które sprawiły tak ogromną reformę w ostatnich czasach w świecie naukowym. Publiczność nasza nic nie wie o nich, zna ona je ledwie z nazwiska, z kilku poprzedzających ustępów, które przeciwnicy nasi pochwycili, sfalszowali, przemieniali w dziwolągi i straszą tem łatwowiernych. Zpopularyzowanie i rozpowszechnienie umiejętności przyrodniczych i pozytywnych otworzy oczy ludziom, — pokaże im, że celem naszych badań nie jest podkopanie instytucji moralnych, zdyskredytowanie kościoła, ale szukanie prawdy, a jeżeli odkrycia nasze stają częstokroć w sprzeczności z nauką kościoła — to nie nasza w tem wina, ale kościoła, który nie poprzestając na wzniosłem zadaniu umoralniania ludzkości, chce jeszcze być dla niej powagą w kwestjach naukowych i państwowych. Tę. miałem myśl przygotowując tłumaczenie owych dzieł; wybrałem szczególniejsze dzieła popularne, ażeby niemi przygotować grunt i przysposobić umysły. Żal by mi było, aby myśl ta upadła wraz ze mną, dlatego chciałbym pana zrobić jej spadkobiercą i opiekunem.

— Masz doktorze moją rękę na to, że przekaz twój świecie będzie spełnionym.

Doktor uściśnął podaną rękę i rzekł:

— Dziękuję panu. Spokojniejszym teraz się czuję. W papierach moich znajdziesz pan wygotowany plan wydawnictwa wspomnianych tłumaczeń, — będzie to praca lat kilku.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś o tym przedmiocie; doktor rozwijał bliżej myśl swoją i dawał objaśnienia. Milutyński słuchał go z uwagą.

— A teraz rzekł doktor, wstając po chwili — muszę wracać do siebie, chciałbym uporządkować moje papiery i popisać jeszcze niektóre listy. Będzie to rodzaj zamknięcia rachunków z życiem — chciałbym zostawić wszystko w porządku... jestem pedantem pod tym względem. Do zabaczenia więc do jutra! Na którą godzinę ułożyliście pojedynek?

— Na siódmą, — przed siódmą przyjeżdżam po pana.

— A gdzie ma się odbyć pojedynek?

— W lasku miejskim, za rzeką.

— Do widzenia, więc do jutra.

Z tem się rozstali.

Nazajutrz rano drogą wiodącą wzdłuż rzeki do lasku miejskiego szło dwóch ludzi. W polu był jeszcze zmierzch szary — na zielonych oziminach szron jak drobne perełki leżał; od wschodu niebo zabieliło się świtanie, a mleczna ta białość nieba odbijała się w ciemnych załomach rzeki. Mężczyzna idący przodem był rosły i barczysty — idąc podpierał się buńczucznie sękatym kijem, a czapkę od czasu do czasu z fantazyą poprawiał na głowie. Był to Urban, który po nocy spędzonej na pijatyce w kółku znajomych, wybrał się teraz z Omnibusem do miejsca pojedynku. Krok jego był trochę niepewny, a twarz nabrzmiała i rozpalona trunkiem i bezsennością. Czasami zatrzymywał się i zwracał do swego towarzysza, który w milczeniu zanim postępował. Milczenie to zdawało się gniewać Urbana, bo dość szorstko zapytał swego towarzysza.

— Cóż u stu djabłów, onemiałeś jak mnich na Bielanach i skurczyłeś się we dwoje, czy ci zimno?

— Poranek trochę chłodny, odrzekł Omnibus otulając się mocniej w palto.

— To zapowiada pogodny dzień, powrót będziemy mieli prześliczny, towarzysze nasi czekać nas będą w ogródku „pod jeleniem”, — wyprawię im bankiet — to im się należy. Pocziwcy rozrzewnili mię swoją, serdecznością.

A gdy Omnibus nic na to nie odpowiadał, ciągnął dalej: Taki sam dzień miałem, gdym się pojedynekował z pewnym szlachcicem, który w artykule moim dopatrył się jakiejś obrazy dla siebie. Pojedynek odbył się na pałasse, — szlachcic bez nosa wrócił do miasta i już nie czuł się obrażonym. Był to szósty pojedynek w mojem życiu, dzisiejszy będzie siódmy.

— Siódmy? spytał Omnibus z pewnem zakłopotaniem.

— Tak, siódmy, — odrzekł Urban tryumfująco. Dziennikarz nie tylko piórem, ale i bronią oganiać się musi, jeżeli nie chce, by go lada kto zjadł w kaszy. Pojedynekami temi wyrobiłem sobie poszanowanie dla mojego pióra i swobodę w wypowiedaniu mego zdania. Boją mnie się, jak złego brytana, bo też jak pies położyłem się przy sztandarze demokratycznym i warczałem pokazując zęby tym, co go naruszyć chcieli. Byłem zły, jak pies, ale i wierny jak pies, to chluba moja. Demokracja uczuje mocno moją stratę, skoro mnie braknie.

Mówił te słowa głośno, uderzając przytem w takt kijem o kamienie leżące nad rzeką. Głos ten zapewne wystraszył z pod krzaka zająca, który zerwawszy się nagle prawie tuż z pod jego nogi przebiegł szybko drogę i rzucił się w gęsty rzepak.

— Zając, rzekł Omnibus — to źle.

— Co mruczysz? spytał Urban zwracając się do towarzysza.

— Zając nam drogę przebiegł, a to nieszczęście wróży.

— Nie tylko my jedni pójdziemy tą drogą, a wróżba jeżeli komu to memu przeciwnikowi się należy, bo między nim i zającem jest blizkie pokrewieństwo. Czy wiesz, że chciał się cofnąć od

pojedyнку? Ci panowie nie lubią wachać prochu, to nie zgadza się z ich teoryami, dla nich ciało i ziemia, to alfa i omega, to też nie radzi się rozstają z temi swojemi ideałami. Doktor stchórzył i chciał się cofnąć, ale nie przystałem na to.

— O cóż właściwie poszło między wami?

— O co? — o to, że śmiałem dotknąć jednego z jego protegowanych, jednego z tych, który tyle wart, co i on — Antoniego.

— Więc to o niego jeszcze idzie?

— Tak, zdemaskowałem go przed czasem, dziś on sam się zdemaskował i przeszedł do innego obozu; za nim gotów niedługo przejść i doktor, bo ci panowie zbyt są pozytywni, ażeby zważać na takie drobnostki, jak różnica stronnictw i narodowości. U nich to wszystko jedno, to kosmopolici. Siła ich — Bóg, a materya ojczyznę. Źle będzie z nami, jeżeli to paskustwo rozpleni się na naszej ziemi i splugawi nam nasze ideały i świętości, dlatego trzeba tępić to na każdym miejscu.

Weszli w las brodząc w zaspach suchych liści, które wysoko pokrywały ziemię, potem wzięli się ku górze i dostali się na małą łączkę, którą z trzech stron otaczały gęste krzaki, — z czwartej był widok na drogę prowadzącą do miasta.

— Więc to tu? — spytał Omnibus.

— Tak, rzekł Urban uderzając w ziemię sękatym kijem, obejrzał się w koło i dodał: niema ich jeszcze; — potem spojrzawszy na zegarek rzekł: siódma; — gotów ptaszek skrewić. W katechizmie tych panów wykreślono wyraz „honor”.

— Zdaje mi się, że to oni, — rzekł Omnibus przykładając rękę do czoła i patrząc na drogę.

— Tem lepiej, rzekł Urban, — gdyby chciał się być wymknąć przed moim pistoletem, pióro moje umiałoby go dobić.

— Urbanie, odezwał się Omnibus miękim, drżącym głosem — zanim nadjadą może masz mi dać jakie polecenia.

— Uwziąłeś się aby mnie straszyć. Nie z takimi pojedynkowałem się, a wychodziłem cało, a nie dopiero z człowiekiem, który podobno nigdy pistoletu w ręku nie miał, zresztą ja mam pierwszy strzał, zdaje się, że drugiego już nie usłyszysz.

Szelest liści poruszonych krokami ludzkimi, przerwał ich rozmowę. Na łąkę wszedł Milutyński z doktorem. Zapaśnicy i sekundanci przywitali się zimnym ukłonem.

— No, rzekł Urban niecierpliwie — może zaczniemy. Proszę odmierzyć metę.

Milutyński zdawał się nie słyszeć tych słów i trąc ręką czoło widocznie namyślał się nad czemś, a po chwili nie patrząc na obecnych odezwał się głosem trochę surowym i zimnym:

— Z obowiązku mojego, jako sekundant winienem się starać o załatwienie sporu w dobry sposób, zwłaszcza, że powód pojedynku został usunięty, zwracam się więc do panów...

— Nie na kazanie tutaj przyszedłem, ani na gadaniny, przerwał Urban opryskliwie, — proszę odmierzyć metę!

Milutyński rzucił na Urbana gniewne, pogardliwe spojrzenie i w milczeniu zajął się wraz z Omnibusem odmierzeniem mety i nabijaniem pistoletów. Gdy już mieli stawać na przeciw siebie, Urban zwrócił się do Milutyńskiego i spytał:

— Czy przygotowaliście panowie list bezpieczeństwa?

— Co to znaczy? spytał Milutyński.

— To znaczy, że trzeba nam zabezpieczyć się przed policją, aby w razie śmierci jednego z nas nie ściagała drugiego, jako zabójcę. Nie życzyłbym sobie wcale gnić w więzieniu, albo uciekać za granicę dla tak błahaego powodu.

— Cóż w takim razie robić należy? spytał Milutyński.

— Jest to zwyczaj, używany w wielu pojedynkach, że pojedynkujący piszą listy w formie przedśmiertnego zeznania, iż sami popełnili na sobie morderstwo, aby nikogo o to nie posądzano.

— Więc należy się zrobić samobójcą? spytał z oburzeniem Milutyński.

— Samobójca, czy zabójca — mała różnica, rzekł doktor spokojnie i obojętnie. Jeden wart drugiego i wyjąwszy pugilares napisał w nim ołówkiem słów kilka, a pokazując go Urbanowi, spytał zimno:

— Czy to wystarczy?

— Zupełnie.

— Możemy więc zacząć.

Rozeszli się i stanęli przy mecie. Sekundanci cofnęli się w głąb, a Milutyński dał znak...

Strzał rozległ się w powietrzu — był to strzał Urbana — włosy na głowie doktora poruszyły się, draśnięte kulą, ale on stał nieporuszony i spokojny, choć blady i wpatrywał się spokojnie w twarz Urbana, z wyciągniętą do strzału ręką. Zdawał się wahać i namyślać — jakaś dzika myśl błysnęła mu w oczach. Krew sącząca się po lekko zadraśniętej skroni, roznamiętniła go chwilowo i zachęcała do odwetu, ale wnet minęła ta dzika żądza, opuścił rękę z pistoletem i rzekł:

— Nie tak łatwo być zabójcą — wracaj pan zdrów do domu i odwrócił się z pogardą od swego przeciwnika. To pogardliwe i lekceważące obejście do żywego wzburzyło Urbana.

— Ja łaski nie chcę i nie potrzebuję, zawołał z gniewem. Albo strzelaj pan, albo powtórnie bić się będziemy! Doktor machinalnie podniósł rękę i pociągnął za kurek.

Gdy dym opadł, ujrzał Urbana chwytającego się za piersi. Sekundanci podbiegli podtrzymać upadającego; doktor rozpiął ubranie na piersiach, obejrzał ranę i szepnął do Milutyńskiego:

— Śmiertetna — i ustąpił z nim kilka kroków na bok.

Urban otworzył oczy i jęknął:

— Ratujcie!. ale spojrzenia doktora i Milutyńskiego, przekonały go, że już dla niego nie ma ratunku i sam już czuł uciekające życie; chwycił się jedną ręką za piersi, a drugą obejmując za szyję Omnibusa szeptał mu charczącym głosem.

— Nie myślałem, że mi tak źle pójdzie... fatalny zajac!.. Prawdę powiedziałaś... Spal moje listy... wszystkie!. rozumiesz, wszystkie! i papiery... Demokraci tracą we mnie wiele, bardzo wiele — fatalność!

To były ostatnie jego słowa; niezadługo zamknął oczy i zsunął się bezwładnie na ziemię z ramion Omnibusa. Milutyński z doktorem wrócili do powozu, a Omnibus chyłkiem zataczając szerokie koło przekradał się ku miastu.

Trupa Urbana zostawiono w lesie niby samo bójcę.

Wiść o tem samobójstwie rozeszła się prędko po mieście, tłómaczono ją sobie w najrozmaitszy sposób, przeważnie jednak, szczególnie w kołach ultramontańskich rozpowiadano głośno, że Urban zastrzelił się przed procesem kryminalnym, jaki mu groził z powodu upadku banku, w którego nieczyste bankructwo mocno był zaplątany.

Hrabia Medard skorzystał z tego wypadku i przy sposobności wysnuł z niego naukę moralną dla Antoniego. Było to na wieczorku danym przez niego z okazji założenia nowego pisma. Antoni przybył pierwszy na ten wieczór — hrabia przywitał go serdecznie, był bowiem w różowym humorze. Pierwszy zeszyt wyszedł już z druku i zrobił bardzo dobre wrażenie.

— No — odezwał się hrabia do Antoniego, biorąc go pod rękę i chodząc z nim po salonie — możemy sobie powinszować początku, wydawnictwo nasze zyskało powszechne uznanie, skrajni ultramontanie znajdują je jednakże bladym i bezbarwnym, ale nasze stronnictwo, przyjęło je z wielką radością i zapałem, a co większa umiarkowany ton pisma, zjednał mu nawet zwolenników w

szerszych kołach — u ludzi liberalniejszych przekonań. Otrzymałem kilka listów od osób, których sprawa rzymska w ostatnich czasach odsunęła była od nas i których uważaliśmy już prawie za straconych dla naszego stronnictwa. Osoby te uważają teraz pismo nasze, jako rękę podaną im do zgody i oświadczają, że na gruncie, na jakim stanęliśmy, chętnie złączą się z nami do wspólnej pracy. W taki sposób stronnictwo nasze zyska coraz więcej zwolenników, podczas gdy prasa demokratyczna skompromitowawszy się tak mocno w sprawie owego banku, straciła wiele z swojego wpływu, a samobójstwo jej współpracownika dobiło ją w opinii do reszty. Skandaliczny ten czyn odstręczył nawet najzagorzalszych zwolenników.

— Czy naprawdę — spytał Antoni, śmierć Urbana stoi w związku z upadkiem banku?

— Jest to głos powszechny. Urban podobno brał pieniądze od założycieli banku i popierał jego nieczyste machinacje, wystawiając rzecz w najlepszym świetle, przez co przywiódł wielu łatwowiernych do ruiny; był nawet podobno grubo zaplątany w te sprawy, obawa procesu i skandalu skłoniła go do samobójstwa.

— Widzisz, mówił dalej hrabia, jak dobrze się stało żeś się wy dostał z pomiędzy tych ludzi i otrząś z tych brudów. Współnictwo z nimi, tylko kompromitować może, nie dając w zamian nic — nic. I nie może być inaczej, na dnie społecznego porządku tylko brudy i męty znaleźć się mogą. Kto w nie wchodzi, powalać się musi! Szkoda by było twych zdolności, których między nami będziesz mógł użyć z korzyścią dla dobra kraju. Pierwsza praca twoja umieszczona na czele naszego pisma, zyskała uznanie najpierwszych powag literackich. Poznasz się tu z niemi dzisiaj, będą tu wszyscy prawie u mnie.

Rozmowę tę przerwał lokaj, który wszedłszy, zameldował jakiegoś pana Żabika.

— Zaraz, rzekł hrabia, a zwracając się do Antoniego, dodał po francuzku:

— Czy znasz pan tego człowieka?

— Nie.

— Jest to bardzo użyteczne indywiduum, rodzaj maszyny dziennikarskiej. Przyjąłem go do redakcyi, aby ci był pomocnym, ma wielką rutynę w tym względzie i będzie go można dobrze użytkować.

Potem zwracając się do służącego, rzekł:

— Proś tego pana!

Drzwi się otwarły i weszła a raczej wtoczyła się do salonu mała figurka, pulchna i okrągła, że zdawała się być uformowaną nie z ciała, ale raczej z puchowej poduszki. Na twarzy okrągłej, świecącej, sterczał mały, trójkątny nosek, służący zdaje się jedynie za podporę dla okularów, które ów człowieczek ustawicznie poprawiał. Słodki, łaszący się, pogiął pulchne policzki w nieforemne wypukłości i nadawał twarzy wyraz głupekowatej dobroduszości, z którą jednak nie zgadzały się bystre i sprytne spojrzenia małych, krecich oczu.

Wszedłszy do salonu ów człowieczek zbliżał się do hrabiego w ciągłych ukłonach; wyglądał jak chińska figurka, kiwająca się wiecznie z uśmiechniętą twarzą.

Hrabia przywitał go dość chłodno i z góry i przedstawił Antoniemu.

— A to pan, rzekł człowieczek otwierając małe oczka i nurtując niemi przenikliwie przez błyszczące okulary twarz Antoniego — bardzo mi miło poznać kochanego pana.

W tej chwili jakaś ekscelencya z orderami i pedogrą pojawiła się w salonie — hrabia pospieszył na powitanie dostojnego gościa, zostawiając Antoniego w towarzystwie Żabika.

— Dawno już — zaczął ten ostatni — pragnąłem poznać kochanego pana — tyle o nim słyszałem. Pan pracowałeś podobno w tym liberalnym dzienniku? i porzuciłeś go — bardzo słusznie, to się nie opłaci. I ja dawniej wysługiwałem się demokracji, ale to panie dyabła warto. Demokracja u nas

panie goła, jak święty turecki, źle płaci — przyszłości w niej nie ma żadnej dla człowieka, to też kto ma głowę na karku, ten zawczasu od niej nogę urządzić powinien. Ja przyszedłem do tego przekonania, że demokracja u nas to mrzonka, a wszelkie zrywania się na arystokracją są bezowocnym szamotaniem się tylko. Niech mówią co chcą, ale arystokracją to potęga — co chcą to robią, bo mają pieniądze i są solidarni; trzymają się kupy, jak żydzi. Występować przeciwko nim, to tyle co przeciw wodzie płynąć. I ja dawniej panie zrywałem się na nich, smarowałem po dziennikach demokratycznych postępowe frazesy, ale dziś przyszedłem do tego przekonania, że jeśli człowiek chce dojść do czego, powinien się trzymać pańskiej klamki. Trzeba być pozytywnym i trzeźwo się patrzeć na rzeczy. Szkoda tylko, że tak późno przejrzałem i że tyle czasu straciłem na próżno. Pan wcześniej zmądrzałeś; to też przepowiadam ci, że zrobisz karierę. Jesteś pan jeszcze tak młodym, a rozpoczynasz już tak świetnie. Czytałem pańską ostatnią pracę — powinszować, jak honor kocham — powinszować.

Długa ta gadanina małego człowieczka piłowała jak tępy nóż, nerwy Antoniego. Trywialność jej i nagość obrażała do żywego jego dumę i wszystkie szlachetniejsze uczucia. W postaci i słowach Żabika przejrzał się, jak w połamanem zwierciadle, zobaczył karykaturę siebie samego, karykaturę potworną, która przejęła go wstrętem i obrzydzeniem. Nigdy nie pomyślał, że można go sądzić a tego punktu, z którego Żabik patrzył na niego. Dotychczas przejście swoje do innego obozu tłumaczył przed sobą samym jedynie szlachetnymi pobudkami, które go usprawiedliwiały w własnym jego przekonaniu. W poważną togę został udrapowany, pozował na bohatera. Słowa Żabika przekonały go, że są ludzie, którzy innymi na niego patrzą oczami i którym toga jego wydaje się łachmanem, pod którym kryje się brud i podłość.

Ta myśl dreszczem go przejęła; słuchał mowy Żabika z nachmurzonym czołem i bladą twarzą, a wąskie usta skrzywił jak po wypiciu gorzkiego lekarstwa.

Tymczasem salon napełnił się gośćmi. Antoni zauważył, że spojrzenia niektórych, skierowane były ku niemu. W innej chwili pochlebiałoby to może jego dumie, teraz jednak zdawało mu się, że wszyscy patrzą na niego oczami Żabika, że wszyscy sądzą go według pojęć tego człowieka — stał jak pod pręgierzem, rumieniec wstydu i upokorzenia, oblał mu twarz. Blask świecznika, pod którym stał właśnie, zdawał się oświecać i uwydatniać jego nędzę moralną i urągać mu. To go zmięszało — cofnął się w głąb salonu, by zejść z widowni i usiadł pod ścianą, ale Żabik który uważał sobie za obowiązek bawić go rozmową i chciał sobie zyskać przez to jego względy, poszedł tam za nim i usiadłszy obok, ciągnął dalej rozpoczętą rozmowę.

— Patrz pan, większa połowa tych, których pan tu widzisz — mówił dalej wskazując na obecnych, to dezertery z demokratycznego obozu, dziś mają stanowisko w świecie i są luminarzami literatury. Gdyby byli zostali w demokratycznym obozie — byłiby niczem. Ot, np. ów znakomity krytyk, tłumacz, który pod oknem rozmawia w tej chwili z Ekscelencyą — kiedyś był jednym z najczterwiesznych demokratów, a dziś liczy się do najżarliwszych obrońców kościoła i feudalizmu. Związek małżeński z jakąś starą hrabianką otworzył mu wstęp do salonów, których stał się duszą i ozdobą. Księgarze i wydawcy grubo teraz opłacają każdy rucb jego pióra. Kiełkujące talenta ze drzeniem wyczekują jego sądów literackich; niedawno zasiadł na krześle akademickim. Tak więc zyskał sławę i zaszczyty, a choć demokracja od czasu do czasu podnosi krzyki na odstępce — on lekceważy sobie tę opinię ulicy i pogardliwym na nią odpowiada milczeniem. Albo ten poeta jasnowłosa — ktoby przypuścił czytając teraz jego legendy i ody na cześć głów koronowanych, że to autor Brutusa i Savonarolli; to też dopóki zabijał Cezarów i gromił papieży, pisano o nim „jakiś nieznany młody poeta” — dziś został „naszym znakomitym wieszczem”. W każdym razie jednak, jestto talent niepospolity. Ale są tu inni, którzy ani z pierza, ani z mięsa, wyśrubowali się na wielkie

znakomitości, jak np. ów kościsty jegomość z pergaminową twarzą, który tara przy stole przegląda książki. Jest to zręczny szarlatan,— odrobiną nauki jaką posiada, kuglarskie prawdziwie wyrabia sztuczki i zadziwia. Gdyby blaga, przebiegłość i pochlebstwo miały osobną katedrę w uniwersytecie — możnaby go zrobić profesorem tych umiejętności. Nad drzwiami jego domu zobaczysz pan wyrzeźbioną sowę i obraz Matki Boskiej — wywieszony niby szyld. Ma to niejako mówić światu: w tym domu można dostać religii i mądrości! Byli tacy, którzy w to uwierzyli.

Tu Żabik przerwał na chwilę swoje złośliwe objaśnienia, bo jakaś sztywna figurka z porcelanowemi oczami i gładko przyczesanemi włosami, przechodziła tuż koło nich. Żabik uklonił się przechodzącej marynetce, która na ukłon ten odpowiedziała miarowem poruszeniem głowy.

— To uczonego idyota — zaczął znowu nieco niższym głosem Żabik, gdy figurka owa oddaliła się, — komputarka, w którą oprawiono trochę historycznych dat, faktów; umie przy tem milczeć i słuchać. Nigdy nie wypowiada swego zdania — prawdopodobnie dlatego, że go nie ma; ale są ludzie, którym to milczenie imponuje i nazywają to taktem. Ta bierność wyjednała mu teraz katedrę uniwersytecką — hrabia Medard pomógł mu wiele w tym względzie — szturmowano nawet do ministra; wszak pan starałeś się o tę posadę?

— Tak, odrzekł Antoni niechętnie patrząc z nachmurzonym czołem za niepokazną figurką swego rywala.

— Nie dano ci jej, ciągnął dalej Żabik, boś pan należał wtenczas do opozycji i przeniesiono to zero nad pana. Widzisz pan, jak wszechwładnym jest wpływ naszych panów — bez nich niczego się człowiek nie dobije. Długo jeszcze w ten sposób mówił Żabik, zapoznając przy tem Antoniego z różnemi osobami napełniającemi salon. O każdej umiał on coś ciekawego powiedzieć, nie szczędząc przy tem złośliwych i trafnych uwag, których wyraźną tendencją było okazanie Antoniemu, że wszystkie te znakomitości winne swe stanowisko i znaczenie, jakie zajmują w świecie, nie tyle pracy i zdolnościom swoim, ile raczej wpływowi arystokracji, której stali się sprzymierzeńcami i obrońcami.

Antoniego zirytowała gadatliwość Żabika; ostre uwagi jego, podobne do chirurgicznego nożyka, anatomizowały z niemiłosierną, skrupulatnością kwestyę zbyt dotkliwą, o której radby był zapomnieć — nie myśleć. Na szczęście hrabia Medard uwolnił go od tak niemiłego towarzystwa, zbliżył się bowiem do Antoniego i biorąc go pod rękę rzekł:

— Chodź, przedstawię cię niektórym znakomitościom naszym — i poszedł z nim w głąb salonu, z pewną dumą oprowadzał on swego wychowanka, zatrzymując się z nim nieco dłużej przy wybitniejszych osobistościach. Antoni doznał od wszystkich bardzo łaskawego przyjęcia; witano go i wieszano mu i dziękowano za pierwszy numer pisma. Najwięcej jednak życzliwości okazał mu ksiądz Hieronim, którego obejście pełne swobody i szczerości, od razu ujęło Antoniego. Nieprotekcjonalnie i poważnie, jak inni, ale z ojcowską prawie czułością podał rękę przedstawionemu sobie młodzieńcowi, a dowiedziawszy się od hrabiego, że już go wszystkim przedstawił, rzekł:

— Skoro tak, to aresztuję ci hrabio twego gościa na dłuższą pogawędkę. Chciałbym ażebyśmy się bliżej poznali — i wzięwszy go pod rękę przeszedł do drugiego pokoju, gdzie usiedli obaj na kanapie. Tu rozpoczął ksiądz z zajęciem dopytywać Antoniego o wszystkie szczegóły dotyczące się jego pobytu za granicą, o rodzaj i kierunek jego dotychczasowych studyów uniwersyteckich, i inne tym podobne rzeczy. Przyjacielskie to obejście i zainteresowanie się księdza Hieronima podziało, jak ciepły wiatr na Antoniego, ogrzało go i rozwiązało mu usta. Z zaufaniem spowiadał się szeroko z myśli swoich i projektów, z błędów i upadków, w jakie popadała jego dusza szukając prawdy, po zagmatwanych drogach różnych zasad i systematów, — z niepokojów i udręczeń, jakie przechodził,

gdy mu przyszło kruszyć bożyszcza, które dawniej uwielbiał i budować nowe teorie.

— Znam, znam te labirynty — mówił ksiądz z powagą i smutkiem, wysłuchawszy spowiedzi Antoniego i ja kiedyś kaleczyłem nogi po tych drogach, aż zmęczony usiadłem pod cieniem kościoła. Myśl młodzieńcza ma zawsze coś buntowniczego w sobie — rewolucyjnego. Młody człowiek wchodząc w świat z ogromnym zasobem sił, nie zużytkowanych jeszcze, a bez doświadczenia, wstrząsa jak ślepy Ambon filarami, na których wspiera się porządek społeczny, — jak tytan szturmując niebo i Boga, olbrzymiemi głazami, nie bacząc na to, że one naturalnym prawem ciężkości, kiedyś na niego paść muszą i przygniotą go sobą. Pokłady dziejowe przechowują w. owych głębiach całe stosy takich pogruchootanych reformatorów, którzy zrywali się do walki z odwiecznym prawem, z porządkiem ustanowionym przez Boga. Świat przeszedł nad ich teoryami do porządku — Bóg został Bogiem, a krzyż tryumfuje. Wielcy ludzie uznawali zawsze tę prawdę, że tradycja i kościół są fundamentem ludzkości, nawet ci, którzy nogami kopią te dwie potęgi i odwracając się od przeszłości, stawiają ludziom nowe teorie, musieli uznać odwieczne prawo tradycji w przyrodzie: prawo pochodzenia i dziedziczności, a najnowsze hadania naukowe przekonały, że wielkie zmiany w przyrodzie, odbywały się nie drogą gwałtownych kataklizmów, ale powolnego, naturalnego rozwoju. My wyznajemy również tę zasadę, a że spokojny nasz postęp wydaje się wstecznością szaleńcom, którzyby chcieli pędzić świat z gorączkowym pośpiechem naprzód — to nie nasza wina. Głębsze badania utrwalały w tobie to samo przekonanie, zyskasz na tem wiele, a co najważniejsza zyskasz spokój tak potrzebny do każdej pracy. W pokoju tylko dojrzewa duch, jak ziarno każde — burze i szamotania niszczą go przed czasem i wyczerpują siły.

Długo jeszcze w ten sposób mówił ksiądz Hieronim, tłumacząc Antoniemu cel i zamiary ludzi opartych na kościele i tradycji, popierając trafniemi przykładami z dziejów przyrody potrzebę i potęgę tradycja.

Słowa jego uspokoiły rozdrażniony umysł Antoniego i zatarły przykre wrażenie, jakie na nim zrobiła rozmowa z Żabikiem i przywróciły w duszy jego moralną równowagę.

Większą część tego wieczora przepędził Antoni w towarzystwie księdza Hieronima, który siłą ducha i słodyczą w obejściu imponował mu i pociągał ku sobie. Przy kolacyi umieścił się obok niego. Szereg toastów, które wznoszono, rozpoczął hrabia Medard na cześć Antoniego, jako redaktora nowego pisma. Oracya ta, połaskotała dumę Antoniego; pochlebiało mu to bowiem niemało, że był celem powszechnej uwagi i że go tak wyszczególniano. Był niejako bohaterem tego wieczoru, a pochwały jakimi go obsypywano, zagłuszyły zgryźliwe szeptu sumienia i skrupuły, które od czasu do czasu, odzywały się w głębi jego duszy. W różowym humorze i pełen marzeń i nadziei wrócił z tego wieczoru do domu.

W parę dni później Antoni złożył kilka wizyt niektórym osobom, z którymi poznał się był u hrabiego; zrobił to więcej z namowy hrabiego, niż z własnego popędu, gdyż jak wiemy, nie odznaczał się wcale uprzejmością i giętkością charakteru. Był z natury dumny, tembardziej teraz, gdy się obawiał, by każdą grzeczność jego nie wzięto za uniżoność i nie posądzono go o słuźalcze popędy. Ale hrabia wybił mu z głowy te skrupuły i wytłumaczył mu, że jest to akt prostej towarzyskiej grzeczności, który mu wcale uchybić nie może.

Wracając z tych wizyt, Antoni wstąpił na obiad do jednej z celniejszych restauracyi, uczęszczanej najwięcej przez złotą młodzież. Stołował się tam już od jakiegoś czasu — nie miał bowiem odwagi bywać tam, gdzie poprzednio, z obawy spotkania swoich dawnych znajomych. Wszedłszy do restauracyi, spostrzegł w jednym kącie przy stole siedzącego Żabika. Nierad był z tego spotkania. Od owego wieczoru u hrabiego, czuł wstręt do tego człowieka, wstręt taki, jak ma np. kobieta do krzywego zwierciadła. Udał więc, że go nie postrzegł i usiadł w innej stronie pokoju; ale Żabik wnet przytoczył się za nim z tym słodkim uśmiechem wiecznie goszczącym na jego tłustych policzkach i wyciągając obie ręce do Antoniego zawołał:

— Kochanego pana witam — jakże się cieszę, że będę miał przyjemność zjeść obiadek w jego towarzystwie. Samemu tak jakoś niejako — wszak pan pozwoli?

Antoni nie mógł odmówić.

— O, bardzo proszę, rzekł usuwając się nieco, ale zaproszenie to wypowiedział tonem, który zdradzał jak nie na rękę było mu to towarzystwo. Żabik jednak czy nie spostrzegł tej niechęci, czy tylko udał, że nie uważał na to, rozsiadł się bez ceremonii i z zadowoleniem obok Antoniego.

— Pan tutaj się stołujesz? spytał Antoni, aby coś powiedzieć, gdyż wypadało coś powiedzieć.

— Czasem, czasem kochany panie, rzekł poufnie Żabik zniżonym głosem, — gdy sobie chcę jak to mówią Niemcy: einen guten Tag machen, — przychodzę tutaj podrażnić sobie podniebienie jakim wybrednym przysmakiem. Dobra kuchnia, to moja słabość panie. Gdyby nie to, że przekładam szparagi nad marchew, a kuropatwy nad pieczeń wołową — może do dziś dnia byłbym jeszcze demokratą, bo innych potrzeb i zachcianek nie mam: ale dobry obiadek, tak jeszcze z buteleczką dobrego wina, to dla mnie nie mała pokusa. Mam widocznie arystokratyczne podniebienie i to pociągnęło mię do arystokracji.

Antoni ruszył się niecierpliwie na krzesło. Obrzydliwy cynizm, z jakim Żabik odślaniał przed nim brudne tajemnice swej duszy i jakby chwalił się niemi i popisywał — budził w nim wstręt i obrzydzenie. Chwilowo nawet podejrzewał go, że robi to umyślnie w zamiarze wyszydzenia go, jakby mu chciał w ten sposób ogródkami powiedzieć, że takie ma o nim wyobrażenie; ale jedno spojrzenie na Żabika, zajadającego z apetytem i zajęciem, przekonało go, że Żabik tylko był zbyt szczerym.

W przerwach wśród jedzenia, Żabik prowadził dalej rozmowę, jakby dla zakąski, potem skinął na kelnera i kazał mu przynieść butelkę Goldecku.

— Czy można panu służyć? — zapytał stawiając kieliszek przed Antonim.

— Dziękuję.

— To może czerwonego?

— Nie pijam wcale wina, odrzekł Antoni, aby się uwolnić od dalszych próśb Żabika.

— Wcale? być nie może?. a to do niewierzenia. W takim razie nie znasz pan jednej z większych

przyjemności życia. Wino panie, to niezła rzecz, — ja bo znowu amator wina, mówił dalej nalewając sobie kieliszek, — ale dobrego, a tu mają niezłe. Wypróbowałem tu już całą piwniczkę. To, dodał wskazując na stojącą przed nim butelkę piliśmy ostatni raz z Urbanem. Dobry to był kompan do wypitki; opinie nas różniły, ale buteleczka dobrego wina zawsze jednoczyła. Ja, lubię być ze wszystkimi dobrze, bo nie wiemy na co się kto przydać może, a z Urbanem szczególnie; niebezpiecznie bowiem było zrażać go sobie. Była to cięta sztuka i gdyby nie ten głupi pojedynek, który przypłacił życiem...

— Jakto pojedynek? spytał Antoni, wszak Urban sam się zastrzelił.

— Tak mówią ludzie, a w naszym interesie jest nie zaprzeczać tej pogłosce, bo to samobójstwo dyabelnie kompromituje sprawę demokracji, ale między nami mówiąc, rzecz się miała inaczej. Urban zginął w pojedynku z ręki doktora Seweryna.

— I któż rozpuszczać może takie pogłoski? w jakim celu...

— Z obawy procesu kryminalnego, to rzecz jasna. Wszak pan wiesz, że u nas pojedynki nie są dozwolone.

— Więc z ręki Seweryna?

— Tak. — Poszło im podobno o jakiś artykuł, jakiś paszkwil, który Urban umieścił w dzienniku. Doktor chciał wymócić na nim, aby powiedział kto pisał ten artykuł, kompromitujący podobno bardzo jakąś osobę znaną doktorowi. Urban wydać nie chciał, ztąd przyszło do pojedynku.

— Więc Seweryn niewinny, rzekł sam do siebie Antoni, zapadając w ponure zamyślenie.

Dotąd uważał doktora za winnego, a wina ta była zarazem dla niego samego usprawiedliwieniem. Postępek bowiem doktora zdecydował go ostatecznie do porzucenia obozu demokratycznego. Z odrazą odsunął się od tych, pomiędzy którymi nawet tacy jak doktor, którego najwyżej cenił, tak szkaradnie pokazali się w oczach jego, ho zdradzili jego przyjaźń i zaufanie. Tak sądził dotąd, ale teraz przekonał się, że sądził fałszywie, a odkrycie to zaciężyło wyrzutem w jego sercu. Radby był teraz co prędzej biegnąć do Seweryna, rzucić mu się w objęcia i prosić o przebaczenie, ale nie śmiał; — wstyd by mu było stanąć teraz przed przyjacielem; między nimi była przepaść — obaj należeli już do przeciwnych obozów.

— Seweryn niewinny, powtórzył tonąc w ponurem zamyśleniu.

— Czy i pan znasz tę sprawę?

Antoni nic nie odpowiedział na pytanie, zajęty własnymi myślami i w zamyśleniu sięgnął machinalnie po kieliszek Żabika i wychylił go duszkiem.

— A co przekonałeś się pan do wina, — prawda nie złe?

Antoni spojrział na mówiącego bezmyślnie, zdawał go się nie rozumieć, dopiero po chwili spostrzegł co zrobił, ujrzawszy próżny kieliszek w swej ręce.

— Znać jednak w panu nowicyusza, mówił dalej Żabik — wypiełeś pan duszkiem. Prawdziwy znawca i amator pije powoli i delektuje się smaczkiem. Czy można panu służyć jeszcze?

Antoni bezmyślnie przysunął kieliszek.

— Czy wiesz pan na pewno, że Urban bił się z doktorem i to o jakiś artykuł?

— Mówił mi o tem szeroko, jeden z blizkich znajomych Urbana, opowiadał mi to ze szczegółami, ale nie wiele z tego zapamiętałem, bo mię mało ta rzecz obchodziła... Jakto, pan już idziesz?

— Tak, idę przejść się trochę po świeżem powietrzu — tu trochę duszno...

— A obiad?

— Nie mam apetytu...

Nerwowy trochę, pomyślał sobie Żabik patrząc za odchodzącym. Odchodzić nie dokończywszy obiadu — na to trzeba być waryatem.

Kiedy Żabik robił te uwagi nad postępowaniem Antoniego — on przechodził szybko ulicę spiesząc za miasto. Potrzeba mu było dużo powietrza, szerokich przestrzeni. Zdawało mu się, że z szerszym oddechem piersi, wyrzuci z siebie ten ciężar zgryzoty co go przygniatał w tej chwili, — ale inaczej się stało. Samotność jeszcze bardziej powiększyła szereg smutnych myśli; miejsce zaś samo przypominało mu owe chwile, w których wspólnie z towarzyszem przechadzali się tutaj i zwierzali sobie nawzajem tajemnice dusz swoich i układali plany przyszłych prac; plany szerokie, wspaniałe, w których zakreślali nowe drogi dla ludzkości. W duszy było mu wtedy tak dobrze, każdej młodzieńczej myśli skrzydła wyrastały z ramion, a w piersiach czuł zapach święty dla wzniosłych idei postępu. Dziś przeniawierzył się tym ideom, opuścił przyjaciela — drogi ich rozeszły się na zawsze — on był odstępcą. Ta myśl dręczyła go bezustannie. Odkąd uwierzył w niewinność Seweryna, musiał siebie samego uznać tem bardziej winnym.

Szybki ruch jeszcze więcej rozkołysał w duszy jego takich przykrych myśli — wyrzuty wśród ciszy i spokoju natury brzęczały jak kajdany w uszach za każdym poruszeniem myśli. Chciał więc znowu uciec od tego spokoju, na tle którego tak wyraziście uwydatniał się jego niepokój i wracał szybko do miasta, do ludzi.

Dla rozerwania się poszedł do redakcji — potrzebował jakiegoś zajęcia.

— Czy nie ma co nowego? spytał Żabika, który zajęty był właśnie skspedycją.

— Jest kilka listów i parę nadesłanych artykułów, między nimi jeden większy.

— Kto go przysłał?

— Hrabia; jest na manuskrypcie jakaś uwaga dopisana zdaje się przez hrabiego niebieskim ołówkiem.

Antoni wziął manuskrypt do ręki i najpierw odczytał dopisek hrabiego, który brzmiał: artykuł ten trzeba będzie koniecznie w następnym numerze naszego pisma umieścić. Artykuł widocznie był ważny, skoro hrabiemu tak zależało na jego umieszczeniu.

Tytuł jego był „Błędne szlaki”. Antoni zabrał się zaraz do odczytania. Doszedłszy jednak do połowy manuskryptu, rzucił go zirytowany na stół i rzekł niecierpliwie:

— Ależ tego drukować niepodobna.

— Lichy? spytał Żabik.

— Poruszać podobne kwestye, mówił Antoni chodząc rozirytowany po pokoju — to nie do nas należy. Byłoby to rzuceniem rękawicy wszystkiemu co się nazywa postępem i badaniem. Wydrukowanie takiego artykułu, wywołałoby słuszne oburzenie na nas.

— To najlepsza reklama dla młodego pisma. Autor artykułu stary wyga i zna się widocznie na tem.

— Artykuł ten nie może być umieszczonym, rzekł Antoni ze stanowczością.

— Hrabia kazał.

— Chciałeś pan powiedzieć, że polecił go do wydrukowania: Hrabia kazać nie może, — ja tu jestem redaktorem.

— Wątpię, czy hrabia zgodzi się na to. Czy czytałeś pan nazwisko autora artykułu.

— Czytałem, i cóż?

— Takim ludziom nie odrzuca się artykułów. Jest to tyle, co zrobić sobie z nich nieprzyjaciół, a tego hrabia wcale sobie nie życzy zapewne.

— Muszę więc zobaczyć się z hrabią i przekonać go, że charakter pisma naszego nie pozwala na umieszczenie tego artykułu; jest on na wskroś polemiczny, myśmy stanowczo wyrzucili polemikę z naszego programu. Wziął manuskrypt ze stołu i schował go do kieszeni, potem przejrzał jeszcze kilka listów, dał niektóre zlecenia Żabikowi i około siódmej wyszedł do hrabiego. Była to godzina w

której go najpewniej można było zastać w domu.

Tym razem jednak hrabiego nie było w domu, ale miał niebawem powrócić, jak mu to oświadczył służący. Antoni postanowił zatrzymać się i chciał przez ten czas pomówić z Jadwigą, której od kilku dni już nie widział. Miał właśnie zapytać o nią służącego, gdy drzwi się otwały od salonu i w nich ukazała się Jadwiga ubrana jak do wyjścia. Ujrawszy Antoniego wydała lekki okrzyk miłego zadziwienia i podając mu rękę na powitanie rzekła:

— Tak dawnośmy się nie widzieli. W głosie jej i w głębokim spojrzeniu, jakim go oblała, czuć było serdeczne ciepło, od którego Antoniemu zrobiło się pogodniej w duszy. Patrząc w oczy Jadwigi, w których czytał tęsknotę i miłość, zapomniał o kłopotach i troskach swoich.

— Czy to wyjście, czy powrót? zapytał wskazując na jej ubranie.

— Wyjeżdżamy z hrabiną na wizytę do księżnej; ale ta wizyta będzie bardzo krótka. Wrócimy przed herbata, czy zastaniemy tu pana?

W pytaniu była wymowna prośba. Antoni odpowiedział na nią spojrzeniem pełnym wdzięczności i szczęścia i dodał:

— Będę czekał.

— Mam wiele, wiele do mówienia z panem, a co najgłówniejsza miałam wiadomość o Władziu.

— Więc pisał?

— Nie, ale dzienniki wiedeńskie wspominają o koncercie, który ma tam dawać. Bardzo dobrze wyrażają się o nim. Przeczytaj pan dziennik nim wrócę, jest w moim pokoju. No, do widzenia.

Skinęła mu przyjaźnie głową i wyszła. Antoniemu zrobiło się dziwnie smutno w duszy; zdawało mu się, że wychodząc zabrała ze sobą, wszystkie słoneczne promienie, które rozjaśniały smutny horyzont jego myśli, a choć wychodziła na chwilę, zrobiło mu to takie wrażenie, jak gdyby nie miała wrócić więcej. Wstyd go było przed samym sobą za to niemiędkie roztkliwienie, które go ogarnęło. Otrząsnął się z tego gwałtem i poszedł do pokoju Jadwigi. Dziwny ten przybytek, budził jakieś uroczyste i poważne myśli w jego duszy. Nie było tu owych drobiazgów i cacek, którymi młode kobiety zwykły stroić swoje mieszkanie. Antoni wchodził tu z takim uczuciem, z jakim się wchodzi w świątynię — myśli jego były modlitwą w tej chwili.

Na stoliku pod oknem leżała niemiecka gazeta. Antoni wziął ją i usiadłszy począł szukać artykułu o Władysławie. Był to jak wiemy artykuł umieszczony w gazetach za staraniem garbuska. Jeszcze nie dokończył czytania, gdy wszedł hrabia.

— A gdzie Jadwiga?

— Pana Jadwiga wyjechała z panią hrabiną do księżnej.

— A ciebie zostawiła tu jak jeńca w fortecy, rzekł z wesołym uśmiechem hrabia. Przed ślubem już chciałyby sobie urobić z ciebie niewolnika. Strzeż się chłopcze i nie daj się osiodłać, bo to charakter silny w tej kobiecie, — mężka energia.

Antoni zarumienił się. Nigdy jeszcze hrabia tak wyraźnie nie mówił o jego małżeństwie z Jadwigą. To też uradował się temi słowami jego, którymi dawał niewątpliwie już zezwolenie na to małżeństwo.

— Tomasz mi mówił, ciągnął dalej hrabia, że miałeś do mnie jakiś interes?

— Tak, przyszedłem tu w kwestyi owego artykułu nadesłanego przez hrabiego.

— Ah,.. Błędne szlaki?

— Tak.

— I cóż? — podobało ci się? rzekł hrabia biorąc go pod rękę i prowadząc do swego gabinetu. Prawda z werwą napisany — bo też to nie lada pióro.

— Artykuł ten nie może być drukowanym w naszym piśmie.

— A to dlaczego?

— Bo nie zgadza się z zasadami, któreśmy przyjęli. Hasłem naszym jest umiarkowany postęp, a z artykułu tego wieje fanatyzm polityczny, bezwzględne potępienie wszystkiego, co się zowie postępem.

— Przesadzasz trochę mój Antoni, — czytałem ten artykuł i nie znalazłem w nim wcale tego wszystkiego. Prawda, że jest nieco namiętny ale to tłumaczy się sytuacją obecną. Niemieccy centraliści znieśli się w radzie państwa z naszymi liberalnymi mieszczuchami i bezwyznaniowcami i spiknęli się na instytucje kościelne. My nie możemy w obec tego pozostać obojętnymi, ani nawet umiarkowanymi. Kościół to jedyny grunt, na którym utrzymać możemy egzystencję naszą. Jeżeli z tego gruntu ustąpimy — zginiemy. Powódź bezwyznaniowego kosmopolityzmu, zaleje nas i porwie w odmęty. Albo — albo, teraz wyboru nie ma, trzeba się zdecydować. Wiesz, że jestem za umiarkowaniem, ale w tym razie, w obec niebezpieczeństwa grożącego nam z Wiednia, umiarkowanie, zgubić nas może. Trzeba na alarm uderzyć, a artykuł ów alarmuje.

— Zgadzam się z tobą hrabio, że obecna chwila wymaga więcej zapału i energii z naszej strony, ale artykuł ów przeszedł daleko po za granice konieczności spowodowanej sytuacji, uderza on nawet na zasady, których naruszać nam niewolno, bez ściągnięcia na siebie zarzutu wsteczności i zdrady. Ja do tego ręki przyłożyć nie mogę.

— Oszczędzasz ludzi, stronnictwa, które dla ciebie nie miały pobłażania i potępiły cię bezwzględnie. Wszak musiałeś czytać ostatnie dzienniki?

— Czytałem panie hrabio, rzekł Antoni, a twarz jego zasepiła się ponurą chmurą; wiem, nazywają mnie Rabagasem, Condotierem, który za pieniądze najmuje pióro swoje; obryzgano mię błotem i żółcią, ale czyż to ma mnie rozgrzeszyć ze wszystkiego? Czyż dla tego mam się zaprzecić idei, zasad, które dla każdego z nas powinny być święte?

— Artykuł ów nie zochoydzia tych. zasad, tylko ludzi którzy się pod nie podszywają, demaskuje ich i odsłania ich brudy tylko. Jest to nawet, jakby odpowiedź na zarzuty stawiane tobie, jest niejako obroną twoją.

— Właśnie dla tego nie chcę go umieścić, ja nie chcę obrony. Życie moje niech będzie obroną, a nie słowa.

Powiedział to z dumą i stanowczością, która uniemożliwiała dalszą dyskusję. Hrabia chodził po pokoju zakłopotany i niezadowolony, nie wiedział jak wybrnąć z tej sprawy. Ze słów Antoniego mógł wnosić na pewno, że on oprze się wszelkimi siłami wydrukowaniu artykułu, że gotów nawet ustąpić z redakcyi w razie gdyby opierał się przy swoim, a do tego doprowadzić nie chciał. Z drugiej zaś strony nie mógł zdecydować się na odrzucenie artykułu przez wzgląd na autora, którego nie chciał zrazić sobie, zwłaszcza że w duszy zgadzał się po większej części z jego przekonaniem.

Na szczęście przybycie księdza Hieronima załagodziło nieco tę sprawę, nie, był on także za umieszczeniem artykułu i ofiarował się porozumieć z autorem, z którym zostawał w dobrych stosunkach i prosić go o zmodyfikowanie artykułu, albo nawet całkowite cofnięcie. Hrabia musiał przystać na to lubo widać było, że robił to z wielką niechęcią; Antoni również był niezadowolony z tego ustępstwa, bo przewidywał że ono jest chwilowe tylko i że nieraz przyjdzie mu stanąć w kolizyi z hrabią w wielu kwestyach, z powodu różnicy zapatrywań. Im bardziej poznawał hrabiego, tem bardziej uwydatniała mu się ta różnica.

Podano herbatę, Antoni oczekiwał z pewną niecierpliwością zjawienia się Jadwigi. Zdziwił się niepomału, gdy zamiast niej zobaczył nadchodzącą samą tylko hrabinę; nieobecność Jadwigi poczęła go dręczyć, nie śmiał jednak zapytać o powód tej nieobecności; dopiero hrabia gdy usiedli do stołu, spytał żony.

— A gdzie Jadwinia?— Czy prosicie pannę Jadwigę? rzekł zwracając się do służącego.

— Jadwinia słaba, nie przyjdzie — rzekła hrabina.

— Słaba? Wszak podobno była z tobą na wizycie.

— Tak i tam zasłabła.... zemdląca. Ostatnie słowo, jak gorące żelazo przeszło przez Antoniego i pobladł z obawy o Jadwigę.

— Może doktora? — spytał hrabia troskliwie.

— Nie chciała, już jej lepiej, — potrzebuje tylko wypoczynku.

Na tem skończyła się rozmowa o Jadwidze. Ku wielkiemu zmartwieniu Antoniego, nie poruszono więcej tego przedmiotu; pragnął dowiedzieć się bliższych szczegółów, które spowodowały słabość Jadwigi. Było to jakieś instynktowe przeczucie, które go ostrzegało, że słabość ta chwilowa będzie miała jakieś dalsze następstwa, które jego dotkną. Nie mylił się bardzo. Powód słabości o czem nawet hrabina nie wiedziała — był w bliskim z nim związku.

Jadwiga bowiem na wieczorze u księżnej, usłyszała przypadkiem w rozmowie kilku młodych ludzi nazwisko Antoniego; dosłyszała to siedząc niedaleko tych panów przy stoliku, na którym przeglądała albumy.

Rozmowa toczyła się półgłosem. Młodzi ludzie ze śmiechem, lekceważeniem wyrażali się o Antonim, nie przypuszczając wcale, że mógł w bliskości nich znajdować się ktoś, w salonie księżny, dla kogo ten człowiek był więcej niż znajomym. Jadwiga słysząc w ten sposób prowadzoną rozmowę o tym, który ją, tak żywo obchodził, stanęła cała w płomieniach, w oczach jej się zaćmiło — pochyliła się nad albumem, by niepostrzeżono jej pomieszaniam i drżąca wysłuchiwała następującą rozmowę:

— Więc zbazgrali go? — spytał jeden z młodych ludzi.

— Ależ okropnie — nazwali go Rabagasem, Condotierem.

— I któż go tak oporządził?

— Dawni jego przyjaciele polityczni w dzienniku, do którego podobno sam dawniej należał.

— Cóż to za indywiduum ten Antoni Kowalski?

— Podobno zdolny literat, ale jako człowiek ichy, bez charakteru. Hrabia Medard przyjął go na redaktora swego pisma.

— I pewnie dobrze zapłacił....

— To się rozumie, i to go skłoniło zapewne do porzucenia demokracji. To dosyć jasne, są to bowiem ludzie, u których wszystko kupić można.

— Ale, że hrabia Medard przyjął takiego człowieka?

— Czemuż nie, jeżeli mu jest potrzebnym. Są pewne kategorie ludzi, których nasze towarzystwo nie wyrabia; musimy ich zapożyczać z ulicy: są to literaci i....

Nie dokończył, bo w tej chwili spostrzegł mdlejącą Jadwigę; poskoczył by powstrzymać upadającą, zrobiło się w salonie zamieszanie, pospieszono z pomocą i ratunkiem. Hrabina Medardowa zbliżyła się również zaniepokojona do swojej wychowanki i spytała otaczających o powód tego zemdlenia. Nikt nie umiał jej wytłumaczyć, nawet młodzi ludzie nie domyślali się wcale, że ich rozmowa spowodowała zemdlenie Jadwigi. Przypisywano to zbyt niemu gorącu w salonie, to też zaledwie omdlała trochę do sił przyszła, hrabina zabrała ją do domu, będąc pewną, że ruch i świeże powietrze dobrze jej zrobi. Jak wiemy udała się Jadwiga zaraz po przyjeździe do domu do swego pokoju. Tu dopiero boleść jej tłumiona i ukrywana przed oczami ludzkiemi wybuchnęła z całą gwałtownością. Rzuciła się na sofę, załamując ręce, że aż zatrzeszczały w stawach i jęknęła.

— Boże! co ja słyszałam... I to on, — on, w którego tak wierzyłam... Nie to niepodobna.... On niemógłby być tak podłym, upaść tak nisko... to byłoby okropne.

Biedna nie mogła, nie chciała uwierzyć, by człowiek, którego ceniła tak bardzo, którego uważała wyższym od wszystkich innych młodych ludzi jakich знаła — mógł dopuścić się czynu tak hańbiącego, sprzedawać swoje przekonania.

Lubo wychowana w domu hrabiego Jadwiga żywiła w swej duszy czysto demokratyczne pojęcia; w dzieciństwie Antoni wpoił jej w jej umysł. Może przez miłość dla niego Jadwiga zasady te przechowywała, jak święty ogień w swej duszy, a w Antonim widziała apostoła tych wielkich idei, o których jej zawsze mówił. Człowiek i zasady zespoliły się w jej duszy w nierozzerwaną całość i była dumną miłością tego, który ją tak wzniośle myśleć nauczył. Nie przypuszczała, aby kiedykolwiek mógł się sprzeniewierzyć swemu posłannictwu. Nawet obecność Antoniego w salonach hrabiego nie zdołała obudzić w niej żadnych podejrzeń. Uważała to za akt zwyczajnej grzeczności, do której skłaniała go wdzięczność, jaką winien był hrabiemu. —

O wydawnictwie pisma, o tem że Antoni został jego redaktorem, nic a nic nie wiedziała. Nieporuszano nigdy przy niej tej sprawy i Antoni również jej o tem nigdy nie mówił, będąc przekonany że wie o wszystkim i że pochwała całkiem jego postępowanie. — Wiadomość ta spadła więc na nią niespodziewanie jak piorun i przeraziła ją okropnie. Wydawało się jej to wszystko tak niepodobnem, że chwilowo uważała to za jakiś sen męczący, to znowu przypuszczała, że podobieństwo nazwiska, jakie usłyszała w salonie księżnej w błąd ją wprowadziło, ale niezadługo przekonała się, że tak nie jest. Na drugi dzień bowiem znalazła w pokoju hrabiego pierwszy numer owego fatalnego pisma, a na nim nazwisko Antoniego. Nie mogła więc już więcej wątpić; naga prawda odsłoniła się przed nią i ukazała w strasznej postaci. Ideał jej upadł w błoto — z marzeń zostały ruiny i czerepy. Dziwna jednak rzecz, że przeświadczenie o czynie Antoniego uczyniło ją spokojniejszą — było jednak coś cmentarnego w tym spokoju. Dopóki wątpiła, boleść szarpała jej nerwy — teraz boleść ta umilkła, skamieniała jak Niobe i wypisała się na jej bladych rysach jakąś smutną rezygnacją. Odtąd stała się dziwnie milczącą i zamyśloną. Widocznem było, że jakieś postanowienie dojrzewało w niej. Antoni próbował parę razy widzieć się z nią — ale znajdował zawsze drzwi jej pokoju zamknięte i wiecznie tę samą odpowiedź służącego, że jest słabą. To uporczywe milczenie i unikanie spotkania się z nim, naprowadzało go na najrozmaitsze domysły. Jasnym było, że słabość była tylko pozorem bo nieraz widywał Jadwigę wyjeżdżającą ze starą hrabiną na miasto; dowiedział się również od hrabiego, że już wychodziła ze swego pokoju. — Tylko dla niego stała się niewidzialną. Niepewność i podejrzania najrozmaitsze dręczyły go. Postanowił rozwiązać bądź co bądź tę zagadkę i w tym celu udał się pewnego dnia do hrabiego chcąc przez niego lub od niego dowiedzieć się o istotnej przyczynie dziwnego postępowania Jadwigi.

W chwili gdy dochodził do domu hrabiego zobaczył powóz wyjeżdżający z sieni; w powozie siedziała hrabina i Jadwiga, Ta ostatnia była nadzwyczajnie blada i mizerna. Ujrzawszy go drgnęła lekko i zarumieniła się. Wnet jednak posępna owa bladość wróciła na jej twarz. Zimno i sztywnie odpowiedziała skinieniem głowy na jego ukłon i odwróciła się obojętna w przeciwną stronę.

Antoni nie mógł teraz wątpić w niechęć Jadwigi; szło mu jednak o powód tej nagłej zmiany, a wyjaśnienia tego spodziewał się od hrabiego, to też szybko podążył na górę.

Zastał hrabiego przy oknie patrzącego w zamyśleniu na ulicę. Na głos jego odwrócił się i rzekł: — A dobrze, że idziesz. Będziesz mnie mógł może objaśnić nieco w tym względzie. Powiedz mi szczerze, co zaszło w ostatnich czasach między tobą a Jadwigą?

— Między mną. a Jadwigą? — Nic. — Gdym ostatni raz widział się z nią, a było to przed ową wizytą u księżnej była uprzejmą i dobrą, jak zawsze — nawet niezwykle ożywioną, ale od tego czasu postępowanie jej zmieniło się do niepoznania. Unikała mnie widocznie.

— I nie domyślasz się niczego?

— Sądziłem, że mi pan hrabia to wytłómaczy.

— Ja tyle rozumiem, co i ty. Dziwna dziewczyna. Nie mogę zrozumieć, co się z nią stało w ostatnich dniach. — Czy wiesz, gdzie pojechała w tej chwili, spytał hrabia, patrząc na zafrasowanego Antoniego, a po chwili dodał.

— Do Klasztoru.

— Do Klasztoru?

— Tak na rekolekcję. Moja żona ją odwiozła.

— Jakiż powód?

— Nie wiem. Wątpię, żeby to bigoterya. Jadwiga nie była nigdy bigotką. Musiało coś ważnego zajść w duszy tej dziewczyny — ona tego bez powodu by nie zrobiła, ale co to jest, tego ani ja, ani moja żona wybadać nie mogliśmy. Jadwiga jest dziwnie skrytą.

— A jeżeli to dziwactwo tylko? Chorobliwy kaprys duszy.... hrabia nie powinieneś był na to pozwolić.

— Opierałem się, ale Jadwigi postanowienie było niezłomne, nadto znalazła gorliwego adwokata w mojej żonie, która podobne praktyki religijne bardzo pochwała i proteguje.

— I na długo wybrała się panna Jadwiga do klasztoru? spytał Antoni zmienionym i słabym głosem.

— Nie oznaczyła terminu powrotu.

— Jest w tem wszystkim coś dziwnie niejasnego, rzekł Antoni zapadając w ponure zamyślenie. — Ale tak zostać nie może. Bądź co bądź zagadkę tę rozwiązać muszę. Wątpliwość jest stokroć gorszą od najgorszej niepewności. Muszę wiedzieć — zawołał energicznie, co za tajemnica kryje się na dnie tego wszystkiego.

— I cóż zrobisz?

— Będę się chciał widzieć z panną Jadwigą, — rozmówię się z nią.

— Ha, próbuj — może ci się uda. Mnie samego zaczyna to niepokoić.

— Czy i pani Hrabina nic nie wie?

— Nic.

— Musiała przecież panna Jadwiga powiedzieć jej jaki powód skłania ją do odbywania rekolekcyi w klasztorze.

— Mówiła, że zrobiła sobie ślub taki na intencyę brata.

— W to uwierzyć nie mogę.

— I mnie się nie bardzo chce w to wierzyć.

— Muszę z nią mówić koniecznie.

Z tem postanowieniem opuścił hrabiego, ale wykonanie tego był trudniejszym niż mniemał; penitentka bowiem na czas rekolekcyi zerwała wszelkie stosunki ze światem i postanowiła z nikim się nie widywać. Antoni więc rad nie rad musiał czekać, ale minął tydzień, minął drugi i trzeci i czwarty, a nie mógł być doczekać się powrotu Jadwigi, aż w końcu dowiedział się od hrabiego, że nie wróci więcej, bo postanowiła zostać zakonnicej.

Wiadomość ta spadła na jego duszę, jak kamień grobowy i przygniotła ciężarem swoim resztę jego nadziei. Miał wyrzec się na zawsze szczęścia, którego był już tak blizki — nie widzieć więcej Jadwigi, i dla czego? — Pytanie to stało ciągle przed nim niewyjaśnione, coraz ciemniejsze mroki otaczały go, a on nie mógł przedrzeć tych ciemności i dojść do prawdy. Napróżno łamał sobie głowę — nie mógł znaleźć klucza do odgadnięcia tej tajemniczej potęgi, która rozdzieliła go z Jadwigą — na zawsze.

Nie mógł w żaden sposób oswoić się z tą myślą, postanowił bądź co bądź widzieć się z Jadwigą;

powziął bowiem podejrzenie, że oboje stali się ofiarą jakiejś tajemnej intrygi, co mu się tem prawdopodobniejszem wydawało, gdy przełożona klasztoru pod rozmaitemi pozorami odmawiała mu widzenia się z Jadwigą, tłumacząc opór swój to regułami klasztoru, to znowu tem, iż nowicjuszka sama oświadczyła, że nie chce się z nim widzieć.— Antoni te tłumaczenia brał za wybiegi i tem natarczywiej domagał się widzenia, groził nawet klasztorowi, że użyje siły policyjnej, że poruszy tę sprawę w dziennikach, gdyż jest przekonany, że ofiarę zamknięto mimo jej woli, że nie ustąpi pierwej dopóki z ust swej narzeczonej nie usłyszy iż dobrowolnie zgodziła się na pozostanie w klasztorze. Dopominał się tego tak natarczywie, tak niepokoił klasztor pogroźkami, że w końcu z obawy skandalu, pozwolono mu widzieć się z nowicjuszka i wpuszczono go do rozmównicy.

Była to duża, sklepiona sala, przedzielona grubym murem na dwie części. W murze wybite niewielkie okno opatrzone było gęstą podwójną kratą najeżoną kolcami. Jedna połowa pokoju przeznaczona dla osób przybywających ze świata oświecona była dwoma oknami wychodzącymi na ulicę, druga była zupełnie ciemną, jakby wewnątrz grobu, tak że osoby stojącej nieco głębiej za kratą nie można było wcale widzieć. — Antoni wszedłszy do rozmównicy stał się czegoś dziwnie nieśmiałym i niepewnym; miejscowość zrobiła na nim przykre jakieś i przygniatające wrażenie. Gdy już stanął u celu swych żądań, gdzie za chwilę miało się przed nim rozplątać zagadkowe postępowanie Jadwigi, uczuł dziwny lęk i niepokój.

Z bijącym sercem zbliżył się do kraty i czekał. Nagle zadrżał.

Na ciemnym tle *za* kratą zarysowała się niewyraźnie blada twarz kobiety czarno ubranej, a z ciemności jak z grobu odezwał się do niego głos chłodny i poważny, który go dreszczem przejął.

— Czego pan sobie życzysz?... zapytano, a gdy Antoni w tej chwili nie mógł się zdobyć na odpowiedź, głos brzmiał dalej:

— Drogi nasze rozeszły się na zawsze... nie powinniśmy się już byli zejść. Sądziłam, że pan uszanujesz tę moją wolę, ale gdy gwałtem zmusiłeś mnie do tego — przyszłam. Zrobiłam to dla spokoju sióstr moich, które nachodziłeś. Czego pan jeszcze chcesz odemnie?

— Jadwigo! — odezwał się Antoni głosem drżącym, składając ręce jak do modlitwy, powiedz mi, co to wszystko znaczy.... Dla czego wstąpiłaś do klasztoru, kto cię namówił do tego?

— Uczyniłam to z własnej woli, nikt mnie nie namawiał.

— I dla czego? Wszak wiesz dobrze jak cię kochałem; mieliśmy w krotce połączyć się ze sobą. Czyś zapomniała twoich przysiąg? Przypomnij sobie, co powiedziałaś dawniej, a coś teraz niedawno powtórzyła.

— Nie złamałam żadnej przysięgi. Powiedziałam — tu głos jej przycichł, jakby ze wruszenia lub zmęczenia — powiedziałam, że będę twoją lub niczyją. Spełniłam to ostatnie.

— A dla czegoż moją być nie chcesz? Milczała.

— Dla czego? powtórzył z gwałtowną boleścią Antoni.

— Więc tak nisko pan upadłeś, że nie czujesz nawet swego upadku? Jeżeli sam nie umiesz sobie pan odpowiedzieć, to spytaj o to opinii ludzi uczciwych, którzy cię potępili; oni ci powiedzą co zrobiłeś, oni ci wytłumaczą dlaczego ja musiałam pogardzić tobą.

— Więc o to idzie?! zawołał z rozpaczą Antoni załamując ręce — a dla kogo to zrobiłem, powiedz. — Czy nie dla tego ażeby się zbliżyć do ciebie, wyrzekłem się marzeń mojej młodości, odbiegłem dawnych towarzyszków moich, czy nie ty sama mówiłaś mi niedawno: idź dalej tą drogą!...

— Drogą hańby, niesławy.... tego nie mogłam nigdy doradzać panu. Nie przypuszczałam nigdy, żeś wstąpił na tę drogę, nie mogłam podejrzewać nawet, że ten któregom uwielbiała dla jego wzniosłych zasad i wytrwałej pracy, zaprze się kiedyś tego wszystkiego i stanie się.... Tu zatrzymała się, jakby nie miała odwagi dokończyć.

— Dokończ, powiedz!

— Najemnikiem i sługą tych, przeciw którym walczyć był powinien.

Antoni jęknął pod tym moralnym policzkiem, wymierzonym przez kobietę, którą kochał, zachwiał się i bezsilny oparł o ścianę.

On, który dziennikarskie obelgi i złorzeczenia przyjmował obojętnie i z pogardliwym milczeniem, w tej chwili zachwiał się pod ciosem tych kilku słów kobiecych wyszeptanych cicho wśród ciemności. Słowa te huczały mu w uszach, jak straszny wyrok potępienia.

— Czy masz pan jeszcze o co spytać? odezwał się znowu głos z za kraty.

— Jadwigo — zawołał prosząco Antoni, nie odchodź jeszcze, wysłuchaj mnie, jam niewinny. Ty nie wiesz o wszystkim, nie wiesz ile okoliczności złożyło się na to, aby mnie popchnąć na drogę, na której teraz jestem. Ty nie wiesz, jak boleśnie obrażano mnie, jakie znosić musiałem przeciwności, zanim znienawidziłem tych ludzi dla których szczęścia chciałem pracować, — zanim zerwałem z nimi.

— Więc z nienawiści do tych ludzi wyrzekłeś się przekonań własnych, zdradziłeś je? z rycerza przeszedłeś na najemnika. Czy to ma być usprawiedliwieniem?

— Przyznaję, że ambicja, obrażona duma poniosły mnie za daleko, a jednak nie byłoby do tego doszło, gdyby nie wiara, którą się dotąd łudziłem, że ty pochwalisz ten mój krok. Nie przypuszczałem, że nie wiesz o tem, a milczenie twoje brałem za przyzwolenie; nie przypuszczałem, że pracowałem tylko na wzgardę twoją... ale ty mnie ocalić możesz, ty jedna. Dla ciebie porzucę wszystko, wrócę skruszony do dawnych szeregów i pracować będę dla dobrej sprawy. Ty będziesz moim natchnieniem, moim dobrym aniołem.

— Nigdy. — Człowiek który sprzeniewierzył się świętym zasadom, nie może obudzić wiary, szacunku ani miłości. Kto raz złamał wiarę, ten nie może żądać, aby mu wierzono. Kto się ugiął bezsilnie pod lada przeciwnością, ten nie być nigdy podporą. — Między nami już wszystko skończone — nad przeszłością zrobiłam krzyż — nie wrócimy już do niej.

— I nic nic więcej mi dać nie możesz?

— Nic, prócz modlitwy. Żegnam.

Były to ostatnie jej słowa, blada twarz zanurzyła się w ciemnościach i znikła.

Antoni stał czas jakiś złamany, zgnębiony ciężarem tych słów i ponuro wpatrywał się w ziemię, — zapomniawszy gdzie jest, zapomniawszy że do domu wracać potrzeba. Zapadł w stan jakiegoś bezmyślnego osłupienia. Musiano mu przypomnieć, że już czas opuścić rozmownicę. Podniósł głowę, popatrzył na mówiącą do niego zakonnicę wzrokiem tak błędnym, że się aż cofnęła przestraszona i wyszedł na ulicę.

Był już zmierzch — czas słotny; gęsty jesienny deszcz siekł z boku i dzwonił po szybach, latarniach i dachach. Antoni tego wszystkiego nie widział, nie czuł. Szedł przed siebie nieprzytomny, nie myśląc gdzie idzie i po co.

Byłby tak szedł Bóg wie gdzie i jak długo, gdyby ktoś z przechodzących nie był go zatrzymał. Był to Żabik.

— Kolega bez parasola na taki deszcz? — jakżeż można, — może mogę służyć, przejdziemy razem, i przysunąwszy się do niego z parasolem wziął go pod rękę.

Antoni dał się prowadzić jak automat.

— Gdzież kolega chce, abym go odprowadził? tu spojrzał Żabik na milczącego towarzysza i zaniepokoił się wyrazem jego twarzy.

— Na Boga, co koledze jest? — jesteś kochany pan okropnie zmieniony, co się stało?

— Nic, odrzekł Antoni krótko.

— Może kolega się przeziębził.

— Być może.

— To wstąpmy na kieliszeczek wina tu do pobliskiej winiarni, to kochanego pana rozgrzeje. Nie można tak lekceważyć zdrowia. Pan teraz nie do siebie należysz — ale do kraju. No na kieliszeczek!...

— Chodźmy! — rzekł Antoni z jakąś dziką radością i pociągnął za sobą gwałtownym ruchem Żabika do winiarni.

Odtąd często bardzo widywano Antoniego w towarzystwie Żabika po winiarniach i knajpach. Człowieczek ów, który z początku wydawał mu się tak wstrętnym i nieznośnym, stał się dla niego teraz niezbędnym. Z nim razem włóczył się wszędzie, pił z nim, słuchał w milczeniu jego złośliwych anegdot i skandalicznych nowinek, a nawet grywał z nim w karty. Wyuczył go tego Żabik i wnet Antoni stał się wielkim zwolennikiem tej zabawki, przy której łatwo zabijał czas i mógł nie myśleć.

— A nie myśleć, jest to być szczęśliwym, — mówił z dziwnie przykrym uśmiechem. Była to nowa teoria filozoficzna, której go nauczyła rozpacz i zwątpienie. Zaniedbał się w pracy i w ubraniu, zobojętniał na wszystko, robił tylko to, co było niezbędnym. Hrabia Medard z niepokojem zauważył tę dziwną zmianę w usposobieniu jego: próbował go ożywić, rozruszać, zachęcić do pracy, ale na próżno. Z każdym dniem grzęznął coraz głębiej w próżniaczej apatyi i zaniedbaniu. Całymi godzinami przesiadywał w kawiarniach, przypatrując się grającym w bilard, lub grywał sam w karty, albo pił.

Upadek i rozkład moralny postępował z przerażającą szybkością.

W tym czasie odebrał list od Władysława. To go na chwilę zelektryzowało i ożywiło, bo przypomniało mu lepszą przeszłość. Chciał list ten przesłać Jadwidze, a sam zająć się wyrobieniem dokumentów, o które Władysław prosił; — napisał nawet o nie do proboszcza na wieś; ale gdy dokumenta te nadeszły, Antoni powrócił już do dawnego stanu. List gdzieś zgubił, adresu nie pamiętał i całą rzecz puścił w zapomnienie. To była przyczyna, dla której Władysław na próżno wyczekiwał z kraju odpowiedzi.

XII.

Pomimo, że potrzebne papiery nie nadchodziły Władysławowi, nie robiono mu żadnych trudności w objęciu posady, o którą się starał. Rekomendacya Steinberga i kilka słów jakie za nowym kandydatem przemówił stary Nestor na zgromadzeniu zrobiły to, iż pominięto zwykłe formalności i zgodzono się oddać mu posadę sekretarza. Była to posada ważna i pensya dość znaczna, ale też i praca nie mała. Działalność sekretarza obejmowała bardzo szeroki zakres interesów towarzystwa, tak wewnętrznych jak i zewnętrznych, tu bowiem one ześrodkowały i schodziły się. Najgłówniejszy dział stanowiły korespondencye, które z powodu nadzwyczaj rozmaitych i szeroko rozgałęzionych stosunków towarzystwa dawały nie mało do roboty; to też Władysław w pierwszej chwili oszołomiony ogromem i mnogością tej pracy, zwątpił czy będzie miał dość siły i zdolności do powołania tak trudnemu zadaniu; ale Steinberg dodał mu otuchy i przyszedł z pomocą i podał mu najprzód pewne wskazówki do oryentowania się w tym labiryncie czynności, nauczył go systematycznego postępowania, objaśnił o stosunkach i interesach, a czynił to wszystko tak dokładnie i jasno, że Władysław wnet zapoznał się z tą całą skomplikowaną maszyneryą i ruch jej nie przestraszał go już więcej, bo umiał panować nad nim i kierować. Kilka tygodni wystarczyło do tego. Powoli zaczął o własnych siłach już bez pomocy Steinberga pracować a im bardziej rozpatrywał się w interesach, tem większe obudzały w nim zajęcie. Każdy list przedstawiał mu się jak ciekawa karta z dziejów fabryki, a szeregi cyfer mówiły mu o działalności i sile tego potężnego organizmu, którego teraz stał się częścią składową. Jak anatom z pojedynczych nitek nerwowych, żyłek, tętnic i mięśni dochodzi do odkrycia objawów życia, tak on z drobnych i różnorodnych czynności swoich, składał sobie powoli w umyśle wyobrażenie o rozległej działalności stowarzyszenia, które z tak drobnych na pozór złożone części, przez wspólność interesów tak wielką utworzyły całość. Przeświadczenie zaś, że i on jest jednym z kółek działających w tej wielkiej maszynie, podnosiło wartość pracy w jego własnych oczach i czuł się dumny z swego stanowiska. Wśród tych badań i spostrzeżeń odsłaniał się coraz więcej przed jego oczami świat dotąd mu nieznan i nowy, przez nie jak przez mikroskop — zobaczył teraz prawdziwe życie tam, gdzie mu się zdawało, że wszelkie życie już się kończy, ujrzał rzesze małych, które szły z niezmordowaną pracą i wytrwałością ku jasno wytkniętym celom, wspierając się wzajem. Dawniej w salonach używanie nazywało się u niego życiem — przyjemne zabicie czasu, jedyną pracą; tu zaś życie przedstawiło mu się jako poważny obowiązek, jako wielkie zadanie, które każdy człowiek wedle sił i zdolności spełnić powinien. To przeświadczenie rozbudziło w nim szereg poważnych myśli — pobudzało do zastanowienia się, kształciło rozum i stawało wolę. Im bardziej przyzwyczajał się do pracy, tem bardziej ona produkcyjniejszą się stawała, a w miarę tego rosło w nim zamiłowanie do niej. Poznawszy wartość czasu, stawał się coraz oszczędniejszym w marnowaniu go, radby był każdą jego cząsteczkę jak najkorzystniej zużytkować, a gorączka ta do pracy tem bardziej się wzmagala, gdy sobie przypominał ile czasu dawniej strwonił bezużytecznie. Nie poprzestając na biurowych czynnościach pracował w domu nad sobą samym, kształcąc i rozwijając swój umysł pod okiem Steinberga, szczególnie w umiejętnościach mających związek z obecnym jego zawodem. Lekcje francuzkiego języka, których udzielał w kilku domach, zajmowały mu resztę czasu tak, że od rana do nocy prawie był zajęty. Ta niezmordowana czynność oprócz zamiłowania, miała jeszcze inne pobudki. Kto kiedykolwiek pracował na chleb i zaczynał dorabiać się, ten wie, jak zachęcająco działa pierwszy zapracowany grosz, jakie myśli o przyszłości obudza w człowieku, jaką staje się zachętą dalszej pracy. Tego właśnie doświadczał Władysław. W miarę im bardziej pomnażały się jego dochody, tem więcej czuł

w sobie zapału do pracy, ograniczał się w potrzebach swoich, by jak najprędzej uzbierać sumę, z którą miał zamiar przystąpić jako współnik do stowarzyszenia, Był to cel, do którego teraz dążył — dochody, jakie zbierał były to pierwsze cegiełki, które miały zbudować dla niego trwałe podstawy w społeczeństwie i zapewnić mu przyszłość. Steinberg z radością patrzył na tę skrętność młodego człowieka i pochwalał ją.

Zachęta tego rodzaju, rozpalala żywą wyobraźnię Władysława i działała na niego, jak ostroga na konia. Pracowitość jego stała się przykładną w fabryce.

Jeszcze w innym względzie zaszła zmiana w Władysławie. Był on wychowany nadzwyczaj religijnie w zasadach czysto katolickich, osada zaś w której teraz mieszkał była protestancką; to sprawiało pewien niepokój w sumieniu jego. Nie chciał uczestniczyć w nabożeństwach w zborze, unikał wszelkich rozmów religijnych ze swoimi towarzyszami i nie starał się wcale zbliżyć do pastora, choć go Steinberg kilka razy do tego nakłaniał; tłumaczył się to brakiem czasu, różnemi zajęciami, aby tylko uchylić się od tej konieczności. Pastor jednak zrobił pierwszy krok; dowiedziawszy się bowiem od Steinberga, że Władysław kiedyś poświęcał się muzyce, zapytał go raz u jednego, dla czego zaniedbał tę sztukę, dla czego nie chciał brać nigdy udziału w koncertach dawanych w Kasynie. Władysław odpowiedział że wziął na zawsze rozbrat ze sztuką widząc, że w niej nie doprowadzi do doskonałości, a miernym muzykiem być nie chce.

— To źle mój synu, rzekł mu pastor, że zagrzebujesz tę odrobinę talentów, jakie odebrałeś od Boga. Talent choćby najmniejszy skoro go mamy, powinniśmy zużytkować dla dobra swego i bliźnich, choćby nam nie płacono za to sławą, poklaskiem. Są inne większe rozkosze nad sławę, jakie nam daje sztuka, — podnosi ona i uszlachetnia nas samych i drugich. Ja nie należę wcale do znakomitości muzycznych, a jednak przy skromnym talencie moim, miałem jedną chwilę cichego tryumfu i zadowolenia, której nie pomieniałbym za huczne oklaski i szumne artykuły. Opowiem ci ten wypadek, to może zmieni twoje zdanie i pogodzisz się napowrót z muzyką.

Byłem jeszcze w szkołach, uczyłem się na pastora, w programie nauk naszych zamieszczoną także była i muzyka, a że miałem do niej zamiłowanie od dziecka, więc wszystkie chwile wolne od nauki poświęciłem muzyce. Grywałem często do późnej nocy na lichym fortepianiku, jaki nabyłem za oszczędzone fundusze. Jednak nadszedł czas zdawania egzaminów — musiałem na czas jakiś zamknąć fortepian, wtedy jednego wieczora przyszedł do mnie mój sąsiad stary urzędnik z twarzą bladą i stroskaną i przysunąwszy się do mnie zapytał cicho ze łzami w oczach: „dla czego pan nie grywasz teraz?” Zrozumiesz pan łatwo, jak pytanie takie zdziwić mię musiało. Staruszek odgadł to z mojego spojrzenia i przysunąwszy się jeszcze bliżej mówił dalej głosem, jak można było najcichszym: „tam jest córka moja, — tu wskazał na drzwi prowadzące do jego mieszkania — „cierpi na melancholię, zapadła na nią po stracie matki. Pańska gra dobre robiła na niej wrażenie — płakała słuchając pana, skamieniałe z boleści jej rysy miękkły wtedy i rozrzewniały się; doktor mówił, że to dobre lekarstwo, że takie tkliwe podrażnienie nerwów wyleczyć ją może, — a potem schyliwszy się ku mnie i całując w ramię, dodał staruszek głosem pełnym łez: „graj pan, proszę.” — Domyślisz się pan zapewne, że oprzeć się takiej prośbie nie mogłem. Grałem więc każdego wieczora. Boleść nieznajomej cierpiącej kobiety była mojem natchnieniem. Z czasem poznałem ją — była to piękna dziewczyna o bladej zmęczonej twarzy i czarnych oczach, — wątpła i delikatna. Z pomocą jednak muzyki i pod okiem umiejętnego lekarza, coraz bardziej przychodziła do zdrowia. Całemi godzinami przesiadywałem u nich grając na fortepjaniku, który do jej pokoju przenieść kazałem. Ona wtedy siadywała przy mnie w dużym, poręczowym krześle obitem skórą, z głową nieco w tył przechyloną, z zapatrzonemi w górę oczami. Grywałem jej Beethovenowskie sonaty, fugi Bacha i inne poważne utwory. Zachwyty, jaki wtedy na jej twarzy czytałem, łzy co powoli sączyły się po

białej twarzy, dawały mi stokroć większe zadowolenie, niż poklaski tłumów, cieszyło mnie że grać umiem, że gra moja leczyć może chorą duszę. Po kilku miesiącach chora powróciła do sił i zdrowia; — po roku została moją żoną i przeżyłem z nią lat kilka spokojnie i szczęśliwie. Umyślnie opowiedziałem panu — mówił dalej pastor tę przedłużoną nieco historię z mego życia, aby cię przekonać, że źle zrobiłeś porzucając muzykę dla tego, iż nie uwieńczyła twego czoła w laurowe liście. Mógłbym cię posądzić, że nie kochałeś jej prawdziwie, żeś nie szukał w niej podniesienia duszy, ale zadowolenia próżności — daruj pan, że mówię tak szczerze i przy pierwszym poznaniu wypaliłem takie kazanie. Naszą rzeczą — jest godzić poważnione małżeństwa, — kończył żartobliwie, a ty jesteś w niezgodzie z twoją sztuką, porzuciłeś ją, to się niegodzi, na to kościół nie pozwala, chodź zaprowadzę cię do niej.

To powiedziawszy wziął łagodnie pod rękę Władysława i poprowadził ze sobą do domu. Tu po raz pierwszy po kilku miesiącach Władysław zbliżył się do fortepianu i na usilne prośby pastora grać począł. Uwaga z jaką go słuchano zachęciła go do gry, dotknąwszy się raz klawiszów, których tak długo już nie miał pod ręką, zapalił się; artystyczne uczucie w nim się obudziło i porwało go. Po przegraniu kilku utworów, gdy zmęczony odpoczął, pastor zbliżył się do niego z twarzą wyjaśnioną i biorąc go przyjacielsko za rękę rzekł:

— Jako dyrektor tutejszego konserwatorium cieszę się z takiego nabytku — koncerta nasze zyskają w panu silną podporę, a słuchacze nasi będą oczarowani. Zamały to tryumf dla pana, który podobno ubiegałeś się o sławę w stolicy, ale wierz mi pan, że nie do pogardzenia jest poklask maluczkich. Nie znają się może oni na muzyce, ale ją czują. Zadziwić ich trudno, ale wzruszyć łatwo, a to może istotniejsze zadanie muzyki.

W ten sposób mówił jeszcze czas jakiś i zatrzymał Władysława dłużej u siebie. Od tego czasu był on częstszym gościem w domu pastora, a im więcej poznawał jego czysty i łagodny charakter, jego spokojny humor i szlachetny sposób myślenia, tem więcej nauczył się go cenić i szanować. Myślał, że znajdzie człowieka oschłego, sztywnego, pedantycznego, tak sobie bowiem wyobrażał pastorów protestanckich, a znalazł duszę mięką, tkliwą, wrażliwą i wysoko poetyczną.

Kiedy Władysław jednego dnia wypowiedział się ze swej pomyłki i wyraził z tego powodu swoje zadziwienie, pastor uśmiechnął się pobłażliwie i rzekł:

— Dziwne pan miałeś o nas wyobrażenie. Być może, że są tacy, że takich jest wielu, ale takimi być nie powinni. Któż jeżeli nie kapłan powinien przechowywać w piersi swojej wszystkie wzniosłe i piękne uczucia, które żywi się dusza ludzka, wszak to zadanie nasze przeciwważyć duchem materji. Jeżeli kiedy to teraz w obec przewagi materialistycznego kierunku, tacy kapłani są niezbędni. Któż nauczy dziecko kochać rodziców, skłoni żonę, by dochowała mężowi wiary małżeńskiej, kto odeszle do pacierzy smutnych i strapionych? — Nauki świeckie choćby odkryły wszystkie prawa natury, choćby zbadały wszystko, tego nie nauczą. Może mówię wbrew przekonaniu pańskiemu, może pan nie podzielasz mojego zdania? spytał nagle podnosząc na Władysława badawcze spojrzenie.

— Dlaczego? odparł Władysław zmięszany tem pytaniem.

— Wy panowie macie teraz inne teorye, wypowiedzieliście walkę duchowi, chcielibyście go wykluczyć ze spraw świata, to się nie uda. Duch jak podziemny wulkan poniszczy wasze zasady, mszcząc się za chęć ujarzmania w gruzy rozburzy to, co zbudujesz, wyłamię się na wierzch i powie: jestem!

— Dla czego mnie pan podejrzewasz o takie zasady?

— Sądziłem, że pan jesteś bezwyznaniowym. Nie widziałam pana nigdy w naszym kościele.

— Jestem katolikiem, — odrzekł Władysław spuszczać mimowoli oczy.

— I dla tego bałeś się pan modlić w protestanckim kościele, — rzekł pastor kiwając głową.

Teraz rozumiem pana. Jest to także pewnego rodzaju obłąd — daruj pan, że użyję tego wyrażenia — stawiający was katolików na przeciwległych krańcach z bezwyznaniowymi. Więc pan sadzisz, że innegobyś u nas znalazł Boga? Bóg jest jeden, jedyny — dusze ludzkie powinny być jego świątyniami; zgodziłbym się na zburzenie świątyń, gdybym mógł wierzyć że każda dusza będzie świątynią. Nie na to stawia ludzkość świątynie by niemi pokrajać Boga na katolickiego, protestanckiego, indyjskiego lub żydowskiego — to są tylko przybytki, które mają przypominać ludziom, że Bóg jest i pomagać duszom do podniesienia się ku niemu. Chrześcijaństwo ramionami kraju, na którym Chrystus wypisał krwią prawo miłości, przewyższył inne religie, ale bluźnierstwem i małodusznością byłoby sądzić, że wszystkie inne religie są złe. Każda religia, która człowieka uczy żyć poczciwie, wykonywać dobre uczynki, która podtrzymuje w nim wiarę w ducha, co wszystko przenika, — i w nieśmiertelność — jest dobrą.

Władysław w milczeniu słuchał mówiącego pastora; z twarzy jego nie można było wyczytać nie odpowiedział nic na nie, czy dla tego, że nie umiał, czy może dla tego iż nie chciał wypowiedzieć zdania swego w tym względzie, ale następnej niedzieli widziano go już na nabożeństwie w zborze ewangelickim.

W taki to sposób żył, pracował i rozwijał się wśród osady, do której go los zapędził; osada ta nie była jakby kto mógł sądzić w całym znaczeniu tego słowa dokładnością, jakimś ideałem społeczeństwa bez plam i wad, owszem i tu jak wszędzie namiętności ludzkie występowały często z korbów porządku, i tu jak wszędzie były zatargi, nieporozumienia, drobne zawiści; wola pojedynczych jednostek buntowała się przeciw ustawom; socyalne rozruchy wybuchły pomiędzy robotnikami a właścicielami niepokoiły czas jakiś osadę i zmusiły do użycia siły wojskowej, a następnie zmiany statutów, jednakowoż całość tego życia, na które patrzył, jego organizacja i instytucje bardzo korzystnie oddziaływały na umysł Władysława i kształciły go; tu bowiem nauczył się pracować, oceniać ludzi nie według tego co inni za nich zrobili, ale według tego, co sami robią; tu zrozumiał po co się żyje i jak się żyć powinno. Były to niemałe zdobycze moralne, które użytkować mógł na własny pożytek.

Wśród takich zajęć i spostrzeżeń przeszła mu zima. Na wiosnę fabryki ożywiły się przybyciem robotników, których wojna na czas jakiś oderwała od pracy; wraz z nimi przybył także syn Steinberga.

Był to młodzieniec w kwiecie wieku; przypominał on rzeczywiście nieco Władysława, był tylko silniej zbudowany i nadzwyczaj żywego i ruchliwego usposobienia. — Powrócił z honorowym znaczkem na piersiach i szeroką szramą na twarzy, która go nieco oszpeciła, ale zarazem dodawała mu interesu, a Luiza narzeczona jego, córka kontrolera fabryki znajdowała go nawet jeszcze piękniejszym z tą zaszczytną dekoracją na twarzy. Poznanie się młodych ludzi było bardzo łatwe. Szczery i otwarty Fryderyk wnet przyłgnał do Władysława, rozruszał go nawet nieco i ożywił swoją wesołością; wciągnął go trochę do zabaw, których dotąd unikał Władysław, wprowadził go w dom swojej narzeczonej, a w końcu nawet przyznał mu się, że powziął plan wyswatania go z Wilhelminą młodszą siostrą Luizy. Propozycja ta dziwnie przestraszyła Władysława, nigdy dotąd nie myślał o małżeństwie, a w chwili kiedy mu Fryderyk tę myśl podsunął, stanęła mu żywo przed oczyma wesoła, figlarna i poetyczna Kornelka. Dotąd mało kiedy myślał o niej wśród przykrych utarczek z losem i ciągłej pracy, ciche to i powabne uczucie, które tak niewyraźnie zakiełkowało w jego sercu zataiło się w jego pamięci i zbladło, jak kwiatek przy gościńcu; czasem tylko myśl o tej uroczej chwili z przeszłości mignęła w jego duszy jak błyskawica, nie zatrzymując się na długo, nie zostawiając wyraźnych śladów. Pierwszy raz wyraźniej zarysowała się ona w nim w chwili kiedy pastor mówił

mu o swojej żonie, która z takim zachwytem przysłuchiwała się jego muzyce. — Wśród jego opowiadania, widział wciąż przed sobą drobną twarz Kornelki otoczoną jasnymi loczkami, jak ją zobaczył po raz pierwszy w ciemnym saloniku baronowej, a przypomnienie tej chwili dziwnie błogie zrobiło na nim wrażenie. Teraz po raz drugi zbudzono w nim wspomnienie. Kiedy Fryderyk mówił mu o Wilhelminie, Władysław powtórzył sobie w duszy inne imię, a w ślad za tem imieniem poszły myśli smętne i rzewne. Dałby był teraz wiele za to, by ją mógł zobaczyć, a przynajmniej dowiedzieć się co porabia, co się z nią stało, czy pamięta jeszcze o nim; równocześnie z temi myślami rosło w nim pragnienie i tęsknota jakaś do miejsc rodzinnych, do kraju. Rozkwitająca wiosna potęgowała jeszcze Bardziej tę tęsknotę; majowa zieloność łąk, kępy wilgotnych niezapominajek nad rzeczką, białym kwiatem obsypane sady, wszystko to przypominało mu żywo chwile spędzone wśród znajomych osób w towarzystwie siostry i Antoniego. Tak dawno nie miał o nich żadnej wiadomości; milczenie ich niepokoiło go coraz więcej, a w miarę im dzień stawał się dłuższym, im więcej miał czasu wolnego od zatrudnień, tem bardziej te tęskne i smutne myśli nawiedzały go, otaczały i trzymały w zakłętym kole zadumy. W takim usposobieniu, towarzystwo Fryderyka było mu nie na rękę — żywność jego i wesołość drażniły go, a widok Luizy opartej na ramieniu narzeczonego, przykre na nim sprawiał wrażenie; unikał więc tego towarzystwa, polubił samotne przechadzki i stał się bardziej zamyślonym. Nawet wśród zatrudnień myśli te go nawiedzały. Nieraz gdy mu przyszło załatwiać jakąś korespondencyą z krajem, gdy w interesie fabryki pisał list jaki do miejsc lub osób dobrze mu znajomych, elektryczne jakieś wstrząśnienie przejmowało go wtedy, a myśl jak jaskółka zrywała się do lotu w tamte strony. — Wtedy przerywał pracę i pogrążał się w głębokiej zadumie.

Pewnego dnia, kiedy tak siedział w swoim biurze zapatrzony w okno, ktoś otworzył drzwi pokoju i spytał go, by mu wskazał mieszkanie dyrektora zakładu. Na dźwięk tego głosu Władysław wstrząsnął się cały, głos ten przypominał mu bowiem coś, co miało blizki związek z myślami, które go w tej chwili zajmowały — odwrócił się szybko i zobaczył we drzwiach wyniosłą postać Milutyńskiego. Poznał go od razu a widok ten niespodziewany tak silne zrobił na nim wrażenie, a zarazem tak go zmieszał, że zapomniał odpowiedzieć na zadane mu pytanie i Milutyński powtórzyć je musiał.

— Czy nie mógł byś mi pan powiedzieć, gdzie mieszka dyrektor zakładu?

— Na pierwszym piętrze na lewo, odrzekł przytłumionym głosem Władysław.

— Czy będę go mógł zastać teraz?

— Jest właśnie u siebie, przed chwilą powrócił.

— Dziękuję, — rzekł chłodno i rzuciwszy badawcze spojrzenie na Władysława, zamknął drzwi i poszedł zostawiając go w pomięszaniu i osłupieniu. To nagłe zjawienie się Milutyńskiego zaniepokoiło go, byłoż ono przypadkowe, czy umyślne? w jakim celu mógł tu przyjechać, czy go poznał? Te pytania przesuwaly się po głowie jego, jak czarne chmury na horyzoncie zapowiadające burzę — odpowiedzieć sobie na nie nie umiał.

Tymczasem Milutyński poszedł do mieszkania dyrektora, przedstawił mu się jako właściciel fabryk i prosił o pozwolenie zwiedzenia tutejszej osady, a zarazem pragnął poznać urządzenia jej, poznać się ze statutami, gdyż jak mówił chciał podobnie robotników swoich przypuścić do współdziałania w korzyściach fabryki i to był główny cel, dla którego zboczył z drogi i przybył do tutejszego zakładu. Dyrektor z wielką uprzejmością udzielił mu bliższych wyjaśnień, pokazywał księgi, streścił w krótkich słowach dzieje zakładu i jego urządzenie, a w końcu oprowadził Milutyńskiego po główniejszych kuźnicach i warsztatach. Milutyński miał jeszcze raz powrócić zapowiadając dyrektorowi że chciałby pokazać fabrykę kuzynce i córce swojej, które zostawił w gospodzie.

— Córka moja, mówił - jest prawie na pół fabrykantem, jest ona współniczką moją i zna się na interesach i dla tego to ją zajmować będzie.

— W takim razie, rzekł dyrektor patrząc na zegarek, może pan będziesz łaskaw przyprowadzić te panie między czwartą a piątą; wtedy kuźnie są w największym ruchu i widok ich nawet dla niefachowych interesującym być może.

— Będę korzystał z grzeczności pańskiej, rzekł Milutyński podając na pożegnanie rękę dyrektorowi, nagle zatrzymał się i przerywając rozmowę spojrzał uważnie przed siebie - widocznie coś żywo zajęło jego uwagę.

Stali na tarasie, przed którym krzyżowały się drogi wiodące ku fabrykom i ku części zamieszkałej przez robotników. Tą ostatnią drogą powracał właśnie Władysław do siebie.

Milutyński patrzył uważnie za idącym, zdawał się czas jakiś wahać i namyślać, a potem zapytał dyrektora:

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, kto jest ten młody człowiek?

— Który?

— Ten w popielatym ubraniu, który właśnie skręca teraz na prawo. Przed chwilą widziałem go w kancelaryi na dole.

— To jest sekretarz naszego zakładu. Jest to ziomek pański, także polak.

— Nazywa się Żarecki?

— Tak, czy pan znasz go? Milutyński pokiwał wąpiąco głową.

— Znam i nie znam; a panowie czy znacie go dobrze?

— Czy pan masz względem niego jakie podejrzenia, spytał niespokojnie dyrektor.

— Znałem go w kraju, była to jednak dla mnie figura zagadkowa, a do takich ludzi nie mam zaufania.

— To mię dziwi, rzekł dyrektor, bo u nas cieszy się zupełnem zaufaniem. Od czasu jak dostał się do nas, zyskał sobie przyjaźń wszystkich uprzejmem obejściem, niezmordowaną pracą i cnotliwym życiem.

— Czy dawno jest już tutaj?

— Od pół roku.

— Od pół roku, powtórzył Milutyński zapadając w zamyślenie. Czy nie mógłbyś mi pan dać bliższych objaśnień względem tego młodego człowieka?

— Jak najchętniej, rzekł dyrektor, ale więcej by o tem umiał powiedzieć nasz bakałarz Steinberg, u którego nasz sekretarz mieszka, a który go pokochał jak własnego syna.

— To dziwna rzecz, mówił Milutyński, jakby do siebie trąc czoło w zamyśleniu, a potem spytał o mieszkanie bakałarza.

Podczas kiedy taką rozmowę prowadzono na tarasie, Władysław powracał do siebie z głową spuszczoną ku ziemi, pełen najróżnorodniejszych domysłów, które w nim obudziło nagłe pojawienie się Milutyńskiego. Naraz gdy przechodził koło gospody, usłyszał na balkonie głośno w rodzinnej mowie wymówione swoje nazwisko i równocześnie zbiegła szybko ku niemu po schodkach młoda panienska w podróznym ubraniu, była to Kornelka.

Władysław ujrzawszy biegnącą ku sobie zadrżał lekko, krew uderzyła mu do głowy, w oczach się zamąciło i nie wiedział co począć ze sobą, co powiedzieć. Namysł ten był wcale niepotrzebnym, bo Kornelka nie dała mu przyjść do słowa zarzucając go pytaniami:

— Więc pan tutaj? Zkąd pan wiedziałeś, że my tu będziemy? Czy ojciec pisał panu o tem?

Nagle plasnęła w rączki, zastanowiła się chwilę, a potem przykładając paluszek do czoła rzekła:

— Teraz rozumiem wszystko. To była zmowa, nieprawdaż? Chcieliście mi zrobić niespodziankę,

ach! jak to dobrze, jak to ślicznie! A ojczaszek mi nic nie mówił. Mieliśmy się z panem zjechać dopiero u wód w Ems, tak jak pan pisałeś do nas, to też mnie dziwiło, dla czego ojciec po drodze wstępuje do jakichś tam fabryk i nadkłada, kiedy mnie tak pilno było zobaczyć się z panem. Pocziwy ojczaszek! jak on to wszystko pięknie ułożył, muszę go serdecznie uściskać za to. Pan widziałeś się już z nim?

Pytania te wyrzucała prędko obsypując niemi niby deszczem pachnących kwiatów Władysława, który stał odurzony, nieprzytomny, nierozumiejąc nic z tego wszystkiego, nie wiedząc co odpowiedzieć. Nadejście jakiejś poważnej damy, którą wesołe okrzyki Kornelki wywołały z pokoju powiększyły jeszcze bardziej jego zakłopotanie.

— Ciociu, to pan Władysław, zawołała ucieszona podbiegając ku niej i wzięwszy ją za rękę pociągnęła ku Władysławowi. Nie żenuj się pan, ciocia zna już pana dobrze, tyle jej nagadałam o panu. Patrz ciociu, jak ci panowie sobie z nas zażartowali... czyś ty wiedziała o tem?

Nie czekała odpowiedzi, bo w tej chwili zobaczyła ojca zbliżającego się ku nim i porzuciwszy ciotkę rzuciła się ku niemu z otwartymi ramionkami.

— Ojczaszku, ojczaszku, jak ty dobrze urządziłeś! jakiś ty dobry!... Wpadła w jego objęcia i tuląc główkę do jego piersi rozplakała się z radości.

Milutyński był równie zakłopotany jak Władysław; to niespodziewane spotkanie się Kornelki z Władysławem, jej radość pomieszały mu szyki i postawiły w dziwnym położeniu w obec Władysława. Potrzeba było udawać, jakoby spotkanie to było ułożonem, jakby już widział się przed tem z Władysławem, ale chciał co prędzej pozbyć się obecności córki, aby mógł sam na sam zostać z nim. Wyjaśnienie z obu stron było tu koniecznem. Pod pozorem więc, że ma z Władysławem ważny jeszcze załatwić interes namówił córkę, by wróciła do gospody, gdzie i oni za chwilę przyjdą.

— Tylko nie marudźcie długo, prosiło dziewczę, idąc ku gospodzie i zwracając główkę ku Władysławowi, przyjdźcie zaraz.

Milutyński odprowadził córkę poważnem spojrzeniem aż ku drzwiom, a gdy weszła już do pokoju, zwrócił się do Władysława i rzekł:

— Wytlómcz mi pan, co znaczy to zagadkowe i dziwne pańskie incognito? Poznałem pana, jako nauczyciela muzyki, tu spotykam pana w charakterze sekretarza, a z kąd innąd wiem dobrze, że należysz pan do innej sfery, że inne stanowisko zajmowałeś w świecie. Co znaczy ta maskarada? nie dziw mi się pan, że się tak o to dopytuję, sądzę, że i pan domyślisz się łatwo, dla czego chciałbym być na czysto z człowiekiem który wszedł był w mój dom i nadużył mego i córki mojej zaufania.

— Winienem panu wytłómaczenie,... wiem o tem. Byłbym to uczynił wcześniej, gdyby nie okoliczności, które mi przeszkodziły... źle zrobiłem korzystając z pomyłki córki pańskiej i wchodząc w dom pański w charakterze nauczyciela muzyki, którym nigdy nie byłem; żałowałem bardzo tej mojej lekkomyślności, do której jednak, wierz mi pan, nie skłoniły mię żadne złe zamiary. Mówił te słowa ze szczerością usuwającą wszelkie podejrzenia, głos jego wyrażał skrucę i pokorę.

— Wierzę panu, rzekł Milutyński, ale co znaczy obecna pańska tutaj bytność?... co pan tu porabiasz?...

— Pracuję, odrzekł Władysław zniżonym głosem. Wstyd mi było żyć z łaski ludzi, tu nauczono mię pracować... byłem lalką salonową — niczem, teraz jestem człowiekiem — oto cała moja tajemnica.

— Rozumiem pana, rzekł Milutyński i podał dłoń Władysławowi, przebacz mi, że cię źle sądziłem. Instykt dziecka był tu lepszym niż doświadczenie podejrzliwego człowieka. Nie uwierzysz, jak wielki ciężar spadł mi teraz z serca; znalazłem szlachetnego człowieka tam, gdzie bałem się, że znajdę... ale nie mówmy już o tem. Ja z mojej strony winienem ci wytłómaczenie.

Kornelka zapewne musiała ci powiedzieć wiele rzeczy, których nie rozumiałeś, muszę ci to wyjaśnić.

I tu zaczął mu treściwie o ile się dało opowiadać o tem, co zaszło po jego wyjeździe, o chorobie Kornelki, o jej niepokojach, o fortelu doktora i innych tym podobnych szczegółach.

— Nie będę tał przed panem, rzekł w końcu, bo zresztą i sam to spostrzedz mogłeś, że córka moja od pierwszej chwili powzięła dla pana szczególniejszą sympatyę. Przedtem to spostrzeżenie nabawiało mię wielkiego niepokoju, dziś jestem spokojny, a jako ojciec dbający o losy przyszłe swego dziecka muszę zapytać pana o tajemnicę jego serca. Jeżeli pan już żywisz inne zamiary, jeżeli nie czujesz w sobie, że mógłbyś odpłacić wzajemnością uczucia mojej córki i uczynić ją szczęśliwą, bądź pan szczerym ze mną jak ja z panem i powiedz mi to otwarcie. Nie zmieni to wcale życzliwości, jaką teraz powzięłem dla pana — jeżeli stracę w tobie zięcia zyskam przyjaciela. Niech pana nie dziwi ta moja obcesowość, idzie tu o moje dziecko, któremu chciałbym oszczędzić smutnych rozczarowań i wyleczyć ją póki czas jeszcze, jeżeli koniecznie trzeba będzie leczyć ją z tego uczucia.

— Na to odpowiem panu tyle tylko, odrzekł Władysław, że pierwsze szlachetniejsze popędy, które obudziły się w mojem sercu i popchnęły mnie na nową drogę zawdzięczam poznaniu panny Korneli. Odkąd wszedłem w wasz dom inne życie rozpoczęło się dla mnie. Z tego możesz pan wnioskować o moich uczuciach. Związek z panną Kornelią uważałbym za największe szczęście dla siebie.

— Wierz mi, byłby on i mojem szczęściem.

— Ale szczęście to nie dla mnie, dokończył Władysław.

— Dla czego? spytał Milutyński zdziwiony tym niespodziewanym zwrotem.

— Panna Kornelia przyzwyczajona do wygod i zbytku, a ja jestem dopiero na dorobku.

— Zapomniałeś, XE ja mam majątek.

— Owszem, nie zapomniałem ani na chwile, ale nie dla tego porzuciłem dom mojego opiekuna, wyrzekłem się jego łaski, bym żył na łasce pana. Ja chcę sobie samemu być wszystko winien, własnej pracy.

— Zacny z pana człowiek, rzekł Milutyński, cenię w panu tę szlachetną ambicyę i będę chciał uszanować twoje skrupuły. Nie my ciebie, ale ty nas przyjmiesz do spółki, będziemy pracowali razem... przecież na to pozwolisz? ale przedewszystkiem potrzeba, abyś powrócił do kraju. Ludzi takich jak ty, nam potrzeba. Trzeba ci wiedzieć, że fabrykę moją zarządzam na warunkach podobnych, jakie tutaj macie. Robotników robię współwłaścicielami. My przystąpimy również do udziału, czy zgoda?... ale o tem później jeszcze pomówimy, czas nam powracać do Kornelki. Przed nią niech to jeszcze będzie tajemnicą o czem tutaj mówiliśmy.

I Zostawmy to czasowi, on pokaże, czyśmy się nie pomylili w naszym sądzie o niej. Być może, że to co ja uważam za głębsze uczucie jest tylko dziecinem upodobaniem. Przykro by mi było, żebym się miał tak pomylić. Teraz jednak wszystko od ciebie zależy, ja tylko powiedzieć ci mogę, że życzyłbym ci z całego serca, byśmy się już więcej nie rozstawali.

Po tej rozmowie wrócili do gospody, gdzie na niech niecierpliwie czekała Kornelka.

— Ach, jacy wy nudni jesteście panowie z waszemi interesami, mówiło dziewczę rozdąsane i kapryśne. Doprawdy ojcaszku to się nie godzi zabierać nam gościa, któregośmy tak dawno nie widzieli, z którym nawet nie przywitałam się jeszcze dobrze. Nie miałam czasu nagadać się... O musisz mi pan, rzekła zwracając się do Władysława wyświadczać się szczegółowo, coś robił przez te długie pół roku, jak przepędzałeś czas w konserwatorjum, co grywałeś... wszystko, wszystko musisz mi pan opowiedzieć.

— A gdyby ci powiedział, że nie był woali W konserwatorjum? spytał ojciec z uśmiechem Kornelka zrobiła duże oczy i spojrzała niemi na ojca i na Władysława.

— Jak to nie był spytała?... a gdzie był taki długi czas, wszak w Paryżu?

— Nie, moja Kornelciu, rzekł ojciec poważnie. On był tu i pracował.

— Toś pan nie był w konserwatorium? spytała zasmucona i rozczarowana tą wiadomością. Dla czegoś pan tam nie pojechał, dodała z lekkim wyrzutem.

— Dla czego? rzekł ojciec, odpowiadając za Władysława. Czy znasz Kornelko tę bajeczkę o mrówce i polnym koniku? Otóż Władysław nie chciał być polnym konikiem i dla tego przyjechał tutaj.

— A jednak ja wolałabym, wyszeptała nieśmiało i niedokończyła.

— Dla ciebie, rzekł ojciec gładząc ją po włosach, będzie on zawsze polnym konikiem; będzie ci grywał ile zechcesz. No, czy już uspokoiłaś się moja mała kapryśnico?

— Więc on wróci z nami? spytała po cichu przymilając się ojcu pieszczotliwie.

— Wróci, wróci... za parę miesięcy zjedziemy się znowu wszyscy razem.

— Jak to za parę miesięcy? spytała wystraszona.

— Władysław musi tu zostać jeszcze dla uporządkowania interesów swoich, dla zdania rachunków swemu następcy.

Kornelce nie podobał się wcale ten projekt. Dowiedziawszy się że Władysław nie pojedzie z nimi wcale do Ems, straciła i sama ochotę jechania tam, skłoniono ją jednak do tego, gdy ojciec jej zapowiedział, że tylko pod tym warunkiem Władysław powróci do kraju.

Przez cały ten dzień mieli być wszyscy razem, a nazajutrz rano miał Władysław odwieść ich do najbliższej stacyi kolei żelaznej.

Bo południu udano się dla zwiedzenia fabryk. Władysław oprowadzał wszędzie sam Kornelkę, tłumaczył jej wszystko i pokazywał, a ona wsparta na jego ramieniu, z zajęciem i uwagą chwytając każde jego słowo, wszystko ją cieszyło i radowało. Wracając wstąpili po drodze do Steinberga.

Milutyński dziękował mu za opiekę rodzicielską nad Władysławem i wypowiedział radość swoją z powodu poznania się z człowiekiem, o którym tyle słyszał już od Władysława. Steinberg bardzo czuł się zadowolony z tej wizyty, mowa i twarz Milutyńskiego bardzo mu się podobały, a patrząc na Kornelkę, której oczka jak dwa błękitne motyle latały za Władysławem gdzie się tylko ruszył, rzekł po cichu do niego klepiąc go po ramieniu:

— Teraz rozumiem chłopcze, dla czego nie chciałaś Wilhelminy.

Po powrocie do gospody Władysław zabawił tam czas jakiś, a potem wrócił do siebie uszczęśliwiony i zachwycony. Gdyby mu kto kazał by zdać sprawę jak i kiedy wrócił do domu, przysłoby mu to z trudnością, tak nie czuł ziemi pod nogami, tak wysoko szły myśli jego w tej chwili że gwiazdki które migotały na pogodnym niebie wydawały mu się jak drobne stokrocie rosnące po bokach tej drogi, którą przechodził.

Na drugi dzień dość wcześnie pobiegł do gospody. Milutyńskiego nie zastał już w domu, wyszedł jeszcze za jakimiś interesami. Znalazszy pierwszy pokój próżny chciał się cofnąć, ale zatrzymał go dźwięczny głosik wychodzący z drugiego pokoju zapytaniem: kto tam?

— To ja, Władysław.

— Ach, a my nie ubrane jeszcze.

— Przyjdę później.

— Nie, nie... nie chcę, nie odchodź pan... zaraz będę gotową — i równocześnie słyszeć się dało krzątanie w drugim pokoiku i urywane słówka: ciociu... gdzie mój pasek?... proszę mi przypiąć z tyłu ten kołnierzyk... etc. i w kilka chwil później wyszła do pierwszego pokoju Kornelka w podróżnym brązowym płaszczyku przepasanym paskiem z włoskami skręconymi w papiloty i w czarnych lakierowanych pantofelkach. Zarumieniona jak obłoczek, o świcie ciepłą jeszcze rączkę ze snu

podawała mu na powitanie.

— Któraż to już godzina?

— Dziewiąta.

— A tośmy sobie dopiero zasnęli... wczoraj długo z cicią rozmawialiśmy o panu, dodała ciszej. Jak to źle, że pan z nami nie jedziesz, rzekła znowu po chwili. Ale pan będziesz pisywał do nas, nieprawda?

— Będę, rzekł Władysław wpatrując się w nią wzrokiem pełnym szczęścia i miłości. Uczucia, które w tej chwili wspierały pierś jego tak wymownie wyraziły się w tym wzroku, że Kornelka spotkawszy się z jego spojrzeniem zarumieniła się.

Nie umiała sobie zdać sprawy, co się z nią działo w tej chwili, ale czuła, że coś się w niej zmieniło; poczęła się wstydzić za nieuczesaną główkę, za odkryte nóżki, za swój negliżyk.

Było to pierwsze przebudzenie się dziewczyczki w dziecku. Wtem wózek zaturkotał na drodze i zatrzymał się przed oknami.

— Czy to już po nas? spytała.

— Tak.

— Trzeba się pójść ubierać, szepnęła smutnym głosem i spojrzała na niego oczami, w których szklily się łzy. Władysław zbliżył się do niej, wziął ją za rękę i tuląc białą dłoń do ust swoich spytał:

— Panno Kornelio, czy będziesz pani pamiętać o mnie?

Pierwszy to raz pocałował ją w rękę — dotknięcie ust jego przejęło ją dziwnym dreszczem; stała drżąca, zapłoniona, pomięszana i ledwie zdołała cichym głosem wyszeptać:

— Będę... i uciekła do drugiego pokoju. Tu rzuciła się w objęcia ciotki i tuląc rozpaloną twarz swoją do jej piersi zaniosła się głośnym płaczem.

— Co ci jest, co ci się stało? pytała zaniepokojona ciotka.

— Nic mi, nic...

— Dla czegoż płaczesz?

— Nie wiem... mnie jest tak dobrze w tej chwili moja ciciu, jak nigdy nie było...

Tak objawiło się uczucie, które sympatycznym węzłem złączyło na zawsze te dwie młode dusze. Uczucie to jeszcze mówić nie umiało, był to jego wiek niemowlęcy.

Nastąpił potem wyjazd. Władysław odprowadził Milutyńskiego z córką na stację kolei, a potem wrócił do zakładu, gdzie miał jeszcze przebyć dwa miesiące. Przeszły mu one dość" szybko, pośród ciągłego zajęcia. Potrzeba było uporządkować księgi, składać rachunki, zapoznawać swego następcę z całą manipulacją ; resztę czasu zabierało mu pisywanie listów do Kornelki i jej ojca, składanie pożegnalnych wizyt i t. p. czynności. Rozstawał się z niemałym smutkiem z ludźmi, wśród których doznał tyle życzliwości, którzy nauczyli go pracować i zrobili go człowiekiem. Szczególniej serdecznem i rozrzewniającem było jego pożegnanie z Steinbergiem. Odprowadził on go wraz synem kilka stacyi, aż do Oderberga.

Staruszek silił się przez drogę na wesoły humor i żarty, ale przez słowa jego przebijało wzruszenie, a w chwili, kiedy już żegnać się mieli rozbeczał się na dobre. Oblany łzami pocziwego bakałarza i obsypany jego błogosławieństwem i życzeniami Fryderyka, powracał Władysław do kraju.

Następnego dnia był już w mieście rodzinnem, przy boku Kornelii i jej ojca.

Pierwszą jego czynnością było odszukanie siostry i Antoniego i w tym celu udał się do mieszkania hrabiego, ale jakże się zdziwił, gdy mu powiedziano w bramie, że hrabia tu już nie mieszka, że wyjechał na wieś, a dom ten został sprzedany; więcej już stróż kamieniczny nie umiał mu nic powiedzieć — dopiero od księdza Hieronima dowiedział się bliższych szczegółów, że hrabia

przez marnotrawstwo syna został zupełnie zrujnowany, że Artur zaciągnawszy ogromne długi na imię jego uciekł za granicę, że majątek jego wystawiono na licytację i jedynie poręczenie jego znajomych uratowało ostatnią wioskę, w której się teraz zagrzebał zerwawszy zupełnie ze światem. Dowiedział się następnie kilka smutnych szczegółów o Antonim i o tem, że Jadwiga wstąpiła do klasztoru. Niebawem poszedł ją tam odwiedzić, a zarazem nakłonić do opuszczenia klasztoru, gdyż był przekonany, że tylko chwilowo tam się schroniła nie mając gdzie się podziać po upadku hrabiego, ale krótka rozmowa z nią przekonała go, że Jadwiga na zawsze rozstała się z myślą wrócenia do świata.

— Pozwólcie mi tu umrzeć, rzekła, w spokoju. Niczego już więcej nie chcę od świata prócz zapomnienia. Bogu będę dziękować za to, żeś ty nie zawiódł mego oczekiwania, bo zresztą wszystko mię zawiódło, dodała z cichym westchnieniem.

Próżne były wszelkie namowy. Jadwiga nie dała się nakłonić do opuszczenia klasztoru. Za dni kilka miała przywdziać szaty zakonne na zawsze i prosiła brata, by jej oddał ostatnią przysługę i odprowadził ją, jako družba do ołtarza. Jest to bowiem zwyczaj, przy ceremonii obłóczyn, które są rodzajem zaślubin dla nowicyuszki z tą różnicą, że oblubieńcem jest rozpięty na krzyżu Chrystus.

Na obrzęd ten przybył Władysław w weselnym ubraniu; zakonnica w rozmównicy przypięła mu bukiet do piersi, furta klasztorna się otwarła i z ciemnych kurytarzy wyszła w białym ubraniu z Wiankiem na głowie i w przezroczystej zasłonie oblubienicy — Jadwiga, poważna i biała jak posąg.

Władysław podał jej ramię i przez kościół napelniony tłumem ciekawych, wśród którego stał także Milutyński z córką — poprowadził ją do ołtarza, gdzie w złocistej kapie siedział biskup, który miał przyjąć śluby od nowicyuszki.

Kilka starych zakonnice o rysach obwisłych i zwiędłych i woskowej cerze towarzyszyło nowicyuszce z za kraty do tego obrzędu, który ma niby pozór ślubu, a wygląda raczej na pogrzeb lub egzekucyę. Ofiara uklękła na całunie, podano jej w rękę gromnicę jak umierającej i rozpoczęło się nabożeństwo. Podczas mszy nowicyuszka trzy razy wstawiała i zbliżała się do ołtarza: pierwszy raz poniosła pieniążek srebrny i rzuciła go na tacę, leżącą na stopniach ołtarza; drugi raz zaniósła wianek mirtowy i złożyła go na ołtarzu, a trzeci raz przystąpiwszy ucałowała nogi księdza. Były to symboliczne oznaki trzech ślubów: ubóstwa, czystości i pokory.

Po skończonem nabożeństwie zakonnice otoczyły ofiarę, zdjęły wianek i zasłonę z jej głowy, odpięły bukiet od piersi i włożyły na nią białą szatę nowicyuszki.

Krzątanie się tych kobiet ubranych jak widma w białe szaty i czarne zasłony, miało w sobie coś strasznego, — przerażającego. Nerwowe ruchy rąk zakrytych szerokimi rękawami przypominały podloty nietoperzy lub ćmów nocnych.

Wzięły nowicyuszkę pod ręce i poprowadziły ją ku biskupowi — który miał odbyć teraz postrzyżyny.

Władysław stojąc obok Milutyńskiego i jego córki, w ponurem zamyśleniu i z zaciśniętymi ustami przypatrywał się temu wszystkiemu.

W chwili kiedy biskup zimnemi nożycami dotknął się skroni Jadwigi, zauważał Władysław że zadrżała — splonęła szkarłatnym rumieńcem i potem zbladła znowu jak ściana. Ta nagła zmiana kolorów wydawała się Władysławowi, jak niemy krzyk, który konająca dla świata wydała, konanie więc nie było bez bólu, twarz ofiary mówiła: „cierpię!”

Strumień włosów z miękim szelestem posypał się po białej szacie, a kapłan ochrzcił nowicyuszkę klasztorzem imieniem Junipery i położono ją na całunie, a z chóru dało się słyszeć ponure Requiem...

Wtem koło drzwi wchodowych powstało zamieszanie, dał się słyszeć krzyk... Jakiś człowiek z wzburzonem włosom, w podartem i zaniedbanem ubraniu, z twarzą nabrzęklą i dziką, rozpychał tłumy tamujące mu przejście i z gwałtownością przedzierał się ku ołtarzowi. Był to Antoni.

Dostawszy się na wolne miejsce rzucił na około dzikie błędne spojrzenie, a ujrawszy leżącą na ziemi Jadwigę, poskoczył ku niej, chwycił ją za ramię i zawołał głośno:

— Ona jest moją!...

Nie dano mu dokończyć nawet tych słów — zakonnice zasłoniły nowicyuszkę wyciągając z groźbą kościste palce przeciw napastnikowi — służba kościelna i lud pochwycili go, zatkano mu usta i wyprowadzono gwałtem z kościoła.

Władysław przypatrywał się tej całej scenie nieruchomy z przerażenia i ścierpnięty cały; wiedział on już od księdza Hieronima o smutnym nałogu Antoniego, który go zaprowadził był nawet chwilowo do domu obłąkanych, ale nie wyobrażał go sobie nigdy w takiej postaci, w jakiej go ujrzał teraz, nie przypuszczał że mógł upaść tak nisko.

Kiedy Antoniego wyprowadzono z kościoła, a on ochłonął trochę z pierwszego wrażenia zwrócił się do Milutyńskiego i rzekł zmienionym głosem:

— Boże, co się stało z tym człowiekiem! Zaniepokojony, co się stało z Antonim wybiegł z kościoła. Tuż przy drzwiach pod ścianą zbiegowisko ludzi otoczyło leżącego na ziemi nieprzytomnego pijaka — charczał i bełkotał coś niezrozumiale, wywijając rękami i rzucając się. Władysław przedarł się ku niemu, wziął go za rękę i ściskając ją mocno rzekł do niego głosem wzruszonym:

— Antoni opamiętaj się!

Leżący otworzył oczy i spojrzał na mówiącego.

— A, to ty?... ratuj ją!... ja... nie dokończył, pianą zasłży usta i drzeć począł na całym ciele.

— Po lekarza! zawołał Władysław — przyprowadźcie dorożkę!...

Antoni jeszcze raz otworzył oczy i przytrzymując Władysława wycharczał:

— Nie trzeba... za chwilę wszystko się skończy...

Machnął ręką i dodał:

— Wódki, kroplę wódki!... Potem usiłował się podnieść, wyprężył się, oczy w słup postawił, jakby zapatrzył się na jakieś widzenie i w przerwach wyrzucał z siebie urywane słowa:

— Gwiazdy... i słońca wirowym ruchem kręcąc się... gdzieś ku jakiejś gwieździe, która jest słońcem słońc... i ludzkość idzie naprzód pchana takim prawem... głupcy, szaleńcy, — którzy chcą walczyć z odwiecznym porządkiem!. koła gwiazd i słońc przejdą po ich piersiach i złamią ich... Wódki... wódki!...

Wyciągnął rękę, jakby chciał chwycić za kieliszek, potem obiema rękami objął piersi, że aż palce w piły się w odzienie.

— Pali... tu pali... Wód...ki! zawołał raz jeszcze, zachłysnął się i skonał.

Przygotowano na podstawie bookini.pl

KONIEC.